

JAYE CARROL

XXL

Rozdział 1

Nie lubię nocnych klubów. Nie lubię przesiadywać sama przy stoliku przez pół nocy, podczas gdy moje przyjaciółki stale ktoś prosi do tańca. I wprost nienawidzę, kiedy któraś z nich uważa, że wyświadcza mi przysługę, gdy grzecznie odmawia, mówiąc:

- Poproś Susan.

Susan to ja. Susan Perry. Zawsze proszą mnie na końcu, i to dopiero wtedy, gdy sytuacja staje się niezręczna.

Czasem moje przyjaciółki zachowują się jak najgorsze żolty, nawet kiedy tego nie chcą. Zwłaszcza kiedy tego nie chcą.

Dlatego nie lubię chodzić do klubów. Tyle że czasem nie mam wyboru. Tym razem były urodziny Laury. Skończyła dwadzieścia dwa lata i chciała pójść do Frodo's przy Leeson Street, ponieważ był to pierwszy nocny klub, do jakiego kiedyś trafiła. Z okazji pierwszego zaręczynowego przyjęcia Sharon. Sharon jest kuzynką Laury, starszą od niej o cztery lata. Laura miała wtedy zaledwie szesnaście lat i nie rozumiem, dlaczego bramkarze w ogóle ją wpuścili...

Tamtego wieczoru Laurze z przejęcia kręciło się w głowie, ale jednocześnie starała się zachowywać tak, jakby pójście do klubu nie robiło na niej żadnego wrażenia. Siedziała z nami przy małym stoliku z kieliszkiem białego wina w ręku i robiła słodkie oczy do faceta po drugiej stronie parkietu. Słodkie oczy! Też coś! W tamtych czasach nie miała jeszcze o niczym pojęcia, ale mimo to udało jej się zainteresować tego gościa.

Podszedł do baru i oparł się o ladę, udając, że na nią nie patrzy. Laura jednym łykiem wychyliła wino i powiedziała do mnie:

- Przyniosę sobie coś do picia. Kiwnęłam głową.

- Jasne. Dla mnie pernod z ciemnym piwem.

- Ale ja nie wracam tak zaraz...

- Lauro, ten facet mógłby być twoim ojcem. Ma co najmniej trzydzieści parę lat.

Westchnęła i zacmokała jak grzeczna dziewczynka.

- Chcę z nim tylko porozmawiać, Susan. Fajnie wygląda.

- Rzeczywiście nieźle - stwierdziłam z uśmiechem. - Tylko nie zapominaj, kim jesteś.

- Co?

- Pamiętaj, kim jesteś, a nie kogo udajesz. Ani za kogo on cię bierze.

Nadal nie rozumiała. Postarałam się wyrazić jaśniej.

- Nie rzucaj się na niego z łapami. Laura wstała.
- Dzięki za radę, Matko Tereso.

Odwróciła się i wężowym ruchem prześlizgnęła się do Tajemniczego i Przystojnego Nieznajomego. Muszę przyznać, że zrobiło to na mnie pewne wrażenie. Musiała wcześniej ćwiczyć te wężowe ruchy przed lustrem. Oczywiście, byłam zazdrosna o to, że jest taka pewna siebie. W dodatku od tamtego czasu zrobiła duże postępy. Dziś Laura potrafi poruszać się seksownie, zachwycająco chichotać i drzeć z podniecenia w sposób, jakiemu większość mężczyzn nie może się oprzeć.

Wylądowała wtedy z tym facetem na parkiecie, prawie do niego przyklejona. Następnego dnia w szkole miała o czym opowiadać koleżankom.

Szesnastoletnia dziewczyna udająca dwudziestolatkę... Jeszcze dziś, kiedy o tym myślę, dostaję gęsiej skórki. Ale takie jest właśnie moje życie: przyjaciółki podrywają oszałamiających facetów, a mnie zostaje gęsia skórka...

Ale nie o tym chciałam mówić. Poszłyśmy do Frodo's i „świetnie się bawiłyśmy”, obchodząc dwudzieste drugie urodziny Laury. Samo miejsce niewiele różniło się od tego sprzed sześciu lat, choć w tym czasie właściciele, nazwa i wystrój zmieniały się z osiem razy. W końcu wróciła stara nazwa - Frodo's. Pewnie nowy właściciel uważał, że jest super albo coś w tym rodzaju. A może po prostu miał dobrą pamięć i brakowało mu pomysłu.

Tego wieczoru było nas pięć: ja, Laura, Sharon, Jackie i Wendy. Jackie i Wendy były przyjaciółkami Sharon z pracy, a z Sharon przyjaźniłam się jeszcze w szkole. Laura, jak już mówiłam, była kuzynką Sharon. Sharon zajmowała się nią, gdy były dziećmi, czy coś takiego. Z pewnością lubiły się bardziej niż jakiegokolwiek znane mi kuzynki. Zaprosiłam też Barbarę, moją koleżankę z pracy, ale tylko na mnie spojrziała, unosząc jedną brew.

- Frodo's? To nora.

Miała rację. Frodo's to takie miejsce, gdzie nie da się nosić sandałów, żeby przypadkiem czymś się nie zarazić.

Była środa, to znaczy „do jedenastej dla pań wstęp wolny”. W rezultacie byłyśmy chyba jedynymi samotnymi kobietami. Reszta klienteli składała się głównie z dwudziestoparoletnich facetów z

jednego z pobliskich banków. Dużo pili i głośno się śmiali. Dawali do zrozumienia, że mają kasę i że przyszli na podryw.

Na ogół nie bywam celem podrywu. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu jest zaletą, gdy się jest modelką, która waży czterdzieści dwa kilo i odznacza się brakiem bioder i małym biustem, lub wielkopiersiastą Walkirią z bujnymi, platynowymi włosami; na nic się jednak nie przydaje, gdy człowiek z trudem mieści się w rozmiarze szesnaście i ma fryzurę, jakby stale jechał samochodem z otwartym oknem.

No dobrze, może jestem dla siebie niesprawiedliwa. Aż tak źle nie jest, choć nie mam, niestety, szczupłej, seksownej, kociej figury. Chyba że kogoś podnieca kot Garfield.

Didżej z Frodo's był jednym z tych trzydziestopięcioletnich facetów, którzy wyglądają, jakby mieszkali w eleganckim apartamencie z meblami z białej skóry, chromu i z ozdobami z czegoś, co udaje heban przedstawiającymi nagie kobiety; mój kumpel Anthony nazywa je „pornoozdobami”. Tacy goście mają duże kolekcje winylowych płyt, żadnych CD i twierdzą, że słyszą różnicę w brzmieniu:

„Wiesz, człowieku, CD mają plastikowy dźwięk. Wszystko cyfrowe”.

Ich ulubione zespoły to: Supertramp, Eagles i Yes. Wciąż nie mogą uwierzyć, że Roger Waters nie gra już z Pink Floyd.

Ten facet miał białe dżinsy, fantastyczną hawajską koszulę - taką, jakie noszą aktorzy grający producentów filmowych w Beverly Hills 90210 - rzadkie włosy, uczesane w koński ogon, białe zęby, małe okrągłe okulary, jeden kolczyk, owłosione ręce... Typowy. Ale miał też system dolby.

Przyglądając się moim koleżankom na parkiecie, zaczęłam sobie wyobrażać, że didżej spogląda w moją stronę.

Mówię „wyobrażać”, bo nieraz dałam się nabrać, myśląc, że facet jest mną zainteresowany. Co nie znaczy, że nigdy z nikim nie chodziłam, ale na ogół podrywali mnie ci mniej ciekawi. Jeśli byłam gdzieś z Sharon lub Laurą i dwóch facetów zaczynało z nami rozmowę, to zawsze ją podrywał przystojniak, a mnie zostawał jego chudy kolega w grubych okularach i koszuli za dużej o trzy numery, który gapił się na mnie z nieśmiałą nadzieją, że może uda mu się stracić ze mną dziewictwo.

Przystojniak przeważnie wychodził z moją przyjaciółką, a ja skazana byłam na towarzystwo gówniarza. Zawsze się zastanawiałam, czy oni też się tak na to zapatrywali.

„Słuchaj, Keith - ten gorszy przeważnie miał na imię Keith albo Owen, albo coś typowo irlandzkiego - co myślisz o tych tam? Wydaje mi się, że ta wielka gruba zwróciła na ciebie uwagę. - Porozumiewawczy kuksaniec. - W końcu jak używasz pogrzebacza, to nie musisz się przyglądać całemu kominkowi, nie?”

Zignorowałam zatem didżeja, ale na wszelki wypadek wciąż mu się przyglądałam. Okazało się, że miałam rację, on też od czasu do czasu rzucał na mnie okiem, a raz nawet puścił do mnie oko.

No, ale nie byłam aż tak zdesperowana, żeby rzucać się na kogoś, kto ledwo zwrócił na mnie uwagę. Musiałby być jeszcze bogaty.

Po mniej więcej piętnastu minutach sytuacja stała się krytyczna, bo mój pęcherz domagał się opróżnienia.

Wbrew temu, co sądzą faceci, kobiety są w stanie samodzielnie pójść do ubikacji. Może nie potrafimy sikać na stojąco, ale dajemy sobie radę za pomocą jednej pary rąk. I całe szczęście, bo gdyby trzeba było do tego dwóch osób...

Pójście do toalety „dla Pań”, która we Frodo's nazywała się „Panienki” (ubikację dla mężczyzn nazwano dowcipnie „Typki”) wymuszało przejście obok didżeja. To nie był wielki problem, bo mogłam przemknąć się szybko, gdy szukał w skrzynce kolejnej piosenki Madonny z lat osiemdziesiątych. Problem stanowiło to, że Laura, Sharon, Wendy i Jackie wciąż tańczyły. Ponieważ pilnowałam ich torebek, nie mogłam tak po prostu odejść od stolika.

Usiłowałam zwrócić uwagę Laury, ale wyraźnie dobrze się bawiła i udawała, że mnie nie widzi. Sharon w ogóle nigdzie nie było, a Wendy pozwoliła jednemu z bankierów odczytywać swoje ciało brajlem. Najbliżej znajdowała się Jackie.

- Jackie! - zawołałam.

Nie słyszała. Wpatrywała się w jakiegoś głupka, którego oczy połączone były niewidzialnymi nitkami z jej piersiami.

Miałam zamiar podejść i klepnąć ją w ramię, kiedy zauważyłam, że w pobliżu stoi grupka ludzi, którzy chciwie wpatrują się w nasz stolik. Wiedziałam, że jeśli odejdę choć na sekundę, natychmiast rzucają się na niego jak sępy.

Jackie wciąż była odwrócona tyłem. Pomyślałam przez moment, by rzucić w nią szklanką, ale to nie byłoby eleganckie zachowanie. Zawołałam jeszcze raz, tylko głośniej. Nic. Za trzecim razem krzyknęłam w momencie, kiedy ucichła muzyka.

Oczywiście, wszyscy zaczęli się na mnie gapić.

Nienawidzę czegoś takiego. Nie jestem jakąś fajłapą, ale kiedy niechący zwrócę na siebie uwagę, zupełnie się gubię.

Didżej mruknął parę słów o następnej piosence i włączył płytę, a klubowicze jakby nigdy nic po chwili zajęli się podrygiwaniem i podskakiwaniem. Jackie wreszcie przeprosiła swojego partnera i podeszła do stolika.

Nic się nie stało, pomyślałam. Drobne zamieszanie bez ofiar w ludziach.

Jackie była cała czerwona i wiedziałam, czego się spodziewać. Klapnęła obok mnie i skuliła się, jakby dzięki temu mogła stać się niewidzialna.

- Jezus, Maria! Co ci się stało?

Rzuciłam jej coś, co miś Paddington nazywa „twardym spojrzeniem” i odparłam:

- Od wieków usiłuję zwrócić twoją uwagę. Muszę iść do ubikacji, a nie mogłam przecież wstać i zostawić naszych rzeczy i stolika tej bandzie sępów.

Jackie poczuła się winna.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Usiłowałam. Wy idziecie sobie tańczyć i zostawiacie mnie samą, ale przynajmniej od czasu do czasu któraś z was powinna się zainteresować, czy jeszcze żyję - dodałam. - W gruncie rzeczy zaprosiłyście mnie, bo wiecie, że nikt nie poprosi mnie do tańca i że będę pilnować waszych głupich torebek.

Tego ostatniego zdania nie powiedziałam na głos, ale Jackie i tak wiedziała, co myślę. A ja wiedziałam, że ona wie, i tak dalej. To była jedna z tych spraw, o których nigdy nie rozmawiałyśmy. W końcu nie znam jej aż tak dobrze.

- No to idź już - powiedziała zirytowana. - Zaczekam, dopóki nie wrócisz.

Wstałam, co w moim wypadku trwa dłużej niż u kobiet przeciętnego wzrostu.

- Postaram się wrócić jak najszybciej - obiecałam.

Kiedy przechodziłam obok didżeja, zauważyłam, że nie jest sam. Obok siedział jego młodszy pomocnik, który odbywał pewnie staż zawodowy pod okiem mistrza czy coś w tym rodzaju. Stałam w krótkiej kolejce do „Panienek” i spojrzałam na młodszego didżeja. Rzucił mi nieśmiałe spojrzenie i odwrócił wzrok. Mistrz coś do niego powiedział i młody wzruszył ramionami.

Moja bujna wyobraźnia podsunęła mi taką historię: starszy didżej miał na imię Curtis, a ten drugi był jego siostrzeńcem, który przyuczał się do zawodu. Siostrzeniec miał na imię Darren i dwadzieścia jeden lat. Do Bractwa Didżejów przyjmowano tylko pełnoletnich. Darren wiedział, że aby zyskać pełne członkostwo i akceptację innych członków, pierwszej nocy musi uwieść wysoką kobietę. Im wyższą, tym lepiej. Może mieli jakieś tabele. Darren, o czym nikt jeszcze nie wiedział, miał w przyszłości zostać następnym Głównym Mistrzem Międzynarodowego Bractwa Didżejów i Prezenterów Telewizyjnych. Na prawym udzie miał myszkę w kształcie adaptera.

Tyle mniej więcej wymyśliłam, zanim doszłam do drzwi toalety. Pilną potrzebę załatwiłam w mig, ale sporo czasu zajęło mi ułożenie włosów. Nie było to łatwe, bo lustro wisiało za nisko i musiałam stać na ugiętych nogach, by móc się w nim zobaczyć. Mogłabym zdjąć buty, ale podłoga nie wyglądała na taką, z której można jeść. A nawet, sądząc po różnych plamach, niektórzy wyraźnie używali jej do czegoś wręcz przeciwnego.

Miałam już wychodzić, kiedy zjawiła się Sharon i stanęła przy mnie, oglądając się w lustrze.

- Nie cierpię tego głupiego miejsca - powiedziała. - Czyj to był pomysł, żeby tu przyjść?

- Laury. Powinnaś była głośniejsze protestować.

- Czy to ciebie wcześniej słyszałam?

- Aha. Usiłowałam zwrócić uwagę Jackie.

- Zauważyłam.

- Musiałam iść do ubikacji. - Odwróciłam się i spojrzałam na nią. - Nic by się nie stało, gdyby któraś z was od czasu do czasu się mną zainteresowała.

Sharon kiwnęła głową. Znała moje zdanie.

- To prawda. Ale nie musisz siedzieć sama przy stoliku. Mogłabyś tańczyć razem z nami.

- A kto by wtedy pilnował torebek i naszych drinków? Ja tylko mówię, że to niesprawiedliwe. Musiałam odrzucić wiele zaproszeń do tańca, żeby nie zostawiać rzeczy samych.

- Naprawdę?

- Nie. Nie naprawdę. Ale mogło się tak zdarzyć.

Sharon była dobrą przyjaciółką. Wiedziała, jak znoszę to, że nikt nigdy nie prosi mnie do tańca. Wiedziała także, że po paru drinkach zawsze staję się trochę ponura.

- I dlatego wolisz puby od klubów - stwierdziła.

- Mhm. A najbardziej wolę siedzieć w domu i oglądać filmy na wideo.

- Siedząc w domu, nigdy nie poznasz żadnego faceta.

- Bo ja wiem... Często zamawiam pizzę. I zawsze mogę liczyć na następne wybory, kiedy młodzi i energiczni asystenci kandydatów chodzą po domach z ulotkami, wyjaśniając politykę swojej partii.

- Chciałabyś już iść do domu? - spytała Sharon.

Widziałam z wyrazu jej twarzy, że dobrze się bawi, a przynajmniej bawiła, dopóki nie zaczęła ze mną rozmawiać, potrząsnęłam więc głową.

- Nie, nic mi nie jest. Choć nie chciałabym siedzieć za długo. Obiecujesz, że zajrzysz do mnie co pół godziny?

Obiecała, szybko weszła do kabiny i po kilku minutach wróciłyśmy na salę.

Zupełnie zapomniałam o Darrenie, młodym czeladniku didżeja. A on nagle stanął przede mną i z uśmiechem poprosił mnie do tańca.

Rozdział 2

Sharon spojrzała na mnie, uśmiechając się od ucha do ucha, a potem poruszyła brwiami i wyartykułowała bezgłośnie:

- Dalej!

Wysłałam jej telepatycznego e - maila: „Ratunku! Atak mężczyzny! Potrzebne moralne wsparcie! Nie wiem, co robić!”

Ta krowa to zignorowała i przebiegła przez parkiet.

Zainteresowałam się więc moim potencjalnym adoratorem. Był tak wysoki jak ja, lecz ja miałam buty na obcasach, to znaczy, że miał jakieś sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, krótkie brązowe włosy, przeciętną budowę i miły wygląd.

- Jasne - powiedziałam. - Jak się nazywasz?

Nie chciałam myśleć o nim jako o Darrenie, gdyż mogło to spowodować komplikacje, gdybym w trakcie namiętnej sceny łóżkowej wykrzyknęła: „Tak, Darrenie! Tak! Teraz!” Cóż, lubię planować z wyprzedzeniem.

- Sam - odparł. - A ty?

- Susan.

Weszliśmy na parkiet w tej samej chwili, gdy kumpel Sama nastawił Careless Whisper George'a Michaela.

Nie miałam pojęcia, czy Sam spytał Jackie lub którąś z moich koleżanek, jaka jest moja ulubiona melodia, ale to było właśnie to.

Trzymał mnie mocno, ale w sam raz, jeśli wiecie, co mam na myśli. Tańczyliśmy twarzą w twarz, a nie tak jak inni, którzy opierali sobie nawzajem brody na ramionach. Odniosłam wrażenie, że był zainteresowany czymś więcej niż jednym tańcem. Nie mówię tego na podstawie bogatego doświadczenia, gdyż opiera się ono bardziej na obserwowaniu innych, ale ze sposobu, w jaki patrzył mi w oczy, wiedziałam, że chce pogadać. Co znaczyło, że nie liczy wyłącznie na jednonocną znajomość.

- Skąd jesteś, Susan? - zapytał.

- Z Cabry. A ty?

- Z Dun Laoghaire. Mam mieszkanie w Clarinda Park. Znasz Dun Laoghaire?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie. Kilka razy tamtędy przejeżdżałam. Parę lat temu byłam na weselu w Royal Marine Hotel. - Daj spokój, Susan, pomyślałam. Już paplesz bez opamiętania.

- A tak... Hotel z promami w ogrodzie, jak nazywa go mój kumpel Paul z Nottingham. To niedaleko ode mnie. Parę ulic. Świat jest mały, co?

- Kiedyś był średni - powiedziałam. - Ale po tych deszczach...

Roześmiał się wspaniałomyślnie z mojego kiepskiego dowcipu.

- Gdzie pracujesz?

- Jestem drwalem - odparłam. - Często pracuję za granicą.

Znasz puszcę na Saharze?

- Chodzi ci o pustynię?

- Teraz się tak nazywa.

Znów się roześmiał, choć nie wierzyłam, że tego wcześniej nie słyszał. A może dlatego podsunął mi przynętę. Nie miało to większego znaczenia. Podobał mi się jego śmiech.

- A ty? - spytałam. - Jesteś didżejem, czy tylko pomagasz?

- Ani, ani. Dave jest moim kumplem. Wstyd się przyznać, ale pracuję w wypożyczalni wideo. Wolę mówić, że jestem między jednym zasiłkiem a drugim.

- Nie ma niczego złego w pracy w wypożyczalni wideo - powiedziałam, bo zawsze sama chciałam to robić. Jestem fanatyczką filmów. Mam więcej kaset wideo niż nasz rząd skandali. - Jesteś fanem kina?

- Mniej więcej... Uśmiechnęłam się.

- Mniej więcej? Poczekaj, sama zgadnę. Zawahałeś się, ponieważ wstyd ci przyznać, że nie lubisz Casablanki i Słodkiego życia, natomiast lubisz filmy, w których stale coś wybucha, pojawiają się obcy z innych światów, a ludzie mówią do siebie „dupku” i uciekają przed złymi facetami z karabinami maszynowymi załadowanymi specjalną amunicją, która trafia jedynie w poręcze.

- Nieźle, poza tym, że nie lubię raczej Fortepianu i Uczty Babette.

- Rozumiem, jesteś zwolennikiem kina intelektualnego.

- Tak. Podobno Barry Norman wynajął kogoś, żeby mnie odstrzelił.

- To znaczy, że gdybyś miał do wyboru Szklaną pułapkę i Dźwięki muzyki, wybrałbyś ten pierwszy?

Sam uśmiechnął się.

- Powiedzmy, że ciut bardziej odpowiada mi Bruce Willis na bosaka i w brudnym podkoszulku niż Julie Andrews szyjąca ubrania z firanek i podskakująca na schodach. Ale to zależy.

- Od czego?

- Od towarzystwa.

Widziałam wystarczająco dużo filmów, seriali i mydlanych oper, by wiedzieć, o co mu chodzi. Umówi się ze mną w piątkowy wieczór, a kiedy zobaczy mnie przed Eason's przy O'Connell Street, dojdzie do wniosku, że osoba, którą widział w ciemnym nocnym klubie w dziennym świetle była o wiele bardziej atrakcyjna.

- Teraz ty - powiedział nagle.

- Co?

- Teraz masz się zapytać, jakie wolę towarzystwo, kiedy idę do kina.

- Naprawdę? - Zmarszczyłam czoło. - To dziwne. Musieli coś źle wydrukować w Podręczniku podrywania dla dziewczyn.

- Też to czytałaś? To idźmy od razu na koniec książki.

Przełknęłam ślinę. Naprawdę chciał się ze mną umówić.

- Masz na myśli indeks czy dziesięć pustych stron z napisem „Notatki”?

Znów się roześmiał.

- Masz czas w piątek wieczorem?

- Chcesz się ze mną umówić czy przeprowadzasz ankietę?

- Chcę się umówić.

- Nie mam żadnych konkretnych planów...

Rozdział 3

Wolny taniec się skończył i Sam musiał wracać za stół didżeja. Kazał mi obiecać, że przed wyjściem z klubu ustalimy, kiedy i gdzie spotkamy się w piątek.

Oszołomiona wróciłam do stolika. Miałam wrażenie, że przydarzyło mi się coś nierzeczywistego. Często miewam takie wrażenie, kiedy śni mi się, że ktoś chce się ze mną umówić, tylko w moich snach facet na ogół zmienia się w kalafiora, czy coś w tym rodzaju.

Jackie nie było, a Sharon pilnowała stolika. Nie mogła wytrzymać z ciekawości.

- No i co? Mów.

Napiłam się ciepłego i dość obrzydliwego drinka.

- Co mam mówić?

- Co się stało? Jak się nazywa? Umówił się z tobą?

- Co? Aaa, chodzi ci o Sama. To stary kumpel. Sharon wywróciła oczyma.

- Akurat. Swoją drogą, jest całkiem przystojny.

Nie wiedziałam, czy cieszyć się z tego, co zaszło, czy zdenerwować się zdziwieniem Sharon, że ktoś przystojny poprosił mnie do tańca. Postanowiłam się ucieszyć, bo - jak zawsze twierdzi moja matka - żeby się skrzywić, musimy użyć pięćdziesięciu ośmiu mięśni, a tylko dwudziestu trzech, aby się uśmiechnąć. Kiedyś mój brat był naprawdę wściekły, bo rzuciła go dziewczyna, i mama próbowała go w ten sposób pocieszyć. Spojrzał na nią spode łba i spytał: „Ilu mięśni potrzebujesz, żeby się ode mnie odczepić?” Matka wcale się takimi rzeczami nie przejmuje. „Przypuszczalnie znacznie więcej, niż żebyś ty zabrał się do swojego pokoju i jak zwykle trzasnął drzwiami” - powiedziała.

Wszyscy zawsze mi mówią, że odziedziczyłam poczucie humoru po mamie. Mój brat jest podobny do ojca. Nie żeby byli ponurakami; czasem śmieją się do rozpuku, choć muszę dodać, że rzadko z tych samych rzeczy, bo prawie w ogóle się do siebie nie odzywają. My z mamą nie jesteśmy takie nerwowe.

Poczucie humoru to jedna sprawa, ale wzrost na pewno odziedziczyłam po niej. Przynajmniej częściowo, bo ojciec też jest wysoki. Matka jest inaczej zbudowana, znacznie szczuplejsza, nie taka grubokoścista i niezgrabna jak ja.

Sharon chciała dowiedzieć się wszystkiego o Samie. Opowiadanie zajęło mi dwa razy tyle czasu, ile z nim spędziłam, co prawdopodobnie miało swoje znaczenie. Zadurzyłam się.

Kiedy ktoś się tobą zainteresuje, staje się znacznie atrakcyjniejszy. Dotyczy to zwłaszcza takich osób jak ja, ponieważ nie jestem przyzwyczajona do męskiego zainteresowania. Obawiałam się zawsze, że wyjdę za mąż za pierwszego faceta, który mi się oświadczy, ponieważ z braku kogoś lepszego wmówię sobie, że jestem zakochana.

Postanowiłam, że z Samem będzie inaczej. Wspomniałam o tym Sharon, która się skrzywiła, używając wszystkich pięćdziesięciu ośmiu mięśni, i stwierdziła, że chyba za bardzo wybiegam w przyszłość.

Miała rację. Zmieniłam temat i spytałam, gdzie się podziewała.

- Rozmawiałam z jednym facetem. Ale to jakiś dziwak.

Poszłam do ubikacji, żeby się od niego odczepić.

Kiwnęłam głową.

- Znów jakieś nieopierzone kaczątko?

- Mhm. Cały czas mnie pytał, jaka jest moja ulubiona piosenka Bruce'a Springsteena i czy nie uważam, że Michael Jackson wygląda jak jakaś kobieta ze Star Trek.

- Która? - spytałam. - Przypadkiem nie doktor Crusher? -
Dużo czasu spędzałam przed telewizorem.

Sharon wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Mówił, że ma twarz w lamparce cętki.

- Ach tak, Jadzia Dax ze Stacji kosmicznej - stwierdziłam.

Zastanowiłam się przez chwilę. - Wiesz, on ma rację.

- O Boże! Jeszcze ty! Może powinnam was ze sobą poznać.

Uśmiechnęłam się.

- Już jestem zajęta.

Nawet jeśli nie było to do końca prawdą, sprawiło mi przyjemność, że mogłam tak powiedzieć.

W tej samej chwili Sharon obejrzała się, znieruchomiła na sekundę i szybko się do mnie odwróciła.

- Cholera, idzie tu.

Rzeczywiście był nieopierzonym kaczątkiem. Uśmiechał się nieśmiałym, młodzieńczym uśmiechem, który mówił: „Wiem, że dopiero się poznaliśmy i nic o sobie nie wiemy, ale będę za tobą

chodził do końca życia i nawet kiedy będziesz miała sześćdziesiąt lat, będę do ciebie dzwonił w środku nocy i odkładał słuchawkę".

- Jak się nazywa? - spytałam prędko.

- Jimmy - odparła Sharon, wlepiając wzrok w szklankę. Jimmy doszedł do naszego stolika, usiadł obok Sharon i położył jej rękę na udzie. Mnie kiwnął głową.

- Jak leci?

- Ty jesteś Shane? - powiedziałam i nie dając mu czasu, aby mnie poprawił, mówiłam dalej - Wiesz, nie obraż się, ale nie jesteś taki duży, jak opowiadała Sharon. Mnie to nie przeszkadza, bo w zasadzie nie lubię umięśnionych facetów. - A wszystko takim specjalnym tonem pod tytułem: „Jestem trochę pijana i nie wiem, co mówię”.

Jimmy zastygł z kuflem piwa wzniesionym do ust.

- Co?

- Mogę się przejechać twoim samochodem? - spytałam. - Sharon mówiła, że masz bajerancki wóz. Co to jest? Sirocco?

- Nie, to... Chyba ci się pomyliło...

- Przyszedłeś wcześniej, niż się spodziewaliśmy - przerwałam i spojrzałam na zegarek. - No, nie tak bardzo wcześniej.

Jimmy nie siedział długo. Powiedział, że wołają go koledzy i poszedł.

Sharon odczekała chwilę i uśmiechnęła się.

- Nieźle - pochwaliła.

- Za to mi płacą. Pomyślałam, że podziała lepiej niż zwykły plan.

„Zwykły plan” - który zastosowałyśmy tylko dwukrotnie, ale się udał, gdyż obaj faceci byli wówczas nieźle zalani - zaczynał się od tego, że zasłaniałam twarz rękami i przybierałam ponury wyraz. Wtedy Sharon mnie obejmowała.

Kiedy zafascynowany Sharon młody człowiek dochodził do naszego stolika, Sharon podnosiła na niego oczy.

- Poczekaj, Susan, zaraz wracam - mówiła do mnie.

- Dobrze - odpowiadałam z jękiem. - Przepraszam. Sharon wstawała i wyjaśniała swojemu absztyfikantowi, że jestem zdenerwowana, ponieważ tego dnia była rocznica dnia, gdy mój narzeczony rzucił mnie dla mojej najlepszej przyjaciółki. To był prosty, miły plan, który pozwalał Sharon na wykorzystanie jej

słynnego powiedzenia: „Wszyscy faceci to dranie”. Zniechęcało prawie każdego.

Sharon i ja przyjaźnimy się od początku liceum i na ogół wyczuwamy swoje zamiary. Jeśli sytuacja tego wymaga, potrafimy wymyślić najgorsze bzdury i na ogół uchodzi to nam na sucho. Raz - tylko jeden, jedyny raz - musiałyśmy udawać, że jesteśmy lesbijkami, żeby odczepiło się od nas dwóch facetów. Nie poskutkowało. Byłyśmy wtedy znacznie młodsze i nie wiedziałyśmy, że dla niektórych mężczyzn lesbijki są absolutnie fascynujące. W końcu musiałyśmy poprosić barmana, aby uwolnił nas od ich towarzystwa. Barman rzucił nam dziwne spojrzenie i wyjąkał:

- To... Wy jesteście... Więcej tam nie poszłyśmy.
- Co za kretyn powiedziała Sharon. - Nie wiem, dlaczego w ogóle zaczęłam z nim rozmawiać.

- Skąd miałaś wiedzieć, że to kretyn. Nie miał tego wytatuowanego na czole. Przychodzą tu i udają normalnych ludzi.

- Nawet nieźle udawał - stwierdziła z uśmiechem.

- Zawsze ci powtarzam, że jak się idzie do nocnego klubu, to spotyka się tylko ludzi, którzy chodzą do nocnych klubów.

- Tak? A twój Sam?

- Mój Sam? Odkąd to jest „mój Sam”? - Zatarłam dłonie i zarechotałam. - Jeden dla mnie, co?

- I dla niego - powiedziała z poważnym wyrazem twarzy.

Wiedziała, dokąd nas to zaprowadzi. Rozmawiałyśmy w ten sposób wiele razy. Sharon zaczynała od stwierdzenia: „Powinnaś mieć więcej pewności siebie”. Potem przechodziła do „Wysoki wzrost to nic złego. Chciałabym być taka wysoka jak ty. Faceci lubią wysokie kobiety”. Czasami, gdy była naprawdę przygnębiona, mówiła cicho: „Erykowi zawsze się podobałaś”.

Nie znosiłam, gdy o nim wspominała. Eryk był jej pierwszym narzeczonym. Zaręczyli się, kiedy Sharon miała dwadzieścia lat. Ogłosili zaręczyny i powiedzieli, że jeszcze nie zaplanowali daty ślubu. Być może poczekają parę lat.

Od początku przeczuwałam, że to był błąd. Mnie pierwszej powiedziała o zaręczynach i błagałam ją, aby nie mówiła nikomu innemu.

- Poczekaj, aż będziesz pewna - radziłam. - Wszyscy będą tylko czekać, aż się pokłócicie, żeby powiedzieć: „To nie mogło długo potrwać”.

Sharon mnie nie słuchała. Kochała Eryka, a on ją. Byli sobie przeznaczeni i potwierdzili to zaręczynami. A poza tym chciała, żebym została jej druhną.

Strasznie się kłóciłyśmy i prawie zniszczyłyśmy naszą przyjaźń, ponieważ pewnego dnia Sharon wybuchnęła:

- Nie chcesz, żebym wyszła za mąż, bo wstydzisz się przejść przez kościół, bo myślisz, że wszyscy zobaczą, że jesteś najwyższa.

Zrobiło mi się naprawdę przykro. Nie dlatego, że mówiła prawdę, tylko dlatego, że powiedziała to, żeby zrobić mi przykrość.

W każdym razie po pięciu miesiącach wszystko się rozleciało, a ja pomogłam jej się pozbierać.

I nie chciałam, żeby ta rozmowa znów się powtórzyła. Zwłaszcza teraz, kiedy - dla odmiany - miałam jakieś perspektywy. Można się nad sobą rozczulać, ale nie wtedy, gdy mamy nadzieję.

To tak jak z pisaniem pamiętnika... Piszę pamiętnik, odkąd skończyłam dziesięć lat, i parę lat temu przeczytałam to, co napisałam do tej pory. Od razu rzuciło mi się w oczy, że piszę tylko o nieprzyjemnych rzeczach. Kiedy wszystko szło dobrze, nie miałam czasu ani ochoty, żeby cokolwiek pisać.

Druga rzecz, na którą zwróciłam uwagę, to setki chłopaków, w których byłam szaleńczo zakochana, a o których zapomniałam po paru tygodniach. Większość z nich to byli chłopcy z osiedla albo ze szkoły, ale po filmie Poszukiwacze zaginionej arki byłam też zakochana w Harrisonie Fordzie.

Ciągle się tego wstydzę i kiedy oglądam jakiś film z nim, potrzebuję paru minut, żeby się uspokoić. I to właściwie nie dlatego, że się w nim kochałam, lecz dlatego, że gdy miałam dwanaście lat, matka przyłapała mnie, jak całowałam plakat z Indianą Jonesem. Roześmiała się i powiedziała:

- Przynajmniej mógłby zdjąć kapelusz.

Kiedy miałyśmy dość i postanowiłyśmy wracać do domu, odetchnęłam głęboko i podeszłam do Sama za stołem didżeja.

Uśmiechnął się na mój widok.

- Wychodzisz?

- Tak.

- Masz jak wrócić do domu? Niedługo kończymy i jesteśmy mikrobusem.

- Miałbyś nadkładać taki kawał drogi, żeby mnie odwieźć do domu?

Sam wyglądał na lekko zmieszanego.

- Dave mieszka niedaleko ciebie, prawda, Dave?

Dave zobaczył, że Sam coś do niego mówi, i zdjął słuchawki.

- Co?

- Mieszkasz koło Cabry, prawda?

- Nie, w Dolphin's Barn. - Włożył z powrotem słuchawki i zajął się muzyką.

Sam zmieszał się jeszcze bardziej.

- Dzięki - powiedziałam, nie chcąc robić mu kłopotu. - Sharon jest samochodem, więc mnie podrzuci.

- Dobrze. Więc...

- Więc...?

Czekałam. To była naprawdę niezręczna sytuacja. Czyżby zmienił zdanie? Nie, myślałam, to mało prawdopodobne. Dopiero co proponował, że mnie odwiezie do domu. Chciałam koniecznie powiedzieć coś mądrego, ale zrezygnowałam, bo po pierwsze, nic mi nie przychodziło do głowy, a po drugie nie chciałam go zniechęcić.

Chyba stracił wątek. Nie miałam wyjścia i musiałam wspomnieć o piątkowym spotkaniu.

- Spotykamy się w piątek? - spytałam.

- Jasne - odparł z widoczną ulgą. - Gdzie i kiedy?

Coś takiego! Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć: „Gdzie chcesz” i doszłam do wniosku, że to nie jest dobry pomysł. Raz ty zdecyduj - powiedział głos w mojej głowie.

- Pod zegarem przy Eason's o ósmej? - zaproponowałam.

- Super - odparł Sam. - Ale wolałbym trochę wcześniej. W piątek pracuję tylko pół dnia i kończę o drugiej.

- Ja nie mogę przed siódmą. Muszę wrócić do domu i zdrapać z siebie drzewny pył.

Sam roześmiał się.

- Dobrze, o siódmej.

I wtedy uświadomiłam sobie, że zapomniał, jak mam na imię! Sama mam z tym kłopoty i potrafię zapomnieć czyjeś imię zaraz potem, gdy się przedstawi.

Przez parę sekund myślałam, jakby mu o tym przypomnieć, ale w głowie miałam kompletną pustkę. Na szczęście uratował nas Dave, który szturchnął Sama i powiedział:

- Lepiej już się pożegnaj.

Sam zrozumiał aluzję. Wyszedł z za stołu i stanął przy mnie. Patrzyliśmy na siebie. To nie był jednak zmarnowany czas. Dokładnie mu się przyjrzałam i stwierdziłam, że jest przystojny i przyszło mi do głowy, jak rozwiązać problem imienia. Odwróciłam się do Dave'a.

- Dzięki. Puszczaleś fantastyczną muzykę. Dave wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

- Mam na imię Susan. Sam mówił mi, że jesteś jego wujkiem...?

Spojrzeli na siebie ze zdumieniem i przypomniałam sobie, że Dave był kumplem Sama. Cholera! Ten wujek przyplątał mi się z mojej wymyślonej wcześniejszej historii. I nawet nie mogłam skłamać, mówiąc: „Najwyraźniej się przesłyszałam przez tę głośną muzykę”.

- Albo mi się coś przyśniło? - powiedziałam słabym głosem.

- Dave jest moim kumplem, a nie wujkiem - powiedział Sam.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam dłonią w stronę Sharon i pozostałych dziewczyn, które czekały przy drzwiach.

- Muszę iść. W piątek o siódmej przy Eason's?

- Do zobaczenia.

Kiwnęłam głową. Żadne z nas się nie ruszyło. Kolejny niezręczny moment.

I wtedy Dave powiedział do mikrofonu:

- Pocałuj ją, głupku!

Rozdział 4

Dziewczyny śmiały się przez całą drogę do domu. Ach, jakie to było śmieszne! Nie tylko dlatego, że Sam zrobił z nas przedstawienie przed moimi koleżankami i wszystkimi gośćmi w Frodo's, lecz także ponieważ mnie pocałował - co, przyznaję, wymagało sporo odwagi po odzywce Dave'a - i w dodatku wszyscy się' nam przyglądali, a potem bili brawo i wiwatowali.

W życiu nie byłam tak zawstydzona, a miałam na koncie niezłe wpadki. Parę dni wcześniej przy ważnych klientach powiedziałam niechcący do szefowej „mamusiu”.

Wendy i Laura siedziały ze mną z tyłu i bez przerwy nadawały. Już się obawiałam, że następnego dnia całe miasto będzie o mnie mówić, ale Sharon mnie uratowała. Odwróciła się i powiedziała:

- Możecie się śmiać do rozpuku, ale tylko Susan umówiła się z facetem na piątek wieczór.

To sprawiło, że na kilka minut się zamknęły.

- Jaki on jest? Dobrze całuje? - spytała Laura po chwili.

- Mnie się podobał - dodała Jackie. - Jak ma na imię?

- Sam - odparłam, zadowolona, że jestem na bezpieczniejszym terytorium. - A ten facet, z którym ty byłaś?

- Nie wiem, jak się nazywa. Jest maklerem. Powiedział, że jeździ BMW.

- Oooo! - zawołałyśmy wszystkie. Jackie lubi mężczyzn z dużymi samochodami.

Zaczęła nam opowiadać o tym facecie. Planowała, że w przyszłym tygodniu pójdzie do Frodo's w nadziei, że on znów tam będzie. Oczywiście, chciała, żebyśmy się z nią wybrały.

- Ja nie - powiedziała Sharon. - Mam dość. Jest druga w nocy. Nie wiem, jak mi się uda nie spać przez resztę tygodnia. Już nigdy nie wybiorę się do klubu w środku tygodnia.

- Tak? - prychnęła Wendy. - Przynajmniej nie będziesz miała kaca. Ja już się źle czuję. Powinam była napić się jeszcze przed wyjściem.

- Nie miałaś więcej pieniędzy - przypomniała jej Laura.

- Ty miałaś i mogłaś mi postawić.

- Nie prosiłaś.

- Przecież widziałaś, że siedzę nad pustą szklanką. Wszystko wracało do normy i pomyślałam, że na szczęście rzadko z nimi

wychodzę. Ale zaraz sobie przypomniałam, że gdybym dziś nie poszła do Frodo's, nie poznałabym Sama. Wyraz twarzy musiał odzwierciedlać moje myśli.

- Ty krowo! - zawołała nagle Laura. - Znow udało ci się zmienić temat.

Lekko pijaną Laurę łatwo było oszukać. Wyparłam się.

- Właśnie, że to zrobiłaś. Jak zwykle - powiedziała Wendy. - Pamiętasz, jak twój brat urządzał imprezę z okazji dwudziestych pierwszych urodzin i powiedziałaś, że chyba nie pójdziesz, bo Fin - tan nie chciał zaprosić Anthony'ego, ponieważ się pokłócili, czy coś takiego, a ty stwierdziłaś, że nie pójdziesz bez Anthony'ego, a my uważałyśmy, że on ci się podoba? - Przerwała dla nabrania oddechu. - I wtedy też zmieniłaś temat. W końcu ja zaczęłam opowiadać, co myślę o Anthony'm.

- Usiłowałaś nam wmówić, że wcale ci się nie podoba - przypomniałam.

- A niby co by mi się miało w nim podobać? Jest okropnie nudny.

- Ma niezłą pracę i nowy samochód - powiedziała Sharon. - I słyszałam, że jest dobry w łóżku.

Odwróciłyśmy się i spojrzałyśmy na nią ze zdumieniem.

Uśmiechnęła się.

- Od razu zasypia i nie ściąga całej kołdry.

- A czy odmawia paciorek? - spytałam.

- Aha, ale zamiast mówić: „Pobłogosław, Panie Boże, mamusię, tatusia i wujka Johna”, podaje ich numery PESEL, żeby Bogu się nie pomyliło.

- Jest dość przystojny - powiedziała Jackie. - Ma zgrabny tyłek. Chętnie bym się z nim umówiła.

- Ho, ho - mruknęłyśmy z Sharon i zaczęłyśmy chichotać.

Wiem, że to dziecinne, ale właśnie miałyśmy nastrój.

Jackie szturchnęła mnie w ramię.

- Sue, spróbuj się wywieźć, czy byłby zainteresowany.

- Jasne, ale za bardzo na to nie licz.

- Spotykałaś się z nim parę tygodni temu - powiedziała Wendy.

- To było co innego - wyjaśniłam. - Umówiłam się z nim, a potem wypadło mi coś w pracy i zabrałam go ze sobą. Jeden z

naszych klientów promował nowe oprogramowanie, a Anthony zna się trochę na komputerach i z chęcią poszedł ze mną na tę imprezę. Prawie cały wieczór rozmawiał z nowym sprzedawcą firmy.

- I nic między wami nie zaszło, co? Akurat! - stwierdziła złośliwie Wendy. - Dobrze wiemy, że uczy cię jeździć tylko po to, żebyś mogła przy nim siedzieć.

Zaczęłyśmy wymieniać nieprzyzwoite uwagi o różnych facetach, których znałyśmy. W końcu Sharon wysadziła mnie pod domem.

Następnego dnia wstałam - choć nie do końca przytomna - o siódmej rano. Trochę później niż zwykle. Wiedziałam, że spóźnię się do pracy, ale się nie przejmowałam. W nocy prawie nie spałam, myśląc o Samie.

Oczywiście do głosu doszła moja bujna wyobraźnia. Prawie przekonałam sama siebie, że nie ma sensu iść na spotkanie, bo Sam i tak nie przyjdzie. Zabawił się moim kosztem i wcale nie zamierzał się pojawić. Albo będzie się wstydził przyjść z powodu tego głupiego incydentu spowodowanego przez Dave'a. Pożałowałam, że nie dałam mu numeru telefonu. Mógłby przynajmniej zadzwonić i wszystko odwołać. To byłoby bardziej honorowe niż wystawienie mnie do wiatru.

Poranna jazda autobusem z Cabry do Rathmines jest koszmarem, a ponieważ jechałam późniejszym autobusem, było jeszcze gorzej. Autobus czołgał się przez Phibsboro, osiem lat jechał przez centrum miasta, a potem w ślimaczym tempie pokonał resztę trasy, zatrzymując się na każdym przystanku i na każdym światłach, i starannie wjeżdżając w każdą dziurę na jezdni. Drażek zmiany biegów z pewnością już się popsuł albo go skradziono, bo autobus stale jechał na pierwszym biegu. Nazywanie go „autobusem z Cabry do Rathmines” jest dużą przesadą - musiałam wysiąść na South Circular Road i przejść resztę drogi pieszo.

W kiosku kupiłam sobie śniadanie - batonik mars i pół litra mleka o właściwościach odchudzających. Zdawałam sobie sprawę, że batonik niweluje odchudzające składniki napoju, ale co tam, w końcu przeleciałam na piechotę półtora kilometra, więc chyba straciłam trochę kalorii.

W pracy jak zwykle: nuda z rzadka przerywana chwilami wielkiego rozbawienia. Firma, w której pracowałam, nazywała się Kompleksowe Rozwiązania Biurowe. Zajmowaliśmy się

konsultacjami w zakresie zarządzania i stosunkami z klientami w wielu różnych przedsiębiorstwach. Inaczej mówiąc, uczyliśmy innych, jak mają pracować. Jedną z pierwszych rzeczy, na jaką zwracaliśmy ich uwagę, było to, że powinni w terminie płacić rachunki. To była taka aluzja, żeby nie zwlekali z zapłatą dla nas, rodzaj zakamuflowanej pogroźki, że jeśli nie zapłacą, nasze rady stracą swą cudowną moc i ich firma padnie.

Czasami wszystko to bardzo mnie dziwiło. Praktycznie nie miałam pojęcia o konsultacjach zarządzania i stosunkach z klientami. Dostałam tę pracę, bo zgłosiłam się na stanowisko administratora biura i szefowa zachwyciła się moim „zdrowym rozsądkiem”. Miałam wrażenie, że jej zdaniem bardzo niewiele osób miało coś takiego.

Za każdym razem, kiedy musiałam „konsultować” szczególnie trudny problem, wykorzystywałam cudowną metodę znaną jako „Brzytwa Ockhama”, gdyż najprostsze rozwiązanie było zwykle najlepsze. Zdaje się, że szefowa podejrzewała, iż mam jakieś dodatkowe informacje.

Druga sprawa, która mnie zdumiewała, to był fakt, że pracownik taki jak ja mógł pracować całymi tygodniami nad jakimś projektem, naprawdę nie kiwając palcem i produkując sprawozdania, z których wynika, że jestem filarem firmy.

Kiedy weszłam do biura, moja koleżanka, Barbara, była w kuchni. Przyłapałam ją na tym, że naląła sobie ostatnią filiżankę kawy z ekspresu i nie nastawiła nowej.

- Zrobię to po Zebraniu Projektowym - powiedziała wymijająco i szybko wyszła, mając niewątpliwie nadzieję, że jakaś dobra dusza, w tym przypadku ja, nastawi nową kawę.

Mruknęłam powątpiewająco pod nosem i wstawiłam mleko do lodówki, pisząc na nim czerwoną szminką „Mleko Susan”. Wśród moich koleżanek i kolegów był ktoś, kto kradł mleko z lodówki. Podejrzewałam, że była to ta sama osoba, która regularnie zostawiała torebki od herbaty na brzegu zlewu i wkładała mokrą łyżeczkę do cukiernicy.

Jednak najgorszą osobą w biurze, znacznie gorszą niż ktoś, kto nigdy nie robi dla nikogo zakupów - czyli szefowa - jest ten, kto nie pije kawy, dopóki ktoś inny jej nie zrobi. Mieliśmy u nas kogoś takiego. Miał na imię Kevin i na ogół dawało się z nim wytrzymać. Siadał za biurkiem koło jedenastej nad filiżanką zimnej kawy i

obserwował ludzi wracających z kuchni z parującymi filiżankami. I nie było łatwo go oszukać. Parę razy wróciłam z herbatą i nawet się nie ruszył. Miał parapsychiczną zdolność odróżniania kawy od herbaty z odległości trzydziestu metrów. Zrywał się na nogi i rzucał do kuchni. Jakby tego było mało, miał własny kubek - z napisem „Kubek Kevina” nad logo Spidermana - o wiele większy od naszych.

Nastawiłam świeżą kawę i wróciłam do biurka, mijając kolegów, którzy z wymiętoszonymi notesami i obgryzionymi ołówkami szli do małej sali konferencyjnej. W czwartki odbywały się Zebrania Projektowe. Trwały zazwyczaj parę godzin, podczas których tłumaczyliśmy szefowej, dlaczego w poprzednim tygodniu nie udało nam się nic zrobić. Zawsze chętnie pierwsza zabierałam głos, żeby ktoś nie podkradł mi najlepszych wykrętów.

Szefowa trochę się spóźniała. Robiła to czasem, aby pokazać nam, że ma bardzo dużo pracy i z trudem znajduje kilka godzin na zebranie.

Gdy usiadłam, Kevin podniósł głowę znad kartki, na której mazał esy - floresy, i powiedział:

- Wiecie, wydaje mi się, że w takim człowieku, jak nasza szefowa, która każe pisać Zebrania Projektowe wielką literą, jest coś złowieszczonego.

- Naprawdę? - powiedziała zimno Barbara. Nie przepadała za Kevinem.

Kiwnął głową.

- Jakby w gruncie rzeczy wiedziała, że to wszystko bzdura, której nadamy znaczenie, stawiając wielkie litery. Dlatego zawsze używa takich słów jak „proaktywny” i „status”, i „Fazy Implementacji”, i „Dokumenty Kontroli”.

Kevin zakończył swój monolog i rozsiadł się wygodniej, oczekując pochwały, a przynajmniej jakiejś reakcji. Nic takiego nie nastąpiło, bo wszyscy już to słyszeliśmy.

Szefowa zjawiała się po paru minutach.

- Musimy się pospieszyć. Mam dziś milion spraw do załatwienia - stwierdziła i zaczęła nas odpytywać ze Stanu Aktualnego Projektu.

Tym razem byłam ostatnia. Wiedziałam, że Danny i Barbara na ogół się streszczali, za to Kevin rozwodził się nad swoimi projektami bardzo długo. Wciąż się nie nauczył, że ci, którzy robią postępy,

przeważnie mają najmniej do powiedzenia. Sama doszłam do tego wniosku wieki temu, wiedziałam zatem, że nawet jeśli od ostatniego zebrania niczego nie osiągnęłam, nie powinnam zarzucać szefowej długimi wyjaśnieniami.

Rozmyślałam o wczorajszym spotkaniu z Samem, gdy szefowa nagle spytała:

- Co masz do dodania, Susan?

Nie miałam pojęcia, o czym mówił Danny.

- To zależy, prawda? - Uśmiechnęłam się do kolegów, robiąc wrażenie, że szefowej umknęło coś, co mogli zauważyć jedynie inteligentni i wykwalifikowani pracownicy.

- Co masz na myśli?

Zmarszczyła brwi i zaczęła masować palce lewej dłoni - dziwny zwyczaj, którego nabrała od niedawna. Podejrzewałam permanentnie naciągnięte ścięgno. Moja szefowa nazywała się Victoria O'Toole. Jej partner i syn mówili do niej Vicky, ale nikt z nas by się na to nie odważył. Przeważnie nie mówiliśmy o niej nawet per „Victoria”, choć używaliśmy kilku innych określeń, lecz nazywaliśmy ją po prostu szefową.

- No... - Napiałam się kawy i usiłowałam sobie coś przypomnieć. Albo zmienić temat. Postanowiłam zachować plan kryzysowy - wylanie kawy na stół - na wyjątkowo nagły wypadek. Na szczęście siedziałam naprzeciwko Danny'ego, który był niesłychanie porządny i po kolei odkreślał poszczególne punkty swojego wystąpienia. Moja kartka była zamazana esami - floresami i praktycznie nieczytelna. Następnym punktem na liście Danny'ego było omówienie kontraktu z Parker Technology, nad którym podobno pracowałam. - Wciąż czekam na ich hierarchię zatrudnienia - powiedziałam. - Poprzesuwali ludzi na stanowiskach, odkąd umieściliśmy u nich Neila Forsythe'a. - To nawet była prawda.

- Jak mu idzie?

- Fantastycznie. Podobno zebrał już zamówienia na ponad sto tysięcy.

- Dobrze... A jak już dostaniesz hierarchię, to jak długo?

- Najwyżej parę tygodni.

To było względnie bezpieczne założenie, tym bardziej teraz, ponieważ wiedziałam, że od najbliższego poniedziałku za tydzień

szefowa wyjeżdża na urlop, to znaczy na spotkania z potencjalnymi klientami w Stanach.

Uniosła brwi z lekkim zdumieniem i zapisała coś w notesie.

- Dwa tygodnie to mniej niż się spodziewałam. Cholera, pomyślałam. Co ja najlepszego zrobiłam?

- Może trzy - powiedziałam. - Ale dwa chyba wystarczą. Danny spojrzał na mnie.

- Na całkowite przepisanie ich całej dokumentacji? Chyba żartujesz!

W duchu obrzuciłam go stekiem przekleństw.

- To nie będzie całkowite przepisywanie, tylko Plan Sedna. Wiedziałam, że to przejdzie, bo nikt oprócz mnie nie wiedział, co to jest Plan Sedna. Zwłaszcza że dopiero co go wymyśliłam.

Po wielu godzinach zebranie wreszcie się skończyło. Wróciłam do swojego biurka i pomyślałam, że będę musiała później porozmawiać z Dannym, który miał listę spraw do zrobienia. Danny był spokojnym człowiekiem, który chętnie przerywał pracę, aby pogadać. Musiałam się dowiedzieć, w co się wrobiłam. Dwa tygodnie powinny wystarczyć, żeby wymyślić, dlaczego nie kiwnę palcem.

Do mojego biurka podeszła Barbara i przysiadła na jego skraju. Była naszą personalną i teraz trzymała w ręku plan urlopów, który służył jej zazwyczaj za pretekst do rozmowy. Gdyby nagle pojawiła się szefowa i zobaczyła nas pogrążone w rozmowie, łatwo mogłybyśmy przejść do omawiania liczby moich wolnych dni.

Ze wszystkich dziewczyn w pracy najbardziej lubię właśnie Barbarę, choć, prawdę mówiąc, nie wiem dlaczego. Jesteśmy zupełnie różne. Ona jest niska, ładna, rozchichotana i otwarta. Ma także dość swobodne obyczaje. Spała już z większością facetów z naszej firmy, łącznie z tymi, którzy pracują tylko na zlecenie. Każdy z nich był przekonany, że jest jedyny, ale ja znałam prawdę, bo Barbara zawsze mi się zwierzała.

Powiedziała mi na przykład, że Danny jest tak samo porządny w łóżku jak w pracy. Przed pójściem do łóżka poskładał ubranie i pamiętał o tym, żeby wyłączyć komórkę i pager. Barbara powiedziała, że kiedy się kochali, starannie zajął się jej obiema piersiami, sprawiedliwie obdarzając je pieścizotami. I stale pytał: „Tak jest dobrze?“, „Nie boli cię?“. Później przez piętnaście minut przepraszał za to, że przygniótł jej włosy i tak długo zakładał prezerwatywę. ..

- Ale czy jest dobry? - chciałam wiedzieć, kiedy pierwszy raz mi o nim opowiedziała.

Wzruszyła tylko ramionami.

- Stara się - odparła.

Barbara spała nawet z synem naszej szefowej, Stefanem, który wtedy miał zaledwie szesnaście lat. To się zdarzyło podczas przyjęcia biurowego z okazji Bożego Narodzenia. Zamknęli się w kabinie w męskiej ubikacji. W czasie, kiedy tam byli, pięć osób przychodziło skorzystać z toalety, między innymi Kevin, który siedział w kabinie dziesięć minut. Albo miał problemy z żołądkiem, albo się onanizował.

Mimo iż sporo wiedziałam o życiu Barbary, nie chciałam jej mówić, że kogoś poznałam. Zamierzałam poczekać, aż minie piątek.

- Jak było? - zapytała. Wzruszyłam tylko ramionami.

- Może być. Lepiej niż się spodziewałam.

- Poznałaś kogoś?

- Znasz mnie. Siedziałam i pilnowałam torebek. Poszłam tam tylko dlatego, że Laura chciała.

- To w końcu były jej urodziny. Nie wypadało ci odmówić.

- Tak, ale kiedy ja chciałam, żeby gdzieś ze mną poszła w moje urodziny, powiedziała, że nie ma czasu.

- Pamiętam. Poszliśmy do kina. Zupełnie nie w stylu Laury.

- To prawda. Laurę interesują jedynie rozrywki cielesne. Ma biodra i kolana jak z gumy i z tego, co słyszałam, mogłaby występować w cyrku, połykając miecz. Ta dziewczyna połknęła w życiu więcej spermy niż wszystkie rekiny ze Szczek razem wzięte. - Nagle zdałam sobie sprawę, z kim rozmawiam i dodałam: - Ta to ma szczęście.

Barbara od razu zrozumiała, co mam na myśli, ale nic nie powiedziała.

- To znaczy, że wczoraj nikogo nie poznałaś?

Żeby się zrehabilitować, postanowiłam opowiedzieć jej jednak o Samie. Nawet o wygłupie Dave'a. Roześmiała się i trochę się ze mnie ponabijała, czyli mi wybaczyła.

Dokładnie trzy minuty przed przerwą na lunch poszliśmy z Barbarą do delikatesów i zamówiliśmy kanapki. Zawsze twierdzę, że to, co jemy na lunch, jest odzwierciedleniem naszych osobowości. Na przykład ja zawsze zamawiam to samo: kanapkę z szynką i sałatką z kapusty, puszkę coli i twiksa. W dni wypłaty funduję sobie dużego

twiksa. Barbara natomiast stale próbuje czegoś nowego, nawet te dziwne sałatki, które składają się głównie z majonezu, zimnego makaronu, jajek po meksykańsku i płynu do zmywania.

Danny przeważnie przynosi sobie kanapki z domu. Są idealnie trójkątne... Oczami wyobraźni widziałem jego czyściutki kosz na śmieci, do którego wrzucał wszystkie krzywe kawałki chleba. Czasami zdarzało mu się zaszaleć i wtedy kupował pokrojony bochenek chleba, trzy średnie pomidory i opakowanie dwudziestu plasterków sera. Z niepokojem przyglądałam się, jak z poważną miną wybiera pomidory w stoisku warzywnym.

Kevin kupuje jedzenie dla dzieci: hula hoops, batoniki mars, paczki chipsów albo płatki z miodem, jeśli w środku jest zabawka. Bardzo dziwnie wyglądał, siedząc za biurkiem, jedną ręką sięgając co chwila do torebki z chipsami, a drugą pisząc na klawiaturze. Na brzegu jego biurka stoi rząd „Potworów w mojej kieszeni” Kelloggsa. Kiedy jestem na niego wściekła, gdy wychodzi do kuchni, aby buchnąć czyjąś kawę, przestawiam te kretyńskie zabaweczki.

Na moim biurku stale leżały sterty papierów, które zamierzałam pewnego dnia posortować. Nie przejmuję się starym powiedzeniem, że porządek na biurku jest odbiciem porządku w głowie. Na ścianie oddzielającej moje biurko od biurka Danny'ego, po mojej stronie wisi pełno karteczek i dowcipów rysunkowych z Dilbertem, a po stronie Danny'ego jedynie mały terminarz na cały rok. Ten terminarz dużo mówi o jego osobowości. Przez cały jeden dzień planował go tak, aby zmieścił się na jednej kartce, a w każdy poniedziałek uzupełniał go i drukował na nowo. W szufladzie miał skoroszyt ze wszystkimi starymi terminarzami. Nie przyszłoby mu do głowy zmiąć kartki i rzucić w kogoś na drugim końcu pokoju. Wszystko musiało być porządnie schowane.

Barbara i ja jadłyśmy lunch przy jej biurku, ponieważ było tam o wiele więcej miejsca. Poza tym pracowała w znacznie spokojniejszej części biura, gdzie nikt nam nie przeszkadzał. Mogłyśmy spokojnie porozmawiać o Samie.

Wyraziłam obawę, że nie przyjdzie w piątek na spotkanie, ale Barbara potrząsnęła głową.

- Na pewno przyjdzie. Co będziecie robić?
- Jeszcze nie wiem.

- Z tego, co mówiłaś, nie sprawia wrażenia faceta, który umie podejmować decyzje. Ty będziesz musiała wybierać. To nie jest dobra sytuacja. Sama też nie jesteś typem przywódcy. Jeśli pozwoli ci o wszystkim decydować, nie będzie to szczęśliwy związek.

- Bardzo dziękuję za wsparcie! Potrafisz człowiekowi poprawić humor.

Wzruszyła ramionami.

- Mówię poważnie. Ale może wczoraj wieczorem był tylko chwilowo onieśmielony. Zobacz, jak wypadnie jutro, nim go rzucisz.

- Nigdy nikogo nie rzuciłam. Zawsze robili to faceci - powiedziałam po chwili zastanowienia.

- Dowcip polega na tym, żeby umieć przewidzieć, kiedy będą chcieli cię rzucić, i zrobić to wcześniej - stwierdziła Barbara. - Uważaj na takie odzywki, jak: „Musimy poważnie porozmawiać”, „Przecież możesz się sama spotykać ze swoimi przyjaciółmi, a ja ze swoimi”. A kiedy zaczynają mówić o zmianie pracy albo wspólnym wynajmowaniu mieszkania z kolegą, nie ma już wątpliwości.

Wzruszyłam ramionami. To wszystko mnie nie dotyczyło.

- Zawsze byłam ciekawa, co się dzieje, kiedy obie strony boją się zerwać - powiedziałam.

- Biorą ślub. Roześmiałam się.

- Jak ty to robisz, Barbaro? - spytałam, przyglądając jej się uważnie. - Jak przyciągasz facetów? Wiem, że nie jestem najbrzydsza, a jednak na mnie zwracają uwagę wyłącznie nieudacznicy.

Nigdy o tym wcześniej nie rozmawiałyśmy i widziałam z jej reakcji, że nie jest to temat, na który chciałyby dyskutować. Normalnie bym się wycofała, zrobiła jakąś głupią uwagę i zmieniła temat, ale naprawdę chciałam wiedzieć.

- Na czym to polega?

Zawahała się, a potem powiedziała coś szalenie głębokiego, czego bym się po niej nie spodziewała:

- To nie chodzi o to, co ja robię, lecz o to, co oni widzą.

- To znaczy?

- Mówi się, że facetami rządzi to, co mają w spodniach, a kiedy tak się mówi, to wszyscy się śmieją i uważają, że to tylko taki przesąd. Ale w wypadku wielu mężczyzn to jest prawda. Widzą mnie, podoba im się to, co widzą i tyle. Ale ty...

Przerwała i spojrzała na mnie.

- Mów dalej - nalegałam. - Nie obrażę się. - Byłam pewna, że poczuję się urażona, ale chciałam to usłyszeć, choć przeczuwałam, co mi powie.

- Ciebie się boją. Faceci, którym ja się podobam, nie lubią kobiet równych wzrostem ani mądrzejszych. A ty łączysz obie te cechy. Niebezpieczna mieszanka.

Tak, wszystko się zgadza. Słyszałam to już wcześniej od matki, od Sharon, nawet od siebie samej. Czy powinnam udawać, że jestem mała i głupia, żeby tylko mieć powodzenie? Jasne. To by mi zapewniło towarzystwo jeszcze gorszych typów, tak zwanych „chłopców”. Od razu się ich poznaje. Jeżdżą samochodami z mnóstwem świateł z przodu i trzymają kierownicę jedną ręką. Kiedy światło zmienia się na zielone, zawsze ruszają pierwsi z piskiem opon. Dużo piją i używają wulgarnych słów. Prawdziwi mężczyźni.

Mój brat Fintan jest dokładnie taki. Nosi kurtkę z napisem „Nike” na plecach. Nazywa kobiety facetkami i ma swoją ulubioną Spice Girl. Z zacięciem kibicuje Liverpoolowi i wie, co znaczy „spalony”. Uważa, że Eric Cantona i Liam Gallaher to równi faceci. Raz widział Barbarę i wciąż się o nią dopytuje.

- Jakiego chciałabyś mieć faceta? - spytała nagle Barbara.

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Kogoś, kto będzie dla mnie dobry.

Skinęła głową.

- Wiesz, że bardzo się podobasz Danny'emu, prawda?

To było coś nowego. Rzuciłam okiem w jego stronę, ale nie siedział przy swoim biurku. Przypuszczalnie robił sobie w kuchni kanapki.

- Chyba żartujesz - powiedziałam. - Patrzy na mnie z pogardą. Odwołaj to, Joe - dodałam, bo przypomniałam sobie linijkę ze starej piosenki Murray Head.

Barbara potrząsnęła głową.

- Wydaje mu się, że jesteś kimś nie z tej ziemi. Jakaś boginią, czy czymś takim. A kiedy krzyczysz „kurwa!”, gdy coś ci nie idzie, niszczysz jego złudzenia. Na jakiś czas. Potem znów powiesz coś mądrego i znów będzie na ciebie patrzył jak na anioła. Zauważ, że zawsze najdłużej śmieje się z twoich dowcipów.

- Myślałam, że po prostu rzadko słyszy jakiś kawał. Z drugiej strony, jest chętny do pomocy.

Barbara uśmiechnęła się.

- Wiem, że nie szalejesz na jego punkcie, ale umówiłabyś się z nim? Pokonałabyś swoje uprzedzenia przez wzgląd na jego uczucia?

Odetchnęłam głęboko.

- Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? Choćby wczoraj, nim poznałam Sama?

- Bo teraz zaczęłaś o tym mówić. - Przełknęła ostatni kęs. - Nie przejmuj się. Danny zaczeka. - Odwróciła się do komputera. - A teraz spadaj, bo mam robotę.

Wróciłam do swojego biurka i przez resztę dnia wpatrywałam się w monitor komputera. Nie byłam w stanie nic robić. Wydawało mi się, że za każdym razem, kiedy spojrzałam w stronę Danny'ego, on też na mnie patrzył. Prawdę mówiąc, nawet mi się podobał i byłam bardzo zazdrosna, gdy Barbara powiedziała mi, że spali ze sobą.

Teraz zaczęło mi to jeszcze bardziej przeszkadzać. Nie mogłam pozbyć się myśli, że Barbara przespalała się z nim, choć wiedziała, że to ja mu się podobam.

Rozdział 5

Mimo że był czwartek, kiedy wróciłam do domu, nie byłam w najlepszym humorze. Piątek w pracy właściwie się nie liczył, trzeba było jakoś przesiedzieć te parę godzin, więc już w czwartek zwykle myślałam o weekendzie i nie mogłam się go doczekać.

Nie żebym się specjalnie rozrywała w weekendy. Fintan zazwyczaj wychodził, a rodzice przeważnie wyjeżdżali w piątek wieczorem do Backwater i miałam cały dom dla siebie. W soboty chodziłam po mieście, a w niedziele leżałam do czwartej w łóżku, a przez resztę dnia snułam się w szlafroku. Byłam jedyną osobą w domu, która opanowała obsługiwane wideo, i jedynym członkiem rodziny, który należał do miejscowego klubu wideo, gdzie odkładano mi wszystkie nowości. Kiedy przychodziłam do wypożyczalni zazwyczaj zarzucano mnie pytaniami: „A Ostatni skaut? Dobry?“, „Jaki jest tytuł tego filmu z Goldie Hawn, który reżyserował Spielberg?“

Któregoś dnia przyszedłam do wypożyczalni i Mark, właściciel, facet w średnim wieku, odłożył telefon i zawołał mnie do kontuaru.

- Panno Perry - zapytał (zawsze zwracał się do mnie po nazwisku) - jak się nazywa ten facet, co grał w tym filmie z Alem Pacino?

- Co dostanę, jak wygram? Roześmiał się.

- To nie jest konkurs. Założyłem się z Seanem. - Sean był bratem Marka i właścicielem małej wypożyczalni w Donabate. - Pierwszy, który przypomni sobie jego nazwisko, dzwoni do drugiego. Jeśli zna pani odpowiedź, dostanie pani dwa filmy za darmo.

- Nowe?

- Prawie nowe.

- Prawie nowe i polecane - targowałam się.

- Dobrze - zgodził się po chwili.

- Chris O'Donnell. Zapach kobiety.

Mark złapał za słuchawkę i wystukał numer brata.

- Chris O'Donnell - powiedział, gdy tamten odebrał telefon. - A film, w którym grał z Pacino to Zapach kobiety. - Przerwał. - Nie, właśnie sobie przypominałem. - Spojrzał na mnie. - Nie, nie widziałem jej od paru dni.

Po paru minutach odłożył słuchawkę.

- Teraz założył się ze mną, że nie pamiętam nazwiska pierwszego faceta, który grał Jamesa Bonda. Wiem, że to nie jest Connery, bo to byłoby za łatwe.

- Barry Nelson - powiedziałam. - W latach pięćdziesiątych prowadził telewizyjny program Casino Royale.

Gdyby mnie kiedyś wyrzucono z pracy, zamierzałam zatrudnić się w wypożyczalni kaset wideo. Wiedziałam, że nie będę tak dobrze zarabiać, jak teraz, ale ponieważ co tydzień wydawałam majątek na wypożyczanie filmów i drugie tyle na ich kupno, przypuszczalnie wyszłoby na jedno.

To przypomniało mi o Samie. Nie żebym całkiem o nim zapomniała. Zapowiadał się zupełnie inny tydzień, ze spotkaniem w piątkowy wieczór.

Siedząc przed telewizorem i powoli przeżuując kanapkę z serem, poczułam dreszcze podniecenia. Najgorsze było to, że miałam się z nim spotkać od razu po pracy, bo w żaden sposób nie zdążyłabym wrócić do domu i się przebrać. Dlatego musiałam wszystko wziąć ze sobą: porządny żakiet, lepsze buty, kosmetyki, szczotkę do włosów... Ciekawe, czy dałabym radę umyć głowę w umywalce w damskiej ubikacji? Nie musiałabym zabierać suszarki, nawet tej małej podróźnej, bo mogłabym wysuszyć głowę pod suszarką do rąk.

Jeśli wezmę ubranie na zmianę, wszyscy będą wiedzieli, że się umówiłam i będą mnie wypytywać. Z drugiej strony mogłabym przyjść przed wszystkimi, schować torbę pod biurkiem i pójść do McDonalda na śniadanie, a potem wrócić o zwykłej porze. Gdyby ktoś skomentował moje ubranie - zazwyczaj nosiłam do pracy dżinsy i bluzę - powiedziałabym, że nie miałam niczego czystego i musiałam włożyć spódnice.

Wyjście z pracy będzie łatwiejsze, bo w piątki wszyscy znikają wcześniej, zwłaszcza szefowa. Poczekam aż wyjdą, a potem się przebiorę. Dojście na O'Connell Street nie trwa dłużej niż pół godziny, będę więc miała dość czasu, żeby się wyszykować.

Mój umysł, zdradziecki i pokrętny, zaczął teraz rozmyślać, jak zareagowałby Danny, gdyby wiedział, że się z kimś umówiłam. Daj spokój - powiedziałam sobie, to niebezpieczny teren. Jak zaczniesz się nad tym zastanawiać, to za chwilę będziesz z nim flirtować.

Rozzłościłam się na Barbarę, że powiedziała mi o zainteresowaniu Danny'ego. Nie mogła wybrać gorszego momentu. Może zresztą zrobiła to celowo, bo jej też na nim zależało?

Uratował mnie dzwonek do drzwi. Przyszedł Anthony, który mieszkał trzy domy dalej, żeby zabrać mnie na naszą cotygodniową, darmową lekcję jazdy. Znam Anthony'ego od dziecka - kiedy miałam siedem lat, a on cztery, wpychał mnie w kałuże.

Anthony był jednym z niewielu moich znajomych mężczyzn, który nie był kolegą z pracy ani facetem czy bratem którejś z moich przyjaciółek. Kilka miesięcy temu kupił samochód i co tydzień dawał mi lekcje jazdy.

Pomachał mi przed nosem kluczykami.

- Gotowa?

- Nie, ale i tak jedźmy.

Podał mi kluczyki i usiadłam za kierownicą, a Anthony przez pięć minut zakładał tablice z literą L, wycierając przy okazji każdą plamkę, którą zauważył na szybie lub na masce. W końcu mogliśmy jechać. Zajął miejsce przy kierowcy, zapiął pas i kazał mi ruszać.

Teraz idzie mi trochę lepiej, ale muszę przyznać, że przez długi czas jeździłam jak noga. Za każdym razem, kiedy jechałam powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, tak kurczowo ścisiskałam kierownicę, że aż mi palce bieleły, zapominałam, która strona jest lewa, a która prawa i nigdy nie pamiętałam, by spojrzeć w lusterko. Anthony siedział spokojnie i grzecznie mnie pouczał, kiedy usiłowałam zmienić czwarty bieg na wsteczny na zakręcie.

„Powinnaś wrzucić trzeci bieg - mówił. - Nie, to jest pierwszy. Trzeci jest z drugiej strony. Uważaj na ten samochód z przodu. Tak, wiem, że jest daleko, ale się zatrzymał, a my jedziemy siedemdziesiąt na godzinę. Nawiasem mówiąc, tutaj jest ograniczenie do czterdziestu pięciu. Po to są znaki. Uważaj, przejechałaś przez pasy. Powinnaś stanąć, kiedy ktoś czeka, aby przejść na drugą stronę”.

Po każdej lekcji czułam się świetnie, za to Anthony był kompletnie wykończony. Ale wciąż wracał.

Tym razem postanowiłam, że będę dobra. Wykonałam manewr lusterko - kierunkowskaz, o którym tyle słyszałam, wrzuciłam pierwszy bieg, zwolniłam hamulec, lekko nacisnęłam pedał gazu, ponownie zaciągnęłam hamulec, zwolniłam sprzęgło i głęboko westchnęłam.

- W porządku - powiedział Anthony. - Wiesz, co źle zrobiłaś?
- Tak, tak, tak. - Przekręciłam kluczyk w stacyjce. - Teraz lepiej?

- Zdecydowanie.

Jeszcze raz powtórzyłam wszystkie czynności i po minucie jechaliśmy siedem kilometrów na godzinę.

- Nieźle mi idzie - powiedziałam, pokazując na lusterko. - Spójrz! Inne samochody zostają z tyłu.

- Bardzo śmieszne. Jedź trochę szybciej. Dodaj jej gazu. Zrobiłam jak kazał.

- Dodaj jej gazu. Skąd wiesz, że to ona? Samochód jest niebieski. Dziewczyna powinna być różowa. I mieć długie, piękne rzęsy na reflektorach.

- Koronki na zderzakach i wstążkę na dachu - dodał. - Posłuchaj, Susan, kiedy powiedziałem, żebyś przyspieszyła, powinnaś także zmienić biegi.

- Mam taki zamiar. - Spociłam się jak mysz, zgarbiona nad kierownicą, z językiem wysuniętym dla lepszej koncentracji.

- Zrób to, zanim spalisz mi silnik i będę musiał cię zamordować.

Wciąż zerkałam na planik z wyrysowanymi biegami. Przysięgłam sobie, że kupię samochód z automatyczną skrzynią biegów. Rodzaju męskiego.

Niebawem jechaliśmy drogą z Navan w stronę centrum Blanchardstown. Udało mi się przejechać przez trzy niełatwe ronda i Anthony'emu poprawił się humor. Tylko od czasu do czasu mówił: „Wiem, Susan, że jesteś wyjątkowa, ale nawet ty nie możesz jechać jednocześnie dwoma pasami”. Albo: „Chyba zapomniałem ci powiedzieć o sekretnym pedale. Jest usytuowany między pedałem gazu i sprzęgłem. Nazywa się hamulec i służy do zmniejszania prędkości”.

Mniej więcej po godzinie wróciliśmy pod dom. Adrenalina wyraźnie mi podskoczyła i wiedziałam, że nieźle sobie poradziłam, ponieważ tym razem Anthony nie słał się na nogach, kiedy wysiadł z samochodu.

- Fantastycznie! - zawołałam. - Uwielbiam prowadzić! Na pewno kupię samochód!

- Na twoim miejscu jeszcze bym zaczekał. Przyjemność szybko się przeje, gdy spędzisz kilka piątkowych wieczorów w korku na autostradzie Naas.

Zaprosiłam go na herbatę, co przyjął z wdzięcznością. W drzwiach do kuchni natknęliśmy się na Fintana.

- Cześć - mruknął i poszedł do siebie.

Anthony i Fintan nie rozmawiają ze sobą, chociaż kiedyś byli dobrymi kumplami. Anthony jest w tym samym wieku, co Fintan i razem chodzili do szkoły. Później każdy poszedł swoją drogą. Ja nadal przyjaźniłam się z Anthonym, po części dlatego, że denerwowało to Fintana, po części dlatego, że naprawdę go lubiłam.

Weszliśmy do kuchni. Anthony grzecznie odczekał przy drzwiach, gdy matka wygłosiła swoje zwyczajowe uwagi:

- Prawda, że pogoda jest bardzo zmienna? Czy na pewno nie wolałbyś kawy?

Poinformowałam moich rodziców, że tak, pogoda jest faktycznie zmienna, ostatni skandal rządowy wprost niewiarygodny, nie, nie znalazł jeszcze lepszej pracy i wczoraj było naprawdę bardzo ciepło. Jak na tę porę roku.

Uciekliśmy do dużego pokoju. Jedni nazywają go salonem, inni pokojem telewizyjnym. Zawsze czułam się niezręcznie u kogoś w domu, jeśli użyłam nazwy „duży pokój”, a oni nazywali go inaczej. Jeszcze gorzej było, gdy nazwałam ich kanapę sofą lub kozetką albo „tą dużą pofałdowaną brązową rzeczą, z okruchami ciastek i psią sierścią”.

Telewizor stał w rogu pokoju, przekazując co piętnaście minut wiadomości w pustym pomieszczeniu. Złapałam pilota i zmieniłam kanał, akurat kiedy spiker Sky One opowiadał, co się stanie w najnowszym odcinku Melrose Place, żebyśmy przypadkiem nie musieli go oglądać.

Z seriali oglądam tylko Coronation Street i Przyjaciół, ale Anthony ogląda wszystkie, nawet Modę na sukces. Podejrzewałam, że ogląda te „dziewczyńskie programy” - jak nazywał je Finan - żeby mieć o czym rozmawiać z dziewczynami z pracy.

- Jak było wczoraj wieczorem? - spytał. - Z kim poszłaś do klubu?

- Z Laurą, Jackie, Wendy i Sharon. Byłyśmy w Frodo's przy Leeson Street.

- I jak?

- Trochę niechlujnie. Poza tym drogi alkohol, głośna muzyka, pełno wyelegantowanych facecików z banków. Normalka.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Poznałaś kogoś?

Opowiedziałam mu o Samie, łącznie z umówionym spotkaniem. Anthony zachował się taktowniej, niż się spodziewałam.

- Ten Sam robi dobre wrażenie - powiedział, zamiast doszukiwać się czegoś podejrzanego.

- Ale...

- Ale co?

- Chciałeś powiedzieć: „Robi dobre wrażenie, ale...”. Zawsze tak mówisz.

- Tym razem nie. Najwyższy czas, abyś znalazła kogoś, kto nie jest kompletnym popaprańcem.

- Komu to mówisz? Sam jest w porządku. Przynajmniej nie jest niższy ode mnie. To nie było pod twoim adresem - dodałam.

Anthony jest pięć centymetrów niższy ode mnie. Nie ma kompleksów na punkcie swojego wzrostu, bo w końcu ma metr siedemdziesiąt pięć, to znaczy nie miałby, gdyby nie przebywał tak często w moim towarzystwie.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli coś z tego wyjdzie?

- Nie rozumiem?

- Masz nadzieję na długofalowy związek, czy co?

Wypożyczalnia wideo zbankrutuje, jeśli wciąż będziesz się z nim spotykać.

- Ha, ha! A ty? Kiedy się ostatnio umówiłeś z jakąś dziewczyną?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem specjalnie zainteresowany.

- Zainteresowałbyś się, gdybyś poznał kogoś na tyle szalonego, żeby się z tobą umówić. - Przypomniałam sobie, co mówiła wczoraj w samochodzie Jackie, kiedy wracałyśmy do domu. - Znasz Jackie?

- Dużo włosów, wielkie mięśnie, zielona skóra i podarte spodnie?

- Nie, myślisz o Niewiarygodnym Potworze.

- Przypomnij mi Jackie.

- Jakiś metr siedemdziesiąt, ruda. Szerokie biodra i brak biustu.

Potrząsnął głową.

- Nie, nic mi to nie mówi. Zastanawiałam się przez parę sekund.

- Mieszka niedaleko Fassaugh Road. Jej ojciec jest taksówkarzem.

Nadal nie kojarzył.

- Tańczyła z tobą przez dwie godziny na dwudziestych pierwszych urodzinach Fintana. Strasznie się do ciebie kleiła.

- Aha... Zaczekaj... - Zmarszczył brwi, a potem postukał stopą w podłogę. - Pije carlsberga i wyrzygała się na twoim przy - jęciu wideo na Boże Narodzenie?

- Zgadza się.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że jej się podobam?

- Tak mówiła, ale może kłamała. Co myślisz?

- Myślę, że na tym etapie nie jestem zainteresowany ustawianymi spotkaniami z twoimi koleżankami. Nie. Ale nic jej na razie nie mów. Nie muszę palić za sobą mostów. - Podniósł z podłogi gazetę z poprzedniego dnia i zaczął ją przeglądać. - Spójrz, ogłoszenia matrymonialne. Widzisz? Jackie nie jest mi potrzebna. Mogę znaleźć prawdziwą miłość w „Evening Herald”.

- Pod warunkiem, że kochasz rybę z frytkami.

- Owszem. Posłuchaj: „Samotna gospodyni domowa szuka towarzysza do popołudniowych zabaw”. To brzmi interesująco.

- To mogłaby być, na przykład, moja matka. Albo twoja.

- Zaoszczędziłbym na benzynie. A to? „Cudowna SBK, 95 - - 65 - 95, dwadzieścia parę, szuka kogoś, kto potraktuje ją jak damę”: To dobre!

- Nie uważasz, że oszukuje? Jeśli jest taka cudowna, to dlaczego musi się ogłaszać w gazecie?

- Może jest nieśmiała.

- Nie potrafi nikogo znaleźć, bo jest nieśmiała, ale ma dość odwagi, żeby dać ogłoszenie do gazety? Akurat.

- Jesteś niesprawiedliwa. Na pewno ludzie dają ogłoszenia do gazet z wielu powodów. - Urwał na chwilę. - Choć nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy.

- Rozumem, że ktoś dałby takie ogłoszenie, gdyby szukał kogoś trochę innego, ale w normalnych warunkach to nie ma sensu.

- Czyli nic dla mnie... - Dalej przeglądał ogłoszenia. - Niektóre są doskonałe. „Mężczyzna w średnim wieku, zmęczony

zwyczajnym życiem, szuka młodszej kobiety, którą mógłby pogardzać i pomiatać. Odpowie na wszystkie poważne listy. Wariatki wykluczone".

- O właśnie, ja zamieściłabym coś takiego - stwierdziłam. - Coś oryginalnego. Może ty powinienes dać ogłoszenie. „Samotny młody mężczyzna, dwadzieścia parę, szuka Kate Moss lub kogoś w jej stylu. Wyłącznie bogata seksualna atletka z własnym pubem lub hotelem. Konieczne zdjęcie i koperta ze znaczkiem bez adresu".

- Nie jestem aż tak zdesperowany. Mam nadzieję. - Spojrzał na zegarek. - Muszę już iść. Za tydzień o tej samej porze?

- Tak. Dzięki.

Tata wyjrzał z kuchni, kiedy usłyszał, że zamykam drzwi za Anthonyem.

- Masz czas?

- Tak. Co się stało?

Zamknął drzwi do kuchni i przeszedł do dużego pokoju. Poszłam za nim.

- Nie wypilaś herbaty - powiedział.

- Nie miałam ochoty.

- Aha. Kłopoty z mężczyzną - stwierdził ze zrozumieniem.

- Nic podobnego - prychnęłam.

Usiadł na kanapie naprzeciwko mnie. To był dziwny widok. Zajmowałam jego fotel, tymczasem on nie oczekiwał wcale, że wstanę i ustąpię mu miejsca. Jak większość rodzin, każdy z nas ma swoje miejsce w kuchni i w dużym pokoju. Na szczęście ponieważ jest nas tylko czworo, a w dodatku Fintan nigdy nie przebywa w tym samym pomieszczeniu co tata, nigdy nie kłócimy się o miejsca.

- Twoja mama chciałaby się znów przeprowadzić - zaczął tata. - Na razie to tylko wstępny pomysł, ale...

- Wiem, wiem. Niedługo pojawią się prospekty i reklamy. A potem zaczną się rozmowy o hipotecę.

Skinął głową.

- Uważa, że powinniśmy wynieść się z miasta, może gdzieś na Meath, kupić mniejszy dom. Gdybyśmy sprzedali ten dom, moglibyśmy spłacić hipotecę i mieć wystarczającą sumę na pierwszą ratę.

- To chyba już jest bardziej zaawansowany etap, a nie wstępny pomysł.

- Myśli o tym od jakiegoś czasu.
- Ary?
- W mojej pracy to nie ma większego znaczenia, gdzie mieszkam. Przypuszczalnie wyprowadzka za miasto ułatwiłaby mi życie. Podróż do Cork czy Galway byłaby łatwiejsza poza godzinami szczytu.

To miało sens. A potem coś sobie skojarzyłam.

- O jak małym domu myślicie?
- Fintan już od dłuższego czasu mówi, że chce się wyprowadzić.

- Oczywiście, chciał powiedzieć, że wciąż się kłócili i Fintan odgrażał się, że się wyprowadzi. - A ty masz dwadzieścia pięć lat - dodał. - Też chyba wolałabyś nie mieszkać z rodzicami.

Tata wyszedł. Powiedział, że „daje mi czas do namysłu”. Ja bym to raczej nazwała „ucieczką przed potencjalną dyskusją”.

Niewidzącym wzrokiem patrzyłam na Alfy McBeal. Nawet nie zwróciłam uwagi, kiedy pokazała się moja ulubiona reklama szamponu, gdzie dwóch przystojniaków przebiera się w szatni i jeden zauważa szampon drugiego. „Head & Shoulders? Nie wiedziałem, że masz łupież.” Ten drugi spogląda na niego i mówi: „Co to za odżywka u dorosłego faceta, głupi gnojku?”

No dobrze, byłam w złym humorze. Powinna się była domyślić, że tata mi nie pomoże. Wiadomo, że rodzice są zaszczepieni specjalnym środkiem chemicznym, który sprawia, że potrafią każdą trudną sytuację zmienić w jeszcze gorszą. Oczywiście, sytuacja z Samem nie była wcale zła, ale miała szansę się popsuć, i to mnie niepokoiło.

Niełatwo nawiązuję kontakty z ludźmi. Od czasów szkolnych jestem raczej zamknięta w sobie. Właściwie od chwili kiedy jedna z nauczycielek powiedziała o mnie: „Ta naprawdę wysoka”.

Pierwszy raz zaczęłam chodzić z chłopakiem, gdy miałam czternaście lat. Adam miał szesnaście i uważałam go za boga. Wszyscy w szkole tak uważali. Przystojny, dobrze zbudowany, wyższy ode mnie - przez jakiś czas - i naprawdę na luzie. W domu też miał nieźle - rodzice pozwalali mu palić, co dla nas wszystkich oznaczało, że jest dorosły i doświadczony.

W ciągu tych dwóch miesięcy, kiedy ze sobą chodziliśmy, chyba tak naprawdę w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Wybierał dziewczyny, jak kleptomani wybiera przedmioty w sklepie. Był

zawsze bardzo grzeczny i hojny, chętnie słuchał tego, co miałam do powiedzenia, ale na moim miejscu mogłaby być jakakolwiek inna dziewczyna pod warunkiem, żeby dobrze wyglądała i za nim chodziła.

Wszystko skończyło się dość nagle. Zadzwoił i powiedział: „Wydaje mi się, że powinniśmy zerwać, dobrze?”. Byłam tak zaszokowana, że odparłam tylko: „Jak chcesz”. Powiedział, że chce. „Nie bądź na mnie zła, dobrze?”.

Przez parę miesięcy byłam kompletnie załamana. Czułam się tak, jakby wyrwał mi serce z piersi, powąchał je i obojętnie wyrzucił na śmietnik. „Ach, jeszcze jedno dziewczynskie serce. Co jest dziś na kolację?”.

Nim wreszcie doszłam do siebie, chodził chyba z pięcioma dziewczynami. Żadna z nas się nie liczyła. Nie potrafiłam nawet go nienawidzić za sposób, w jaki mnie potraktował, gdyż, jak mówiłam, pewnie w ogóle mnie nie zauważał. Nadal wierzę, że gdyby wiedział, jak bardzo nas rani, zachowywałby się inaczej.

Tak się zaczęło coś, co Pink Floydzi nazwaliby Murem. Każda uwaga typu „Na pewno trudno ci dostać coś w twoim rozmiarze”, czy „Tacie nie podoba się ten sweter, ale powinien być dobry na ciebie”, czy „Jaka jest pogoda tam w górze? Ha, ha, żartowałem, zapewne wszyscy cię o to pytają” była kolejną cegłą mojego metaforycznego muru. Wkrótce budowa szła mi tak dobrze, że układałam cegły bez żadnych komentarzy.

Kiedy skończyłam szkołę i przestałam oficjalnie uchodzić za rozwyzdrzoną nastolatkę, mogłam się trochę rozluźnić. Na studiach było lepiej: każdy był na swój sposób zakręcony i łatwiej mogłam się przystosować. Poza tym potrafiłam się ukrywać. Po jakimś czasie przestałam się denerwować uwagami na temat mojego wzrostu. Mur nadal stał, ale mogłam zza niego wyjrzeć.

Nie chcę za wiele rozwodzić się nad moim wzrostem i to jest moja ostatnia uwaga: nigdzie nie można dostać porządnych butów siedem i pół. No dobrze, osiem.

W końcu położyłam się do łóżka, zapisałam w pamiętniku kilka ponurych zdań i zgasiałam światło.

Po paru minutach wstałam i zaczęłam wybierać rzeczy na spotkanie z Samem. Nie mogłam znaleźć torby, w której wszystko by się zmieściło. Początkowo planowałam, że pójdę do pracy w

codziennych, byle jakich ciuchach i wezmę ze sobą wyjściowe ubranie. Ostatecznie postanowiłam pójść od razu ubrana na spotkanie.

Dokładnie wiedziałam, co wszyscy sobie pomyślą kiedy rano wejdę do biura...

Rozdział 6

Przyszłam wcześniej, tak jak zaplanowałam, ale nie spodziewałam się zastać Kevina, który otwierał właśnie kratę. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

- Dostałaś? Westchnęłam.
- Nie szukam nowej pracy.
- Ktoś umarł?
- Odczep się.
- Czy dziś jest twoja Doroczna Ocena? - pytał, podkreślając

dwa ostatnie słowa.

Ruszyłam na górę. Kevin szedł tuż za mną. Nie byłam tym zachwycona.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to przyjaciółka prosiła mnie, żebym rozchodziła dla niej te ciuchy.

Zagwizdał przez zęby.

- Ma kogoś?
- Tak. Jej mąż jest żołnierzem mafii.
- Większy ode mnie?
- Każdy jest większy od ciebie. Kevin pstryknął.
- To niesprawiedliwe. Ja nigdy nie robię uwag na temat twojego

wzrostu.

Ja też przystanęłam i spojrzałam na niego. Miał rację.

- Przepraszam. Jestem dziś trochę zdenerwowana.

Skinął głową i ruszył na górę. Zaczekałam na niego i poszliśmy razem. Miałam dziwne uczucie, jakbyśmy przekroczyli jakąś barierę.

- A zatem masz dziś ważne spotkanie?
- Coś w tym rodzaju.
- Znam go?
- Nie wiem. A kogo znasz?
- Mnóstwo ludzi. Jestem tak popularny, że nie potrzebuję notesu

z adresami. Noszę ze sobą książkę telefoniczną z której wykreślam nieznajomych.

- Chciałam cię o coś zapytać. Wynajmujesz mieszkanie, prawda?

- Aha. W Rathgar.
- Myślę o tym, żeby się wyprowadzić z domu. Ile się tu płaci za wynajęcie mieszkania?

Wzruszył ramionami.

- Od sześćdziesięciu funtów tygodniowo w górę. To zależy, czego szukasz.

- A na przykład ile by kosztowało jednopokojowe mieszkanie na parterze, z własną łazienką?

- Nie mam pojęcia. - Kevin zapalił światła, włączył drukarkę i fotokopiarkę. - Sto, sto dwadzieścia. Jeśli zależy ci na oknach. Znałem kiedyś faceta, który mieszkał w suterynie przy Oakley Road w Ranelagh. W prawdziwej suterynie. Bez okien. Od podłogi do sufitu było niecałe dwa metry. Większości ludzi by nie pasowało. Ale temu facetowi to nie przeszkadzało. Właściwie tylko tam sypiał. Kompletnie zwariowany typ. Superdowcipniś.

- Wszystkich swoich znajomych opisujesz jako zwariowanych typów i superdowcipnisiów, Kevin. Nie znasz żadnych nudnych ludzi?

- Jasne. Jak myślisz, dlaczego tu pracuję?

- Dla prestiżu. Tak samo, jak ja. Opadł na krzesło i włączył swój komputer.

- Ale poważnie. Nie uważasz, że większość ludzi tutaj jest potwornie nudna?

- Na przykład kto?

- Danny. Nie jest głupi, ale sok ze śliwek jest bardziej ekscytujący. I Barbara.

Wiedziała, że nie przepada za Dannym, ale zdumiał mnie jego stosunek do Barbary.

- Myślałam, że ją lubisz.

- Jest cholernie seksowna, nie wiem jednak, czy zauważyłeś, że wszystkie jej historie dzieją się w pubie? Albo opowiada nam o czymś, co usłyszała w pubie. Dla mnie kobieta musi mieć coś więcej niż mocną głowę.

- A Bernadette?

To była ostatnia dziewczyna Kevina, zwolenniczka pubów.

- Jak myślisz, dlaczego ją rzuciłem?

- Bo powiedziała, że jesteś najbardziej egoistycznym, obłudnym gnojkiem, jakiego zna i życzy ci śmierci - odparłam, cytując z pożegnalnego faksu, który przysłała mu do biura i który przyszedł, gdy Kevin miał wolny dzień. Zobaczył go następnego dnia na tablicy ogłoszeń.

- Napisała tak, bo wcześniej spytała, co o niej myślę, i jej powiedziałem.

Podeszłam do swojego biurka, rzuciłam torebkę i płaszcz i złapałam za kubek do kawy.

- Muszę pamiętać, żeby nigdy cię nie pytać, co o mnie myślisz.
- Nie byłoby to nic złego.
- Akurat ci wierzę.

Kevin podał mi swój kubek ze Spidermanem.

- Przynieś mi kawy, dziewczeczko.
- Jasne. I obiecują, że do niej nie napluję.
- To dlatego twoje cappucino zawsze ma taki dziwny smak.

Kiwnęłam głową.

- I dlatego czekoladki belgijskie są dziwne.

Roześmiał się, ale wiedziałam, że nie zrozumiał, co mnie tak ucieszyło. To nie był żaden dowcip ani nic takiego. Po prostu wymyśliłam coś szybko w nadziei, że Kevin weźmie to za dowcip. Uważał się za najmądrzejszego na świecie, więc to się przeważnie udawało.

Jak zwykle w piątek, wszyscy schodzili się powoli. Nikt się szczególnie nie spieszył, bo wiadomo było, że szefowa zjawi się koło południa. I każdy, bez wyjątku, pytał mnie, jak mi poszła rozmowa kwalifikacyjna. Starłam się wybić im z głowy pomysł, że miałabym szukać nowej pracy. Gdyby szefowa usłyszała, bez wahania znalazłaby kogoś na moje miejsce, a ja nie mogłam szukać jednocześnie i mieszkania, i pracy.

Kiedy wreszcie przyszła, dzwoniąc najpierw z samochodu, żeby powiedzieć, że „zebranie” się przeciągnęło, wszyscy udawaliśmy bardzo zapracowanych. Kevin, schowany za komputerem, czytał komiks. Barbara grała w tetrisa. Ja udawałam, że stukam w klawiaturę, choć faktycznie suszyłam paznokcie. Tylko zdrajca Danny naprawdę pracował.

Rzuciłam okiem na telefon. Linia piąta była zajęta, co oznaczało, że szefowa rozmawia. Zawsze używała tej linii. Umówiliśmy się, że będziemy wszyscy korzystać z innych linii i w ten sposób wiedzieliśmy, kiedy można bezpiecznie porozmawiać. Zajrzałam przez przepierzenie.

- Hej, Danny.
- Co jest? - spytał, spoglądając znad klawiatury.

- Co robisz?
- Plan „T&J”.
- Jesteś zajęty? Odsunął się od biurka.
- Niespecjalnie. Masz problem?
- Nie. Wynajmujesz mieszkanie, prawda? Zamierzam wyprowadzić się z domu. Znasz jakieś czyste, porządne, bardzo tanie mieszkania?

Potrząsnął głową.

- Gdybym znał, to sam bym się przeprowadził. Czego szukasz?
- Czegoś porządnego, czystego i bardzo taniego. Inne mieszkania mnie nie interesują.

- Masz wiele możliwości. Możesz dzielić dom z grupą ludzi, mieszkanie z jedną lub dwiema osobami albo wynajmować pokój. Cena zależy w dużej mierze od lokalizacji, bezpieczeństwa i wyposażenia.

- Wyposażenia?

Nie wstając, przesunął się na obrotowym krześle na swoją stronę.

- Pralka, telefon, własna łazienka, telewizja kablowa, elektryczność wliczona w cenę, tego rodzaju rzeczy.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Muszę znaleźć coś dużego, bo mam mnóstwo rzeczy.

- Nie możesz ich zostawić u rodziców?

- Nie, oni się chcą przeprowadzić. Myślał nad tym przez chwilę.

- Mogłabyś wziąć pożyczkę i kupić ich dom. Wtedy w ogóle nie musiałabyś się przeprowadzać. I mogłabyś wynajmować pokoje. Gdybyś wzięła dwóch lokatorów, którzy płaciliby ci na przykład po dwieście pięćdziesiąt miesięcznie, to tym spłacałabyś pożyczkę.

- To niezły pomysł - przyznałam. Warto byłoby się zastanowić. Choć nie miałam pojęcia, ile musiałabym spłacać pożyczki. I ile rodzice chcieliby za swój dom. Coś mi kołatało, że trzeba wpłacić pierwszą ratę w wysokości dziesięciu procent. - Nie wiem, czy jestem gotowa, aby kupić dom - stwierdziłam. - To poważne zobowiązanie.

- Tak, ale jeśli wzięłabyś lokatorów, ich opłaty załatwiałyby pożyczkę. Musiałabyś jednak wynajmować ludziom godnym zaufania. Ja płacę trzysta dwadzieścia pięć miesięcznie za jeden pokój i wspólną łazienkę. Nie mam pralki ani kabła, a w dodatku mieszkanie jest wilgotne.

- Koniec rozmowy! - zawołał Kevin i wszyscy wróciliśmy do pracy.

Parę minut później szefowa poprosiła mnie do siebie.

Uwaga, powiedziałam sobie w duchu, postanowiła mnie zwolnić. Zawsze się obawiałam, że odkryje, iż przez cały rok nic nie zrobiłam.

- Zamknij drzwi, Susan - powiedziała, siadając za swym drogim biurkiem. - Usiądź.

Usiadłam. I czekałam, bo pisała coś na komputerze. Czekając, rozmyślałam o różnych rzeczach, poczynając od tego, że to na pewno wina Kevina, a kończąc na myśli: „Ale masz wielkie zęby, babciu”.

W gruncie rzeczy szefowa nie miała wcale dużych zębów. Była szczupłą, czterdziestoparoletnią kobietą, z włosami do ramion, ufarbowanymi na jasny blond. Nie była piękna, raczej przystojna, ale dobrze się prezentowała. Poza tym nosiła drogie ubrania, które były dla niej przynajmniej o dziesięć lat za małe.

Kiedy wreszcie uznała, że dość już się nadenerwowałam, odwróciła się w moją stronę.

- Wiem, że nie czas na twoją Doroczną Ocenę, ale pomyślałam, że mogłybyśmy porozmawiać. - Postukała w klawiaturę, splótła palce i oparła łokcie na biurku, pochylając się do przodu. - Co słysząc?

Wtedy przypomniałam sobie, że jej najnowszy facet jest jednym z tych fanatyków „czasu i ruchu” oraz „równorzędnego traktowania pracowników”. Wyobraziłam sobie, jak się kotłują na kanapie w czasie wiadomości telewizyjnych, a on mówi: „Oczywiście, Vicky, musisz - stęknienie - szanować każdego z członków załogi - głęboki oddech - tak samo, jak szanujesz - stęknienie - klientów”. Potem poprawiłam się w wyobraźni, bo on nigdy nie powiedziałby: „członkowie załogi” tylko „działacze produkcji” lub „cenni współpracownicy”.

- Wszystko w porządku - odparłam. - Ostatnio dużo pracuję nad kontraktem Bosemana i sądzę, że nie będzie żadnych problemów.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Nie, nie. Chodziło mi o sprawy osobiste. Wzruszyłam ramionami.

- U mnie wszystko w porządku. - Wydawało mi się, że to za mało i dodałam: - Moi rodzice chcą się przeprowadzić, myślę więc o

wynajęciu mieszkania. - Urwałam, ale widziałam, że czeka na więcej. - A może po prostu kupię samochód.

- Nic się nie zmieniło w sprawach sercowych?

Tym mnie kompletnie zaskoczyła. O co jej chodzi? I co ją właściwie obchodziło, czy kogoś mam? Dla mojej pracy nie miało to żadnego znaczenia.

- Nie.

Po chwili zrozumiałam, że szefowa starała się ze mną rozmawiać, jakbyśmy były przyjaciółkami. Wiedziałam, że nie miała wielu znajomych, a jeśli miała, to najwidoczniej nie pozwalała im dzwonić do siebie do pracy.

Zatrudniła mnie, bo, jak mówiła, umiałam wyciągać wnioski. Gdy tylko o tym pomyślałam, zrozumiałam, o co jej chodziło.

- Wychodzisz za mąż - wypaliłam.

- Sekret się wydał - powiedziała i zapaliła papierosa. W naszym biurze się nie pali, ale to nie dotyczy szefowej. W końcu to jej firma. - Skąd wiesz? Ktoś ci powiedział?

- W poniedziałek wyjeżdżasz na tydzień. Mówiłaś, że na spotkania służbowe, ale do tej pory nie słyszałam żadnych konkretów.

- Nie dodałam, że często nie było jej w biurze i dzwoniła więcej niż zwykle ani że przypominałam sobie, jak ostatnio często bawiła się palcami, jakby przyzwyczajając się do noszenia obrączki. Dawno temu przekonałam się, że nie powinnam mówić ludziom wszystkiego, co zauważyłam, bo stają się nerwowi.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - stwierdziła Vicky. Zrobiło to na niej wrażenie.

Zgadza się - pomyślałam. Za chwilę poprosisz, żebym się zajęła klientami.

Vicky opowiedziała mi o ślubie, o podróży poślubnej, o tym, jak jej syn odnosił się do nowego taty. Opowiedziała mi także o Nicku, jej narzeczonym, który wydawał się w porządku, choć miał dziwny gust do kobiet. Ślub i podróż miały być bardzo drogie, co najmniej dwadzieścia tysięcy. Zachichotała nieprzekonująco i stwierdziła, że jej ojciec dziękuje Bogu, że nie musi tym razem płacić. Kiedy o tym wspomniała, wyobraziłam sobie własnego tatę. Gdyby coś takiego usłyszał, chyba by się zdenerwował.

Jednak zaskoczyła mnie tym, że nie wspomniała o klientach. Przypuszczalnie zostawiła to na później. Zakończyła rozmowę

ścisty instrukcjami, abym przypadkiem nikomu nie pisnęła o ślubie, a zwłaszcza żadnemu z klientów. Zdziwiło mnie to, bo większość z nich jest bogata i na pewno daliby jej wspaniałe prezenty ślubne.

Co za dylemat... Kiedy wróciłam do pomieszczenia dla niewolników, Barbara rzuciła mi pytające spojrzenie. Mój wzrok wyrażał kompletne zdumienie i nieświadomość. Zbliżała się pora lunchu i widziałam, że Barbara zamierza podejść i spytać od niechcienia o rozmowę z szefową. Zadzwoiłam do Sharon z nadzieją, że Barbarze nie będzie się chciało czekać, aż skończę rozmawiać, a tymczasem coś wymyślę.

Sharon podniosła słuchawkę po drugim dzwonku. U niej w pracy obowiązuje zasada, że telefon nie może dzwonić dłużej niż dwa razy, bo to robi złe wrażenie na klientach. To głupia zasada, ale nie mogłam mówić tego głośno, bo to moja firma nauczyła tego firmę Sharon.

- Usługi Ruchome, mówi Sharon, czym mogę służyć?

- Dzwonię z radia Jeden - Dwadzieścia FM - powiedziałam z amerykańskim akcentem. - Przykro mi, ale gdyby odpowiedziała pani: „Radio Jeden - Dwadzieścia nadaje wszystkie najnowsze hity”, wygrałaby pani tysiąc funtów.

- Akurat. Radio nie nadaje na fali stu dwudziestu metrów, Susan.

- To dzwonię z policji. Pani samochód został odholowany.

- Co jest? Denerwujesz się przed dzisiejszym spotkaniem?

- Prawdę mówiąc, w ogóle o nim zapomniałam - skłamałam. - Przez całe rano byłam bardzo zajęta. - Kolejne kłamstwo. Jak łatwo kłamiemy naszym przyjaciołom, zwłaszcza w nieważnych sprawach.

- Masz szczęście. Ja z nudów wciąż patrzę na zegar. Mała wskazówka z takim trudem wdrapuje się do góry na dwunastą że można by się spodziewać, że szybko zleci na szóstą. Jest nudniej niż w świąteczne popołudnie z jednym tylko filmem Jamesa Bonda.

- Z którym?

- Tym z Grace Jones.

- Zabójczy widok - powiedziałam, jak zwykle się popisując. - Muzyka Duran Duran.

- Pamiętam. I pamiętam, że się posikałaś tego dnia, kiedy zobaczyłaś Simona le Bona w Arnotts. Przynajmniej mówiłaś, że to był on.

- Bo był. Nigdy nie zapomnę, że w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Tylko prawdziwa gwiazda potrafi tak ignorować innych. - Westchnęłam. - Nie jak te tak zwane dzisiejsze gwiazdy rocka. W naszych czasach znani ludzie byli lepszej jakości. Pamiętasz, jak widziałyśmy Nika Kershawa na lotnisku?

- Ale... - zaczęła Sharon, przypominając mi tym samym, że już prawie pierwsza. Miałyśmy zasadę, żeby nie dzwonić do siebie w czasie przerwy na lunch. Wyłącznie w godzinach pracy.

- Dwie sprawy - powiedziałam szybko. - Po pierwsze, zastanawiałam się, dokąd wybierasz się dziś wieczorem. Na wypadek, gdyby Sam nie przyszedł.

- Nie myśl tak. Przyjdzie.

- Będziesz miała cholerne wyrzuty sumienia, kiedy jutro rano będę ci się wyplakiwać w słuchawkę.

- Gdzie i o której się z nim umówiłaś?

- O siódmej przy Eason's. Milczała przez chwilę.

- Dobrze. Nie wiem, czy będziemy w mieście, ale jeśli będziemy, postaram się przejść obok Eason's koło wpół do ósmej.

Jeżeli nadal tam będziesz, głośno przeproszę cię za spóźnienie, żeby wszyscy inni, wystawieni do wiatru ludzie myśleli, że czekasz na mnie.

- Fantastycznie. Dzięki.

- A druga sprawa?

- Zapomniałam - stwierdziłam, zastanawiając się przez moment. - Poczekaj, coś ci powiem, choć to nie to, o czym zapomniałam. Pamiętasz, co Jackie mówiła o Anthony? On nie jest zainteresowany.

- Bardzo dobrze. Wiedziałam, że ma dobry gust. Sama miałabym na niego ochotę.

- Nie zaczynaj, błagam. W końcu zostanę jego agentką.

- Chciałabyś dostawać dziesięć procent od wszystkiego?

Musiałabyś prowadzić zupełnie inne życie.

Roześmiałam się.

- Przynajmniej byłoby to jakieś życie. Już mi się przypomniało, co chciałam powiedzieć... Moi rodzice chcą się przeprowadzić.

Szukam mieszkania.

- Znając twoją matkę, pewno za parę tygodni już ich tu nie będzie. Może ich nawet nie zastaniesz, jak wrócisz do domu.

Barbara rzuciła mi na biurko papierowy samolocik z dużym napisem LUNCH. Zaraz po nim wylądował drugi z napisem JUŻ.

- Posłuchaj, muszę kończyć - powiedziałam do Sharon. Daj mi znać, jakbyś słyszała o jakimś mieszkaniu do wynajęcia.

Sharon obiecała, że będzie mieć oczy i uszy otwarte i odłożyła słuchawkę.

- Chodźmy - powiedziała niecierpliwie Barbara.

Złapała torebkę i ruszyła do drzwi. Po drodze spotkałyśmy Kevina, który był w świetnym humorze, bo otworzył pudełko z barbecue beef hula hoops i znalazł ostatniego kartonowego dinozaura, którego brakowało mu do kolekcji.

Rozdział 7

2trudem dotrwałam do końca dnia. Pomyślałam nawet, by dla zabicia czasu trochę popracować, ale wiedziałam, że pozostali nigdy więcej by się do mnie nie odezwali.

Jak zwykle szefowa Vicky znikła koło trzeciej. Jeszcze jedno z tych ważnych spotkań w piątkowe popołudnie, które zawsze odbywały się w miejscach, gdzie nie działała jej komórka. Nie żeby ktoś się palił do niej dzwonić.

Jednak pewnego razu, gdy Kevin z jakiegoś powodu był naprawdę wściekły, dzwonił na jej komórkę co dwie minuty i wyłączał się, kiedy się odzywała. Powiedział, że to mu dobrze zrobiło. Mogło się to dla niego źle skończyć, bo szefowa sprawdziła wydruk z biura numerów i okazało się, że ktoś dzwonił z biura czterdzieści razy na jej komórkę. Kevin usprawiedliwiał się, że coś mu się popsuło, dzwonił do niej jeden raz, a potem telefon sam się łączył. Dodał, że kiedy zorientował się, co się stało, wykręcił nieistniejący numer i później jego telefon łączył się z tym drugim numerem. Dodał jeszcze, że ma kolegę, który zna się na telefonach i dzięki temu udało mu się już wszystko naprawić. Przeprasił też, że nic nie zrobił przez całe popołudnie, ale musiał się zajmować telefonem.

Zaskoczył nas tym oczywistym kłamstwem, ale szefowa uwierzyła. I w dodatku jeszcze pochwaliła go, że sam sobie poradził i nie musiał wzywać specjalisty, który by drogo kosztował.

Wracając do popołudnia... O trzeciej huśtałam się na krześle, patrząc w górę i zastanawiając się, ile ważą płytki z sufitu. O wpół do czwartej wszyscy staliśmy w oknie i przyglądaliśmy się, jak ściągają nielegalnie zaparkowany samochód jakiegoś nieszczęśnika. Potem liczyliśmy sto przejeżdżających samochodów, wykrzykując markę, kolor i to, czy kierowca miał zapięty pas, żeby Danny mógł zapisać. Wpisał wszystko do komputera i zrobił wykres.

O czwartej Barbara i Kevin grali w grę na komputerze, Danny liczył monety ze słoika, ustawiając je w słupki po dziesięć sztuk, a ja nie wiedziałam, czy mam coś zjeść, czy nie. Gdybym zjadła, to byłabym później tylko trochę głodna, a gdybym nie zjadła, to byłabym później bardzo głodna, co nie byłoby korzystne, gdyby się okazało, że Sam już jadł.

Postanowiłam kupić puszkę czegoś do picia i torebkę chipsów. Wybrałam te z solą i octem, bo wiem z własnego, nieprzyjemnego

doświadczenia, jak to jest całować się z kimś, kto zjadł torebkę chipsów o smaku serowo - cebulowym. Zawsze twierdziłam, że w poradniach planowania rodziny powinni rozdawać chipsy serowo - cebulowe zamiast prezerwatyw. Przynajmniej papież nie miałby obiekcji.

Mniej więcej za piętnaście piąta Kevin wrócił z łazienki i powiedział:

- Zauważyliście, że kiedy je się na śniadanie słodkie płatki kukurydziane, jeszcze po południu czuje się ich zapach przy sikaniu?

Nikomiu nie chciało się odpowiadać. Szykowaliśmy się do wyjścia.

I nagle przypomniałam sobie, że nie idę do domu i że miałam zamiar zostać w biurze do pół do siódmej, a potem piechotą pójść na spotkanie z Samem.

Z przykrością patrzyłam, jak inni wychodzili. Barbara życzyła mi powodzenia, a to przypomniało Kevinowi o moim spotkaniu. Powiedział, że jeśli Sam nie przyjdzie, powie swojemu kumplowi Geny'emu, aby mu przyłożył. I w ten sposób Danny dowiedział się, że umówiłam się z facetem.

Stał przy drzwiach i wyglądał, jak mały chłopiec, który bawił się w sklepie z zabawkami, a potem nagle zorientował się, że jego mama gdzieś zniknęła.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie fajnie - powiedział nieszczercze.

- Na pewno. Dzięki.

- No dobra, idę. Do zobaczenia w poniedziałek? - stwierdził pytającym tonem, jakby chciał, abym go upewniła, że na pewno przyjdę do pracy, a nie ucieknę gdzieś z kimś innym.

- Jasne. Przyjemnego weekendu.

- Dzięki. Cześć.

I wyszedł tak po prostu, nie odwzajemniając życzeń na weekend, co zawsze robił.

Poczułam wyrzuty sumienia. A potem pomyślałam, że dopóki Barbara nie powiedziała mi wczoraj, że Danny jest mną zainteresowany, w ogóle nie zwracałam na niego uwagi i nie było powodu, abym nagle miała wyrzuty sumienia. Z drugiej strony odniosłam wrażenie, że Danny ma przed sobą samotny weekend. I wyrzuty sumienia wróciły.

Ale przywołałam się do porządku. Powinnam się martwić Samem, a nie Dannym.

W biurze było naprawdę cicho i spokojnie. Kiedy wyszczotkowałam włosy milion razy i się umalowałam, nie miałam już nic do roboty, oprócz czekania.

Tuż przed szóstą zadzwonił telefon. Szefowa.

- Susan, wciąż w biurze?
- Kończyłam coś i nie miałam pojęcia, że jest tak późno.
- Sprawdzam, czy wszystko w porządku.

Akurat, powiedziałam sobie w duchu. Sprawdzała nas. Z drugiej strony wiedziała, że o tej porze już dawno nikogo nie ma. To po co dzwoniła?

- Wszystko w najlepszym porządku - powiedziałam. - Jak wypadło spotkanie?
- Dopiero jest przerwa na kawę - stwierdziła z westchnieniem.
- Wygląda na to, że potrwa jeszcze parę godzin.

Czyżby? - pomyślałam. A potem przyszło mi do głowy, że naprawdę ma spotkanie i chce zrobić dobre wrażenie na kliencie, dzwoniąc do biura w piątek o szóstej wieczorem.

- Być może przedłuży się też na poniedziałek rano - powiedziała - i zapewne przyjdę później. Zajmij się wszystkim do mojego przyjścia, dobrze?

- Jasne. - Wiedziałam, że to początek. Najpierw sprawdzi, czy dam sobie radę, a później beztrąsko poleci do Stanów w podróż poślubną.

Pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Było już dwadzieścia po szóstej i mogłam iść.

Za pięć siódma byłam przy Eason's. Kilkanaście osób czekało już na ludzi, z którymi byli umówieni.

Czekanie na kogoś w miejscu publicznym jest wyjątkowo niezręczne. Wiele razy szłam O'Connell Street i napotykałam niespokojne spojrzenia mężczyzn, którzy przyglądali mi się pytającym wzrokiem: „Czy to ta? Nie, za wysoka. Nie byłem aż tak pijany”. A gdy widzieli, że też im się przyglądam, zaczynali mieć wątpliwości: „Z drugiej strony, następnego dnia nic nie widziałem i nie słyszałem, może więc... Nie, dzięki Bogu, poszła dalej”.

Uważam, że pierwsze spotkanie jest dużo trudniejsze dla kobiety. Przeciętny facet ogoli się, włoży czystą koszulę i myśli, że jest

„wyszykowany”, kobiety natomiast muszą starać się o wiele bardziej. Nie licząc uczucia paniki i licznych telefonów do przyjaciółek, martwimy się o to, czy powinniśmy użyć podkładu i czy ubrać się tak samo, jak wtedy, kiedy poznałyśmy ich w dyskotecce, ponieważ powszechnie wiadomo, że faceci mają znacznie gorszą pamięć i gotowi sanie poznać nas w czymś innym. I jeszcze o to, czy „nie okaże się bardzo brzydki i czy w ogóle przyjdzie, bo wszyscy zobaczą, że wystawił mnie do wiatru i wezmą mnie za idiotkę”.

I stoimy, obserwując przechodniów, od czasu do czasu spoglądając na zegarek i udając, że „on się wcale nie spóźnia, tylko ja przyszedłam za wcześnie, co wcale nie znaczy, że aż tak mi na nim zależy”.

Po pół godziny mówimy sobie, że może on miał na myśli wczorajszy dzień, albo może chodziło mu o godzinę ósmą, a nie siódmą. A może o spotkaniu na Bewleya, a nie przy Eason's.

Paranoja robi się wtedy, gdy stwierdzasz, że Eason's jest na rogu dwóch ulic, i że może on już od dawna czeka właśnie za rogiem.

W końcu musisz przejść na oczach wszystkich czekających na przystanek autobusowy. Nie płacząc i nie wymyślając głośno wszystkim facetom od drani.

Wiem coś o tym, gdyż wystawiano mnie do wiatru wiele razy. A raz facet przyszedł na spotkanie, ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył mnie w świetle dziennym.

Tak, czekałam nadaremnie wiele razy.

Na szczęście nie dzisiaj.

Rozdział 8

Pojawił się dwie minuty po siódmej i - uwaga! uwaga! - przeprosił za spóźnienie.

Po raz pierwszy mogliśmy się sobie przyjrzeć w świetle dziennym. Stwierdziłam z zadowoleniem, że nie wygląda jak potwór. W gruncie rzeczy robił niezłe wrażenie. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy, przyzwoita sylwetka, ładne, proste zęby. Całkiem, całkiem. I przygotował się - miał na sobie porządną, czystą dżinsową marynarkę i dżinsy, nieskazitelnie białą koszulę, którą przypuszczalnie kupił tego dnia w Dunnes, wyczyszczone buty.

- Co chciałybyś robić?

Początkowo zamierzałam odpowiedzieć pytaniem na pytanie, ale w porę się powstrzymałam.

- Najpierw podaj mi numer swojej karty Visa lub Access i pokaż trzy dokumenty ze zdjęciem i nazwiskiem - zażądałam.

Uśmiechnął się.

- Czy wystarczy list od matki?

- Pod warunkiem, że nie jest podpisany: „Matka Sama”. Jesteś głodny?

- To zależy. A ty? Westchnęłam.

- Hmm... Przeczynałam, że tak odpowiesz. - Wskazałam dłonią w kierunku mostu O'Connell. - Przejdźmy się i zobaczymy, co dalej.

Entuzjastycznie zatarł ręce.

- Genialny pomysł. Ruszyliśmy w stronę mostu.

- Długo czekałaś?

- Parę minut. Co robiłeś po południu?

- Wróciłem do domu, trochę posprzątałem, wziąłem prysznic, a potem przez trzy godziny siedziałem i się martwiłem.

- Dlaczego?

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz. Bałem się, że miałaś lepszą propozycję. A poza tym, prawdę mówiąc, nie mam zwyczaju umawiania się z obcymi kobietami.

- Wydawało mi się wtedy w klubie, że byłeś trochę skrepowany.

- Nie lubię takich miejsc jak Frodo's. Zawsze się boję, że kobiety, które spotykam w nocnych klubach okażą się osobami, które lubią chodzić do nocnych klubów.

- Poszłam tam tylko dlatego, że były urodziny mojej przyjaciółki, Laury. Proponowałam, że zorganizuję jej przyjęcie w McDonalddie, ale stwierdziła, że to byłoby zbyt dziecinne. Wiem, że boi się Ronalda McDonalda. A ty skąd się tam wzięłaś? Często pracujesz jako didżej?

Sam potrzęsnał głową.

- Nie, Dave szukał kogoś do pomocy. A właściwie to nie chodziło mu o pomoc w puszczeniu płyt, lecz o noszenie rzeczy. - Zacisnął pięści i naprężył mięśnie. - Dotknij!

Dotknęłam jego ręki.

- Super! Czy to prawdziwy dzins?

- Aha. Kiedyś należał do Denholma Elliotta.

- Ojej, jaki jesteś zabawny - powiedziałam piszczącym głosem z amerykańskim akcentem.

Sam przystanął i spojrzał na mnie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Nieźle udawał Joego Pesciego.

- Powiedziałam, że zabawny z ciebie facet, to wszystko.

- Co, chcesz powiedzieć, że śmiesznie wyglądam, tak? To chcesz powiedzieć? Myślisz, że śmiesznie wyglądam?

- Tak.

Znow się uśmiechnął i ruszyliśmy dalej.

- Jaki jest twój ulubiony film?

- Nie wiem. Ale wiem, jaki jest najmniej ulubiony. Cztery wesela i pogrzeb.

Wyglądał na rozczarowanego.

- Mnie się podobał.

- Mnie też, dopóki wszyscy nie zaczęli go bez końca wychwalać. Matka kupiła mi kasetę na urodziny, ponieważ chciała zobaczyć ten film, a nigdy nie wydałaby na siebie tyle forsy. Za każdym razem, kiedy narzekam, że nie mam nic do obejrzenia, mówi: „Puść Cztery wesela i pogrzeb”. Goście też chcą tylko to oglądać. I wszędzie bez przerwy puszczała tę piosenkę. Jaki jest twój ulubiony film? Oczywiście, oprócz Szklanej pułapki.

- Trudne pytanie... Chyba Szklana pułapka 2. Nie, nie wiem. Podobają mi się różne filmy z różnych powodów. Na przykład w zeszłym roku dziewczyna mojego kumpla zachwycała się Roztańczonym buntownikiem. Pomyślałem, że to film dla bab o

tancerzach. W dodatku o australijskich tancerzach. Coś w rodzaju Wirującego seksu. I okazał się jednym z najlepszych filmów, jakie widziałem.

Kiwnęłam głową. Postanowiłam, że Sam mi się podoba. Miał poczucie humoru i znał się na filmach. Czegóż więcej można oczekiwać od faceta? Oczywiście, oprócz bogactwa.

Tymczasem doszliśmy do College Green. Sam rzucił okiem na wejście do Trinity College i powiedział:

- Często tu kiedyś bywałem.

- Co studiowałeś?

- Nic. Często chowałem się tu przed deszczem, kiedy czekałem na autobus do Dun Laoghaire. A ty? Wyższe wykształcenie?

- Nie całkiem. Przez jakiś czas studiowałam psychologię, ale doprowadzała mnie do szału i przerwałam. Potem chodziłam na różne kursy komputerowe i dla sekretarek, ale w końcu wybiła godzina prawdy i musiałam pójść do pracy.

- Co robisz? Poza tym, że jesteś drwalem.

- Jestem starszym specjalistą od spraw konsultacyjno - kierowniczych. Organizujemy kursy dla firm, które chcą lepiej kierować pracownikami. W gruncie rzeczy polega to na tym, że odwiedzamy dużo firm, obserwujemy ich pracę, zapisujemy sobie ich najlepsze rozwiązania, a potem przekazujemy im to, co zaobserwowaliśmy w innych przedsiębiorstwach.

- Czyli jesteś Inżynierem Redystrybucji Pomysłów?

- To mi się podoba. Przypomnę sobie następnym razem, gdy szefowa wyśle mnie po mleko.

- Może pójdziemy na pizzę? - zaproponował Sam. - Jesteśmy blisko Gotham Cafe. Dają tam fantastyczne pizze.

- To prawda, ale dziś jest piątek i założę się, że trzeba będzie czekać co najmniej godzinę.

- Chcesz spróbować?

- Jasne.

Miałam rację. Sympatyczny facet przy drzwiach powiedział nam, że jest pełno. Sam odparł na to, że dobrze się składa, bo jeszcze nie jedliśmy i nie jesteśmy pełni, ale jego sprytny dowcip nie poskutkował.

- Jakies miejsca zwolnią się najwcześniej za godzinę - oznajmił człowiek przy drzwiach. - Jeśli państwo chcą, mogę zapisać

nazwiska. Mogą państwo poczekać w pubie obok i zawiadomię państwa, jak się zwolni stolik.

- Czy możemy już teraz zamówić? - spytałam. - W ten sposób, gdy się zwolni stolik, nie będziemy musieli czekać długo na jedzenie.

Facet przy drzwiach tylko się uśmiechnął.

- Nazwisko?

- Wielki Arthur Cranberry - odparł Sam.

- I jego śliczna asystentka Janice - dodałam z ukłonem. Facet przy drzwiach najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

- Cranberry - mrucał pod nosem, zapisując. Zerknął na zegarek. - Koło ósmej.

Sam wsunął mi do ręki monetę funtową, mrugnął i powiedział:

- Jeśli ktoś zakrztusi się na śmierć, proszę nam dać jego stolik, dobrze? Dostanie pan następnego funta.

Przeszliśmy do pubu obok, gdzie pełno było ludzi czekających na pizzę.

- Co byś chciała? - spytał Sam.

- Pizzę. A jeśli się nie da, to 7up.

Znalazłam wolne stołki przy barze i usiadłam. Przyglądałam się, jak Sam kupuje picie, i miałam wrażenie, że znam go od lat. Czułam się przy nim swobodnie, podobało mi się to, co mówił i robił, aż dziwne, że nie byliśmy parą od dawna. On też chyba czuł coś podobnego. Był rozluźniony, zupełnie inny niż w środę wieczorem.

Ja zresztą też czułam się lepiej, przypuszczalnie dlatego, że on był na luzie. Błędne koło. Zaczęłam się zastanawiać, co powiedziałaaby o nim mama i jeszcze szybciej przestałam się nad tym zastanawiać. Nigdy nie przedstawiłam jej żadnego z moich chłopaków oprócz Adama, którego nie cierpiała.

Sam wrócił z napojami.

- Przypomniało mi się, że nie znam twojego nazwiska - stwierdził.

- Tak? Wtedy w klubie nie pamiętałeś nawet mojego imienia.

Czubki jego uszu zrobiły się czerwone.

- Nie mam pamięci do imion - powiedział i dodał: - Susan Jakaś.

- Susan Perry. To jakim cudem zapamiętałeś moje imię?

- Kiedy wyszłaś, zapisałem sobie na ręce. Choć najpierw musiałem spytać Dave'a. Wczoraj rano moja matka przyszła do wypożyczalni i od razu spytała, kto to jest Susan. Nie miałem pojęcia, kto jej powiedział, dopóki nie zobaczyłem, że mam cię wciąż zapisaną na ręce. A propos, panno Perry - zaczął, pociągając duży łyk coli - czy mam mówić Sue, Susan, Susie czy jak?

- Susan. Mam kuzynkę, która ma na imię Sue, a ponieważ jest starsza, ja zostałam Susan. A ty? Sam, Sammy, Samuel czy Samsonite?

- Żadne z nich. Samwich.

- Czy dlatego, że jesteś taki nudny jak kanapka z szynką lub z serem?

- Ale z dodatkiem sałaty.

- Twoje dowcipy są gorsze niż moje - jęknęłam. - Jak masz na nazwisko?

- O'Neill. Oczywiście, z tych O'Neillów z Ameryki Południowej. A nie z O'Neillów z Indonezji, o których tyle ostatnio pisano w gazetach.

Rozmawialiśmy bez przerwy, wymieniając opowieści rodzinne i dowcipy, a kiedy przyszedł po nas umyślny z knajpy, prawie nie mogłam się utrzymać na nogach ze śmiechu.

Przy pizzy prowadziliśmy bardzo podobną konwersację. Stwierdziłam ze zdumieniem, że Sam nie pije. Wspomniałam coś na ten temat.

- Nie miałem w ustach alkoholu od siedmiu lat - powiedział.

- Dlaczego przestałeś pić?

- Jestem alkoholikiem.

- Och. - Poczulałam się jak kompletna idiotka. Po raz pierwszy tego wieczoru nie wiedziałam, co powiedzieć. - Naprawdę?

- Nie, żartowałem - odparł Sam z uśmiechem. Mogłabym mu przyłożyć.

- Ty draniu! Przez moment ci uwierzyłam.

- Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. - Zjadł ostatni kawałek pizzy i stwierdził z pełnymi ustami: - Niewiele mi o sobie powiedziałaś.

- Nie ma o czym mówić. Urodziłam się mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu i od urodzenia mieszkam z moją rodziną w

Cabrze. Choć to się niedługo zmieni. Moi rodzice zamierzają się przeprowadzić, muszę więc coś sobie znaleźć i wyfrunąć z gniazda.

- A twój brat? Mówiłaś, że mieszka z wami.

- Fintan też będzie musiał sobie czegoś poszukać. Specjalnie mnie to nie interesuje, pod warunkiem, że zamieszka daleko ode mnie. Nie przepadamy za sobą. On jest wiecznie obrażony na cały świat. Wydaje mi się, że mnie nie lubi, bo ośmieliłam się urodzić pierwsza. Powtarzam mu, że to nie moja wina, ale to nic nie zmienia. Uważa, że ja mam wszystko, a on nie ma nic. Co nie jest prawdą. W domu nie kiwnie palcem, żeby pomóc, a ja i tak płacę więcej. Mam wprawdzie większy pokój, ale parę lat temu chciałam się z nim zamienić. Nie zgodził się, bo myślał, że jego kumple będą się śmiać, że mieszka w babskim pokoju.

Sam się roześmiał.

- Jakby z tego powodu stał się czymś w rodzaju transwestyty pokojowego?

- Tak. Kiedy miałam dwanaście lat, a Fintan dziesięć, chciał iść z kolegami na rower, ale miał dziurawą oponę. Zaoferowałam mu swój rower. Kategorycznie odmówił. Chodził wściekły, dopóki nie naprawiłam mu koła. Kazał mi przysiąc, że nigdy nikomu nie powiem.

- Twój brat ma poważne problemy - stwierdził Sam. - Na szczęście nie mam rodzeństwa.

- Co?! Chcesz powiedzieć, że nie masz komu pożyczać pieniędzy, aby ich już nigdy nie zobaczyć? Serdecznie ci współczuję. Fintan często błagał mnie, abym go umówiła z którąś z moich koleżanek, a potem traktował ją jakby była śmieciem i musiałam ją pocieszać. Moja przyjaciółka Sharon nie przyjdzie do mnie, jeśli wie, że Fintan jest w domu albo niedługo wróci. Nie chce nawet podejść do drzwi, gdy po mnie przyjeżdża, tylko czeka w samochodzie.

- Co między nimi zaszło?

- Nic takiego. Fintanowi zależy jedynie na pokazywaniu się z najładniejszymi dziewczynami. Na inne w ogóle nie zwraca uwagi.

Sam rozsiadł się wygodniej.

- Nie chciałbym ci zrobić przykrości, ale mam wrażenie, że twój brat to kretyn pierwszej klasy.

- Też tak uważam. Choć matka jest przekonana, że któregoś dnia się ustakuje.

- Akurat! Kiedy jeszcze lubiłem się napić, miałem wielu podobnych do niego kolegów i dlatego przestałem pić. Bałem się, że też się taki stanę. Przez jakiś czas wynajmowałem mieszkanie z jednym kumplem, który upijał się co wieczór. W końcu inni kumple przestali mnie odwiedzać. - Sam potrząsnął głową. - W dodatku był brudny. Coś ci powiem, Susan... Gdybyś chciała wynajmować mieszkanie z kimś do spółki, upewnij się najpierw, kto to jest. Martin nigdy niczego nie umył ani nie uprał, łącznie z sobą i swoimi ciuchami. Kiedy wyjmował coś z lodówki, nigdy jej nie zamykał. Ani razu nie wyniósł śmieci. Gdybym nie mył patelni i talerzy, któregoś dnia by się zatrzał.

Kiedy skończył mówić, miał dość nieprzyjemny wyraz twarzy. Takiego jeszcze u niego nie widziałam.

- Ten facet wciąż cię wkurza, prawda?

- Każdego by wkurzał - powiedział ostro. - To był gnojek. Zaczęłam się domyślać, jaki jest problem Sama.

- A co inni o nim myśleli? Twój inni kumple?

- Uwielbiali go. „Martin jest fantastyczny - mówili. Dusza towarzystwa”. Sam nie wiem... Zresztą większość z nich była taka sama. Banda pijanych głupków.

- A dziewczyny? Miał powodzenie u dziewczyn? Sam zaśmiał się nieprzyjemnie.

- O tak. Większe niż ja. Przychodził z pubu ubzdryngolony z kolejną dziewczyną, kiedy oglądałem na przykład coś w telewizji. Siadali, gadali, puszczała baki i zachowywali się tak, jakby to było bardzo śmieszne. Jeśli prosiłem, żeby się zamknęli, było jeszcze gorzej. W końcu zabrałem telewizor i wideo do mojego pokoju, ostatecznie to był mój telewizor i moje wideo, i któregoś dnia zastałem ich w moim łóżku oglądających Nagi instynkt, a ona obciągała mu fiuta.

- O cholera! Co zrobiłeś?

- Wyrzuciłem ich. To było moje mieszkanie. Jest. Nadal tam mieszkam.

Teraz już dokładnie wiedziałam, na czym polegał problem Sama. Najzwyczajniej w świecie zazdrościł Martinowi pogodnego usposobienia i zadowolenia z życia.

- Kiedy to było?

- Trzy lata temu, mniej więcej. Kiwnęłam w milczeniu głową. Sam spojrzał na mnie.

- Dlaczego pytasz?

- Widziałeś go od tej pory?

- Parę razy. Już nie pamięta, jak się wtedy zachowywał. I myśli, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Ciągłe mówi, że powinniśmy się spotkać, pójść razem na piwo.

- Może powinieneś to zrobić. Porozmawiaj z nim szczerze. Sam westchnął.

- Susan, ja naprawdę nie potrzebuję rad w tej sprawie. Poza tym nie mam już z nim problemów.

- Nie wydaje mi się.

- Nie było cię przy tym.

- Parę minut temu powiedziałam, że ten facet wciąż cię wścieka, a ty odparłeś, że każdego by wściekał. Nie było mnie przy tym, ale słucham tego, co mówisz. Musisz się z nim pogodzić, albo przestać o nim myśleć. To niezdrowo dusić coś w sobie tak długo. W końcu staniesz się zgorzkniały i nie będzie to wina Martina, lecz twoja.

Gdy tylko skończyłam mówić, wiedziałam, że powinnam była milczeć. Miałam wrażenie, że znamy się z Samem od lat, ale tak naprawdę prawie nic o nim nie wiedziałam. Na pewno za mało, żeby się zabierać za psychoanalizę.

Sam nie odzywał się przez parę minut, a potem odsunął pusty talerz.

- Robi się późno. Chyba musimy iść.

- Nie ma jeszcze wpół do dziesiątej - powiedziałam. - Może pójdziemy do Bewleya na kawę?

To była desperacka próba ratowania sytuacji. Nie mogłam tego tak zostawić.

Sam wziął rachunek.

- Nie, nie mam nastroju. Zaraz wracam.

Wstał i poszedł zapłacić.

Świetnie, Susan, powiedziałam do siebie. Udało ci się go rozzłościć i już go nigdy nie zobaczysz. Powie, że jutro z samego rana musi być w pracy, odprowadzi cię na przystanek i tam zostawi. Nie poczeka z tobą na autobus ani cię nie pocałuje.

Zgadłam. Sam odprowadził mnie na przystanek autobusu 39, powiedział, że do mnie zadzwoni i poszedł. Nawet się nie obejrzał.

Czułam się strasznie. Byłam na siebie wściekła, a jednocześnie współczułam sobie bardziej niż kiedykolwiek. Czułam się winna i zawstydzona.

Tyle przygotowań, tyle nerwów i wszystko na nic. Wiedziałam, że Sam musi być wściekły jak diabli.

Pod wiatą tuliła się do siebie jakaś młoda para i na ich widok poczułam się jeszcze gorzej.

Autobus przyczołgał się piętnaście minut później. Odliczając pieniądze, zobaczyłam, że drżą mi ręce.

Zamiast odjechać, żebym mogła jak najszybciej wrócić do domu, zamknąć się w moim pokoju i spokojnie wypłakać, autobus stał i stał. Wciąż wsiadali nowi pasażerowie. Weseli, zadowoleni z życia ludzie, którym nawet nie przyszło do głowy spostrzec, że jestem przygnębiona i nieszczęśliwa.

Nim autobus ruszył wreszcie z przystanku, przez głowę przeleciało mi wiele głupich pomysłów: „Zadzwonię do Frodo's i odzuję Dave'a, a potem spytam go, jak się skontaktować z Samem”; „Dlaczego nie pobiegłam za nim, kiedy odchodził? Mogłam go przeprosić”.

Kierowca zaklął na jakiegoś pijaka, który usiłował wsiąść do ruszającego autobusu, co wyrwało mnie na moment z letargicznego - go użalania się nad sobą. Było tak, jak zawsze - wracałam do domu sama.

Rozdział 9

Przy takich okazjach mam ochotę wrócić do domu, położyć do łóżka i nie wstawać, dopóki ból nie minie. Niestety, świat na to nie pozwala. Świat jest taki, jak kretyńska Ulica Sezamkowa.

Kiedy nie chce się żadnego kontaktu z innymi ludźmi, świat podskakuje z wesolutkim uśmiechem, macha głupim kapeluszem i mówi: „Hej, nie bądź smutna. Nigdy nie jest aż tak źle. Zaśpiewajmy jakąś wesołą piosenkę, żeby odgonić smutki”.

Cholerna Ulica Sezamkowa. Nigdy nie lubiłam tych idiotycznych kukiełek. Wiecznie uśmiechniętego Erniego i jego podejrzanego kumpla Berta. Ponuraka Oscara, bezdomnej kukielki wyrzuconej ze społeczeństwa z powodu ułomności fizycznej - miał tylko jedną brew - i zmuszonego do życia na śmietniku. I Wielkiego Ptaka. Przede wszystkim nie znosiłam Wielkiego Ptaka, który zawsze przypominał mi Verę Duckworth z Coronation Street.

Nie ma niczego, naprawdę niczego, co może ci jeszcze bardziej popsuć samopoczucie, niż ktoś, kto mówi, żebyś się rozchmurzyła, bo życie nie jest wcale takie złe.

Jeśli o mnie chodzi było dokładnie „takie złe”.

Wróciłam do domu po dziesiątej. Rodzice słyszeli, jak weszłam, i matka zawołała:

- Wcześniej wróciłaś. Miałam bardzo zły humor.
- Lepiej się nie przyzwyczajajcie do tego wyrażenia, bo niedługo już tu będę wracać.

Ojciec otworzył drzwi dużego pokoju.

- Co się stało?
- Co masz na myśli? Jakie „Co się stało?” To, co zawsze. Nic. Jak całe moje życie.

- Nie wystawił cię do wiatru, co?

- Nie. Ale może tak byłoby lepiej. Przynajmniej nie... -

Urwałam. Nie chciałam o tym rozmawiać.

Matka, która jest czasem mądrzejsza, niż się wydaje, wyszła z pokoju, zaprowadziła mnie do kuchni, posadziła na krześle i naląła mi herbaty. Ojciec stał w drzwiach, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. W końcu matka kazała mu wrócić do pokoju.

Kiedy poszedł, usiadła naprzeciwko mnie i spytała:

- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie.

- Aha - stwierdziła ze zrozumieniem. Nie podobał mi się ton jej głosu.

- Co to ma znaczyć?

- Zgaduję, że wszystko szło świetnie, dopóki nie powiedziałaś czegoś niepotrzebnego. Mam rację?

Nie mogłam się powstrzymać. Zrobiłam coś, czego nie robiłam od lat. Rozpłakałam się. I przez łzy wyjaśniłam, co się stało. Moja droga mama poklepała mnie po ręku.

- Nic takiego się nie stało, Susan.

- Właśnie, że się stało - warknęłam. - I nie chodzi mi tylko o Sama, ale o całokształt. Spójrz na mnie! Mam dwadzieścia pięć lat i żadnych perspektyw. Z powodu mojego wzrostu żaden facet nie traktuje mnie poważnie. A jeśli już ktoś się ze mną umówi, to go zaraz zniechęcam, bo chcę mu koniecznie udowodnić, że jestem od niego lepsza. I mądrzejsza. Moje przyjaciółki mają dobrze. Ludzie traktują je z szacunkiem, a mnie uważają za wybryk natury. Co jest pierwszą rzeczą, jaką o mnie mówią? Nie że jestem ładna, inteligentna, miła, czy coś w tym rodzaju. Nie, mówią: „Ona jest naprawdę wysoka”. W pracy też by mi się nie wiodło, gdybym nie miała szefa kobiety. Ludzie traktują mnie jak dziwoląga.

Matka spojrzała na mnie i powiedziała coś, czego bym się nigdy nie spodziewała:

- Wiem.

- Co?

- Kiedy chodziłam do szkoły, w mojej klasie była dziewczyna, która miała metr pięćdziesiąt wzrostu i ważyła chyba ze sto kilo. Połowa dziewczyn się z niej wyśmiewała, a druga połowa jej unikała, nie wiedząc, jak się wobec niej zachowywać. Każdy, kto na nią spoglądał, widział wyłącznie tłuszcz. Wydaje mi się, że to jej bardziej przeszkadzało niż przezwiska.

- Przykro mi, ale nie bardzo rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Matka uśmiechnęła się.

- Jeśli nie widzisz pointy, to nie jesteś taka inteligentna, jak ci się zdaje.

- Rozumiem - stwierdziłam, choć w głowie miałam kompletną pustkę. - Czy nie zapomniałaś mi o czymś powiedzieć?

- Nie.

- To znaczy, że ludzie są hipokrytami, zbyt zajętymi sobą, by zauważyć, jak bardzo to, co mówią i robią, wpływa na innych, tak?

- Zgadza się. Nie przez cały czas, ale każdy się tak zachowuje w jakimś momencie życia.

- Czyli jeżeli ludzie traktują mnie jak wybryk natury, to powinnam sobie powiedzieć, że nic mnie to nie obchodzi?

- Nie. - Wstała i wstawiła kubek do zlewu. - Nic nie zrozumiałaś. Kiedy zrozumiesz, to będzie znaczyło, że się czegoś nauczyłaś.

Wróciła do dużego pokoju, a ja siedziałam przez chwilę sama w kuchni, usiłując wykombinować, o co jej chodziło. Nie udało mi się. Byłam w stanie myśleć jedynie o Samie i o tym, jak wyglądał, kiedy odchodził z przystanku.

Dotarło do mnie po drugim kubku herbaty i paru herbatnikach. Myślałam, że chciała, abym się porównała z grubą dziewczyną, tymczasem gruba dziewczyna miała być odpowiednikiem Sama, a ja tymi wszystkimi ludźmi, którzy nie wiedzieli, jak się do niej odnosić. W swoim zadufaniu nie zauważyłam, że Sam wcale nie pytał mnie o radę. Nawet kiedy w końcu to powiedział, nadal się wymądrzałam.

Jak już mówiłam, mama czasami potrafi powiedzieć coś mądrego.

Rozdział 10

Czyli w końcu to była moja wina. Nie mogłam skontaktować się z Samem, nie mogłam więc go przeprosić. Musiałam dać sobie spokój. Nie miało sensu, się umartwiać, skoro nic nie mogłam zrobić. Zaczęłam dawać sobie rady mniej więcej takie, jak dałam Samowi: Idź zawsze naprzód, nigdy w rył.

Wspomniałam wcześniej, że mama szybko podejmuje decyzję, ale zdałam sobie teraz sprawę, że to dlatego, iż dokładnie wie, czego chce i jak to osiągnąć.

Chciała się przeprowadzić i nie miałam najmniejszych wątpliwości, że dopnie swego. Miało to zmienić życie nas wszystkich, ale ona dokładnie o tym wiedziała i może nawet był to jeden z powodów przeprowadzki.

Wzięłam gazetę i zaczęłam szukać mieszkania.

To poprawiło mi trochę humor. Uwielbiam czytać ogłoszenia. Od czasu do czasu sama miałam ochotę jakieś zamieścić. Na przykład: „Poszukuje się damskiej sprzątaczk. Musi umieć sprzątać damy”. Albo: „Poszukuje się dojrzałej kobiety do pilnowania własnych dzieci we własnym domu”.

Nie znalazłam żadnego odpowiedniego mieszkania, ale znalazłam ogłoszenie, które czytał wczoraj Anthony: „Mężczyzna w średnim wieku, zmęczony zwyczajnym życiem, szuka młodej kobiety, którą mógłby pogardzać i pomiatać. Odpowie na wszystkie poważne listy. Wariatki wykluczone”.

Zaintrygował mnie. Co za dziwak mógł dać takie ogłoszenie? Zapewne ktoś szukający rozrywki. Albo ktoś poszukujący kobiety z charakterem. A może po prostu najzwyklejszy oszołom?

Nie mogłam się powstrzymać. Wzięłam papier i długopis, i napisałam:

Drogi numerze trzydzieści trzy!

Z ciekawością przeczytałam Twoje ogłoszenie w rubryce ogłoszeń osobistych w „Evening Herald”. Jestem kobietą dwudziestopięcioletnią, zmęczoną presją środowiska, które oczekuje, że wreszcie znajdzie jakiegoś faceta „na stałe”. Interesuje mnie korespondencja z Tobą, gdyż wiem, że będzie nudna i - kto wie? - może nawet rozwinie się między nami coś obrzydliwego i zniechęcającego.

Pozdrowienia Susan Perry

Włożyłam list do koperty, zaadresowałam i poszłam do łóżka. Potem wstałam jeszcze raz i zabrałam list do mojego pokoju. Nie chciałam, aby zobaczył go Fintan i zaczął mi zadawać krępujące pytania.

Oczywiście, nie mogłam zasnąć. Przede wszystkim mam za krótkie łóżko i wystają mi stopy. Od dawna, ale tym razem naprawdę mi to przeszkadzało.

Kiedy miałam trzynaście lat i wciąż rosłam z niewiarygodną prędkością, przeczytałam w gazecie o jakiejś Amerykance, która miała dwa metry i pięć centymetrów i przeszła operację zmniejszającą. Polegała na tym, że wyjęto jej jeden krąg z kręgosłupa i wycięto kawałki kości nóg. O ile dobrze pamiętam, obniżyli jej wzrost do metra osiemdziesiąt siedem. Oczywiście, musiała się na nowo nauczyć chodzić i jestem pewna, że musiała sobie kupić nowe ciuchy. Z pewnością nikt już jej nie nazywał „tą naprawdę wysoką dziewczyną”, za to wszyscy nazywali ją „tą dziewczyną po operacji”.

Moim zdaniem była to najcudowniejsza rzecz, o jakiej słyszałam, i wierzyłam, że kiedy dorosnę, operacja zmniejszania wzrostu stanie czymś normalnym. Będę tylko musiała zaoszczędzić dość pieniędzy i zgłosić się do kliniki, jakich będzie pełno na całym świecie. Udało mi się odłożyć dwadzieścia funtów, a potem jednego dnia kupiłam sobie za całą tę sumę płyty Billy'ego Joela. Billy Joel mi się podobał, bo chodził wtedy z Christie Brinkly, która była wyższa od niego.

Nie mogłam zasnąć także dlatego, że wciąż rozpamiętywałam ten fatalny wieczór i usiłowałam wymyślić coś, co mogłoby poprawić sytuację.

Wyobraziłam sobie, że w połowie drogi do domu Sam przyznał mi rację, a później usiłował mnie odszukać... Opowiadałam mu o mojej lokalnej wypożyczalni wideo, i o tym, że mnie tam wszyscy znają, może więc obdzwoni wypożyczalnie w Cabrze i trafi na moją. Kiedy przyjdę tam za kilka tygodni, Mark powie: „Szukał cię jakiś facet, Susan. Nie dałem mu twojego adresu, ale powiedziałem, że może dzisiaj wpadniesz. Obiecał, że zajrzy później”. Potem otworzą się drzwi i stanie w nich Sam.

Albo... będzie codziennie przychodził do Frodo's, dopóki ja się tam nie zjawię, a jeśli w ogóle nie przyjdę, będzie tam nadal przesiadywał w kącie w roku 2050, a wnuki obecnych klientów klubu będą się pytać: „Hej, kim jest ten stary facet w kącie?”. Barman -

robot odpowie im: „Przychodzi tu od ponad pięćdziesięciu lat, czekając na kobietę, którą lekkomyślnie utracił”. Dzieciaki wzruszą ramionami i natychmiast o nim zapomną, prosząc didżeja - robota, żeby puścił im najnowszą płytę Cliffa Richarda.

Albo... Pewnego dnia, gdy będę ciągnęła przez miasto czwórkę rozwydrzonych bachorów, ujrzę przy Eason's znajomą sylwetkę. Spojrzy na mnie wzrokiem, w którym wyczytam, że czeka na kogoś i nigdy nie zrezygnuje. Dzieciaki będą się śmiać z jego niemodnego ubrania. Brad, najstarszy syn, zapyta: „Kto to jest, mamó?”. Żartowniś Harrison powie: „Zaczarowała go zła czarownica”. Bliźniacy, River i Keanu, roześmieją się na to jeszcze głośniejsze, ale wyjaśnię im, że Harrison ma rację. „Wiem to, bo byłam tą czarownicą” - dodam.

Wystarczy! - skarciłam się w duchu. Idź spać!

Nie pomogło. Na moim radiu z budzikiem wciąż był piątek. Pomyślałam, że od wieków nie byłam tak wcześnie w łóżku w piątek wieczorem. W idealnym świecie poszłabym do łóżka wcześniej, ale nie sama.

Teraz zrobiło się jeszcze gorzej... Sprawdziłam datę i odliczyłam wstecz. Nie spałam z nikim od siedmiu i pół miesiąca.

W żadnym razie nie uważałam się za jakąś maniaczką seksu, lecz z drugiej strony byłam tylko człowiekiem. Dwudziestopięcioletnia kobieta nie może żyć jedynie filmami z Valem Kilmerem.

Dziewiectwo straciłam w wieku dwudziestu lat. Na czymś w rodzaju jednorazowego spotkania. Poznałam faceta na party. Niewiele pamiętam, oprócz tego, że był fantastycznie zbudowany. Chyba spędzał dużo czasu w siłowni. Pamiętam, że oboje byliśmy niewiarygodnie pijani i że wszyscy zaczęli łączyć się w pary. Bez słowa wyszliśmy do ogrodu za domem, rozebraliśmy się wzajemnie w pół sekundy, a po następnej pół sekundzie było po wszystkim. Leżeliśmy nadzy na trawie i wpatrywaliśmy się w gwiazdy.

Po paru minutach spostrzegłam, że jego zainteresowanie znów się podniosło. Kochaliśmy się wolniej, z większą uwagą, i tym razem coś poczułam.

Później wstaliśmy, ubraliśmy się i weszliśmy do domu. Musiałam poczekać aż Sharon wyjdzie z łazienki i mnie odwiezie.

Od tej pory kochałam się jedenaście razy z trzema różnymi facetami. Z każdym z nich łączyło mnie nawet coś w rodzaju uczucia. Nie wiem, czy można mnie nazwać dziwką i prawdę mówiąc, nie

przejmuję się tym. Seks jest naturalną ludzką potrzebą i nikt nie powinien się jej wstydić.

Tak samo nikt nie powinien się wstydić, że nie uprawia seksu... Siedem i pół miesiąca to nie jest moja najdłuższa przerwa, ale jednak dość długa.

Często myślę o seksie, choć rzadko o nim rozmawiam, nawet z Sharon czy z Barbarą. Twierdzi się, że kobiety na każdym spotkaniu rozmawiają wyłącznie o facetach i o tym, jacy są w łóżku. Z mojego doświadczenia wynika, że to nieprawda. Kiedy się spotyka parę dziewczyn, rozmawiają o szkole. Wendy i Sharon nieustannie mówią o nauczycielach, którzy się do nich uprzedzili, o przedmiotach, których najbardziej nienawidziły, o tym, kto narobił największego bałaganu w pracowni gospodarstwa domowego, kto z kim chodził, a kto z kim nie chodził, choć bardzo chciał.

Znów skarciłam się w duchu i przewróciłam na drugi bok, ale wcale nie było mi wygodniej. Spróbowałam położyć się na plecach, lecz ta pozycja nigdy nie zdaje egzaminu, bo zakładałam wtedy ręce pod głowę i mi drętwieją. Kiedyś, parę lat temu, zasnęłam tak i obudził mnie dopiero ryk budzika radiowego następnego dnia.

Ręce kompletnie mi zdrętwiały i nie mogłam wyłączyć budzika. Mama przyszła zobaczyć, co się dzieje i zastała mnie nagą, stojącą nad radiem, machającą rękami i usiłującą wyłączyć nosem przycisk budzika. Niełatwo przyszło mi to wytłumaczyć.

Wciąż nie mogłam zasnąć. Uderzyłam parę razy w poduszkę, ale nie pomogło. Uderzyłam jeszcze mocniej. Wreszcie uklękłam i porządnie ją wytłukłam. Gdyby w domu była broń, aresztowano by mnie za zamordowanie poduszki. Rzuciłam ją na podłogę i znów próbowałam zasnąć.

Jak zawsze, gdy nie mogę spać, zaczęłam fantazjować, wyobrażając sobie moje życie w filmowych zwiastunach.

„Była wesołą, szczerą i spokojną dziewczyną” - powiedział głęboki głos z amerykańskim akcentem. „Marzyła tylko o tym, żeby się wyspać”. Szybka scena, w której torturuję poduszkę. Gra mnie młodsza i wyższa wersja Katleen Turner.

Potem scena w sądzie. Sędzia, którego gra Peter Cushion, stuka młotkiem. „Susan Peny, oskarżam cię o poważną zbrodnię dokonaną na poduszce. Czy przyznajesz się do winy?”

Najazd kamery na moją zapłakaną twarz.

„Nie przyznaję się, Wysoki Sądzie.

Mój adwokat, grany przez Marta Dillona: „Wysoki Sądzie, dowody w tej sprawie są absolutnie nieprzekonujące”.

Nagle usiadłam na łóżku.

- Jezus, Maria! - jęknęłam. - Muszę wreszcie kiedyś zasnąć. Wideo! Zasnę na kanapie na dole, oglądając film. Wstałam z łóżka i przejrzałam kasety. Bezsenność w Seattle. Właśnie. Długi pocałunek na dobranoc. Nie ma szans. Coronation Street: dwadzieścia pięć pierwszych lat. To będzie dobre.

Zeszłam po cichu na dół, żeby nie zbudzić rodziców, i okazało się, że oglądają rap na MTV.

- Na litość boską! Co wy tu jeszcze robicie? Ojciec zaśmiał się.

- Jeszcze tylko pięć minut, dobrze? - poprosił.

- Nie możesz spać, dziecko? - domyśliła się matka.

- Nie. Mój mózg doprowadza mnie do szału. Jest mi gorąco.

Poduszka jest do dupy.

Ojciec uniósł brew.

- Naprawdę jesteś nie w sosie. Nie używałaś takich słów, odkąd skończyłaś cztery lata. - Mrugnął do matki. - Pamiętasz?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Odebraliśmy cię pierwszego dnia ze szkoły, a ty powiedziałaś, że nauczyłaś się nowego słowa. Kiedy spytaliśmy, jakie to słowo, odparłaś: „Dupa”.

- Bardzo śmieszne - powiedziałam. - Jak chcecie, to mogę wyrecytować cały szereg słów, które rozśmieszą was do łez.

Ojciec westchnął i potrząsnął głową.

- Susan.

- Co?

- Usiądź i posłuchaj mnie przez chwilę, dobrze? Usiadłam.

- Dobrze. Słucham.

- Jesteś całkiem normalna.

Tym razem to ja westchnęłam.

- Posłuchaj, tato...

- Daj mi skończyć. Wszystko, co wydaje ci się złe, istnieje wyłącznie w twojej głowie. I zanim wykorzystasz to jako pretekst, pamiętaj, że wszyscy jesteśmy lekko stuknięci. Dzięki temu możemy się bronić.

Kiwnęłam głową. Na podłodze, przy krześle ojca, stały cztery puszki po heinekenie. Kiedy sobie podpił, zawsze zaczynał filozofować.

- Masz rację, tato.

Musiałam szybko się z nim zgodzić, żeby nie poszedł na całość. Zdarzało mu się mówić całymi godzinami, powtarzając w kółko te same zdania.

Kiedy ojciec się upił, mógł przez całą noc opisywać coś zupełnie trywialnego, co zdarzyło się rano. W najgorszym wypadku ustawiał na stole małe ozdoby. „To jesteś ty, dobrze? A to on. Ta gazeta jest samochodem. Nie, nie ta gazeta”. Odwracał się do matki. „Gdzie jest ta gazeta, którą miał wczoraj Fintan? Pismo o samochodach? Z porsche na okładce?”.

Ja mu wtedy przytakuje. „Tak, tato, wiem. Tak, już mi mówiłeś. Przestań”. Jednocześnie on też mówi: „Nie, nie rozumiesz. Patrz. To jesteś ty, dobrze? Kaczki to jest Fintan, ale dzwoneczek to ty. Rozumiesz?”

Było jeszcze gorzej, kiedy i mama była pijana.

„Na okładce pisma Fintana nie był porsche, tylko ferrari. I nie miał pisma wczoraj, bo wczoraj cały dzień go nie było. W środę. Teraz pamiętam, bo powiedziałaś, że zetrzesz trawę, i nie zrobiłaś tego, ponieważ zaczęło padać i musiałaś przynieść z dworu pranie.

Co mi przypomina... Susan, czy chcesz, żebym ci wyprała na jutro tę białą bluzkę? Jeśli tak, to masz pecha, bo nie mam czasu. Ale wyprałam ci inną białą bluzkę. Nie tę z guzikami. Tę, którą miałaś na sobie, kiedy wchodziłyście ostatnio z Sharon. Pamiętasz? Ona miała na sobie bluzkę, która moim zdaniem była na nią za mała...”

W końcu poszli spać. Włączyłam wideo, zgasłam światło, zwinęłam się w kłębek na kanapie i zasnęłam, rozmyślając o tym, że kiedy Coronation Street dopiero się zaczynała, a Ken Barlow był młodszy, wyglądał jak Mulder z Z archiwum X.

Rozdział 11

Nadszedł sobotni poranek. Obejrzałam w telewizji kilka programów dla dzieci, ale nie były takie dobre, jak te, które oglądałam w dzieciństwie, siedząc przed telewizorem w szlafroku i w kapciach, z miską płatków na kolanach. Mając dwadzieścia pięć lat, robiłam to samo, ale nie sprawiało mi to już takiej przyjemności.

Rodzice wstali wcześniej i pojechali do przyczepy w Blackwater. Parę lat temu odziedziczyli tę przyczepę po babci i jeździli tam praktycznie co tydzień. Ojciec w poniedziałek miał zwykle do załatwienia jakieś sprawy w Wexford i dzięki temu unikał korków.

Siedziałam w domu i nie miałam nic do roboty. Sharon w sobotę przeważnie pracowała rano i nie chciałam jej przeszkadzać. Poza tym nie miałam najmniejszej ochoty opowiadać o swoim idiotycznym zachowaniu na spotkaniu z Samem.

Wypożyczalnię wideo otwierali o jedenastej. Po drodze wrzuciłam list do skrzynki. Nie spodziewałam się odpowiedzi, ale co mi szkodziło napisać.

Kiedy przyszłam, Mark podnosił zewnętrzne żaluzje.

- Witam, panno Perry - powiedział. - Jak się pani udało spotkanie?

- Skąd pan wie?

- Nie przyszła pani wczoraj, a w zeszłym tygodniu mówiłem, że dostanę kasetę z Portretem damy. Po prostu się domyśliłem.

- Zapomniałam o kasecie. Zgadł pan, miałam spotkanie. I nie poszło mi najlepiej.

Otworzył drzwi do wypożyczalni.

- Proszę, niech pani wejdzie i opowie mi o wszystkim. Mark jest starszy ode mnie mniej więcej o dziesięć lat, ale nie przypomina innych ludzi w średnim wieku. Przede wszystkim zawsze jest spokojny. Nie odrzuciłby filmu tylko dlatego, że gra w nim ktoś, kogo nie lubi. Matka tak robi. Odmówiła na przykład oglądania filmów z Seanem Connery, ponieważ parę lat temu przeczytała w wywiadzie z nim, że mógłby uderzyć kobietę, gdyby „na to zasłużyła”. Nie byłam specjalnie zachwycona tą wypowiedzią, choć nadal uważałam, że Sean Connery jest jednym z najbardziej seksownych facetów, jacy istnieją na tym świecie.

Mark jest świetnie zbudowany i wysportowany jak na mężczyznę w swoim wieku. Wszędzie jeździ rowerem i wygląda, jakby był o

dobrze parę lat młodszy. Poza tym ma metr osiemdziesiąt osiem i za to też go lubię.

Zasiadł za ladą, a ja oparłam się o nią z drugiej strony i opowiedziałam mu, co zaszło, nie wdając się w zbędne szczegóły. Na końcu wzruszył ramionami i powiedział:

- Na pani miejscu nie martwiłbym się, że straciłem go na zawsze.

- To takie stare pocieszenie, że na świecie jest pełno facetów, tak?

- Nie, to zupełnie nowa propozycja, żeby zajrzeć do książki telefonicznej i odszukać wypożyczalnię, w której pracuje Sam.

Uderzyłam dłonią o ladę.

- Cholernie dobry pomysł! Wyciągnął spod lady książkę telefoniczną.

- Ale...

- Martwi się pani, że nadal jest na panią zły?

- Tak.

- Zadzwoń do sklepu i powiem, że mam klienta, który szuka konkretnego filmu, potem się dowiem, czy Sam tam pracuje, a potem się zobaczy, dobrze?

- Dobrze.

- Jak się nazywa jego wypożyczalnia? I jak on ma na nazwisko?

- Nie wiem, jak się nazywa wypożyczalnia, ale zakładam, że nie jest to Xtra Vision, ani Chartbusters, bo by się pochwalił. Sam nazywa się O'Neill.

Mieliśmy szczęście. Mark zadzwonił pod pierwszy numer i powiedział:

- Hej, cześć, mówi Mark Shanahan z wypożyczalni Home Yideos w Cabrze. Klient szuka filmu i dzwonię po okolicy, żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem go nie macie. Chodzi o... - Spojrzał szybko na stertę kaset, które czekały, aby odłożyć je na półkę. - O taki kiepski horror SF, który się nazywa Mutant on Bounty. - Urwał. - Nie, nie żartuję. Nie, nie wie, kto reżyserował. Ani gdzie go nakręcono. Może sobie robił jaja. Nie? Dzięki, w każdym razie: Jak się pan nazywa? - Urwał, spojrzał na mnie i się uśmiechnął. - Sam O'Neill. Jeszcze raz dziękuję, Sam. Odłożył słuchawkę.

- Proszę bardzo, panno Peny. Zawsze do usług.

Nie wiedziałam, co zrobić. Miałam adres i numer telefonu wypożyczalni, w której pracował Sam...

- Zadzwoń pani do niego? - spytał Mark. - Czy wybierze się pani do Dun Laoghaire i przejdzie ze sto razy przed sklepem, aż panią w końcu zauważy?

- Czy może dam sobie spokój?

- Jeśli nic pani nie zrobi, przez resztę życia będzie pani żałować. Niech pani jedzie. Nie ma pani nic do stracenia, oprócz twarzy.

- Też też wiele nie zostało - stwierdziłam - Dobra. Jadę.

- Doskonale! I powie mi pani, jak poszło?

- Tak. Dzięki. Mam u pana dług wdzięczności.

Poszłam do domu, wzięłam szybki prysznic i usiłowałam się skupić. Była sobota i nim dojadę do miasta, będzie po dwunastej. A potem następną godzinę zajmie mi dojazd do Dun Laoghaire.

A jeśli wcale się nie ucieszy na mój widok? Nie zechce ze mną rozmawiać? Jak się będę wtedy czuła?

Z drugiej strony, jeśli nie pojedę i nie spróbuję naprawić sytuacji, poczuje się jeszcze gorzej. Pomyślałam, że gdybym nic nie mówiła Markowi, nie musiałabym się teraz martwić. Wszystko byłoby znacznie prostsze.

Decyzje, decyzje... Odetchnęłam głęboko. Jechać czy zostać? Zaryzykować czy nie? Zrobić z siebie jeszcze większą idiotkę, czy stracić potencjalnego faceta?

Dobrze - powiedziałam sobie. Spoko. Jadę i ryzykuję.

Rozdział 12

Bez uszczerbku na zdrowiu, udało mi się dojechać do Dun Laoghaire. Stałam naprzeciwko wypożyczalni Sama i zaczęłam się zastanawiać, co robić.

Przez wszystkie plakaty i naklejki na szybie nie widziałam, czy jest w środku, ale sklep był otwarty. Przez cały czas ludzie wchodzili i wychodzili.

To znaczy, że mieli ruch. Nie chciałam rozmawiać z Samem przy klientach.

Pomyślałam, że poczekam. W końcu wyjdzie kiedyś na lunch. Choć jeżeli otworzyli o jedenastej, to nie będzie miał przerwy do jakiejś trzeciej albo czwartej. Spojrzałam na zegarek, było dziesięć po pierwszej.

Przeszłam na drugą stronę ulicy, pchnęłam drzwi i weszłam do środka.

W wypożyczalni było z osiem osób. Sam stał za ladą i gapił się na mnie.

- Cześć - odezwałam się, podchodząc do lady.
- Cześć.

Powiedziałam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy:

- Zostawiłeś wczoraj swój kapelusz.
- Nie mam kapelusza. Westchnęłam z ulgą.
- Dzięki Bogu! Myślałam, że go zgubiłam. Sam roześmiał się nagle.

- Nie spodziewałem się że cię tu zobaczę. W ogóle nie spodziewałem się, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

- No, wiesz, przepraszam za wczorajszy wieczór. Czasem palnę coś głupiego...

- Nie przepraszaj. To ja cię przepraszam za moje zachowanie. Nie wiem, co mi się stało. Czekałem na autobus, kiedy zorientowałem się, że nie mam jak się z tobą skontaktować. W końcu poleciałem za twoim autobusem.

Otworzyłam usta ze zdziwienia.

- To fakt, jakiś facet chciał wskoczyć do autobusu, kiedy już odjeżdżał! To byłeś ty?

Potrząsnął głową.

- Nie, to rzeczywiście był jakiś stary pijak. Zobaczyłem go i miałem nadzieję, że kierowca zwolni i go wpuści. Chciałem wsiąść do

taksówki i kazać jechać za autobusem, ale, oczywiście, w piątkowy wieczór nie było żadnych taksówek.

- Tak...

- Tak... Spróbujemy jeszcze raz? Dziś wieczorem?

- Może, ale nie będę sterczeć w Dun Laoghaire cały dzień i czekać aż skończysz pracę. O której kończysz?

- O ósmej. Przepraszam. Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie chce mi się jechać z powrotem do domu. Musiałabym zaraz wracać.

- Mogłabyś poczekać tu, ale szef chyba by się wściekł. Już wiem. Niedaleko stąd jest dom z mieszkaniami do wynajęcia. Mogłabyś tam pójść i sprawdzić, czy nie mają czegoś odpowiedniego. Przynajmniej będziesz miała pojęcie o cenach i tak dalej.

- To jest jakiś pomysł. Mogę się też przejść po sklepach. O której masz przerwę na lunch?

- Szef powinien przyjść o czwartej, żeby mnie zastąpić, ale przeważnie się spóźnia.

- Pozwala ci jeść na miejscu? Mogłabym ci coś przynieść?

- Super! Spojrzeliśmy na siebie.

- Dobrze - powiedziałam. - Załatwione.

- Do zobaczenia. Kiwnęłam mu głową.

A potem przypomniało mi się, co się zdarzyło w środę w Frodo's, kiedy się żegnaliśmy. Tym razem nie było Dave'a, który podpowiedziałby nam, co robić, więc ja przejęłam inicjatywę. Pochyliłam się i pocałowałam Sama.

Rozdział 13

Nie znalazłam żadnego mieszkania, które by mi odpowiadało. Szukałam czegoś dużego i taniego, w bezpiecznej okolicy i z głuchymi sąsiadami. Ale dowiedziałam się para rzeczy. Mieszkanie, które byłoby dostatecznie duże, na ogół albo za dużo kosztowało, albo znajdowało się na peryferiach, albo obie te rzeczy razem, a wszystko, na co mogłam sobie pozwolić, przypominało ruderę po wyprowadzeniu się bezdomnych.

W sklepach nie było nic, czego nie mogłabym kupić w mieście, oprócz pamiątek z Dun Laoghaire, a jakoś nie miałam ochoty kupować kawałków skały. Poszłam do People's Park i usiadłam na ławce, przyglądając się bawiącym się dzieciom.

Czasem przyjeżdżaliśmy tu, kiedy byłam mała. Do dziś matka ma przy łóżku zdjęcie, na którym Fintan, ojciec i ja siedzimy na kocu w parku i gapimy się w aparat fotograficzny. Nie jest to szczególnie dobra fotografia, ale matka ją lubi. Fintan miał wtedy rok i już widać na jego twarzy skwaszony wyraz, który dziś gości na niej bez przerwy. Ojciec miał wtedy dużo więcej włosów i bokobrody. W końcu zdjęcie pochodzi z połowy lat siedemdziesiątych. Wprawdzie nie widać tego wyraźnie, ale jestem pewna, że nosił wtedy dzwony.

W rogu zdjęcia rysuje się cień mamy. Kiedy miałam jakieś siedem lat, ten cień mnie fascynował. To była moja mama, jako młoda kobieta, uchwycona na zdjęciu, które sama robiła.

Czasem chciałabym wrócić w przeszłość i poznać ich jako młodych ludzi. Tak, jak na tym filmie: Powrót do przyszłości. Jacy byli? Nawet dziś mało ich znam i czasem trudno mi sobie wyobrazić, że kiedyś też mieli po dwadzieścia pięć lat. W końcu byli już małżeństwem, kiedy umarł Elvis. Słuchali nowych piosenek Beatlesów. Ich pierwszy - czarno - biały! - telewizor miał tylko trzy kanały. Działo się to jeszcze przed powstaniem słowa „monochromatyczny”, które wymyślono po to, żeby zachęcić ludzi do kupowania czarno - białych odbiorników. Nigdy w młodości nie słyszeli o wideo, komputerze osobistym, walkmanie, kuchence mikrofalowej i tysiącach innych rzeczy, które moje pokolenie uważa za coś absolutnie oczywistego.

I założę się, że nie przyszłoby im do głowy, iż moje pokolenie będzie ich traktować jak starych ludzi.

Za piętnaście czwarta poszłam do kiosku po jedzenie. Nie miałam pojęcia, co Sam lubi, kupiłam więc to, co jedzą Fintan, Kevin i Danny: kanapki i słodczyce, chipsy, jabłka, banany, lemoniadę i na deser lody w wafli.

Kiedy Sam zobaczył całe to jedzenie, aż podskoczył z radości.

- Fantastycznie! Hej, nawet lody! Nie jadłem ich od lat!

Najedliśmy się do syta. Sam nastawił Sommersby i nim przyszedł szef, udało nam się zobaczyć prawie cały film. Sam szybko sprzątnął resztki jedzenia i powiedział:

- To ja wychodzę.

Jego szef obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Wróć najpóźniej za godzinę - powiedział. Przeszliśmy przez ulicę do dość zatłoczonej kawiarni, zamówiliśmy letnią kawę koloru błota i o lekkim posmaku płynu do zmywania - to znaczy, nie zamówiliśmy, ale dostaliśmy - i znów zaczęliśmy się przeproszać.

- Daj spokój - powiedział Sam. - Wyraziłaś tylko to, co już dawno powinienem był przyznać sam przed sobą. - Wypił łyk kawy, skrzywił się i wypił następny. - Na ogół nie jestem taki przeczulony. Nie wiem, może za bardzo się denerwowałem przed spotkaniem z tobą. W każdym razie zachowałem się jak bałwan i to ja cię przeproszam.

- Cieszę się, że nie jesteś na mnie zły. Czułabym się jeszcze gorzej po tym, że tu przyjechałam.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. Zamierzałem dzwonić do wszystkich firm konsultingowych w Ranelagh.

- Nic by ci to nie dało, bo pracuję w Rathmines. Sam roześmiał się.

- Jestem naprawdę beznadziejny. Pamiętam tytuł, reżysera i aktorów każdego filmu, jaki widziałem, ale zawsze zapominam ważne rzeczy. - Westchnął z uśmiechem. - Bardzo się cieszę, że postanowiłaś mnie odszukać.

- Ja też.

Wstał z krzesła i przesiadł się na moją stronę.

- Wczoraj doskonale się bawiłem, dopóki sam wszystkiego nie popsułem.

- Nic podobnego... - zaczęłam, ale uciszył mnie pocałunkiem.

Do ósmej czas okropnie mi się dłużył. Kiedy Sam skończył pracę, od raz pojechaliśmy autobusem do miasta, ale nie znaleźliśmy żadnej knajpy, gdzie nie trzeba byłoby parę dni wcześniej zamawiać stolika, a w pubach królowały tłumy szesnastolatków udających dorosłych. W końcu poszliśmy na spacer, trzymając się za ręce.

Od czasu do czasu Sam pytał mnie o jakiś budynek - nie wiedzieć czemu, wydawało mu się, że znam miasto lepiej od niego - jeśli więc czegoś nie wiedziałam, to zmyślałam...

- To jest słynny budynek zaprojektowany przez architekta, który później został reżyserem filmowym, Isombarda Kingdoma ze Spiders. Pierwszy wykorzystał w roku 1872 strzelające spod kół kamykami bliźniacze przyczepy. Tam jest Poczta Główna, gdzie - podobno - straszy duch uczestnika Powstania Wielkanocnego.

- Naprawdę?

- Nie, ale opowiedzmy to paru osobom i zobaczymy, kiedy do nas wróci. Przed nami, na początku O'Connell Street, jest kino Ambassador. Podobno w roku 1983 właśnie w tym kinie Susan Perry widziała Powrót Jedi.

- Wyobraź sobie, że widziałem ten film w tym samym kinie.

- Naprawdę? Musisz mi to udowodnić. Jak byłam ubrana?

- Miałaś maskę Zorro i jaskraworóżowe klapki. Na pewno. A Lukę okazał się bratem Lei.

- Ewoksy były strasznie śmieszne! - pisałam.

- Te idiotyczne miśki? Ja ich nienawidziłem. Chodziliśmy po mieście i rozmawialiśmy aż do ostatniego autobusu. Sam odprowadził mnie na przystanek i tym razem poczekał ze mną. Trochę się całowaliśmy - dla odmiany to na nas patrzono z zazdrością - ale przypomniało mi się, że Samowi może uciec ostatni autobus.

- Lepiej już idź - powiedziałam. - Zadzwoń do mnie?

- Podaj mi numer.

Wymieniliśmy się numerami telefonu i odszedł po pożegnalnym pocałunku.

Kiedy wróciłam, przed telewizorem - dla odmiany - siedział Fintan. Mruknął coś na powitanie. W wideo tkwiła kasetka i jestem pewna, że odłożył szybko pilota, gdy weszłam do pokoju. Na pewno oglądał jakiś film pornograficzny. Przypuszczalnie coś w rodzaju Gorące dziewczyny parują albo Słodkie lesbijki.

- Co oglądasz? - spytałam. Wzruszył ramionami.

- Jakiś film.

Oglądałam razem z nim przez parę minut.

- A, Donald Sutherland i Julie Christie. Nie oglądaj się teraz.

- Aha. Lipa.

- Nieprawda, to klasyk.

Odłożyłam płaszcz i torebkę, zrobiłam sobie herbatę, wyciągnęłam z szafki parę ciastek i wróciłam do dużego pokoju.

Kasety w wideo już nie było. Gdzieś ją schował.

- Mnie też mogłaś zrobić herbaty - powiedział Fintan.

- Na pewno siedzisz tu przez cały wieczór. Mogłeś sam sobie zrobić.

- Oglądam film.

- Co robiłeś wczoraj wieczorem?

- Byłem w pubie z Fintanem i z Sarą.

Fintan ma dwóch kumpli, którzy mają na imię Fintan. Jeden to Fintan Dunbar, który ma chyba dwa metry wzrostu, bardzo długie włosy i gęstą brodę. Zawsze wygląda, jakby był wściekły - przypomina mi człowieka jaskiniowego obudzonego parę miesięcy za wcześniej ze snu zimowego - ale jest naprawdę miłym facetem. Kimś w rodzaju heavymetalowego buddysty. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego zadaje się z moim bratem.

Drugi to Fintan O'Shaughnessy, irytujący gnojek, który uważa się za uwodziciela. To on chodzi z Sarah. Doskonale do siebie pasują.

- Co myślisz o przeprowadzce? - spytałam.

Znów wzruszył ramionami. Przynajmniej to mu dobrze wychodziło...

- Ja się i tak wynoszę, więc nic mnie to nie obchodzi. Mam zamiar kupić mieszkanie w mieście na Wybrzeżu.

Normalnie turlałabym się po podłodze ze śmiechu, jednak byłam w dobrym humorze i nie chciałam się z nim kłócić.

- To są drogie mieszkania - zauważyłam.

- Wiem, ale mam kumpla, który załatwi mi kredyt.

Kiepska sprawa, pomyślałam. Fintan miał masę kumpli, którzy potrafili „załatwić” każdą sprawę. Trzeba było komuś przyłożyć? Fintan znał kogoś, kto znał kogoś wyrzuconego z Legii Cudzoziemskiej za okrucieństwo. Problemy z przeglądaniem samochodu służbowego? Kuzyn Lara, kumpla Fintana, był mechanikiem samochodowym i załatwiał takie rzeczy za sto funtów i bez zbędnych

pytań. Chciałbyś szukać złota we wraku „Titanica”? Drobnostka. Mój brat znał ludzi, którzy znali ludzi, którzy mieli dobry kontakt z drużyną nurków...

- Jak twój kumpel to robi? - spytałam.

Fintan najbardziej lubi przechwalać się swoimi wspaniałymi kontaktami. Usiadł prosto i nawet odwrócił się w moją stronę.

- Wiesz, musisz udowodnić, że masz stały dochód. I sama musisz zapłacić dziesięć procent ceny mieszkania, nie? Mój kumpel, Richo, zna ludzi, którzy to załatwiają. Podajesz im cenę, oni wpłacają na twoje konto dziesięć procent, a potem przez pół roku wpłacają ustaloną kwotę, jakby to były twoje zarobki. Kiedy już masz mieszkanie, oddajesz im pieniądze z wyrównaniem ich kosztów i sprawa załatwiona.

- Tak, ale najpierw musisz zapłacić właścicielowi mieszkania dziesięć procent. Hipoteka płaci resztę, a ty ich spłacasz przez następne trzydzieści lat.

Na to też miał odpowiedź:

- Wiem. Robi się tak. Jeśli mieszkanie kosztuje na przykład pięćdziesiąt kawalków, bierzesz kredyt na pięćdziesiąt pięć, mówisz, że to na remont czy meble, i masz zabezpieczenie.

- Pięćdziesiąt tysięcy to o wiele za mało, musisz liczyć co najmniej dwa razy tyle... Nie myślisz o tym poważnie, co?

Rzucił mi ponure spojrzenie. Nie jakieś specjalne, zwyczajne.

- Co w tym złego?

- Istnieje precyzyjne określenie na znajomych twojego kumpla - stwierdziłam. - To są rekiny. Mają wiele planów inwestycyjnych. Niektóre z nich wymagają użycia żelaznej rurki na twoich kolanach.

Ponownie wzruszył ramionami.

- Jasne, raczej poproszę tatę, żeby mi pożyczył te dziesięć procent.

- Wiesz, co powie.

- Może się zgodzi.

- Może, choć raczej wybuchnie śmiechem.

Fintan wcale się nie przejął. Przez jakiś czas patrzył na telewizję, a potem spytał:

- A ty? Co zrobisz?

- Wynajmę mieszkanie. Pewnie gdzieś blisko biura. - Albo może blisko Dun Laoghaire - dodałam w myśli. - Rozmawiałam o

tym z ludźmi w pracy i trochę mi doradzili. Prawdopodobnie skończy się na czymś małym i tanim, a jednocześnie będę oszczędzać, żeby kupić coś na własność.

- Na pewno już odłożyłaś kupę kasy - stwierdził z zazdrością Fintan.

Zignorowałam jego uwagę.

- Oglądałam dziś parę miejsc, ale były za drogie albo zbyt odrażające. Jutro znów będę szukać.

- Będiesz wynajmować sama, czy z kimś do spółki? Mogłabyś kupić takie mieszkanie na Wybrzeżu. Gdybyś kupiła trochę większe, mogłabyś podnająć komuś jeden pokój i mieć na spłatę kredytu.

Danny radził mi coś podobnego, ale nie zamierzałam się nawet nad tym zastanawiać, bo wiedziałam do czego zmierza Fintan.

- Na razie mnie to nie interesuje - powiedziałam. I na pewno nie wynajęłabym pokoju tobie, pomyślałam.

Obejrzelismy film do końca, już nie rozmawiając, a potem poszłam spać. To była moja ostatnia rozmowa z Fintanem przed wyprowadzką.

Rozdział 14

Niedziela... Sam zadzwonił o pierwszej po południu, ale powiedział, że pracuje na drugą zmianę i nie będzie się mógł ze mną zobaczyć. Umówiliśmy się w tygodniu. Rozmawialiśmy prawie godzinę i odważyłam się wyznać, że za nim tęsknię. On stwierdził to samo.

Potem zadzwoniłam do Sharon i zaczęłam jej opowiadać o piątkowym wieczorze. Po paru minutach przerwała mi i zaproponowała, że wpadnie, o ile nie ma Fintana. Był, postanowiłyśmy więc wybrać się na przejażdżkę.

- Masz mi wszystko opowiedzieć! - zażądała, nim zdążyłam wsiąść do samochodu. - Jak było? Domyślam się, że się zjawił. A gdzie się wczoraj podziewałaś? Dzwoniłam setki razy.

Opowiedziałam jej wszystko, no, prawie wszystko. Nie przyznałam się, że aż tak bardzo cierpiałam z powodu złego humoru Sama, żeby przypadkiem źle mnie nie zrozumiała i nie powiedziała, że powinnam dać sobie z nim spokój.

Udało się, bo w końcu przyznała, że nieźle trafiłam.

- Pasujecie do siebie. Oboje macie fioła na punkcie filmów i oboje opowiadacie głupie dowcipy. Mam tylko nadzieję, że nigdy nie będę z wami w windzie, kiedy stanie między piętrami.

Milczała przez chwilę.

- W każdym razie usiłowałam się do ciebie wczoraj dobić, bo...

- To znaczy, że nie chodziło ci o plotki?

- W życiu! Mówiłaś, że szukasz mieszkania, prawda?

Rozmawiałam w piątek wieczorem z Jenny. Wiesz, że ona wychodzi za męża?

Skinęłam głową. Jenny jest kuzynką Sharon, ale nie z tej strony, co Laura. Jenny i Laura były w tym samym wieku i przyjaźniły się od dość dawna.

- Jenny wynajmuje mieszkanie, a raczej rodzaj większej kawalerki w Ranelagh.

- Pamiętam. Nocowałaś tam kiedyś, kiedy nie mogłaś złapać taksówki.

- Aha. Wyprowadza się w przyszłym tygodniu, bo właśnie dostali klucze do domu. Dzwoniła do mnie spytać, czy pomogę jej w przeprowadzce.

- Uważasz, że mogłabym się wprowadzić na jej miejsce?

- Tak. Jeśli chcesz, możemy tam zaraz pojechać. Mówiła, że przez cały weekend będzie się pakować. Właścicielka też powinna być w domu. Widziałam ją parę razy. Miła kobieta, ale bardzo wybredna, jak chodzi o lokatorów. Jeżeli zrobisz na niej dobre wrażenie, masz mieszkanie.

Zastanawiałam się przez parę minut. Jasne, powiedziałam sobie. Czemu nie? Oglądanie nic nie kosztuje.

Rozdział 15

Itak znalazłam mieszkanie. Przeprowadziłam się w następnym czwartek. Musiałam odwołać spotkanie z Samem, bo to był jedyny wolny wieczór Sharon. Miała naprawdę ciężki tydzień. Najpierw pomagała wyprowadzić się Jenny, a potem musiała pomóc mnie. Przysięgłam sobie w duchu, że jeśli kiedykolwiek kupię samochód, nikomu się do tego nie przyznam.

Dom był w stylu, który nazywałam georgiańskim, choć nie miałam pojęcia, czy odpowiadało to prawdzie. W budynku znajdowało się sześć mieszkań. Mary - Anne, właścicielka, mieszkała na parterze, na całe szczęście, gdyż uważałam ją za jedyną normalną osobę w tym domu. Oprócz mnie. Nie wiem, skąd Sharon przyszło do głowy, że miała jakieś wymagania co do lokatorów, ponieważ na moje oko stanowili zbieraninę wariatów.

Na pierwszym piętrze były dwa mieszkania: moje oraz Sandry i Brendana. Mieli mniej więcej tyle lat, co ja i mieszkali razem od jakiegoś czasu. W życiu nie spotkałam tak hałaśliwych ludzi. Bez przerwy się awanturowali.

Na górze znajdowały się trzy mieszkania. To brzmi tak, jakby dom stał do góry nogami, ale mieszkania po prostu były coraz mniejsze. Na drugim piętrze mieszkali: Andrea, Roger i pani Brannigan.

Trzydziestoletnia Andrea była neurotyczką i do niczego się nie nadawała. Ze sposobu, w jaki usiłowała mnie zaanektować, domyśliłam się, że nie ma żadnych przyjaciół. Roger był nauczycielem po pięćdziesiątce. Mary - Anne powiedziała mi, że zostawił żonę dla innej kobiety, która z kolei rzuciła jego i teraz siedział w swoim pokoju i pił. Sympatyczne zajęcie, jeśli możesz sobie na nie pozwolić. Pani Brannigan była starsza niż dom i to już o czymś świadczy. Wiecznie na wszystko narzekała, staraliśmy się więc jej unikać.

Tak czy inaczej, to już działało się po przeprowadzce. Na razie miałam przed sobą tydzień wyczerpanej pracy.

W poniedziałek rano przyszedłam do pracy dość wcześnie, ale Kevin już był. Nie spytał o moją randkę - nigdy nie pamiętał o podobnych rzeczach - nie zamierzałam więc sama zaczynać rozmowy na ten temat. Opowiedział mi, jak spędził weekend z różnymi śmiesznymi wariatami, chodząc z przyjęcia na przyjęcie.

Miał urozmaicone życie, choć nigdy nie chodził z jedną dziewczyną dłużej niż parę tygodni.

Barbara, oczywiście, chciała wszystko wiedzieć. Podałam jej skondensowaną wersję, w której w piątek nie wydarzyło się nic szczególnego, a wyjazd do Dun Laoghaire w sobotę nie był aktem desperacji. Oznajmiła, że cieszy się z mojego sukcesu i powiedziała, że powinnam przyprowadzić Sama na następny bankiet firmowy.

Koło jedenastej przypomniało mi się, że Vicky ma dziś nie być i że wyznaczyła mnie na swoją zastępczynię. Nie miało to najmniejszego wpływu na naszą pracę, bo i tak nic nie robiliśmy. Oprócz Danny'ego, który musiał spotkać się z klientem. Później, do przerwy na lunch, przepisywał notatki i przygotowywał Raport Spotkania. Szefowa uwielbia Raporty Spotkań.

Jedynym godnym uwagi wydarzeniem było to, że Kevin bez łąpówki poszedł po mleko. Sądziłyśmy z Barbarą że jest chory, wolałyśmy jednak nie pytać, bo na pewno opowiedziałby nam o tym. Kevin zawsze chętnie omawiał ze szczegółami, co je i co z siebie wydala. Na ogół nie zwracaliśmy uwagi na jego opowieści, ale pewnego razu wspomniałam, że ludzie z obsesją na tle swych wydzielin mają za dużo wolnego czasu i nim się spostrzegłam, opowiadał mi o koktajlach mlecznych św. Patryka podawanych w McDonalddie i o tym, że jeśli się wypije pięć takich koktajli jednego dnia, ma się zielone kupy.

Sam zadzwonił po przerwie i Barbara natychmiast znalazła sobie coś do roboty przy moim biurku.

- Jak leci? - zapytał. - Dużo roboty?
- Nie bardzo - odparłam jak najciszej. - Dzwonisz z pracy?
- Nie. Dziś idę później. Posłuchaj, masz czas jutro wieczorem?

Jeden z kumpli załatwił mi dwa bilety na pokaz przedpremierowy nowego filmu braci Coenów. Podobno fantastyczny.

- Lepszy niż, dajmy na to, Fargo 1?
- Jasne. Słyszałem, że lepszy od Arizona Junior.
- To muszę zobaczyć. Gdzie i o której?
- Przed Savoyem o ósmej. Film zaczyna się o dziewiątej, ale możemy najpierw coś zjeść, dobrze?
- Pewnie, dzięki. Nigdy nie zgadniesz, co się stało wczoraj po południu.
- Elvis występował na Lansdowne Road?

- Mhm. Przegrał trzy do zera. Powiem ci: znalazłam mieszkanie. Kuzynka mojej przyjaciółki mieszka w Ranelagh i wyprowadza się stamtąd w tym tygodniu. Pojechałyśmy tam wczoraj i rozmawiałam z właścicielką która zgodziła się wynająć mi to mieszkanie. Nie będzie musiała nikogo szukać. Wprowadzę się, jak Jenny się wyprowadzi. Jest tam wprawdzie tylko jeden pokój, ale dosyć duży, z oddzielną łazienką i czymś w rodzaju małej kuchenki.

- To wspaniale! Mówię ci, twoje życie się zmieni. Po pierwsze zaoszczędzisz codziennie parę godzin na dojazdach do pracy. Jeśli chcesz, mogę spróbować namówić Dave'a, żeby pożyczył mi furgonetkę. Ale najwcześniej w sobotę rano. Nie, zaczekaj. W sobotę pewnie znów będę pracował. To by musiało być w niedzielę.

- Sharon mi pomoże. Zaczęłam już pakować książki i kasety wideo. Dziękuję za propozycję.

- Muszę kończyć, żeby zdążyć coś zjeść przed wyjściem do pracy. Widzimy się jutro wieczorem, tak?

- Zdecydowanie - odparłam, zastanawiając się, czy nie jestem zbyt łatwa.

- Dobrze. Jeśli dziś wieczorem nie będzie za dużo klientów, postaram się zadzwonić, dobrze?

- Dobrze. Albo ja zadzwonię do ciebie. Będę się pakować, ale to nie potrwa długo.

Pożegnanie zabrało nam z pięć minut. Powtarzaliśmy: „to do zobaczenia”, „w sobotę było bardzo fajnie” i „cieszę się na ten film”.

Kiedy wreszcie odłożyłam słuchawkę, Barbara uśmiechnęła się słodko i spytała:

- Kto dzwonił, Susan? Wykrzywiłam się do niej.

- Weterynarz. Powiedziała, że trzeba cię uśpić. Barbara uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Dzwonił kochaś, co? Samiec Sam sprawdza, czy jesteś grzeczna?

Nie musiała tego mówić. Za przepierzeniem Danny nagle przestał pisać na komputerze. Po paru sekundach do Barbary dotarło, co zrobiła. Skuliła się i wymamrotała ciche przeprosiny. Dużo mi z nich przyszło.

Do końca dnia Danny był w nie najlepszym humorze. Wprawdzie wiedział, że się z kimś spotykam, bo słyszał o tym w piątek, ale może

starał się zapomnieć. Gdy znowu o tym usłyszał, na pewno się nie ucieszył.

Niby co miałam zrobić? Nigdy nie dał mi o zrozumienia, że jest mną zainteresowany, a ja teraz też już bym niczego nie zrobiła, skoro znalazłam faceta, który mi odpowiadał. W dodatku dopiero w zeszłym tygodniu dowiedziałam się, że podobam się Danny'emu. I to od Barbary. Nie, nie mogłam zrezygnować z Sama.

Dotychczas nie miałam nikogo, a teraz coś takiego! Właściwie nawet mi się to podobało. Zaczynałam rozumieć rozterki Barbary.

Rozdział 16

Spotkałam się z Samem we wtorek wieczorem i kiedy przed filmem poszliśmy coś zjeść do Eddie Rockefs, opowiedziałam mu o mieszkaniu. Muszę przyznać, że był zdziwiony, że tak szybko je znalazłam.

- Zwykle trzeba szukać bardzo długo - powiedział. - Zapłacisz za to w następnym wcieleniu.

- Czyżby? To znaczy, że w poprzednim byłam potworem?

- Nie mów, że masz takie kiepskie życie. Pochyliłam się nad stołem.

- Mogło być gorzej. Jestem zadowolona z rozwoju wypadków...

- Staralam się to powiedzieć uwodzicielsko, a na koniec przesłałam mu w powietrzu pocałunek.

- Nie rób tego! Nie chciałbym się znaleźć w trudnej sytuacji, gdybym musiał nagle wstać.

- To znaczy w jakiej jesteś sytuacji? - spytałam poruszając brwiami, jak Graucho Marx.

- W takiej, że chciałbym, żebyśmy byli tu sami. I nie wiem, czy nie polecą mi guziki przy dzinsach.

Poszliśmy na film, poprzytulaliśmy się trochę w chwilach grozy i tyle. Musieliśmy lecieć do autobusu, ale obiecałam, że spotkamy się w tygodniu.

W czwartek odbyła się przeprowadzka, musiałam więc zadzwonić po południu i odwołać spotkanie. Sam był trochę rozczarowany, humor mu się jednak poprawił, gdy obiecałam, że spotkamy się w sobotę i pokażę mu nowe mieszkanie.

W czwartek wieczorem pakowałam do pudeł ostatnie ubrania, kiedy Fintan zapukał i zajrzał do pokoju.

- Naprawdę się wyprowadzasz? Kiwnęłam głową.

- Dobrze. - Przyglądał mi się przez chwilę. - No to cześć.

- Cześć. - Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Wydawało mi się, że chciał jeszcze coś powiedzieć... Nie spodziewałam się, że się nagle rozplacze i będzie mnie błagał, bym została, ale coś go gnębiło. Nie miałam jednak czasu za długo się nad tym zastanawiać, bo nie mogłam znaleźć wyjściowych butów.

Sharon przyjechała tuż przed ósmą. Załadowanie samochodu zabrało nam z pół godziny i dziękowałam Bogu, że nie ma ojca, bo zaraz zaczęłyby opracowywać „system”, żeby zmieścić jak najwięcej

rzeczy w jak najmniejszej przestrzeni. Ja, oczywiście, miałam własny system, który polegał na tym, żeby upchnąć jak najwięcej w bagażniku i na tylnym siedzeniu, a resztę zostawić.

Fintan wyszedł przed dom i zaoferował się z pomocą, kiedy wkładaliśmy ostatnie pudło. Nawet nie spojrzeli na siebie z Sharon, a atmosfera była tak gęsta, że można ją było ciąć piłą.

Podziękowałam Fintanowi.

- Tu już skończyliśmy, ale jeśli chcesz pomóc, mógłbyś zanieść z powrotem na górę to, co się nie zmieściło.

- Dobrze. Do zobaczenia.

- Powiedz rodzicom, że mówię im „do widzenia”.

- Jasne.

Jeszcze raz się pożegnał i poszedł do domu. Sharon usiadła za kierownicą i przekręciła kluczyk.

- Gotowa?

- Tak. - Wzięłam ostatnie pudło, usiadłam koło niej i postawiłam sobie pudło na kolanach. - Jedziemy.

Sharon wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła. Nie chciało mi się oglądać za siebie.

W piątek wieczorem po raz pierwszy wróciłam z pracy piechotą, w dodatku już o wpół do szóstej. Szybko coś przekąsiłam, wzięłam prysznic i pojechałam autobusem do domu, żeby się przekonać, jak rodzina radzi sobie beze mnie. Rozczarowana zauważyłam, że nie odczuli większej różnicy. W końcu minął tylko jeden dzień.

Matka podała mi list.

- Przyszedł dziś rano.

Na kopercie zobaczyłam nieznaną mi, staranny charakter pisma. Nawet znaczek był naklejony z wyszukaną symetrią. Przez moment przeraziłam się, że to może być list miłosny od Danny'ego. Albo, co gorsza, list pożegnalny przed samobójstwem.

Rozdarłam kopertę i dopiero wtedy przypomniałam sobie swoją odpowiedź na ogłoszenie w gazecie.

Droga panno Perry!

Czy mogę nazywać panią Susan? Bardzo dziękuję za list. To naprawdę było okrutne i okropne z pani strony. Ponieważ jednak, być może, pisze pani wyłącznie dla zabawy, na razie nie podam pani mojego adresu. Ewentualnie niech pani napisze pod ten sam numer, a ja - jeśli mi się zechce - odpiszę.

Niech pani szczęście w piekle.

J.

O Boże - pomyślałam. Facet jest psychiczny albo ma za dużo czasu.

Jednak było w jego liście coś, co mi się podobało. Może równe litery, jakby napisane na komputerze, może fakt, że J. wyraźnie nie szukał kogoś, kto by mu kadził. Odniosłam wrażenie, że zależy mu na kimś, z kim mógłby nawiązać nić porozumienia.

Moje rozmyślania przerwała mama.

- Wczoraj wieczorem był tu Anthony. Trochę się złościł, że nie powiedziałaś mu o wyprawadźce.

- Cholera, w ogóle mi to nie przyszło do głowy. Mówił, że będzie w domu dziś wieczorem?

- Mnie nie pytaj. Zadzwoń i sprawdź.

Czułam się trochę, a raczej bardzo niezręcznie. Jeszcze mu nie opowiedziałam, jak było z Samem. Co mi przypomniało, że nie skontaktowałam się z Markiem z wypożyczalni, żeby podziękować mu za pomoc.

W końcu zadzwoniłam do Marka i obiecałam, że wpadnę niedługo ze szczegółowym sprawozdaniem, a potem poszłam do Anthony'ego. Właśnie wychodził, ale wcale nie był na mnie zły. Chciał się dowiedzieć wszystkiego o Samie, podałam mu więc mój nowy adres i obiecał, że przyjdzie któregoś dnia w przyszłym tygodniu.

Resztę wieczoru spędziłam z rodzicami i o wpół do jedenastej powiedziałam z rozkoszą:

- No, chyba się będę zbierać do domu.

Ojciec chciał mnie odwieźć, ale wypił trochę - akurat tyle, żeby uważać, że jest wciąż trzeźwy i że jest bardzo dobrym kierowcą - wolałam więc wrócić autobusem.

W drodze jeszcze raz przeczytałam list J. Doszłam do wniosku, że mi się podoba i że mu odpiszę.

Rozdział 17

Jakimś cudem szef Sama w sobotę zwolnił go wcześniej. Kiedy zadzwonił, siedziałam w szlafroku na łóżku, oglądając telewizję i jednocześnie obcinając sobie paznokcie u nóg.

Telefon miałam tuż za drzwiami. Dowiedziałam się ostatnio, że odziedziczyłam funkcję Stróżki Telefonu, ponieważ nikomu innemu nigdy nie chciało się go odbierać.

Sam powiedział, że właśnie skończył pracę i akurat wpadł do niego Dave, który wybiera się do miasta i powiedział, że może go podrzucić do Ranelagh.

- Jeśli nie masz nic przeciwko niezapowiedzianemu gościowi.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Oczywiście, chciałam go zaprosić, żeby pokazać mu mieszkanie, ale trochę później, żeby przygotować się psychicznie i posprzątać. Jeszcze nie byłam gotowa.

Z mojego wahania Sam wywnioskował, że nie chcę go zaprosić.

- Jeśli wolisz, możemy spotkać się w mieście.

- Przyjdź tu. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

- Będę za pół godziny.

Odłożyłam słuchawkę i zaczęłam miotać się gorączkowo po mieszkaniu, usiłując jednocześnie posprzątać i się ubrać. Po paru minutach zwolniłam tempo i zaczęłam myśleć. Uświadomiłam sobie, że nie mam w domu nic do jedzenia. Nawet mleka do herbaty. Ani herbaty.

Na małym stoliku, na obu krzesłach i na fotelu leżały stosy książek, płyt CD, kaset wideo i ubrań. Usiąść można było jedynie na łóżku. Zaczęłam sprawdzać pościel... O nie! W żadnym wypadku! Nie zamierzałam na to pozwolić. Jeszcze nie. Dobra, Susan, powiedziałam sobie, pozbieraj rzeczy ze stołu i z krzesel i rzuć je łóżko. To uniemożliwi wszelkie romantyczne pomysły. I ubierz się byle jak. Niech cię zobaczy w brudnych dżinsach i swetrze z dziurami na łokciach. Bez makijażu. Rozczochraną. W żółtych gumowych rękawiczkach pachnących domestosem. I dla ostatecznej gwarancji - starych pluszowych kapciach z kotem Garfieldem.

Po chwili doszłam do wniosku, że to bez sensu. Sam jest facetem i jeśli zechce myśleć o seksie, nic mu w tym nie przeszkodzi, nawet mój odrażający wygląd. Skoncentrowałam się więc na opróżnieniu stolika i krzesel, starając się, by mieszkanie wyglądało jak najporządniej.

Został jeszcze mój wygląd. Spojrzałam na zegarek i obliczyłam, że mam dziesięć minut. Ubrałam się normalnie: w porządną parę dżinsów, niesłychanie drogą (prawie dwanaście funtów) bluzkę z House of Dunnes i zwykłe, nudne buty na płaskim obcasie.

Czekałam.

Mężczyźni i kobiety mają zupełnie odmienne pojęcie czasu. Sam powiedział „pół godziny”, co znaczyło pół godziny od momentu, kiedy wsiądą z Dave'em do samochodu. Wcześniej musieli zrobić wszystko to, co robią faceci i przez to się zawsze wszędzie spóźniają. Musieli porozmawiać o piłce, o tym, czy Kim Ba - singer jest ładniejsza od Kim Ryan, opowiedzieć sobie całe sceny z filmów Monty Pythona, wpaść do miejscowego pubu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w telewizji nie ma jakiegoś meczu, i tak dalej.

Sam przyszedł jakieś dwie godziny po telefonie. Czyli mniej więcej o tej samej porze, kiedy mieliśmy się spotkać w mieście.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, kiedy otworzyłam drzwi wejściowe. - Dave spotkał znajomego i nie mogliśmy tak od razu pojechać.

Pochyliłam się i pociągnęłam nosem.

- Nie czuję alkoholu. Byliście w pubie? Uśmiechnął się.
- Odczep się, kobieto. Niczego nie piliśmy.
- Wybaczam ci, że czekałam i czekałam całymi godzinami.

Nawet o tym nie wspomnę.

- Czy mogę wejść?
- Pod warunkiem, że nie będziesz grzeczny - rzuciłam i natychmiast tego pożałowałam. Już i tak we wtorek dałam mu do zrozumienia, że może liczyć na coś więcej niż uścisk dłoni i pocałunek w policzek. - Żartowałam - dodałam. - Wejdz, proszę.

Poszedł za mną do mieszkania.

- To jest to - stwierdziłam. - Szybkie zwiedzanie, prawda? Rozejrzył się.

- Wysoki sufit. Niełatwo będzie je w zimie ogrzać. Ale poza tym całkiem niezłe. Tu jest łazienka? Mogę skorzystać z twojej ubikacji?

- Ty używasz ubikacji? - wykrzyknęłam zdumiona. - Straciłam ostatnie złudzenia co do twojej boskości.

- Wiedziałem, że będziesz się ze mnie wyśmiewać. Mogę?

- Tak, ale jak skończysz, zostaw podniesioną deskę. Wszedł do mojej małej łazieneczki i zamknął drzwi.

- Nie mam nic do jedzenia - zawołałam. - Możemy gdzieś pójść, jeśli chcesz. Za rogiem jest pizzeria. No, trochę dalej niż za rogiem. Fajne miejsce. Byłam tam parę razy z ludźmi z pracy.

- Susan?

- Tak?

- Nie mogę, jak do mnie mówisz.

Z jakiegoś powodu potwornie mnie to rozśmieszyło i wciąż chichotałam, kiedy wyszedł, z uniesionymi w górę rękami, jak chirurg przed operacją.

- Nie masz ręcznika.

- Ach tak, przepraszam. Wrzuciłam go do prania, kiedy sprzątałam. - Znalazłam czysty ręcznik. - Chcesz pójść coś zjeść?

- Jasne. A co będziemy robić potem?

Wzruszyłam ramionami.

- Możemy obejrzeć jakiś film - zaproponowałam, pokazując kasety. - Zobacz, czy znajdziesz coś, co cię interesuje.

Z jedzeniowego punktu widzenia popełniłam błąd.

Przeglądaliśmy kasety przez parę ładnych godzin. Sam widział prawie wszystkie filmy i miał o nich swoje zdanie. Potrafił opisywać całe sceny z tych bardziej znanych. A potem zobaczył kasetę z Czasem patriotów i zaczął naśladować Harrisona Forda.

- Jeśli wciąż jesteś głodny, możemy zadzwonić do Dominos i zamówić pizzę - podsunęłam.

Rozdział 18

- Tak.

Tak się zaczęło. Zamówiliśmy dwie pizze i dwie cole. Wśród moich zbiorów kaset Sam nie znalazł niczego, co szczególnie chciałby obejrzeć, zajął się więc płytami. Wtedy okazało się, że nie tylko mamy podobny gust do filmów, ale także niemal identyczne zainteresowania muzyczne. Prawie, bo Sam przyznał się, że bardzo lubi muzykę klasyczną i nie chciał w żadnym wypadku słuchać Kids from Fame ani siedemnastu innych płyt, których nie uważał za muzykę. Ale okazało się, że oboje uwielbiamy Davida Bowie i Suede.

Kiedy przywieźli pizze, zignorowaliśmy stolik i krzesła, nadal siedząc po turecku na podłodze, rozmawiając i słuchając Genesis z czasów Petera Gabriela. Kiedy zrobiło się ciemno, zapaliłam lampę przy łóżku. Żałowałam, że nie mam świec.

Czasem, kiedy pominie się ważne polityczne przesłanie zawarte w jego piosenkach, Peter Gabriel potrafi być bardzo romantyczny. Opieraliśmy się o stary puf, obejmując się i robiło się coraz przytulniej.

Przeszkadzało nam tylko to, że co dwadzieścia pięć minut trzeba było wstać i zmienić płytę... W końcu przestałam się przejmować, nastawiłam radio i z powrotem przytuliłam się do Sama. Był naprawdę bardzo ciepły. Zdjął koszulę i został w obcisłym, białym podkoszulku. Miał niezłe ciało.

Zauważyłam, że przez podkoszulek wystaje kilka włosów i delikatnie pociągnęłam jeden z nich.

- Auu! To boli!

- Przepraszam, myślałam, że to koci włos, czy coś takiego - skłamałam. - Pozwól, że ci to wynagrodzę. - Usiadłam na jego udach i zaczęłam gładzić mu pierś. Zareagował tak, jak się spodziewałam - podsunął się do góry i położył dłonie na moich biodrach.

Pochyliłam się i zaczęłam intensywniej masować mu klatkę piersiową. Zdjęłam z głowy opaskę i moje włosy opadały na twarz i kark. Sam podniósł głowę i pocałował mnie.

Niewielka część mózgu, która nadal działała racjonalnie, przypomniła mi, że wcześniej z całym przekonaniem postanowiłam, iż nic takiego się nie stanie. Reszta mózgu powiedziała tej racjonalnej części, żeby się zamknęła i nie przeszkadzała.

Lewą ręką objęłam go za szyję i przyciągnęłam jak najbliżej, a prawą przesuwając w dół do klamry paska.

I na tym się skończyło. Sam zeszywniał, drgnął i usiłował się ode mnie odsunąć. Najpierw pomyślałam, że się dusi. Potem, że ma więcej silnej woli ode mnie. A jeszcze później, że być może wcale nie ma silnej woli i przedwcześnie zabrudził sobie bieliznę.

Nie spodziewałam się, że dusi się ze śmiechu.

Zacząłam chichotać.

- Masz łaskotki. - Sięgnęłam ręką do jego brzucha, ale szybko się odsunął, śmiejąc się, tym razem na głos.

- Nie! Nie! - wykrzyknął, trzymając się za brzuch. - Przestań! Rzuciłam się na niego i wylądowałam twarzą w pufie. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że Sam odsunął się jak mógł najdalej i wciąż się śmieje. Po twarzy spływały mu łzy.

- Przepraszam - powiedział. - Powinienem być cię ostrzec. Jeszcze parę razy spróbowałam go połaskotać, ale za każdym razem jakoś się wywinął.

Chyba wtedy, gdy patrzyłam, jak siedzi na podłodze, oparty o ścianę, śmiejąc się niby sześćoletni chłopiec, zrozumiałam, że się w nim zakochałam.

Tej nocy nie poszliśmy do łóżka. Rozmawialiśmy, śmieliśmy się i było mi tak dobrze, jak jeszcze z nikim do tej pory.

Koło pierwszej w nocy zgłodnieliśmy i poszliśmy do nocnego sklepu w Ranelagh, gdzie wydaliśmy majątek na czekoladę, lody, ciastka, chipsy i colę. Gdy wracaliśmy do domu każde z nas niosło po jednej torbie, żebyśmy mogli trzymać się za ręce.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, Sam zaczął szukać w szafce łyżeczek do lodów. Znalazł powykręcany nóż, który służył mi za śrubokręt, kiedy musiałam naprawiać suszarkę do włosów.

- Co to jest? - spytał, podnosząc nóż do góry. - Czyżbyś spotykała się za moimi plecami z Uri Gellerem?

- Używam go do krojenia kartofli, kiedy robię karbowane frytki.

- Myślałam, że wygięłaś go siłą woli. - Odłożył nóż i wyjął łyżeczki.

- Wierzysz w takie rzeczy?

- Paranormalne? Nadprzyrodzone? Okultystyczne? Duchy, gobliny i siła woli? UFO, Atlantyda, trójkąt bermudzki, poruszające

się posągi, Bóg, przybysze z kosmosu, astrologia, reinkarnacja i aromaterapia...? Nie. Jestem sceptykiem.

- I ateistą?

- Tak. Jak Boga kocham. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Raczej nie. Każdy musi znaleźć swoją drogę. Ale też każdy powinien mieć coś, w co wierzy.

- Ja nie. Uważam, że wszystko kończy się wraz ze śmiercią. Nauka wyjaśniła wszystko, co ludzie uważali za nadprzyrodzone, a jeśli jeszcze nie wszystko, to dlatego, że brak nam dokładnych danych.

- Nigdy nie zetknąłeś się z czymś dziwnym? Nigdy ci się nie zdarzyło, że pomyślałeś o kimś, kogo od dawna nie widziałeś i w tym momencie go spotkałeś?

Sam wzruszył ramionami.

- Znałem kiedyś dziewczynę, która zawsze stawiała kubek z herbatą na podłodze, a potem natychmiast o nim zapomniała i niechcący przewracała go nogą. Naprawdę. A ty? W co wierzysz?

- Nie jestem do końca przekonana, że istnieją duchy i przybysze z kosmosu, ale musi istnieć coś więcej, niż tylko to, co widzimy i znamy. Mój ojciec twierdzi, że kiedy był chłopakiem, ludzie uważali akupunkturę za głupi wschodni przesąd. A teraz to jest uznawana praktyka medyczna.

- No i co?

- Kiedyś ludzie uważali pogląd o kulistości ziemi za herezję. I wierzyli, że nasza planeta jest centrum wszechświata. Tylko dlatego, że nie mieli dość informacji.

Sam uśmiechnął się.

- Właśnie to mówiłem. Wszystko, co kiedyś uważano za zjawiska nadprzyrodzone, okazało się mieć swoje racjonalne, naukowe wyjaśnienie. Koniec.

Od razu się na niego rzuciłam.

- Aha! Czyli twierdzisz, że jeśli coś da się wyjaśnić naukowo, nie jest tym samym czymś nadprzyrodzonym!

- Tak. Ponieważ termin „nadprzyrodzony” zakłada, że jest to coś nienaturalnego. Jednakże w miarę upływu czasu definicja „naturalnego” zmienia się automatycznie i obejmuje rzeczy, które znamy jako prawdziwe.

- Taka dyskusja może trwać wiecznie. Sam spojrział na zegarek.
- Powinienem już iść. O dwunastej muszę być w pracy. Ostatni autobus dawno odjechał? Czy w Ranelagh jest postój taksówek?
- Jest, ale możesz zostać, jeśli obiecasz, że nie będziesz zaczynał niczego głupiego.

Oczywiście, wcale tego nie chciałam. Marzyłam o tym, żebyśmy zdarli z siebie ubranie i namiętnie się na siebie rzucili. Z drugiej strony, nie zależało mi na związku opartym wyłącznie na seksie, jak mi się już to w przeszłości zdarzało. Po jakimś czasie jedna z osób dochodzi do wniosku, że druga już jej tak bardzo nie pociąga i wtedy okazuje się, że nie mają ze sobą nic wspólnego, poza tym że ich pewne prywatne części ciała niezłe do siebie pasują. Nie, chciałam, żeby najpierw pojawiło się między nami uczucie. Na seks był czas później.

- I co ty na to?
- Dzięki. Obiecuję, że będę grzeczny. Jak to zrobimy? Ja na podłodze?
- Byłoby ci niewygodnie. Jeśli zostaniesz w bieliźnie, a ja włożę piżamę, możemy spać razem w łóżku.
- Strasznie jest pani zasadnicza, panno Perry.

Nie wyspałam się. Łóżko było wąskie i budziłam się za każdym razem, kiedy Sam się poruszył. Dotrzymał słowa i niczego nie próbował. Zwinął się w kłębek i zasnął.

Obudziłam go o dziesiątej i posłałam pod prysznic, a sama poszłam kupić coś na śniadanie. Kiedy wróciłam był wykąpany, ubrany, a nawet sprzątnął wczorajszy bałagan.

Po śniadaniu odprowadziłam go na przystanek autobusu. Stwierdziliśmy, że fantastycznie spędziliśmy razem czas, ucałowaliśmy się na do widzenia i wróciłam do domu, nie mając pojęcia, co zrobić z resztą dnia.

Kiedy rozpakowywałam pudła, znalazłam list od J. I postanowiłam mu odpisać.

Drogi J.!

Nie możesz zwracać się do mnie po imieniu. Jest to zarezerwowane wyłącznie dla moich przyjaciół, do których z całą pewnością się nie zaliczasz. Twój list - który przeczytałam wyłącznie z nudów - był nieciekawym. Twoje pismo jest tak żalotne, że aż śmieszne. Nie uczyli Cię w szkole ładnie pisać? Może powinienes

sprawić sobie maszynę do pisania, o ile nie jesteś skąpy. Nie pisz do mnie więcej.

Bez pozdrowień. S. Perry

PS. Gdybyś jednak zdecydował się jeszcze do mnie napisać, choć mam nadzieję, że tego nie zrobisz, zwróć uwagę na zmieniony adres. Wyprowadziłam się z domu w obawie, że Twoje listy zaszkodzą mojej rodzinie. Czułam, że muszę się wynieść, gdyż to ja sprowadziłam na nich zarazę pod nazwą „J.”.

Napisanie listu zabrało mi tylko kilka minut i znów nie wiedziałam, czym się zająć. Włączyłam telewizję, ale pokazywali wyścigi koni - siedemdziesiąt pięć identycznych skoków na trzech kanałach, program o rolnictwie w Szkocji, bardzo stare przedstawienie dramatyczne i tygodniową powtórkę seriali, z których większość widziałam.

Usiłowałam sobie przypomnieć, co zwykle robiłam w domu w niedzielę, ale niewiele mi to dało. Kiedy zostawałam sama w domu, byłam tak zachwycona, że nawet prasowanie wydawało się nadzwyczajną przyjemnością.

Spojrzałam na kosz z brudami. Mogłabym zrobić pranie. Nie mieliśmy tu pralki, ale wiedziałam, że w Ranelagh jest parę samoobsługowych pralni. Zajęłoby mi to następne kilka godzin. Kiedy jednak zaczęłam sortować rzeczy na białe i kolorowe, doszłam do wniosku, że mi się nie chce.

Niedziela ciągnęła się bez końca. W pewnej chwili z rozpaczki pomyślałam nawet, że wybiorę się do biura. Ale zaraz oprzytomniałam i skarciłam się w duchu.

To był bardzo długi dzień, a najbardziej brakowało mi Sama.

Rozdział 19

Nadszedł poniedziałek, w pracy nie było nawet tak źle, bo szefowa wyjechała w podróż poślubną. Musiałam uważać, żeby się nie wygadać przed innymi, bo o niczym nie wiedzieli.

Zostałam jej zastępczynią, ale nie miałam wielkiego pola do popisu - parę sesji treningowych, parę sprawozdań, jedno czy dwa wstępne spotkania z potencjalnymi klientami. Nic, z czym nie dałabym sobie rady.

Kiedy po południu Barbara spytała, czy może już wyjść, chciałam jej początkowo odmówić, żeby przypadkiem nie myśleli sobie, że przy mnie wszystko im wolno. Po krótkim namyśle doszłam jednak do wniosku, że skoro i tak nie ma nic do roboty, równie dobrze może wyjść.

- Zgoda - powiedziałam - ale tylko dziś, dobrze? Jeszcze się przekonasz, że kiedy trzeba, potrafię być prawdziwą jędzą.

Staralam się mówić lekkim tonem, jakby nie przywiązując do tego większej wagi, jednak dobrze ją znałam i nie chciałam, aby sądziła, iż może mnie wykorzystywać.

Barbara wyszła, a my trwaliśmy w pogotowiu, na szczęście nic się nie stało i dzień skończył się bezproblemowo.

Danny wciąż się do mnie nie odzywał. Odpowiadał mi za każdym razem, gdy coś do niego mówiłam, ale sam nie zaczynał rozmowy. Wprawdzie powtarzałam sobie, że to przecież nie moja wina, ale nie czułam się z tym lepiej.

Zastanawiałam się, czy nie wziąć go na bok i spytać, jako jego nowa, choć chwilowa szefowa, co go gnębi. Wiedziałam jednak, że to nic nie da. Wpadnie w jeszcze większą depresję, a mnie będzie głupio. Może dlatego Vicky nigdy nie prowadziła z nami towarzyskiej konwersacji. Trudno jest kierować ludźmi i jednocześnie się z nimi przyjaźnić.

Sam zadzwonił, gdy miałam zamykać biuro. Wszyscy już poszli, mogłam więc posiedzieć i spokojnie z nim porozmawiać przez dobrą godzinę, układając w tym samym czasie pasjansa na komputerze. Od czasu do czasu musiał na chwilę odejść, by obsłużyć klienta, a kiedy wracał, zachowywał się tak, jakby przerwa trwała godzinę.

W końcu umówiliśmy się na środę i pożegnaliśmy. Jeszcze przez pół godziny grałam na komputerze, choć myślałam o Samie. Polubiłam go bardziej niż jakiegokolwiek faceta do tej pory.

Niewątpliwie pasowaliśmy do siebie i byliśmy dla siebie atrakcyjni.

Miałam wrażenie, że moi przyjaciele go zaakceptują i pomyślałam, że już niedługo przynajmniej niektórzy powinni go poznać. Nie byłam pewna co do Anthony'ego. Wprawdzie był ode mnie młodszy o kilka lat, ale traktował mnie jak starszy brat - może dlatego nie dogadywali się z Fintanem.

Postanowiłam zadzwonić do Anthony'ego i zaprosić go do nowego mieszkania. W końcu nie miałam nic lepszego do roboty. Poza tym Anthony był zabawny pod warunkiem, że nie miał akurat tego swojego ponurego nastroju pod tytułem: „Nigdy nie znajdę sobie dziewczyny i nikt mnie nie lubi”.

Jego matka podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Dzień dobry, mówi Susan. Czy jest Anthony?

- Zaraz go poproszę, skarbie. Jak się miewasz? Anthony mówił, że wynajęłaś mieszkanie.

- Tak, przeprowadziłam się w zeszłym tygodniu.

- To dla ciebie duża odmiana, kiedy musisz sama gotować, sprzątać i tak dalej.

- Nie jest tak źle - powiedziałam, choć nie zrobiłam jeszcze żadnej z tych rzeczy. - W domu przecież pomagałam mamie.

- A co u rodziców? Nie widziałam ich od wieków. Nie, to nieprawda. Niedawno widziałam Fintana, jak wracał ze sklepu. Ostatnio jest bardzo spokojny, prawda? Ledwo mruknął „dzień dobry”. "

- Jest po prostu chimeryczny.

Potem musiałam jej opowiedzieć, jaka była pogoda w Ranelagh w czasie weekendu, jakie jest moje mieszkanie i co słyhać w pracy. Miałam szczerą ochotę zażądać, żeby przestała już nadawać i poprosiła wreszcie do telefonu Anthony'ego, ale jestem tchórzem i dlatego musiałam swoje odcierpieć. W końcu, po Bóg wie jak długim czasie, przypomniało jej się, po co dzwonię i poszła po syna.

- Co słyhać? - spytał Anthony. - Nie mogę z tobą długo rozmawiać, bo wychodzę.

- Nie pytaj mnie o pracę, mieszkanie, pogodę i cenę chleba w Spar, bo właśnie opowiedziałam wszystko ze szczegółami twojej matce.

Zazwyczaj Anthony przyznałby mi rację i opowiedział o paru głupotach, które ostatnio zrobiła jego matka. Jest bardzo miła, ale czasami strasznie roztrzępana.

Tym razem jednak najwyraźniej nie tolerował żartów, choćby dobroduszych, o matce.

- Dzwonisz, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, zadzwoniłam, żeby cię zaprosić na dziś wieczór do nowego mieszkania. Jak wychodzisz, to nie ma sprawy.

- Przykro mi. Zadzwonię do ciebie za parę dni, dobrze?

- Dobrze - odparłam, zastanawiając się czym go uraziłam. No, dobrze, nie uprzedziłam go o przeprowadzce, bo naprawdę nie zdążyłam. Poza tym nie muszę mu wszystkiego mówić.

Wróciłam do domu i w ponurym humorze rozsiadłam się przed telewizorem.

O ósmej ktoś zastukał do drzwi. Stara pani Brannigan z drugiego piętra.

- Halo, Susan, jak się miewasz? Urządziłaś się już? - spytała, strzelając oczami na wszystkie strony i starając się sprawdzić, czy mam duży bałagan.

- O tak, wszystko jest w porządku. Wciąż się jednak rozpakowuję i...

Ze zrzęczością Michaiła Barysznikowa wysmarowanego masłem - to dobry pomysł - wślizgnęła się do środka. - Mary - Annę mówiła, że dziewczyna, która mieszkała tu przed tobą, jest twoją kuzynką.

- Kuzynką mojej przyjaciółki. Właściwie jej nie znam. Pociągnęła nosem.

- Zimna dziewczyna. Niezbyt miła. I czasami trochę za głośno się zachowywała. Nigdy nie chodziła do kościoła. - Wzięła książkę i zbliżyła ją do oczu. Dzięki Bogu, że był to jakiś romans, a nie Anty - papież Roberta Rankina, który leżał tuż obok. - Masz dużo książek.

- Lubię czytać - odparłam, choć miałam ochotę powiedzieć jej, żeby sobie poszła i nie myszkowała po kątach.

Nadal się rozglądała.

- I muzyka. I filmy.

Wiedziałam, że łatwo się jej nie pozbędę.

- Czy ma pani ochotę na herbatę? Właśnie zamierzałam sobie zrobić - skłamałam.

Pani Brannigan ostrożnie usiadła w fotelu.

- To bardzo miło z twojej strony, kochanie. Jesteś bardzo uprzejma. Młodzi ludzie dziś nie są tacy.

Wtedy odkryłam, że nie mam imbryka i musiałam uciec się do ulubionego sposobu lokatorów mieszkań do wynajęcia, czyli zaparzyć herbatę w torebkach wprost w filiżankach.

Pani Brannigan zabawiała mnie opowieścią o dawnych czasach, kiedy za dziewiętnaście szylingów i trzy i pół pensa mogła kupić dwadzieścia kilo zapiekanki z kiełbasy i cebuli i karmić całą rodzinę przez miesiąc; o tym, jak chodziła do szkoły dłuższą drogą, aby unikać policji; jak poszła do pracy w piekarni w wieku dziewięciu lat i musiała pracować trzynaście godzin dziennie. W dodatku na bosaka.

Bez słowa podałam herbatę. Nie musiałam się odzywać, jedynie od czasu do czasu kiwnąć albo potrząsnąć głową i mruknąć „ojej, doprawdy?”

Myślałam właśnie o Samie i wszystkich tych rzeczach, które niebawem będziemy robić w łóżku, gdy zorientowałam się, że o coś mnie spytała. Co takiego? Ach, tak, gdzie pracuję.

- Ja... - Nie bardzo wiedziałam, jak opisać moją pracę. - Jestem kierowniczką biura w Rathmines - powiedziałam dla ułatwienia.

Mój dalszy udział w rozmowie nie był konieczny.

- To miło. Za moich czasów kobiety nie mogły być kierownikami. Nawet w takich miejscach jak Woolworth, którego też już nie ma, niestety, kierownikami byli wyłącznie mężczyźni. A kiedy dziewczyna wychodziła za mąż, oczekiwano, że odejdzie i będzie na utrzymaniu męża. Za moich czasów...

Jak to jest - pomyślałam - że ja ledwo pamiętam, co zdarzyło się w zeszłym roku, a starzy ludzie pamiętają całe swoje życie tak dokładnie, jakby pisali wspomnienia? Może pisali. W końcu nie mieli nic innego do roboty.

Potem przeszła do przepisów i porad związanych z ciastem na Boże Narodzenie.

- Stale piekę ciasto na święta, choć zjadam je sama. Jedno jest dobre, że takie ciasto można bardzo długo przechowywać. Kiedy byłam młoda, nie było tych plastikowych pojemników. Nawet nie mieliśmy lodówki. Trzymaliśmy wszystko w spiżarni zawinięte w gazetę, żeby się nie popsulo. - Nagle się roześmiała. - Dziś ludzie

mówią o przetwarzaniu starych rzeczy, jakby to dopiero wymyślili. Po wojnie przerabialiśmy wszystko. Niczego się nie wyrzucało. Mój brat zajmował się zbieraniem papieru i sznurka na naszej ulicy.

Z trudem powstrzymałam się od pogardliwego prychnięcia. Choć mój brat nie nadawał się nawet do tego.

- Papieru i sznurka? - powtórzyłam, zdając sobie sprawę, że przedłużam tortury.

- Tak, w czwartki przyjeżdżał na naszą ulicę szmaciarz. Cudowny człowiek. Ale miał dziwne oczy. Płacił pensa za dużą torbę sznurka. Wtedy jeden pens to było dużo pieniędzy.

Wyobraziłam sobie małego brudnego chłopaka, który leciał boso po brukowanej ulicy za szmaciarzem, kurczowo ściskając w rękach dwie plastikowe torby z kawałkami sznurka i strzępkami starych gazet.

Na szczęście nie musiałam wysłuchiwać następnych wspomnień, gdyż Sandra i Brendan, którzy mieszkali obok, wrócili z hałasem do domu. Jak zwykle się kłócili.

Spojrzałam na zegarek.

- Wcześniej dziś przyszli - zauważyłam. - Puby zamykają dopiero za godzinę.

Pani Brannigan skinęła głową.

- Bardzo sympatyczna para - powiedziała, a potem pochyliła się w moją stronę i szepnęła: - Coś ci powiem, jeśli nikomu nie zdradzisz... Oni są małżeństwem. Uciekli z domu i pobrali się, zanim tu przyjechali. Jej rodzice go nie akceptują.

- Małżeństwo? - powtórzyłam z uśmiechem. - Tak pani powiedzieli?

- Tak, bardzo mili ludzie. Trochę hałaśliwi, ale to dlatego, że nie mają pieniędzy. Kiedy jednak jest się młodym i zakochanym, pieniądze nie są ważne. Sandra powiedziała mi, że jej rodzice się do niej nie odzywają, bo żyje w grzechu. A nie może im powiedzieć, że wzięła ślub z Brendanem, ponieważ całkiem zerwałiby z nią stosunki.

- Rozumiem.

Najwyraźniej Sandra i Brendan wiedzieli, że stara pani Brannigan jest wścibską plotkarką i nie chcieli, by myślała, że żyją w grzechu. Powinni jej powiedzieć, żeby się do nich nie wtrącała.

W końcu odstawiła nietkniętą herbatę i wstała z wysiłkiem.

- Muszę już iść. Dziękuję ci za rozmowę, Susan. Chętnie znów cię odwiedzę. Niewielu młodym ludziom chce się słuchać takich starych jak ja.

- Nie ma za co, było mi bardzo miło - skłamałam. - Proszę mnie znów odwiedzić, jak będzie pani miała ochotę - stwierdziłam ku własnemu zdumieniu.

Racjonalna część mojego umysłu zareagowała pięć sekund za późno.

Kiedy pani Brannigan powoli doszła do drzwi, przystanęła i powiedziała:

- Jeśli spotkasz takiego miłego młodego człowieka, jak Brendan, pamiętaj o mojej radzie: nie wychodź za niego od razu. Pomieszkajcie najpierw razem przez parę lat.

- Słucham? - spytałam z niedowierzaniem. Uśmiechnęła się i poklepała mnie po ręce.

- Nie dziw się tak, moje dziecko. Wiem, że życie w grzechu to... no, grzech. Ale gorszym grzechem jest wyjść za mąż, a potem się rozwodzić. Trzeba ich dobrze poznać, co? - rzuciła i wyszła.

Co za dziwna stara kobieta, pomyślałam. Zupełnie mnie zaszokowała.

Przyzwyczałam się do zmian w moim życiu o wiele szybciej, niż bym się spodziewała. W ciągu paru tygodni znalazłam faceta, mieszkanie i zostałam, czasowo, szefową w pracy.

I znalazłam nowego, choć dziwaczego, znajomego. Tajemniczy J. znów napisał...

Droga Susan!

Muszę przyznać, że jesteś, jak na razie, jedyną osobą, która poważnie odpowiedziała na moje ogłoszenie z „Heralda”. Najwyraźniej jesteś smutną i samotną osobą, na co sobie z pewnością zasłużyłaś. Przypuszczam, że jesteś bardzo grubą i raczej brzydką, prawdopodobnie dziewczyną i taka już pozostaniesz (chyba że będziesz miała szczęście i poznasz jakiegoś ślepego pijaka). Czytałem Twój list w gumowych rękawicach, żeby się od Ciebie nie zarazić chorobami, które przenoszone są drogą pocztową.

Mogę polecić Ci dobry kurs psychologii, jeśli chciałabyś sobie jakoś pomóc, choć może świat byłby lepszy bez ciebie.

Proszę, umrzyj. J.

PS. Jeżeli znowu do mnie napiszesz (choć wolałbym, abyś tego nie robiła), popryskaj list perfumami, albo - jeszcze lepiej - silnym środkiem dezynfekującym, żeby zabić zapach.

To było wyzwanie, któremu nie potrafiłam się oprzeć. Napisanie nieprzyjemnego listu potrwało parę dni, ale to mi nie wystarczyło.

Postanowiłam zrobić coś więcej. A w czwartek po południu zauważyłam coś w tanim sklepie niedaleko biura...

Miałam dość dużo pracy, ale nie tyle, żebym nie mogła schować się na chwilę w gabinecie szefowej, zapakować prezentu dla J. i napisać do niego karteczkę.

Drogi J.

Nie podobają mi się Twoje uwagi o mojej figurze. Nie jestem otyła, ani nie mam trądziku czy innych chorób skórnych. Tylko psychol mógł wpaść na taki pomysł.

Jak śmiesz sugerować, że jestem smutna i samotna! To Ty dajesz ogłoszenia do gazet. Tylko kretynowi mogło przyjść do głowy coś takiego. Jesteś głupim gnojkiem.

I wciąż nie kupiłeś sobie maszyny do pisania, jak sugerowałam w ostatnim liście. Co jest z Tobą? Czy naprawdę nie rozumiesz, co się do Ciebie pisze?

Posyłam Ci pluszowego kota, który kosztował więcej, niż jesteś tego wart. Jak tylko zobaczyłam go na wystawie, pomyślałam o Tobie. Wiesz, gdzie możesz go sobie wsadzić.

Susan.

To nie był drogi kot, kosztował jednego funta, zresztą nic dziwnego, w tym sklepie wszystko kosztowało funta, ale liczył się pomysł. Owinęłam kota i list w bardzo starą folię z bąbelkami, które dawno popękały, wcisnęłam to w kopertę i włożyłam do torebki. Kiedy Sam przyszedł do mnie koło siódmej, oczywiście, chciał wiedzieć, co to jest.

- Zabawka dla przyjaciela.

- Znam go? - odwrócił kopertę i przeczytał adres. - Kto to jest J.? I dlaczego podajesz numer skrytki pocztowej?

- O nie! - jęknęłam. - Odkryłeś moje drugie życie. Jestem jedną z tych kobiet, co wysyłają używane, nieprane majtki zupełnie obcym facetom. Czy mi wybaczysz?

- Tak, jeśli ja też dostanę jedną parę - powiedział z lubieżnym błyskiem w oku.

- Kupię ci nowe? W twoim rozmiarze. Uśmiechnął się i odłożył przesyłkę.

- Co to jest naprawdę?

- Któregoś dnia zobaczyłam ogłoszenie w gazecie. Facet chciał korespondować z kimś, kogo mógłby nienawidzić. Odpowiedziałam na ogłoszenie, a on napisał do mnie nieprzyjemny list. Na który mu odpisałam i tak dalej. To jest pluszowy kot dla niego. Sam niedowierzająco uniósł brew.

- Bardziej podobała mi się wersja z majtkami.

- No... Właściwie mnie też.

- Wiesz co - zaczął. - Chodzimy już ze sobą jakieś osiemset lat, a ja jeszcze nie widziałem twoich majtek.

Ho, ho, pomyślałam. Wiem, o co mu chodzi. Tym razem nie łatwo było zmienić temat, ale mimo to spróbowałam.

- No i co z tego? Ja twoich też właściwie nie widziałam. Za szybko wskoczyłeś do łóżka, kiedy u mnie nocowałeś. A w ogóle co nosisz? Bokserki czy zwykłe majtki?

- Ani to, ani to.

- Co to znaczy? Jesteś pod spodem goły?

- Goły? Uchowaj Boże! Mam z tyłu wytatuowane słowa całej pierwszej płyty Wet Wet Wet. W ten sposób nigdy nie jestem goły. W gruncie rzeczy noszę dżokejki. Zwykłe majtki nie są seksowne, a bokserki są cholernie niewygodne. Wielu mężczyzn nosi je tylko dlatego, że podobają się kobietom. - Westchnął. - Czego my dla was nie robimy?

- Naprawdę? A duże dekolty, wysokie obcasy, krótkie spódniczki i tony makijażu? Uważasz, że są wygodne? Jasne, kobiety noszą to wszystko, bo uważają, że tak jest wygodniej niż po prostu włożyć parę dżinsów i bawełnianą koszulkę.

- Przekonałaś mnie. Przepraszam w imieniu mojej płci. Choć, nie, wróć. Cofam przeprosiny. To wszystko, co nosicie, jest zapłatą za to, że dźwigamy ciężary i otwieramy słoiki. Tak jest sprawiedliwie.

Pokiwałam głową.

- Mam wrażenie, że chciałbyś się pokłócić.

- Tylko kobieta może coś takiego pomyśleć. Podniosłam rękę.

- Chwileczkę, zanim zaczniemy tę dyskusję, chciałam zapytać, czy nie jesteś głodny. Ja umieram z głodu i chętnie poszłabym coś zjeść.

- Jasne. Dokąd?

Zamówiliśmy stół w małej knajpce w Donnybrook, skąd Sam miał autobus do domu, i poszliśmy do pubu na drinka. Byłam bardzo z siebie zadowolona, że udało mi się zvekslować rozmowę z tematu moich majtek, ale niewiele to pomogło. Prawie wszystko, co Sam mówił w pubie, miało w podtekście seks i to, że jeszcze go nie uprawialiśmy. Udało mi się jakoś z tego wybrnąć, dopóki nie usiedliśmy w restauracji. Przyniesiono jedzenie i Sam podstępnie mnie zaskoczył.

- Nie chciałbym być namolny, jednak chodzimy już ze sobą parę tygodni i oboje jesteśmy dorośli...

Zastygłam z widelcem w połowie drogi do ust.

- I?

- Zastanawiam się, w jakim kierunku rozwija się nasza znajomość.

Odłożyłam widelec i spojrzałam na niego.

- To znaczy?

- Czy być może, w jakiejś przewidywalnej przyszłości, pójdziemy do łóżka? - Odwrócił wzrok i jadł dalej.

Dobrze, powiedziałam sobie. Trzeba wziąć byka za rogi. Zdecydowanie chciałam z nim spać, ale z poprzednich doświadczeń wiedziałam, że wzajemne stosunki bardzo szybko się po tym zmieniały.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, Sam. To znaczy, podobasz mi się i jestem pewna, że w końcu dojdziemy i do tego etapu znajomości. Zażyłości. Ale jeszcze nie teraz. Prawie się nie znamy.

- Mówiłaś mi, że miałaś chłopaków, z którymi sypiałaś. I przypuszczam, że przydarzyłoby się to nam za moim pierwszym pobytem w twoim mieszkaniu, gdyby nie moje łaskotki. Nie jestem pewien, o co ci chodzi.

- Właśnie o ciebie, w tym cały szkopuł. Zależy mi na tobie, a nie na twoich wyczynach łóżkowych. Z poprzednimi facetami najpierw był seks, a potem pytanie, jak mam właściwie na imię. Nie chcę, żeby teraz też tak było. Brali moje ciało, a mój umysł zupełnie ich nie interesował. Nie zamierzam znów na to pozwolić. Przysięgam

sobie, że będę kontrolować moje życie i dotrzymam przysięgi. Nikt więcej nie będzie mnie wykorzystywał. Każdy z tych gnojzków przypuszczalnie miał po mnie kupę kobiet. Następnym razem, kiedy pójdę z kimś do łóżka, zrobię to po to, aby wzmocnić nasz związek, a nie żeby go określić.

Sam spojrzał na mnie i skinął głową.

- Rozumiesz, o co mi chodzi?
- Tak.
- I co?
- Ja też cię kocham.

Rozdział 20

Magiczne słowo na „k” z rozmachem wydostało się na wolność, jak pies w parku spuszczonej ze smyczy.

W pierwszej chwili byłam zachwycona. Tak, kochałam Sama. Od pierwszego wspólnie spędzonego w moim mieszkaniu wieczoru, wiedziałam, że mogłabym go pokochać, a teraz i on przyznał, że jest we mnie zakochany. Ale zaraz się rozłościłam, że moje uczucie przyjął za pewnik, choć niczego takiego nigdy nie powiedziałam. I byłam zła na siebie, że tak łatwo jest odczytać moje uczucia. Następnie zwątpiłam w jego szczerłość - być może mówił tylko to, jak wiedział, chciałam usłyszeć.

W końcu powiedziałam sobie, że powinnam dać spokój i przestać wszystko tak drobiazgowo analizować. I wreszcie znów się ucieszyłam, bo - mimo wszelkich wątpliwości - byłam pewna, że Sam mnie kocha, ja kocham jego i oboje dobrze o tym wiemy.

Kiedy jest się zakochanym, człowiek czuje wokół siebie jakby złotą aureolę, delikatny blask, który na jakiś czas odpędza wszystkie nieprzyjemne rzeczy. Nie jest to uczucie powszechne, ale wiadomo, że istnieje, gdy się go choć raz w życiu samemu doświadczy. I właśnie coś takiego teraz czułam.

Sam przyglądał mi się przez jakiś czas.

- Zrobiłaś się bardzo milcząca, odkąd powiedziałem ci, jaka jest moja ulubiona grupa rockowa - stwierdził w końcu.

- Potrafisz być wstrętny, wiesz? Spoważniał.

- Kiedy nie wiem, co powiedzieć, biorę z ciebie przykład i staram się wymyślić jakiś dowcip. - Sięgnął nad stolikiem i wziął mnie za rękę. - Mówiłem prawdę. Nigdy nie przypuszczałem, że komuś to powiem, ale taka jest prawda. Kocham cię. I zanim mi powiesz, że to niemożliwe, bo za krótko się znamy, od razu ci powiem, że to jest możliwe. Spójrz tylko na nas. Wyjątkowo do siebie pasujemy. Mamy takie samo poczucie humoru, podobają nam się te same filmy i ta sama muzyka, jesteśmy dla siebie atrakcyjni fizycznie, a przynajmniej mam taką nadzieję, i jesteśmy, mniej więcej w tym samym wieku. Lepiej być nie może.

Nadal nie miałam pojęcia, co powiedzieć, ale z całej siły usiłowałam się powstrzymać przed wymyśleniem jakiegoś dowcipu.

- A może się mylę? - spytał Sam. - Może zrobiłem z siebie głupka? Czyżbym źle odczytał wszystkie znaki?

- Nie.

- To...

- Ja też cię kocham - powiedziałam. - Nie znam nikogo innego, z kim chciałabym spędzić resztę życia. Mimo wszystko jednak wolałabym najpierw się z tobą zaprzyjaźnić, a potem iść z tobą do łóżka.

- Hej, zaczekaj chwilę. Ja mówię zupełnie o czymś innym. Nie o seksie, tylko o uczuciowym zaangażowaniu. - Przerwał na moment. - To zabrzmiało, jakbym ci się oświadczał, czy coś w tym rodzaju. Nie o to mi chodzi, choć może pewnego dnia i tak się stanie.

Akurat wtedy kelner podszedł i spytał, czy smakowało nam jedzenie. Powszechnie wiadomo, że kelnerzy mają specjalne urządzenia, które piszczą, gdy goście mają pełne usta albo rozmawiają o czymś ważnym.

- Bardzo nam smakowało - powiedział Sam.

Kelner, z lekka zirytowany, że nie narzekamy, szybko sobie poszedł.

- Skończmy i chodźmy stąd - zaproponowałam. - Pójdziemy na długi spacer i porozmawiamy.

Jednakże kiedy wyszliśmy na zimno, nie bardzo wiedziałam jak wrócić do tamtej rozmowy, a Sam też się nie odzywał. Po paru minutach niezręcznego milczenia postanowiłam zmienić temat, aby ocieplić atmosferę.

- Powiedz mi coś, Sam. Czego chcesz od życia? To znaczy, co byś chciał w życiu robić?

- Znaleźć fantastyczną pracę, zbić majątek, przejść na emeryturę w wieku trzydziestu lat, ożenić się, mieć dzieci i żyć długo i szczęśliwie. A ty?

- Mówimy o tobie. Naprawdę, gdybyś dowiedział się, że masz przed sobą tylko dwadzieścia cztery godziny życia, co byś zrobił? Zakładając, że miałbyś nieograniczone możliwości.

- Zrobiłbym wszystko to, zawsze chciałem, a nie mogłem. Kierowałbym pociągiem. Marzyłem o tym od dziecka. Skoczyłbym na bungee, latałbym na lotni i jeździł samochodem formuły 1 naokoło Silverstone. Pojechałbym zobaczyć piramidy i Alaskę. Zawsze chciałem się tam znaleźć. Zagrałbym w filmie akcji. Kochałbym się z tą, jak jej tam, z Ally McBeal. Zagrałbym jako środkowy napastnik

dla Crystal Palace w finałach pierwszej ligi. I jeszcze zagrałbym na gitarze prowadzącej w Pink Floyd. Może być?

- To za dużo na jeden dzień. Wybierz coś.

- Środkowy napastnik w Crystal Palace w finałach pierwszej ligi. Na pewno. Dlaczego pytasz.

- Byłam ciekawa. To jedna z tych rzeczy, o których często myślę.

- A co ty byś zrobiła?

- Nie wiem.

- Ty nie wiesz, a mnie każesz wymyślać? Przed chwilą stwierdziłaś, że często o tym myślisz.

- Tak, ale nigdy nie dochodzę do żadnych wniosków.

Codziennie zmieniam zdanie.

- Daj mi parę przykładów. Wzruszyłam ramionami.

- Nic nadzwyczajnego. Uratowanie szczeniaków. Wejście na Mount Everest jedynie w szkockiej spódniczce i w klapkach.

Przyłożenie jakiejś beczelnej, chudej modelce. Podróż do Japonii.

Zaskoczenie całego świata tym, że rozumiem wszystkie języki, łącznie z irlandzkim. No, takie rzeczy.

Roześmiał się głośno.

- Myślisz, że ludzie myślą o takich sprawach? Nie chciałbym być psychiatrą szukającym drogi w twoim umyśle. Potrzebowałbym nie tylko mapy i kompasu, lecz także stada psów myśliwskich z rentgenem w oczach i wehikułu czasu. Ale o co ci chodzi? Dlaczego w ogóle zaczęłaś o tym mówić?

- Bo w ten sposób można się wiele dowiedzieć o ludziach. Choć dobrze jest znać już trochę osobę, którą się pyta.

- I czego się o mnie dowiedziałaś?

- Niewiele - skłamałam. - Za mało cię znam, aby właściwie zinterpretować twoje odpowiedzi.

Nagle zrobiło mi się smutno - takie zmiany humoru zdarzają mi się od czasu do czasu - i chciałam już wrócić do domu.

Może to sprawka tej paranoiczki, co tkwi we mnie i mówi: „Grubo wyglądasz w tych dzinsach” i „Ona nie jest twoją przyjaciółką. Wykorzystuje cię, żeby się pokazać w lepszym świetle”. Ta mała paranoiczka zazwyczaj zjawia się w ważnych chwilach i psuje mi humor...

Tym razem mała paranoiczka mówiła, że jeśli Sam mnie kocha, to musi być z nim coś nie w porządku. Przypomniały mi się komiksy z amerykańskim bohaterem, które Fintan kupował parę lat temu. Czytałam je, kiedy nikogo nie było w domu. Jedną z zasad bohatera jest to, że jeśli zakochuje się w jakiejś kobiecie, a ona odkrywa, kim jest naprawdę, pod koniec opowieści musi zginąć. Przeważnie ginie, gdy czarny charakter wysadza w powietrze budynek, aby zabić bohatera, a kobieta - na ogół dziennikarka - zbiera o nim materiały i jest w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. To daje naszemu bohaterowi okazję do słusznej złości i wyrzutów sumienia. Albo kobietę przygniata zawalony dom i bohater musi uwolnić czarnego typa, aby ją ratować. Ona dochodzi do wniosku, że bycie kochanką superbohatera nie jest niczym nadzwyczajnym - mimo jego nadzwyczajnych mięśni - i idzie do klasztoru.

Miałam właśnie takie uczucie - że to nie może potrwać długo. A potem pomyślałam, że Sam jest coś za bardzo chętny do zakochania. Tak jak ja - dodałam w duchu ucziwie.

Wiele moich przyjaciółek to przeżyło i kiedy byłam nastolatką, bardzo się bałam, że i mnie to spotka. Staropanieństwo i staro - kawalerstwo to postrach licznych mężczyzn i kobiet.

Mojej kuzynce Sue przydarzyło się to, gdy miała dwadzieścia dziewięć lat. Przeżyła kilka nieudanych miłości i nieźle dostała w kość, kiedy więc wreszcie spotkała faceta, za którego w końcu wyszła, zrobiła to, bo obawiała się, że to jej ostatnia szansa. On ją kochał i był dla niej bardzo dobry, a ona, moim zdaniem, wmówiła sobie, że też go kocha.

Są szczęśliwi. Albo tak im się wydaje... Co w końcu na jedno wychodzi.

Sam szturchnął mnie w bok.

- Znów to robisz.
- Co?
- Masz taki zamyślony wyraz twarzy, jakbyś bardzo się czymś martwiła.
- Tak dobrze mnie znasz, co?
- Oczywiście.
- Ale skąd wiesz, że to nie był celowy wyraz twarzy, abyś myślał, że się czymś martwię, gdy w rzeczywistości wcale tak nie jest? - spytałam z uśmiechem.

Sam odwzajemnił uśmiech.

- Skąd wiesz, że nie udawałem, że nie rozszyfrowałem twojego wyrazu twarzy, który miał udawać coś innego, w jakimś, znanym jedynie mnie, podstępny celu?

- A może mam powody... Może chcę cię zwabić w pułapkę i zmusić do wyznania czegoś, co wolałbyś przede mną ukrywać.

- Nie rozumiesz, że to moje zdolności manipulacyjne skierowały rozmowę na ten temat tych samych podstępnych celach, które wcześniej wspomniałem.

Rozmawialiśmy tak przez dobre dziesięć minut i w końcu sami już nie wiedzieliśmy, o czym mówimy.

Mała paranoiczka obraziła się, że nie zwracam na nią uwagi i poszła w najciemniejszy kąt mojego umysłu, gdzie mruczała pod nosem złośliwe i nieprzyjemne uwagi, i jadła twaróg i serwatkę. A może to była Mała Panna Muffet?

- Co to jest serwatka? - spytałam nagle Sama.

- Co jest co?

- Serwatka. Tak jak w wierszyku o Małej Pannie Muffet.

- Dlaczego pytasz.

- Bo o niej pomyślałam.

- Myślałaś o Małej Pannie Muffet bez żadnego powodu, tak?

- Widzę, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Słyszałem prawdziwą opowieść o małżeństwie, które całe życie kłóciło się o to, czy trzecia mała świnka zjadła rostbef czy chleb z masłem. Ponieważ nie mogli się pogodzić, musieli się rozstać.

- Boże! Gdyby im ktoś wyjaśnił, że są kanapki z rostbefem, ich małżeństwo byłoby uratowane. Poza tym nie wierzę w takie historie. Ludzie w pracy nieustannie coś takiego opowiadają. To bajeczki. Tak jak ta o podstawce na filiżankę.

- Nie znam.

- Facet pracuje w firmie komputerowej i jedna z jego klientek dzwoni z pretensją, że urwała jej się podstawka na filiżankę przy komputerze. Ta kobieta, bo to zawsze kobieta, składa reklamację, mówi, że podstawka przez parę miesięcy była w porządku, a teraz się złamała. Facet nie może zrozumieć, dlaczego kobieta ma na komputerze podstawkę na filiżankę. Pyta, czy to była jakaś promocja, czy co, ale ona upiera się, że wszystkie komputery mają coś takiego.

W końcu wydedukował, że chodziło o CD - drive, na którym ona stawiała filiżankę z kawą.

Sam pokiwał głową.

- Byłoby znacznie śmieszniej, gdybym wiedział, o czym ty mówisz.

- Chodzi o to, że w zeszłym roku bez przerwy ktoś opowiadał tę historię. Co chwilę przysyłano nam ją faksami i e - mailami, i każdy, kto ją przysyłał, twierdził, że przydarzyła się jemu osobiście, albo że zna tego, komu się przydarzyła. Pytałam każdego o nazwisko tego znajomego, ale okazywało się, że to właściwie znajomy znajomego.

- Mimo to upierali się, że to autentyczna historia? Rozumiem, co masz na myśli. Pamiętasz Martina, kumpla, z którym kiedyś mieszkałem?

Jak mogłabym nie pamiętać? Aż skurczyłam się w sobie. Mała paranoiczka podskoczyła, krzycząc, żebym tym razem wszystkiego nie popsuła.

- Wiecznie opowiadał te rzekomo autentyczne opowieści o tym, co się zdarzyło jego znajomym. Najbardziej lubił opowiadać o znajomym, który zatruł się w zagranicznej restauracji w mieście. Czasem chińskiej, czasem hinduskiej. To zależało od tego, kogo w danym momencie bardziej nie lubił.

- Wiem - przerwałam mu. - I po płukaniu żołądka okazywało się, że w jedzeniu było pięć różnych typów spermy.

- Tak. Jak wiadomo, każdy szpital posiada bardzo skomplikowane urządzenia do odróżniania spermy.

- I w dodatku rutynowo badają zawartość żołądka na zawartość spermy. Tak, słyszałam to parę razy. A propos szpitali, to przypomniała mi się historia o facecie, który po pijaństwie na mieście obudził się w hotelu, w wannie pełnej lodu.

- Znam, znam! Dave mi opowiadał w zeszłym tygodniu. Facet poznał fantastyczną kobietę, która strasznie go spiła. Kiedy się obudził, czuł się potwornie. Gorzej niż na zwykłym kacu. Pojechał do szpitala i okazało się, że kiedy był nieprzytomny, ktoś ukradł mu lewą nerkę. - Sam roześmiał się. - Uwierzyłem w to!

- Dave na pewno też. Ja też uwierzyłam, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszałam. Parę lat temu mówiono nawet o tym przez radio jako o fackie.

Sam spojrział na zegarek i doszedł do wniosku, że pora iść na przystanek. Kiedy szliśmy, stwierdził, że mnie lubi, bo jestem mądrzejsza od niego.

Tego akurat nie potrzebowałam do szczęścia, ale postanowiłam, że teraz nie będę się martwić. Autobus miał za chwilę nadjechać i wolałam spędzić resztę czasu na pieszczotach.

Nie wiem, po co ludzie wieszają w domu jemiolę na święta. Wystarczy postawić w dużym pokoju wiatę autobusową.

Rozdział 21

Umówiłam się z Samem na następny wieczór. Miał przyjść po mnie do pracy. Trochę się tym niepokoiłam, bo po raz pierwszy spotyka moich kolegów i nie wiedziałam, jak oceni go Barbara. I vice versa. Poza tym obawiałam się, że Barbara zechce wypróbować na nim swoje sztuczki i mi go odbije. Po namyśle doszłam jednak do wniosku, że to mało prawdopodobne, ponieważ byłam od niej dużo większa i znałam różne sztuczki.

Kiedy leżałam w łóżku, rozmyślałam o tym, co powiedział Sam: że jestem od niego mądrzejsza. To było bardzo dziwne.

Wprawdzie powiedziałam, że go kocham, ale teraz nie byłam już taka pewna. Na pewno bardzo go lubiłam i pociągał mnie w sensie fizycznym. Po przeanalizowaniu paru odczuć, o których już niemal zapomniałam, doszłam nawet do wniosku, że nie miałabym nic przeciwko temu, aby znalazł się teraz w moim łóżku. Byłabym wręcz zachwycona. Może jutro - pomyślałam. Może to będzie... Celowo odsunęłam od siebie te myśli. Mogą poczekać jeden dzień.

Nigdy nie wierzyłam, że mężczyźni są genetycznie mądrzejsi od kobiet, czy na odwrót, zdarzało się jednak, że wprawdzie faceci udawali, że lubią mądre kobiety, lecz tylko niewielu z nich szanowało kobietę, która nie miała pojęcia o zasadach rzutów karnych i wcale jej to nie przeszkadzało.

Co jest z facetami i piłką nożną? Albo z facetami i samochodami? Mężczyźni uwielbiają cztery rzeczy: alkohol, kobiety, samochody i piłkę nożną. Choć, oczywiście, nie w tej kolejności. Na pierwszym miejscu jest piłka. Potem samochody. Też na pierwszym. Jak wiadomo, kobiety nigdy nie zajmują pierwszego miejsca.

Czasem wydaje mi się, że faceci nadal są prymitywnymi myśliwymi. Muszą mieć wszystko, co najlepsze. Najlepszy samochód, najładniejszą dziewczynę, a drużyna, której kibicują, też musi być najlepsza. Muszą mieć lepszą głowę niż inni, by móc więcej wypić. To ostatnie to już kompletna głupota. Wyobraźmy sobie, że kilku facetów rozmawia w pubie.

Pierwszy mówi: „Wczoraj wypilem tyle, że dziś rano prawie nie widziałem na oczy”.

Drugi: „Tak? A ja tak się ubzdryngoliłem, że byłem pijany jeszcze dziś w południe”.

Trzeci: „To jeszcze nic, ja wczoraj wieczorem wypilem osiemnaście piw, a kiedy wróciłem do domu, znalazłem wino, które zostało od świąt i też je wypilem, a wiecie, że jak człowiek tyle wypije, że przepije kaca, to już go nawet potem nie czuje. I to mi się przydarzyło”.

Czwarty: „A ja wypilem wczoraj jeden kufel piwa i w drodze do domu tak się źle poczułem, że mało się nie przewróciłem”.

Długie, niezręczne milczenie.

Pierwszy: „Chyba go zabijemy”.

Może jestem niesprawiedliwa. Wiem, że nie wszyscy mężczyźni są tacy. Choć czasem naprawdę można odnieść takie wrażenie. To samo zresztą dotyczy samochodów.

Pierwszy facet: „Wczoraj wieczorem jechałem na autostradzie sto dziewięćdziesiąt. Jakiś głupek w podrasowanym ferrari chciał się ze mną ścigać, ale nie miał szans”.

Drugi: „Tak? A ja któregoś dnia wyminąłem gliniarza, który ścigał kogoś za przekroczenie szybkości”.

Trzeci: „To jeszcze nic. Usiłowałem zaparkować w centrum, i na parkingu było tylko jedno wolne miejsce, i podjechał ten gnojek w samochodzie na pokaz i chciał się wepchnąć przede mnie, chociaż ja przyjechałem pierwszy! Przyspieszyłem, ustawiłem się bokiem do miejsca i zrobiłem obrót, wpasowując się dokładnie w wolną przestrzeń. Nie miał żadnych szans. Szkoda, żeście tego nie widzieli”.

Czwarty: „Wczoraj rano pojechałem zrobić zakupy dla matki i w ostatniej chwili zatrzymałem się przed przejściem dla pieszych. Boże, ale się przeraziłem”.

Długie, niezręczne milczenie.

Pierwszy facet do trzeciego: „To twój kumpel, co?”

Właśnie zasypiałam, kiedy ta cholerna para z naprzeciwnika wróciła do domu i zaczęła wyjmować ciuchy z szafy, stukając wieszakami, sto razy spuszczać wodę w ubikacji i nastawiać pierwsze dziesięć sekund z każdej płyty CD, jaką mieli, dopóki nie zdecydowali się na Crying in the Chapel Presleya, które leciało raz za razem. Gadali, chichotali i śpiewali bez końca, a kiedy prawie udało mi się zasnąć, obudził mnie potworny łomot. Założę się, że to Brendan skoczył z szafy na łóżko, oczywiście, w kostiumie Batmana.

Byłam za bardzo zmęczona, aby pójść zwrócić im uwagę, a tym bardziej, żeby się do nich przyłączyć.

Rozdział 22

Następnego dnia zjawiłam się w pracy w świetnym humorze. Po pierwsze był piątek, a po drugie - dzień wypłaty.

Tymczasem okazało się, że był to jeden z najgorszych dni w moim życiu.

Zaczęło się nieźle. Danny powiedział mi „dzień dobry”, a pozostali mieli dobre humory. Trzeba było coś tam zrobić, ale nie było tego aż tak dużo, żeby nie dać sobie rady w parę godzin, albo w ogóle odłożyć na poniedziałek.

Koło wpół do dziesiątej zadzwonił jeden z naszych klientów - bardzo zły.

Wspomniałam już wcześniej, że zajmujemy się konsultacjami zarządzania, co teoretycznie oznacza, że radzimy kierownikom firm, jak usprawnić zarządzanie kadrami. Zasada była taka - oczywiście, znów w teorii - że nasz pięcioosobowy zespół odwiedzał poszczególne firmy i spędzał z nimi parę dni, żeby zobaczyć, jak pracują. Aby obniżyć koszty, nasi ludzie pracowali na zasadzie umowy zlecenia, przeważnie kilka dni w tygodniu. Dwoje z nich pracowało także gdzie indziej jako wykładowcy, jedna była zatrudniona na niepełnym etacie w lokalnym oddziale Credit Union, a pozostała dwójka zajmowała się sprzedawaniem znajomym produktów Amwaya.

A zatem nasi ludzie pisali szczegółowe sprawozdania i dawali je mnie, Danny'emu i Kevinowi. My dokładnie analizowaliśmy ich raporty i przygotowaliśmy stronę doradczą. Większość naszych zaleceń sprowadzała się do stwierdzeń takich, jak: „Nie zatrudniajcie tylu leniwych i niekompetentnych krewnych” i „Płaćcie ludziom tyle, ile są warci”. Czasami musieliśmy organizować kursy dla pracowników, co oznaczało wynajmowanie wykładowców, pokoi hotelowych i dostawców posiłków.

W niektórych niedużych firmach zajmowaliśmy się zwalnianiem i zatrudnianiem personelu. Czasem klient potrzebował nowego kierownika i prosił nas o zamieszczenie ogłoszenia w gazetach, przeprowadzenie rozmów kwalifikujących, wybór najwłaściwszego kandydata i przedstawienie mu propozycji. Czasem chcieli się kogoś pozbyć i robili brudną robotę naszymi rękami.

Ten klient zadzwonił z pretensjami. Parę miesięcy temu poprosił nas o wyszukanie nowego dyrektora działu sprzedaży dla firmy

produkującej oprzyrządowanie komputerowe, która wchodziła na rynek. Firma nazywała się Parker Technology i postanowiła opanować brytyjski i irlandzki rynek edukacji domowej. Wymyślili, że stworzą komplet programów, z którego uczniowie szkół średnich dowiadywaliby się tego samego, co w szkole, tylko z dodatkiem popularnej muzyki i interesującej grafiki. Początkowo chcieli nazwać ten program „DeskWare”, ale Kevin twierdził, że to głupio brzmi, zmienili więc nazwę na „Edu Soft”, co - moim zdaniem - wcale nie było lepsze.

W każdym razie znaleźliśmy dla nich Neila Forsythe'a, czterdziestotrzyletniego byłego nauczyciela, który znał się także na komputerach i pracował kiedyś jako sprzedawca. W gruncie rzeczy to ja go znalazłam i chyba dlatego szefowa „zobaczyła przede mną przyszłość”.

Neil Forsythe był spokojnym, niskim, pulchnym mężczyzną, który wyglądał na niedołęgę, ale doskonale sprawdzał się w swojej pracy. Pasował do niej tak, jak kaczka do pomarańczy - w ciągu kilku tygodni zebrał zamówienia na ponad sto tysięcy funtów.

Jednakże miarodajne czynniki w Parker Technology nie były z niego zadowolone. Sam pan Parker oznajmił mi to przez telefon.

- Przykro mi, proszę pani, ale muszą państwo znaleźć kogoś innego.

- Rozumiem, jednak...

- Muszą państwo znaleźć kogoś innego - powtórzył z naciskiem, przerywając mi. - Jak najszybciej. I proszę nie liczyć na prowizję.

- Gdyby mógł mi pan wyjaśnić na czym polega problem...

- Mam przyjść do biura? O to chodzi? Chce pani, żebym przyszedł i osobiście wszystko wytłumaczył?

- Nie jestem pewna, czy to konieczne - stwierdziłam, bo nie wiedziałam, co powiedzieć. - Jeszcze parę tygodni temu był pan bardzo zadowolony z pana Forsythe'a.

- Chciałbym się z panią umówić na spotkanie jeszcze dziś, w państwa biurze - odezwał się Parker po długiej chwili.

Wiedziałam, że spodziewał się, iż mu odmówię i powiem, że będę miała czas dopiero w przyszłym tygodniu, zaszeleściłam więc papierami, postukałam w klawiaturę i oznajmiłam:

- Mogę przesunąć moje terminy i spotkać się z panem, jeśli to panu odpowiada.

Ty wredny, arogancki gogusiu - dodałam w duchu. Parker stwierdził, że mu odpowiada i wyłączył się.

Spojrzałam na zegarek. Parker z pewnością przyjdzie przed umówioną godziną, miałam więc najwyżej dwadzieścia minut, aby się przygotować.

Przede wszystkim postanowiłam, że powiem wszystkim, co się dzieje. Kazałam Kevinowi się uczesać, a Danny'mu usiąść za moim biurkiem, gdzie był bardziej widoczny. Później wysłałam Kevina po kawę i lepsze ciasteczka. Kevin zaproponował, że zadzwoni po znajomego, który za głupie dwadzieścia pięć funtów przyjdzie w garniturze i usiądzie za biurkiem, udając, że pracuje. Poszłam do gabinetu szefowej, aby go uporządkować. Dla lepszego efektu wzięłam jakiś folder i położyłam otwarty na biurku. Miałam zamiar oderwać się od czytania, kiedy przyjdzie Parker, spojrzeć na niego, zamknąć folder i odłożyć go na bok.

Barbara miała genialny pomysł. Powiedziała, że zadzwoni do swoich znajomych i poprosi, aby telefonowali do niej co parę minut. Będzie wyglądało na to, że nasze biuro ma mnóstwo klientów. Wymyśliła też, żeby na stoliku koło fotokopiarki położyć ryzę papieru i zrobić kilkaset kopii jakiegoś starego sprawozdania. Zaproponowała nawet, że będzie mnie obserwować przez szybę w drzwiach gabinetu i gdy podrapię się w prawe ucho wtedy ona przerwie mi spotkanie bardzo ważnym telefonem, na który czekam od rana.

Kiedy Parker zjawił się za pięć dziesiąta, zdążył się trochę uspokoić i robił wrażenie kogoś względnie ludzkiego. Po biurze tymczasem kręcili się dwaj zaaferowani koledzy Kevina w garniturach, z kuchni dolatywał aromat drogiej kawy, a telefon dzwonił bez przerwy.

Barbara poprosiła Parkera do „mojego” biura, zrobiłam sztuczkę z folderem i podałam mu rękę na przywitanie.

- Witam. Czym mogę panu służyć?

Usiadł naprzeciwko mnie. Bernard Parker był jednym z tych dość zamożnych pięćdziesięcioparoletnich Anglików, którzy nadal uważali Irlandię za kolonię. I starali się zachowywać jak najmiej. To znaczy co roku pokazywać się na wyścigach, jeździć na wakacje do Wets

Cork, grać w golfa w Portmarnock, pić jedynie guinnessa oraz whisky jamesona oraz opowiadać dowcipy.

Kiedy się odezwał, widać było, że nie spodziewa się oporu.

- Jak już mówiłem pani przez telefon, chcę, żeby państwo znaleźli kogoś na miejsce Neila Forsythe'a.

- Czy mogę spytać dlaczego?

- Pan Forsythe nie pasuje do naszej firmy. Poza tym nie chciałbym nic więcej mówić.

- Rozumiem - powiedziała, choć niczego nie rozumiałam. - Jeśli jednak spojrzy pan na to z naszej strony... Kiedy zarekomendowaliśmy pańskiej firmie pana Forsythe'a, był pan bardzo zadowolony i o ile mi wiadomo, pod kierownictwem pana Forsythem Parker Technology odniosła duży sukces finansowy.

Skinął, głową.

- To prawda, ale mamy z panem Forsythe'em problemy, które znacznie przewyższają jego zalety. Nasz kontrakt przewiduje trzy miesiące na ocenę pracownika, którego zatrudniamy z waszego polecenia.

- Ten kontrakt wymaga także, aby pańska firma na piśmie przedstawiła powody niezadowolenia. - Wiedziała, bo to był nasz standardowy kontrakt i sama go pisałam. - Poza tym musi pan zrozumieć, że mamy zobowiązania wobec pana Forsythe'a. Każda inna firma, której go polecimy, zażąda referencji. - To akurat nie było do końca prawdziwe, ale nie musiał o tym wiedzieć. - Dlatego domagam się, aby podał mi pan powody swojej decyzji.

- Wolałbym tego nie robić. Może spotkam się z Victorią, kiedy wróci, ale na pewno nie będę tego omawiał z panią.

Nie podobał mi się sposób, w jaki gnojek podkreślił słowo „panią”, ale wiedziałam, że nie powinnam rozwijać tego wątku. Nie miałam pojęcia, co powinnam teraz zrobić, i zaryzykowałam.

Pomogła mi moja rozległa znajomość kiepskich filmów.

- Jeśli pan Forsythe dopuścił się czegoś nielegalnego, musimy, oczywiście, zawiadomić władze.

Parker milczał.

~ Czy ma pan coś przeciwko temu, abym uzgodniła termin spotkania z panem i panem Forsythe'em? Może dojdziemy do porozumienia.

- Może sobie pani dochodzić, ale ja nie chcę tego człowieka w mojej firmie. Dla mnie on już nie pracuje. I jestem bardzo zły na państwa za polecenie mi kogoś takiego. Nie jestem pewien, czy będziemy nadal ze sobą współpracować.

Zaczynał się gorączkować, jednak uratowała mnie Barbara, wnosząc kawę i ciasteczka. Rzuciła mi spojrzenie, które znaczyło, że wsypała mu do kawy truciznę, a przynajmniej miałam taką nadzieję, uśmiechnęła się promiennie i wyszła.

Wykorzystałam okazję, aby zastanowić się nad jego groźbą zerwania stosunków z naszym biurem. Na pewno nie potrzebowaliśmy pieniędzy Parker Technology; nie byli zbyt ważnym klientem i na ogół płacili z opóźnieniem, choć sam Parker liczył się w środowisku i znał wielu wpływowych ludzi. Robienie sobie z niego wroga nie było dobrym pomysłem.

Przez chwilę piłam kawę, a potem odstawiłam filiżankę i wydełam usta, jakbym chciała powiedzieć: „Dobrze. To, co teraz proponuję, może się panu wydać trochę dziwne, ale proszę mnie wysłuchać...”.

Tymczasem powiedziałam zupełnie co innego.

- Proszę dać nam tydzień na rozwiązanie problemu z panem Forsythe'em...

- To niemożliwe - przerwał.

- Proszę mnie wysłuchać. Musi pan zrozumieć, że stawia mnie pan w bardzo niezręcznej sytuacji. Proszę dać nam tydzień na rozwiązanie problemu albo znalezienie panu kogoś innego. Na ogół domagałabym się, żeby dotrzymał pan reguł kontraktu, jednak jeśli zostawi nam pan trochę czasu, zrezygnuję z tego, aby wykazać naszą dobrą wolę.

To było absolutnie mistrzowskie pociągnięcie. Po pierwsze, jeszcze raz przypomniałam Parkerowi, że nie trzyma się kontraktu, a po drugie, zyskiwałam na czasie. Vicky wróci z podróży poślubnej i sama się tym zajmie. Genialne, Susan - pogratulowałam sobie w myśli.

Parker zastanowił się przez chwilę.

- Zgodzę się pod warunkiem, że pan Forsythe nie będzie miał w tym czasie żadnego kontaktu z moją firmą.

- Nie chcę mu mówić, że będzie zwolniony, dopóki nie będę pewna, że nie ma innego rozwiązania.

- To już nie jest mój problem - zauważył Parker, wstając. - Niech mu pani powie, co zechce. - Rzucił okiem na drogi zegarek, aby sprawdzić, która jest godzina dla bogatych, i dodał: - Nie wrócę do biura przed drugą. Nalegam, żeby skontaktowała się pani z Forsythe'em i kazała mu opuścić biuro do tego czasu. I oczekuję, że cała ta sytuacja zostanie załatwiona najpóźniej do przyszłego piątku.

Cholera! Miałam nadzieję, że szefowa się tym zajmie, a ona wracała dopiero w następny poniedziałek. Ale się przerobiłam.

Odprowadziłam go do windy, miło pożegnałam, wróciłam do gabinetu i opadłam na krzesło. Barbara zajrzała i spytała, jak poszło.

- Okropnie. Muszę zadzwonić do Neila Forsythe'a i powiedzieć, że już nie pracuje.

Kiedy połączyłam się z Parker Technology, dowiedziałam się, że Neil rozmawia przez drugi telefon i oddzwoni do mnie za parę minut.

Siedziałam i czekałam. Pogrzebałam w szufladach biurka szefowej i znalazłam paczkę papierosów i zapalniczkę. Zatrzasnęłam szufladę. Nie paliłam od lat i nie zamierzałam teraz zacząć, chociaż miałabym na to wielką ochotę.

Rozdział 23

Neil Forsythe oddzwonił koło wpół do jedenastej. Był lekko zdziwiony moim telefonem.

- Susan... Co mogę dla pani zrobić?

Kiedy czekałam na jego telefon, usiłowałam znaleźć jakiś delikatny sposób, żeby poinformować go o zwolnieniu z Parker Technology. Zazwyczaj, gdy któryś z naszych klientów chciał kogoś zwolnić, zwracał się do nas, Vicky wymyślała strategię i wyznaczała Barbarę do wykonania zadania. Tym razem decyzja należała do mnie. Nie było szans, aby wszystko zostawić w zawieszeniu, dopóki Vicky nie wróci zza granicy.

Spytałam Neila, czy mógłby się jak najszybciej ze mną spotkać, ponieważ zaszło coś ważnego, o czym chciałam z nim porozmawiać.

- Rozumiem. Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju - stwierdził po chwili milczenia. - Przypuszczam, że ten drań Parker już się do pani zgłosił?

Skinęłam głową i pomyślałam, że to bez sensu, bo przecież mnie nie widział.

- Tak. Może pan potrafi wyjaśnić mi, o co chodzi, bo on nie chce niczego powiedzieć.

- Spotkam się z panią, ale nie tutaj. I nie w pani biurze. Biuro Parker Technology znajdowało się w Donnybrook, pomyślałam więc, że Ranelagh będzie akurat w połowie drogi.

- Może w Four Provinces w Ranelagh? - zaproponowałam. - Mogę tam być za piętnaście minut.

Znow milczał przez moment.

- Aha, chce się pani ze mną spotkać jeszcze dziś... To znaczy, że potem nie wrócę już do biura. Umówmy się za pół godziny, żebym zdążył zabrać z biurka moje rzeczy. To znaczy koło jedenastej, dobrze?

- Dobrze. Do zobaczenia.

Wyszłam z gabinetu i poinformowałam Barbarę, że ma mnie zastąpić, dopóki nie wrócę.

- Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. Ze dwie godziny. Poproszę Neila, żeby mnie potem odwiózł.

- Zakładając, że pozwolą mu wziąć służbowy samochód.

- Najwyżej wrócę taksówką. - Spostrzegłam jednego z kolegów Kevina, który majstrował coś przy kopiarce. - Co takiego zaoferował Kevin swoim kumplom, że przyszli i udają, że pracują?

Uśmiechnęła się.

- Obiecał im po dwadzieścia pięć funtów, aleja zaproponowałam, że opracujesz im CV i że będą mogli używać koparki i grać w gry w czasie przerwy na lunch. Pomyślałam, że z tego łatwiej będzie się nam wytłumaczyć przed Vicky niż z wydanych pięćdziesięciu funtów. Aha, dzwonił Sam. Prosił, żebyś oddzwoniła.

- O Boże, nie teraz! - jęknęłam. - Muszę lecieć. Jeśli znów zadzwoni, powiedz mu, że musiałam wyjść na nagłe spotkanie. Co zresztą jest prawdą.

- Dobrze.

- I nie podrywaj go - powiedziałam, łapiąc żakiet i torebkę. Potem przypomniałam sobie paczuszkę, którą chciałam wysłać do J. Teraz nie miałam na to czasu, a w piątki na poczcie był zwykle straszny tłok. - Cholera! Możesz to dla mnie wysłać, Barbara? Ja już nie będę miała kiedy.

Wzięła ode mnie kopertę.

- Skrytka pocztowa? Oho - ho! Co to jest?

- To długa historia. Później ci opowiem. Zakładając, że przeżyję ten dzień. Och, jeżeli będziesz miała chwilę czasu, wyciągnij segregator Parkera i sprawdź, czy nie wyrzuciliśmy nazwisk innych kandydatów na stanowisko dyrektora działu sprzedaży. Chociaż nie, sama wezmę, bo potrzebuję kopię umowy Neila. - Biegiem wróciłam do gabinetu i wzięłam segregator. Szybki rzut oka na kontrakt przekonał mnie, że nie było w nim niczego nadzwyczajnego, tym niemniej postanowiłam wziąć go ze sobą. Wysłałam, mówiąc do widzenia i informując pozostałych, że teraz rządzi Barbara.

- Tylko wróc przed drugą - zawołał za mną Kevin.

Kiwnęłam głową i machnęłam ręką. Wiedziałam dokładnie, o co mu chodzi. Musiałam wszystko załatwić, nim Bernard Parker wróci do biura. Najlepiej byłoby, gdyby Parker zobaczył, że Neil Forsythe zabrał wszystkie swoje rzeczy i zostawił za sobą wyłącznie zamknięte drzwi i ślad kurzu prowadzący w stronę horyzontu.

Gdybym zorientowała się wówczas, że Kevinowi chodziło o coś zupełnie innego, bo przecież nie wiedział o warunkach Parkera, oszczędziłabym sobie wielu kłopotów.

Po drodze jeszcze raz przemyślałam całą tę sytuację, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę, że nie miałam pojęcia, o co właściwie chodzi. Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem Neil nie przespał się z żoną Parkera, choć nie było to zbyt prawdopodobne - pani Parker zmieniała kochanków jak rękawiczki, ale Neil nie był w jej typie. Podobali jej się wysocy, szczupli mężczyźni z ciemnymi twarzami o ostrych rysach i ze srebrnymi włosami. Zaobserwowałam to na pewnym przyjęciu w Parker Technology, kiedy bardzo długo flirtowała z pewnym zagranicznym klientem, gdy tymczasem jej drogi małżonek podrywał moją szefową. Parkerowie byli dobranym małżeństwem - oboje szukali rozrywek gdzie indziej.

Powoli zaczynałam rozumieć, co Vicky musi znosić na co dzień. Być może - pomyślałam - te nagłe spotkania, na które wiecznie chodzi, są naprawdę służbowymi spotkaniami, a nie wypadami na zakupy z przyjaciółkami.

Przypomniało mi się jednak, że następnego dnia po takim niespodziewanym i niezapowiedzianym spotkaniu zawsze przychodzi do pracy w jakimś nowym i drogim ciuchu.

Przejechała karetka na sygnale i wyrwała mnie z zamyślenia. Przeżegnałam się. Ciekawe, co na to ateista Sam. Postanowiłam, że wspomnę o tym, kiedy przyjdzie po mnie wieczorem.

Kiedy przyszłam do Four Provinces, Neil Forsythe już na mnie czekał. Stał przed nim niedopity kufel guinnessa. Zdjął marynarkę, rozpiął górny guzik koszuli i rozluźnił krawat. To był bardzo dziwny widok. Do tej pory za każdym razem - a widziałam go dwukrotnie na rozmowach w naszym biurze, na promocji w Parker Technology i podczas niespodziewanej wizyty, kiedy przyniósł mi czekoladki za znalezienie mu pracy - był zawsze elegancko ubrany. Teraz wyglądał jak człowiek załamany. Siedział przygarbiony, pochylony do przodu, opierając ręce na kolanach i wpatrując się w kufel.

Obok leżało małe kartonowe pudełko z kubkiem, kalendarzem, paroma notesami i linijką. Przypuszczalnie jedyne osobiste przedmioty, jakich się dorobił podczas tych kilku tygodni pracy.

Mimo wszystko, kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się.

- Susan... - Wskazał gestem na swój kufel. - Czego się pani napije?

- Ja przyniosę - powiedziałam. - Guinness dla pana?

- Tak, dziękuję.

Kiedy wróciłam do stolika z jego piwem i sokiem pomarańczowym dla mnie - nie miałam najmniejszego zamiaru ryzykować, że się upiję, choć bardzo bym chciała - odzyskał trochę dawnego opanowania.

- Czy wie pan, o co w tym wszystkim chodzi?

Głęboko wciągnął powietrze, powoli je wypuścił i wzruszył ramionami.

- Nie. W pracy nie miałem najmniejszych problemów. Zaczęło się tydzień temu. Wtedy Parker zaczął mnie bardzo nieprzyjemnie traktować. Mój widok działał na niego, jak czerwona płachta na byka.

- Czy ktoś jeszcze to zauważył?

- Oczywiście. Pozostałe osoby w biurze po prostu nie wierzyły własnym oczom. Wszyscy mówili, że nigdy nie widzieli, żeby Parker tak się zachowywał. Kiedy pani zadzwoniła dziś rano, wiedziałem, że to koniec. - Potarł twarz rękami i przesunął dłonią po rzednących włosach. - Naprawdę nie potrzebuję takich przeżyć. Parę lat temu miałem lekki zawał i powinienem unikać stresów.

- Muszę być z panem szczerą, Neil. Nie możemy go oskarżyć o niesprawiedliwe zwolnienie, bo nadal jest pan na okresie próbnym i Parker w każdej chwili może dojść do wniosku, że nie pasuje pan do jego firmy. I to właśnie zrobił.

Forsythe skinął głową.

- Tak, ale to nieprawda. Nadają się do tej pracy wprost idealnie. Mógłbym zarobić dla nich miliony. Mam kontakty, znam się na oprzyrządowaniu, wszystko szło doskonale. Jeszcze w zeszłym tygodniu Parker mnie pochwalił i powiedział, że się cieszy, że dla niego pracują.

- Nasza umowa z Parker Technology stwierdza, że Parker mus nam podać dobry powód, jeśli chce pana zwolnić. Odmówił, ale, prawdą mówiąc, nie widzą, jak moglibyśmy go do tego zmusić. Nie puścił pary z ust. Choć stwierdził, że powie Vicky, a nie mnie.

Neil roześmiał się zimnym, gorzkim śmiechem.

- Co za bezczelny typ! I co jeszcze mówił?

- Niewiele. Zażądał, aby pana odwołać i jak najszybciej znaleźć mu kogoś innego. Namówiłam go, by dał nam tydzień, albo na rozwiązanie problemu z pana zatrudnieniem, lecz powiedział, że nigdy się nie zgodzi, albo na znalezienie nowego pracownika. Nalegał też, aby nie przychodził pan więcej do biura.

- Dziękuję za to, co pani dla mnie zrobiła.
- To oznacza, że będzie musiał panu zapłacić do końca przyszłego tygodnia i tak długo przysługuje panu służbowy samochód. Wiem, że to niewielka pociecha.

Trochę się rozchmurzył.

- To dobra wiadomość. Ostatnio mam trochę kłopotów finansowych.
- Z naszej umowy wynika, że musimy znaleźć panu nową pracę. Dobrzy sprzedawcy zawsze są poszukiwani.

- Tak, ale stracę dobrą opinię, gdy Parker zacznie mnie obmawiać.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam.

- Spróbuję załatwić z nim, żeby milczał na ten temat w zamian za to, że nie będziemy domagać się, aby podał powody zwolnienia pana.

- To mi się podoba - zawołał i poweselał.

Siedziałam odprężona i zadowolona, że udało mi się coś niecoś osiągnąć.

- I tak musimy się dowiedzieć, o co mu chodzi - zauważyłam.
- Nie ma sensu, żebyśmy szukali kogoś nowego, jeśli znowu miałby mu coś za złe.

- To prawda... Do tej pory uważałem, że Parkerowi chodzi o coś, co zrobiłem, ale może wcale tak nie jest.

- Chce pan powiedzieć, że może ma coś przeciwko naszej firmie?

Skinął głową.

- Czy zdarzyło się coś dziwnego między środą a piątkiem w zeszłym tygodniu? - spytał.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

Neil napił się piwa i oblizał wargi.

- Mnie też nie. Oprócz tego, że teraz pani zarządza firmą.

- Tylko czasowo. Ta, Która Siedzi Nad Nami W Cieniu wyjechała na urlop.

- Dokąd?

- Do Stanów. Vicky... - urwałam. Coś zaczęło mi świtać. - Chwileczkę, niech pomyślę.

Neil cierpliwie siedział i czekał. Po paru minutach nerwowego myślenia miałam dla niego odpowiedź.

- Vicky wyjechała w podróż poślubną. Założę się, o co pan tylko zechce, że Parker miał z nią romans, albo chciałby mieć i kiedy się dowiedział, że znów wyszła za mąż, wściekł się i odbił to sobie na panu. To, że wyszła za mąż, jest tajemnicą.

- A Parker się jakoś dowiedział i postanowił zrobić jej na złość, wyrzucając mnie z pracy i dając pani w kość podczas jej nieobecności. Fantastycznie, Holmesie. Jak pani na to wpadła?

- Lata medytacji i wyrzeczeń. - Byłam podminowana i koniecznie chciałam jak najszybciej wrócić do biura i opowiedzieć o wszystkim Barbarze, mimo że obiecałam szefowej, że dochowam tajemnicy. Jednakże Neil nadal się wściekał na to, jak Parker go potraktował, i nie chciałam go zostawiać w takim stanie.

Przesiedzieliśmy w Four Provinces parę godzin. Neil był coraz bardziej pijany, a ja coraz bardziej żałowałam, że nie mogę zrobić tego samego. Oczywiście, poznałam historię jego życia... Ożenił się, gdy miał dwadzieścia dwa lata, po paru latach okazało się, że dzieli ich niezgodność charakterów i powoli się od siebie oddalali, aż żona w końcu go opuściła. Przez siedemnaście lat uczył angielskiego w szkole średniej dla chłopców. W końcu znudziło mu się poprawianie wypracowań na temat: „Dzień, w którym zagrałem dla United” i tłumaczenie, kiedy używa się apostrofów.

Koło pierwszej Neil zgłodniał i nalegał, abym zjadła coś razem z nim, poszliśmy więc do knajpy, gdzie przyrządzano mięso według życzenia gości. Ponieważ to Neil mnie zaprosił, wybrałam najdroższe danie. Kiedy jedliśmy, zaczął wypytywać o moje sprawy, a to prowadziło do następnych drinków. Cały czas musiałam sobie przypominać, że jestem w pracy.

Biorąc pod uwagę, co mi się przydarzyło później, powinnam była się napić.

Rozdział 24

Tuż przed trzecią wróciłam wreszcie do biura. Kevin z kolegami grał na komputerze w „Quake'a”. Najwyraźniej świetnie się bawili, bo od czasu do czasu rozlegał się głośny śmiech i oskarżenia o strzał w plecy.

Barbara przywitała mnie z ulgą, ale widziałam, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? - spytałam wesoło. Doszłam o wniosku, że nie mogło to być nic gorszego, niż to, co już przesłam.

Odpowiedziała prostym pytaniem, które roztrząsało moje złudzenia.

- Pamiętałaś o pensjach?

- Cholera!

Był ostatni piątek miesiąca, dzień wypłaty. Vicky przed wyjazdem podpisała wszystkie czeki. Miałam przesłać je kurierem do księgowego, by je podpisał i odesłał. Wszystko to trzeba było zrobić przed trzecią, żeby czeki dla nieetatowych pracowników zdążyły - znów kurierem - do banków.

O ile ktoś nie wymyślił przesyłania rzeczy z prędkością światła, raczej nie miałam szans.

Przez resztę dnia panował ledwie kontrolowany chaos. Spanikowane telefony do kurierów, taksówki, księgowy, nasi pracownicy, banki, faksy... Znalazłam czeki i mimo wszystko posłałam je do księgowego, upewniając się, że jeszcze jest w pracy. Obiecałam kurierowi dwadzieścia funtów napiwku, jeśli zaczeka na podpisy księgowego i zawiezie czeki na czas naszym pracownikom.

Ponieważ wpadłam w panikę i nie myślałam logicznie - co zresztą rzadko mi się zdarza, choć tym razem chyba pobiłam rekord świata - zapomniałam powiedzieć kurierowi, żeby najpierw wrócił do biura z czekami Barbary, Danny'ego i Kevina.

Powstała nieprzyjemna sytuacja, gdy Kevin i Danny zażądali swoich pieniędzy. To znaczy Kevin się ze mną wyklócał, a Danny siedział spokojnie i przyznawał rację na zmianę mnie i Kevinowi, co tylko pogarszało sprawę.

Ponieważ wyglądało na to, że kurier nie zdąży wrócić przed zamknięciem banków, musiałam wypisać kolejne czeki - tym razem fałszując podpis szefowej, zamówić kolejnego kuriera, żeby zawiózł je do księgowego, poprosić go bardzo grzecznie, aby je podpisał i

dostać je z powrotem. Zdążyli do banku pięć minut przed zamknięciem.

Jednocześnie musiałam ignorować telefony od Sama, mojej gospodyni Mary - Annę, Sharon i Anthony'ego. Musiałam także walczyć z szefem z biura na dole, który chciał skorzystać z naszego faksu, bo jego się popsuł. Facet był w dobrym humorze i miał ochotę na dłuższą pogawędkę. Potem przyszła dziewczyna, która sprzątała u nas w co drugi dzień rano. Ona także dostawała pieniądze w ostatni piątek. Musiałam wziąć gotówkę z kasy na drobne wydatki.

W pewnej chwili wszystko tak się skomplikowało, że chciałam zadzwonić do matki i spytać, co mam robić, ale na szczęście odzyskałam na moment zdrowy rozsądek. Gdybym zrobiła coś takiego, mówiłaby o tym do końca życia.

Jedyną rzeczą, dzięki której jakoś się trzymałam, było wieczorne spotkanie z Samem, ale za każdym razem, kiedy podchodziłam do telefonu, żeby do niego zadzwonić, coś się działo.

O wpół do piątej powiedziałam Kevinowi i Danny'emu, że mogą wcześniej wyjść, głównie po to, aby Kevin wreszcie przestał się mnie czepiać.

Oczywiście, nie było to sprawiedliwe w stosunku do Barbary, ale wyjaśniłam jej, że jest mi potrzebna, nie tylko po to, żeby odbierać telefony i bronić mnie przed nachalnymi komiwojażerami. Liczyłam na jej moralne wsparcie. Poza tym dałam jej pół dnia wolnego w poprzedni poniedziałek.

Została bez problemu. Przynajmniej tak powiedziała. Obiecałam, że jej to wynagrodzę.

Kiedy Bernard Parker zadzwonił, żeby spytać, jak rozwiązałam problem z Neilem Forsythe'em, byłyśmy w biurze tylko my dwie.

- Spotkałam się z panem Forsythe'em - wyjaśniłam, zastanawiając się gorączkowo, czy powiedzieć draniowi, że przejrzeliśmy jego grę. - Omówiliśmy całą sytuację i muszę powiedzieć, że był tak samo jak ja zaskoczony pańskimi pretensjami.

Nieźle, pomyślałam. Dość bezosobowo.

- Mam nadzieję, że przekazała mu pani, aby się więcej nie pokazywał w biurze?

- Tak. Pan Forsythe powiedział mi, że nie dalej jak tydzień temu wyrażał mi pan swoje uznanie.

- Wszystko się zmienia, proszę pani.

To prawda, pomyślałam. - - Jak już panu tłumaczyłam dziś rano, musimy znaleźć panu Forsythe'owi satysfakcjonującą go posadę. On obawia się jednak, że ostatnie wydarzenia mogłyby zepsuć mu reputację. Ciekawa jestem, czy zamierza pan opowiadać komuś o tej sytuacji. Szczerze mówiąc, wolałabym, aby pan tego nie robił.

- Szczerze mówiąc, reputacja Forsythe'a nic mnie nie obchodzi. Dobrze, powiedziałam sobie. Daj spokój, bądź grzeczna, zaczekaj do poniedziałku.

- W porządku. Czy mogłabym spotkać się z panem na początku przyszłego tygodnia i omówić tę sprawę?

Chwila ciszy.

- Proszę posłuchać, mówiłem pani wiele razy, że ta sytuacja ma tylko jedno rozwiązanie. Proszę zwolnić Forsythe'a i znaleźć mi kogoś na jego miejsce. Na litość boską, dlaczego pani nie może tego zrozumieć?

- Dlatego, że myślę logicznie, proszę pana. W przeciwieństwie do pana. Porozmawiamy w przyszłym tygodniu.

- Jak pani sobie życzy. Udam się z tym do pani przełożonych. Proszę mi dać numer telefonu do Virginii w Stanach.

- Nie mogę. - Drżały mi ręce, ale starałam się zachować spokój. - Mam pełnomocnictwa, aby postąpić tak, jak uznam za stosowne. I postanowiłam, że porozmawiam z panem w przyszłym tygodniu.

Miałam odłożyć słuchawkę, kiedy krzyknął:

- Chwileczkę. Chwileczkę, proszę pani. Jak się pani zdaje, do kogo pani to mówi?

- Jest pan naszym klientem. I dlatego jeszcze do tej pory nie odłożyłam słuchawki.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, ile moja firma jest dla was warta?

Akurat te liczby miałam przed sobą.

- W zeszłym roku zapłaciliście nam za różne usługi siedemdziesiąt dwa tysiące funtów.

- Czyli o wiele więcej, niż warta jest pani, jeśli więc ceni pani sobie swoją pracę, proszę się zamknąć i robić to, co mówię.

To przebrało miarę. Posunął się za daleko. Doszłam do wniosku, że nie mogę już w żaden sposób pogorszyć swojej sytuacji.

- Jak już mówiłam, w zeszłym roku pańska firma zapłaciła nam siedemdziesiąt dwa tysiące funtów. Z tego mniej niż dwadzieścia pięć procent w terminie. Ponadto, choć naprawdę nie wiem dlaczego, ale myślę, że znajdę tę informację, jeśli dobrze poszukam, nigdy nie naliczyliśmy wam kary za zwłokę. A to byłoby następne... - Szybko policzyłam na kalkulatorze - ...cztery tysiące osiemset dziewięć funtów. Mniej więcej. Mogę wyliczyć dokładną sumę i przekazać ją panu w poniedziałek. Nagle się uspokoił.

- Wydaje mi się, że będę się musiał poważnie zastanowić nad dalszą współpracą między naszymi firmami.

Wiedziałam, że wygrałam, bo dwa razy użył słowa „nasz”, co oznaczało, że zbiłam go z pantałyku.

- Dalsza dyskusja nie ma w tej chwili sensu - powiedziałam uspokajająco. - Spotkajmy się w poniedziałek. Do tego czasu i tak niewiele można zdziałać.

Zgodził się i poczułam się jak kompletna idiotka, ponieważ miałam na myśli rozmowę przez telefon. Teraz znów będę musiała spotkać się twarzą w twarz z tym potwornym facetem.

Gdy tylko odłożyłam słuchawkę, do gabinetu weszła Barbara.

- No i co? Co się stało? W pewnym momencie myślałam, że zaczniesz krzyczeć.

- Ten wstrętny gnojek wyprowadził mnie z równowagi.

- To było widać. Spojrzałam na zegarek.

- Posłuchaj, Sam będzie tu za chwilę. Pójdziemy gdzieś we trójkę, upijemy się i wszystko ci opowiem.

Odetchnęła głęboko.

- Tylko mnie nie zabijaj. To nie moja wina.

- Co znowu?!

- Sam zadzwonił po raz kolejny parę minut temu. Dzwonił cały dzień. Mówi, że dziś nie może. Jakaś nagła sprawa rodzinna, czy coś w tym rodzaju. Powiedział, że jutro do ciebie zadzwoni.

- Cholera!

- Sharon dzwoniła parę razy. Mówiła, że wybiera się na jakieś przyjęcie i też możesz pójść, jeśli najpierw do niej zadzwonisz, ponieważ szła tam wprost z pracy. - Barbara rzuciła okiem na zegarek. - To znaczy jakieś dziesięć minut temu. Dzwonił też Anthony i powiedział, że jeśli wybierasz się na to przyjęcie, to daj mu

znać. Zawiezie cię samochodem. A poza tym chciałby z tobą o czymś porozmawiać.

Westchnęłam.

- I na pewno żadne z nich nawet się nie zająknęło, gdzie jest to przyjęcie. Albo u kogo?

Barbara uśmiechnęła się.

- Jaka byłaby ze mnie osobista asystentka, gdybym nie sprawdziła takich detali? Wiedziałam, że jesteś zaganiana i że nie zdążysz do niech oddzwonić, więc wszystko zapisałam. Przyjęcie jest u Jenny, kuzynki Sharon, tej od mieszkania. Organizuje parapetówkę i jesteś specjalnie zaproszona. Sądzę, że to był pomysł Sharon, żeby poznać Sama.

- Sam nie może pójść, ale co ty robisz dziś wieczorem?

Potrząsnęła głową.

- Jestem zajęta.

- Nie lubię chodzić na przyjęcia bez faceta, ale może znudzi mi się siedzenie w domu i płkanie przy jakimś filmie wideo. Daj mi ten adres.

- Jak to? Nie znasz go?

- Pewnie, że nie - powiedziałam ostro. - Zresztą nic nie szkodzi - dodałam trochę łagodniej. - I tak jestem wykończona.

Parę minut później Barbara poszła do domu, a ja zrobiłam sobie notatki z tego, co mnie czekało w przyszłym tygodniu. Nie miałam nic lepszego do roboty. Szukając w biurku Vicky pustego segregatora, natknęłam się na papierosy i zapalniczkę.

Będę szefową jeszcze przez cały przyszły tydzień - powiedziałam sobie - i muszę mieć coś, co mnie będzie uspakajać. Otworzyłam paczkę i wyjęłam papierosa.

Zapaliłam i delikatnie się zaciągnęłam. Być może, nie jest to godne pochwały, ale poczułam się wspaniale.

Rozdział 25

W końcu wróciłam do domu przygotowana na długą wieczorną chandrę. Przyszło mi do głowy, że mogłabym zadzwonić do matki Sharon i spytać o nowy adres Jenny, ale właściwie nie byłam w zbyt towarzyskim nastroju. Poza tym nie chciało mi się wyjaśniać wszystkim razem i każdemu z osobna, dlaczego przyszedłam bez Sama.

Przyznam, że mnie rozczarował, odwołując nasze spotkanie, bo miałam ochotę na trochę romantycznych przeżyć. Tak się nad sobą rozczuliłam, że postanowiłam opisać wydarzenia całego dnia w pamiętniku. Zawsze to robię, kiedy przeżywam jakiś stres, a to był z pewnością najbardziej stresujący dzień w moim życiu. Jednak pisanie znudziło mi się dość szybko, bo nie było ani w połowie tak interesujące, jak wypłakiwanie się drugiej osobie, więc po jakimś czasie postawiłam wodę na herbatę i zaczęłam czytać stare zapiski.

Pierwszy pamiętnik dostałam na dziesiąte urodziny. Zaczynał się, jak zwykle, od pierwszego stycznia, a ponieważ urodziny mam w marcu, postanowiłam - będąc dzieckiem nad wiek rozwiniętym - pisać od początku i wpisywać własne daty.

Parę miesięcy później najwyraźniej doszłam do wniosku, że to był głupi pomysł i opuściłam wiele stron, przechodząc do aktualnej daty. Przy ostatnim zapisie narysowałam strzałkę, którą powtórzyłam na każdej następnej pustej stronie, aż do nowego zapisu. Widocznie uważałam, że gdy będę starsza, nie zrozumie, o co chodziło. Starsze „ja” nie było tym specjalnie zbudowane, ale nic nie mogłam na to poradzić.

Pierwszy zapis wyglądał mniej więcej tak:

Poniedziałek, 21 marca

Dzisiaj skończyłam dziesięć lat. To jedna dziesiąta całego stulecia. Sally i Brona są niezadowolone, bo dziś jestem od nich starsza. Obie mają po dziewięć lat, ale Sally skończy dziesięć za parę tygodni, a Brona dopiero w sierpniu. Wtedy znów będziemy w tym samym wieku do przyszłego marca, kiedy skończą jedenaście lat. Dwa lata później oficjalnie zostanę nastolatką i nikt mi nie będzie mówił, co mam robić.

Wczoraj Fintan był dla mnie naprawdę okropny. Wiedział, że dziś są moje urodziny, więc przez cały dzień przezywał mnie i popychał. Nienawidzę go!

Opiszę tu wszystkie rzeczy, które mi robi i pokażę mu, jak będzie starszy. Na pewno będzie mu bardzo przykro.

Pozdrawiam Susan

Trochę śmiesznie, ale nieźle jak na dziesięciolatkę. Większość zapisków była mniej więcej w tym samym duchu, dopóki nie skończyłam dwunastu lat i nie zaczęłam interesować się chłopakami. Moją pierwszą prawdziwą miłością był George Michael. Kiedy go odkryłam, nawet Harrison Ford poszedł w niepamięć.

To były czasy getrów i Flashdance oraz genialnych piosenek, takich jak: Big in Japan, Church of the Poisoned Uind i Wouldn't It Be Good. Grupy Kajagoogoo, Bow Wow Wow i Rock Steady Crew były dla mnie szalenie ważne, ale najważniejsze były zespoły Franky Goes to Holywood i The Stranglers.

To były czasy, kiedy zakochiwałam się co drugi dzień i co drugi dzień miałam złamane serce. Najzwyklejszy, przeciętny chłopak w moich oczach wyglądał jak Adonis. Nie przeszkadzało mi, że był chudy, pryszczaty, brudny, wstrętny i głupi. Jeśli postanowiłam, że mi się podoba, co najmniej przez tydzień nic nie mogło zmienić mojego zdania. Taki chłopak nie musiał nawet zwracać na mnie uwagi, a i tak dochodziłam do wniosku, że darzy mnie skrytym uczuciem.

Chłopcy podobali mi się z najdziwniejszych powodów: jeden - moim zdaniem - ładnie się śmiał, inny przepuścił mnie w kolejce w bibliotece. Pośród tych wynurzeń znalazłam liczne strony poświęcone chłopakowi, którego widywałam czasem w drodze do szkoły. Przejeżdżał koło mnie na rowerze i chyba nigdy w życiu nie widziałam jego twarzy.

Strasznie chciałam być dorosła i wyprowadzić się z domu.

Spojrzałam na bałagan w mieszkaniu. No, tak jestem już dostatecznie dorosła.

Przerzucając pamiętniki, znalazłam dzień, kiedy uświadomiłam sobie, że będę nieprzeciętnie wysoka.

Jedna z dziewczyn w pierwszej klasie mówi na mnie „żyrafa”. To dlatego, że one wszystkie są strasznie małe jak zabawki. Sięgam tacie do ramienia, ale chyba już więcej nie urosnę. Fintan wciąż jest znacznie niższy ode mnie, ale tata mówi, że chłopcy rosną wolniej. W przypadku Fintana to pewnie dlatego, że musi pytać, w którą stronę ma rosnąć. Ha, ha.

I ma okropne pryszczki. Więcej ode mnie. Ale to dlatego, że nie myje się codziennie. Ma też tłuste włosy.

Nie wiem, co się z nim dzieje, ale co chwila wpada bez pukania do mojego pokoju, zazwyczaj z Anthonym. Wiecznie pyta o jakąś płytę, o nożyczki czy o coś równie głupiego. Przypuszczam, że kiedyś z tego wyrośnie. Przynajmniej Anthony go trochę kontroluje. Pozostali koledzy Fintana to prawdziwe głupki. Zawsze mnie złoścą. Tylko Anthony jest dla mnie miły.

Nie krzyczy, jest delikatny i zawsze czysty. Może jest ~~homoseksualistą~~ ~~homoseksualistą~~ gejem.

Roześmiałam się, kiedy to przeczytałam. Anthony na pewno nie jest gejem. Wtedy przypuszczalnie się we mnie podkochał.

Dwadzieścia po ósmej ktoś zastukał do drzwi. Przyszła moja gospodyni, Mary - Anne, i jak tylko ją zobaczyłam, przypomniałam sobie, że dzwoniła do mnie do pracy, kiedy nie mogłam odebrać telefonu.

- Mary - Anne! Zupełnie wyleciało mi z głowy, że miałam do pani oddzwonić.

Wglądała bardzo ponuro i zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, czy nie zrobiłam czegoś złego. Albo o czymś zapomniałam. Na przykład zapłacić za mieszkanie... Nie, dopiero dwa tygodnie temu zapłaciłam jej za miesiąc z góry.

- Czy mogę wejść na chwilę? - spytała.

Skinęłam głową i gestem wskazałam jedyne wolne krzesło.

- Jasne. Proszę usiąść. Napije się pani herbaty?

W mieszkaniu panował straszny bałagan i usiłowałam mówić takim tonem, jakbym właśnie sprzątała.

Zastanowiła się krótko nad moją ofertą a potem usiadła.

- Chętnie, dziękuję.

- Czy coś się stało?

- Obawiam się, że mam złe wiadomości. Pani Brarmigan umarła dziś w nocy. Chyba spadła z łóżka i uderzyła się w głowę o kant szafki.

Prawie upuściłam czajnik do zlewu.

- O Boże! Czy... To znaczy... jak długo leżała, dopóki ktoś jej nie znalazł?

- Jedna z jej znajomych zadzwoniła do niej domofonem za piętnaście jedenasta. Kiedy nikt nie odpowiadał, zadzwoniła do mnie.

Pani Brarmigan jest... to znaczy była bardzo punktualna, zwłaszcza gdy się z kimś umówiła. Poszłam na górę, znalazłam ją i zadzwoniłam po karetkę. Powiedzieli, że prawdopodobnie umarła w nocy.

Nagle zrobiło mi się bardzo zimno. Usiadłam na brzegu łóżka.

- Słyszałam w nocy jakiś hałas - powiedziałam słabym głosem.
- Myślałam, że to ci dwoje obok. Gdybym wiedziała...

Mary - Anne milczała przez chwilę.

- Pani Brarmigan przypuszczalnie umarła od razu, Susan. Była bardzo stara. Nic by jej pani nie pomogła.

Łzy zaczęły płynąć mi po policzkach.

- Rozmawiałam z nią tylko raz - powiedziałam. - Wprosiła się do mnie.

Mary - Anne uśmiechnęła się ciepło.

- Zapewne wszystko tu dokładnie obejrzała i opowiedziała pani swoje życie?

Kiwnęłam głową.

- Zawsze twierdziła, że można dużo powiedzieć o ludziach, gdy się obejrzy ich rzecz. Lubiała panią. Parę dni temu odwiedziła mnie i powiedziała, że jest pani bardzo inteligentna i bardzo miła. - Mary - Anne znów się uśmiechnęła. - Mówiła, że przypomina jej pani siebie z czasów młodości.

Nic nie przychodziło mi do głowy. Mary - Anne od lat mieszkała z panią Brannigan w jednym domu. To ja powinnam ją pocieszać.

- Jak ona miała na imię? - spytałam. - Nawet tego nie wiem.

- Florence. Miała osiemdziesiąt dwa lata.

- Czy ma jakąś rodzinę?

- Wiem tylko o siostrze. Oczywiście, była mężatką, ale jej mąż zmarł jakieś dziesięć lat temu, tuż przed przeprowadzką tutaj. Ich córka umarła w wieku trzydziestu lat. Miała tętniaka.

- Lubiała Sandrę i Brendana - powiedziałam, bo nie bardzo miałam nic innego do powiedzenia. - Mówiła, że uciekli z domu i wzięli ślub.

- Nie mam pojęcia, czy naprawdę w to wierzyła - stwierdziła Mary - Anne - ale taka właśnie była. Przyjmowała słowa innych ludzi za dobrą monetę.

- Kiedy będzie pogrzeb? Powinnam pójść.

- Byłaby zadowolona. Jedna z jej znajomych wszystko załatwia. Poinformowała mnie, że pogrzeb odbędzie się w poniedziałek w Deansgrange, gdzie jest grób rodzinny, ale nie wiem jeszcze, w którym kościele i o której godzinie będzie msza. Zawiadomię panią. Rozmawiałam z innymi lokatorami, ale nikt nie będzie mógł przyjść. Andrea nie wytrzymałaby tego psychicznie, a Sandra i Brendan powiedzieli, że są zajęci. Rogera to nie interesuje. Powiedział, że pani Brannigan nie chciałaby go na swoim pogrzebie.

- Tak. Nie znam pozostałych osób, ale Sandra i Brendan są obrzydliwi. Przepraszam, nie chciałam pani urazić.

- Sama być może tak bym ich nie określiła, w zasadzie jednak zgadzam się z panią.

Przypomniało mi się, że miałam zrobić herbatę.

- Zupełnie zapomniałam - powiedziałam, wstając. Wzruszyła ramionami.

- Nic nie szkodzi. Nie mam właściwie ochoty. Dziękuję za dobre chęci. Niech pani wraca do swoich zajęć.

Nie chciałam, żeby wyszła. Mimo całej tej sytuacji miło było z kimś porozmawiać.

- Nie robiłam nic ważnego. Rozczulałam się nad sobą. Miałam paskudny dzień. Chociaż teraz patrzę na wszystko z innej perspektywy.

Nagle przypomniałam sobie, że zastępuję szefową i że nie wiadomo, na jak długo będę mogła wyjść z biura na pogrzeb. I pomyślałam, że w tym momencie praca nie jest ważna. Poza tym jakoś dali sobie radę, kiedy siedziałam całe przedpołudnie z Neilem Forsythe'em. Mogą to samo zrobić w poniedziałek. A jeśli pan Parker nie będzie z tego powodu zadowolony, to jego pech.

Mary - Anne chyba się zorientowała, że nie chcę zostać sama, ponieważ zaprosiła mnie do siebie, gdzie przez resztę wieczoru i pół nocy rozmawialiśmy, bawiliśmy się z jej kotką i czterema kociakami i wypiliśmy trzy butelki czerwonego wina.

O drugiej nad ranem dotarłam do mieszkania, padłam na łóżko i po raz pierwszy od bardzo dawna naprawdę się wyspałam.

Rozdział 26

Następnego dnia obudziłam się z najgorszym kacem, jakiego miałam w życiu. Przeważnie nie piję wina, bo już dawno temu przekonałam się, że kac po nim jest paskudny. Z jakiegoś powodu nie pomyślałam o tym poprzedniego wieczoru.

Najlepszym lekarstwem na kaca jest dla mnie osiemnaście godzin snu, jednak w mieszkaniu nadal panował nieprawdopodobny bałagan i nie mogłam sobie pozwolić na wylegiwanie się w łóżku. Poza tym chciałam zadzwonić do Sama do pracy, żeby dowiedzieć się, jaki to kryzys rodzinny kazał mu odwołać nasze spotkanie.

Drugie najlepsze lekarstwo na kaca, jakie znam, to uklęknąć przed ubikacją i trząść się, jęcząc pod nosem: „O Boże! O Jezu! Już nigdy nie będę tyle piła”. Po tej krótkiej modlitwie następuje atak wymiotów i nadmierne zużycie papieru toaletowego, aby oczyścić brodę z nitek śliny. Pomaga za każdym razem.

Kiedy zakończyłam ceremonię i moje ciało znów zaczęło przypominać ludzką formę (w trakcie procesu oczyszczania zawsze wyglądałam i czułam się jak kawał zimnego surowego kurczaka), weszłam pod cudowny ciepły prysznic i parę minut później poczułam się jak człowiek.

Potem doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie nic przełknąć. Zrezygnowałam z jedzenia i wzięłam się za porządki. Ponieważ nie mogłam się schylać, początkowo byłam w stanie uporządkować jedynie półki i ubrania, które i tak wisiały już w szafie, jednak gdzieś po godzinie zupełnie wróciłam do siebie, wrzucając rzeczy pod łóżko i ignorując warstwy kurzu.

Próbowałam zadzwonić do wypożyczalni Sama, ale nikt nie odbierał telefonu, mimo że było po dwunastej. Potem zadzwoniłam do niego do domu, ale też nikogo nie zastałam. Wróciłam do mieszkania i przez kilka minut zastanawiałam się, co robić. Oczywiście, miałam do zrobienia całe mnóstwo rzeczy: zmywanie, pranie, porządki, ale w końcu była sobota po ciężkim tygodniu pracy, no, właściwie nie aż tak ciężkim, oprócz tego cholernego piątku, i po prostu mi się nie chciało.

Przyszło mi do głowy, by odwiedzić rodziców, lecz oni prawdopodobnie wyjechali, jak w każdy weekend. Zadzwoniłam do Sharon, która, dzięki Bogu, była w domu i zgodziła się zmarnować popołudnie, chodząc po mieście i oglądając ciuchy, których nie kupiłybyśmy za żadne skarby świata.

Zakupy to najciekawsze marnowanie czasu, na jakie mogą sobie pozwolić dwie przyjaciółki w sobotnie popołudnie. Zwłaszcza w Dublinie, gdzie na kilometr kwadratowy przypada więcej sklepów, niż w jakimkolwiek innym mieście na świecie. Ta ostatnia wiadomość to wytwór w mojej wyobraźni i opiera się na fakcie, że jest to całkiem możliwe.

Śródmieście ma dużą przewagę nad dużymi centrami handlowymi na przedmieściach, takimi jak: „The Square” w Tallaght czy „The Blanchardstown Centre”, gdyż są tam przeróżne sklepy. W przeciętnym centrum handlowym jest osiemnaście sklepów z ciuchami (dwa rodzaje: takie, do których nie masz po co wchodzić ze względu na ceny, i takie, do których w życiu byś nie weszła), trzy księgarnie (papeteria i wielkie księgi w rodzaju: Pięć tysięcy sposobów gotowania dla osób po pięćdziesiątce czy Najbardziej błyszczące sportowe samochody świata, czy stopy egzemplarzy poradnika „Mandy” z zeszłego roku), dwanaście sklepów z butami, gdzie są fantastyczne buty we wszystkich rozmiarach oprócz twojego, siedem różnych, choć dziwnie identycznych „sklepów sportowych”, w których sprzedają jedynie dresy i obuwie sportowe, dwóch rywalizujących ze sobą fryzjerów (którzy mają różne ciekawe propozycje, na przykład przejadą ci grzebieniem po włosach za siedemnaście i pół funta), cztery kawiarnie, w których sprzedają wyłącznie croissanty z szynką i serem oraz wczorajszy budyń, siedem jaskrawo oświetlonych lokali z hamburgerami i hot dogami (przynajmniej jeden z nich reklamuje się jako „restauracja rodzinna”), jedno miejsce, gdzie zrobią ci dowcipny napis na bluzce ze słowami „seks” i/lub „piwo”, przynajmniej dwa ogromne domy towarowe, kilkanaście wersji aktualnie modnego sklepu (komputery, telefony komórkowe, rekwizyty bożonarodzeniowe) i wreszcie coś naprawdę odłotowego, jak sklep, w którym sprzedaje się tylko marmoladę z limonek albo łańcuszki na kostkę u nogi.

W śródmieściu jest dużo większy wybór... To znaczy to wszystko, co opisałam powyżej pomnożone przez cztery plus puby. I w mieście dodatkowo mogą ci za darmo buchnąć torebkę.

Mimo reklam, twierdzących coś wręcz przeciwnego, zakupy w centrach handlowych na przedmieściach są dużo droższe. W śródmieściu jest na przykład takie miejsce jak Henry Street, gdzie można kupić trzy zapalniczki za funta albo skarpetki za tę samą cenę.

Prawdę mówiąc, parę lat temu przez Henry Street w ogóle nie dało się przejść, bo tyle osób sprzedawało skarpetki. Pamiętam, że Anthony nazwał to Rynkiem Skarpetek i uważał, że to bardzo śmieszne, choć my nie zrozumieliśmy dowcipu, dopóki nie wytłumaczył nam, że należy porównać słowa „sock” i „stock”, („skarpetka” i „akcja”). Za rogiem, na Moore Street, jest duży wybór dobrych i tanich owoców, gdy tymczasem w moim sklepie żądają prawie pół funta za jedną pomarańczę wielkości winogrona.

Spotkałyśmy się z Sharon w naszym zwykłym miejscu - przy głównym wejściu do centrum handlowego St. Stephen's Green. Nie weszłyśmy jednak do środka, bo już tam raz byłyśmy. To niesamowity sklep, ponieważ znacznie więcej ruchomych schodów jedzie na górę, niż zjeżdża na dół. Wydawało mi się, że niedługo górne piętra osiągną masę krytyczną, szklany dach pęknie i ludzie będą spływać na dół niczym lawa.

Przeszłyśmy Grafton Street i przez kilka minut oglądałyśmy na wystawie Laury Ashley wszystkie te ciuchy, których nigdy w życiu byśmy na siebie nie włożyły. Potem weszłyśmy do sklepu muzycznego, żeby zobaczyć, co mieli na wyprzedaży. To, co zwykle: Demolition Man, Groundhog Day, składankę Chrisa de Burgha i podwójną płytę CD zatytułowaną: Pięćdziesiąt najlepszych melodii z seriali telewizyjnych lat siedemdziesiątych, którą kupiłam, choć Sharon się ze mnie śmiała. Przecisnęłyśmy się obok grupy ludzi robiącej wrażenie, jakby właśnie zamierzali rzucić pieniądze ulicznym grajkom, i znalazłyśmy się przed wejściem do Bewleya.

- Kawa? - spytała Sharon.

- Koniecznie. Jestem wykończona. Przeszłyśmy chyba z pół kilometra.

Kawa u Bewleya nie zawsze jest dobra, ale zawsze jest mokra i gorąca, a to się liczy. Poza tym mają automaty, które rozpryskują wrzące mleko z grubsza w kierunku filiżanki i wydają superodgłosy.

Dzięki łokciom i odrobinie szczęścia zdobyłyśmy stolik wyłącznie dla siebie. Wcisnęłyśmy się na krzesła, obstawiłyśmy torebkami i zajęłyśmy się niewdzięcznym zadaniem zdjęcia wszystkiego z tacy i umieszczenia na stoliku, nie większym niż dziewięćdziesiąt centymetrów kwadratowych.

Kiedy zdejmowałam zakiet, okazało się, że mam w kieszeni papierosy i zapalniczkę Vicky. Wyjęłam papierosa i zapaliłam.

- Od kiedy znów zaczęłaś palić? - spytała Sharon.
- Od wczoraj. Miałam straszny dzień. Poza tym oficjalnie wcale nie zaczęłam palić, bo po pierwsze, to dopiero mój drugi papieros, a po drugie nie kupowałam ich, tylko znalazłam u szefowej w gabinecie.

Sharon też kiedyś paliła - wszyscy paliliśmy, mając po kilkanaście lat - i teraz spojrzała na mnie wzrokiem, który mówił: „Daj mi papierosa albo cię zabiję”.

- Chcesz? - spytałam.
- Tak, ale nie wezmę. Nie stać mnie.
- Jak było wczoraj? - spytałam, manewrując filiżankami, podstawkami i talerzykami, aby wszystko jakoś ustawić.
- Nieźle. Myśleliśmy, że przyjdiesz.
- Nie przyszłam z wielu różnych powodów. Krótko mówiąc, Sam nie mógł, bo miał jakiś kryzys rodzinny. Próbowalam się dziś rano do niego dodzwonić, ale nikt nie odpowiadał. Poznałaś kogoś miłego? - zapytałam z diabelskim uśmiechem, unosząc brwi.
Sharon zawahała się. Chciała chyba przytaknąć, ale w końcu powiedziała enigmatycznie:

- Może.
- Może? Co to za odpowiedź? Sharon też się uśmiechnęła.
- Na przyjęciu nikogo nie spotkałam, ale ktoś podwiózł mnie potem do domu i trwało to dłużej niż się spodziewałam.
- To znaczy, że nie pojechałaś swoim samochodem? - spytałam, ponieważ wiedziałam, że nie takiego pytania oczekiwała. Chciałam, żeby opowiadała z własnej woli.

- Nie. Miałam zamiar się upić. Wiesz, jak to jest, kiedy starasz się upić...

- Tak. Jesteś kompletnie ubzdryngolona, a wciąż ci się wydaje, że jesteś trzeźwa.

- W każdym razie nie upiłam się, bo jakiś kretyń przyczepił się do mnie na cały wieczór. Wydawało mu się, że coś osiągnie, choć cały czas go ignorowałam. I ten drugi facet powiedział koło jedenastej, że jedzie do domu i zaproponował, że mnie podrzuci.

- O której wróciłaś?
- Po piątej. Ale zanim wyciągniesz fałszywe wnioski, to ci powiem, że nic wielkiego się nie stało - dodała szybko. - Rozmawialiśmy i trochę się całowaliśmy. No, więcej niż trochę.

Z jakiegoś dziwnego powodu poczułam ukłucie zazdrości. Nagle zapragnęłam rozmawiać o Samie, ale Sharon najwyraźniej chciała opowiadać dalej, więc milczałam i pozwoliłam jej rozwozić się nad tym cudownym mężczyzną, którego poznała.

Dowiedziałam się, o czym rozmawiali, jak świetnie się bawili i że umówili się na niedzielne popołudnie. Nie wspomniała tylko, jak się nazywa. Prędko wykombinowałam, że to musi być ktoś, kogo znam.

Zadałam kilka niby niewinnych pytań typu: „Jaki ma samochód?” i - „Jaki jest jego ulubiony film?”, ale w ogóle nie mogłam zgadnąć, kto by to mógł być. Miałam właśnie złapać ją za gardło i krzyknąć: „Jak on się, do diabła, nazywa?”, kiedy powiedziała, że ma własną firmę.

- To jest Mark, prawda? - stwierdziłam nagle. - Mark, jak - mu - tam, z wypożyczalni wideo. Kurczę, Sharon, on jest z dziesięć lat starszy od ciebie.

Rzuciła mi spojrzenie, które musiała przez parę godzin ćwiczyć przed lustrem.

- No to co? Jakie to ma znaczenie?

- Żadnego - odparłam. - Zaskoczyłaś mnie i tyle. Nawet nie wiedziałam, że ci się podoba.

- Ja też nie, ale w drodze do domu zaczęliśmy rozmawiać i wiesz, jak to jest, kiedy usta ci się nie zamykają. Oboje przez cały czas staraliśmy się mieć ostatnie słowo. - Wypiła łyk kawy, skrzywiła się i otworzyła następną saszetkę z cukrem. - Pytał, co się z tobą dzieje.

- Powiedziałaś mu, że uciekłam z domu i przyłączyłam się do cyrku, prawda?

- Przypuszczalnie by mi uwierzył. Uważa, że jesteś kompletną wariatką. W pozytywnym sensie. Poinformowałam go, że się wyprowadziłam i mieszkasz na południu.

- Jestem spalona. Jak on się nazywa?

- Shanahan. W rzeczywistości ma na imię John, nie Mark.

Pochodzi z tych wielkich wiejskich rodzin, gdzie nie wiadomo dlaczego każdego nazywają drugim imieniem.

- To dobrze, że nie ma na drugie Mary - powiedziałam. Wciąż byłam lekko oszołomiona jej nowiną. - Starszy facet! Coś takiego! I znów się z nim umówiłaś...

- Już kiedyś chodziłam ze starszym facetem, pamiętasz? Brian MacLaherty miał osiemnaście lat, a ja czternaście. To mniej więcej taka sama proporcja.

- Tak, ale Brian MacLaherty miał umysł dwunastolatka. Ciekawe, co on teraz robi?

- Jest barmanem w Drumcondrze. Matka mi mówiła. Podobno studiuje inżynierię.

- Miał okropny łupież. Sharon uśmiechnęła się.

- Matka mówiła, że jest prawie całkiem łysy. Ma z przodu jeden kosmyk włosów, zapuścił go i zaczesuje do tyłu. Poza tym strasznie utył. I nosi lenonki, które odciskają mu się na nosie.

- Brzmi cudownie.

- Jaki właściwie jest Sam? Czy poznamy go kiedyś osobiście, czy zobaczymy go we Frodo's, o ile się tam kiedykolwiek wybierzemy?

- Frodo's to był przypadek. Niezwykłe zrządzenie losu... Mam nadzieję, że go poznasz. W czwartek świetnie się bawiliśmy. Wczoraj miał przyjść po mnie do pracy, ale jak już wspomniałam, coś mu wypadło. To nawet dobrze, że byłam zajęta, bo inaczej cały czas bym się denerwowała. Barbara nie może się doczekać, żeby go poznać. A teraz zainteresowała się moim Tajemniczym Facetem.

Sharon spojrzała na mnie uważnie.

- Jakim Tajemniczym Facetem?

Opowiedziałam jej o J., o jego ogłoszeniu i listach, które do siebie pisaliśmy. Kiedy skończyłam, obrzuciła mnie pełnym niedowierzania spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że podałaś nazwisko i adres zupełnie obcemu facetowi, który dał ogłoszenie do gazety, że szuka kogoś, kogo mógłby nienawidzić? Boże, Susan! To najbardziej idiotyczna rzecz, o jakiej w życiu słyszałam.

Najpierw chciałam zaprotestować, jednakże zdałam sobie sprawę, że Sharon ma rację. O mój Boże! Jak mogłam być taka głupia?

Codziennie słyszy się o kobietach prześladowanych przez psycholi, a poza tym widziałam masę tego rodzaju filmów, które zaczynają się od słów wypowiedzianych głębokim głosem z amerykańskim akcentem: „Zacząło się całkiem niewinnie... Uważała, że to zabawa. Nie miała pojęcia, na co się naraża”.

- On nie jest taki - powiedziałam. - Na pewno nie. Nie robi wrażenia psychicznego.

- Dowiedziałaś się o tym z jego listów, co? Przeanalizowałaś jego charakter pisma i doszłaś do wniosku, że nie jest mordercą?

J. był w porządku, co do tego nie miałam wątpliwości, chociaż nie potrafiłam wytłumaczyć tego Sharon. W końcu zacytowałam jej nasze listy i trochę się uspokoiła.

- Naprawdę, czasami zachowujesz się bardzo dziwnie - zauważyła. - Jak mogłaś zacząć korespondować z zupełnie obcym człowiekiem? - Milczała przez chwilę. - Hej! Powiedziałaś, że to facet w średnim wieku, a do mnie się czepiasz o Marka.

- Oczywiście, masz na myśli Johna - powiedziałam, usiłując zmienić temat.

- Przyganiał kociół garnkowi!

- Ja się z nim nie spotykam, tylko piszę listy. To doskonała zabawa pisać nieprzyjemne listy do kogoś, kogo nawet nie znasz. Każdy powinien kiedyś tego spróbować.

- Tak, tak, mój psychiatra sugerował mi coś takiego, kiedy wróciłam z Wietnamu. A co Sam o tym myśli?

Spojrzałam na nią z góry.

- Sama i mnie łączy dojrzały związek oparty na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Powiedziałam mu, że to nie jego sprawa. To znaczy, wie o wszystkim, ale i tak uważa, że jestem dziwna, więc to niczego nie zmieniło. Nigdy byś nie zgadła, co kiedyś powiedział. .. Że mu się podobam między innymi dlatego, bo jestem od niego mądrzejsza.

To zrobiło na niej wrażenie.

- Wyjdź za niego - poradziła.

- Sama bym na to nie wpadła. Zostaniesz moją druhną?

- Przykro mi, ale tego dnia myję głowę.

- Naprawdę? Dam ogłoszenie do gazety.

- Ha, ha! Poproś o to tajemniczego przyjaciela, ma wprawę w dawaniu ogłoszeń do gazet.

- A twój specjalny przyjaciel? Bierze od siebie pół funta kary, jak zapomni przewinąć własną kasetę?

- Tak, a mimo to wciąż tego nie robi i dlatego zabronił sobie wchodzić do własnej wypożyczalni. Potem się ugiął i odpuścił.

Nepotyzm.

- Może powinniśmy się zamienić - stwierdziłam. - Zawsze chciałam chodzić z kimś, kto pracowałby w wypożyczalni kaset wideo. Och, chwileczkę, przecież chodzę z kimś takim!

Sharon spoważniała.

- Boże, jeśli kiedykolwiek spotkalibyśmy się w czwórce, chyba bym oszalała. Przez cały wieczór rozmawialibyście wyłącznie o filmach. To coś jeszcze gorszego od kibiców piłkarskich w czasie mistrzostw świata.

- Dlatego żony zawsze się stroją, kiedy wychodzą do pubu? Żeby odwrócić uwagę mężów od rozmów o piłce i samochodach.

- To i tak nic nie daje. Mark o mało co nie zaczął mówić o piłce. Z trudem udało mi się go powstrzymać. Zamiast tego zaczął mówić o filmach o piłce. Jak się nazywał ten z Sylwestrem Stallone i Michaeliem Caine?

- Ucieczka do zwycięstwa. Mogę sobie wyobrazić Sama dokładnie w takiej samej sytuacji. Choć napomknął o piłce tylko raz czy dwa. Jak do tej pory. Powiedział, że jego marzeniem jest zagrać w Crystal Palace w finałach pierwszej ligi

- O Boże! - jęknęła Sharon. - Tylko nie Crystal Palace.

- Nie mów... Ulubiona drużyna Marka? Skinęła głową.

Spojrzałyśmy na siebie i wzniosłyśmy oczy do nieba.

- Mężczyźni!

Rozdział 27

Okazało się, że Sam nie miał zbyt przekonującego powodu, aby odwołać nasze spotkanie. Przyjechał jego kuzyn z Niemiec, poszli na piwo i się upili. To znaczy, kuzyn się upił, a Sam tkwił przy nim, żeby mu się nic nie stało.

Zadzwoił w sobotę wieczorem, tuż po moim powrocie z miasta, i przeprosił. Nie byłam specjalnie zachwycona, zwłaszcza że mógł powiedzieć Barbarze, dokąd się wybierali. Powiedziałam mu to.

- Czekaliśmy i czekaliśmy, a kiedy nie oddzwoniłaś, wyszliśmy na jedno piwo. Wiesz, jak to jest.

Wiedziałam, ale nie miałam zamiaru tak łatwo mu wybaczyć, szczególnie po tym zdanku: „kiedy nie oddzwoniłaś”. To przerzucało winę na mnie, prawda?

- Miałam wczoraj straszny dzień - oznajmiłam, dorzucając mu trochę poczucia winy. - Ucieszyłabym się z miłego towarzystwa.

- Wiem. Powiedziałem, że mi przykro. Wynagrodzę ci to. Może dziś?

- Chcesz przyjść do mnie?

- Jasne. O której?

- Koło ósmej? - Pomyślałam, że może ten kuzyn jeszcze jest. - Będziesz sam?

- Nie, z tobą - zażartował.

Zastanowiłam się, czy już mu wybaczyć i powiedzieć coś miłego, ale stwierdziłam, że zaczekam aż przyjdzie, czy będzie punktualny i - co najważniejsze - czy przyniesie mi coś miłego z czekolady.

- No to do zobaczenia.

Pożegnaliśmy się z rezerwą, lecz w dobrym nastroju i zdecydowałam, że jednak mu wybaczę.

Wróciłam do mieszkania i przeżyłam zwykły dylemat - czy ubrać się jak najbardziej seksownie, czy wprost przeciwnie. Miałam niejasne przeczucie, że może dziś wreszcie zajmiemy się poważnie seksem. W końcu ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, wyznaliśmy sobie miłość i teraz nasz stosunek oficjalnie nie opierał się już wyłącznie na seksie. Mogłam zgasić górne światło, przygotować romantyczną kolację i pójść do łóżka.

Ostatecznie postanowiłam włożyć coś, w czym mnie jeszcze nie widział. Co nie oznaczało kostiumu Kubusia Puchatka z poduszką na głowie i kaloszami z obciętymi palcami...

Do przyjścia Sama zostało jeszcze parę godzin. Najpierw wzięłam prysznic, a potem zajęłam się włosami. W tym celu musiałam zapalić wszystkie światła, usiąść przed lustrem i starannie usunąć każdy srebrny włos. No cóż, ma się swoje lata. Potem upięłam włosy, nie podobało mi się to, rozpuściłam je, doszłam do wniosku, że przedtem wyglądałam lepiej, ale nie udało mi się powtórzyć tamtej fryzury, więc się poddałam i zostawiłam rozpuszczone.

Przejrzałam moją ogromną kolekcję głównie nieodpowiednich ubrań, znalazłam kilka absolutnie doskonałych, przekonałam się, że wymagały prasowania, odłożyłam je do szafy i wznowiłam poszukiwania.

Stwierdziłam, że to będzie dobra okazja, by włożyć niesłychanie seksowną bieliznę, jaką dostałam na dwudzieste pierwsze urodziny od Sharon, Laury, Wendy i Jackie. Gorset, gdyby go pokazano na wystawie, spowodowałby kilka wypadków samochodowych. Był z czerwonej satyny i czarnych koronek, bez ramiączek, miał bardzo duży dekolt i zapinał się z tyłu.

Miałam go na sobie zaledwie raz, i to parę lat temu, kiedy byłam znacznie szczuplejsza. Teraz z trudem udało mi się go zapiąć, ale efekt wynagradzał starania: tłuszcz z talii rozłożył się na biodrach i na piersiach. W tych miejscach też go nie potrzebowałam, ale przynajmniej lepiej wyglądał.

Następnie obowiązkowe pończochy. Do takiego gorsetu nie można włożyć białych podkolanówek, ani ciepłej bielizny. Jeśli jest się normalną kobietą. Na szczęście znalazłam parę pończoch bez oczka.

Włożyłam krótką, dopasowaną spódniczkę z czarnego aksamitu z mniej więcej pasującą bluzką z czarnego jedwabiu, wiszące, złote kolczyki, obróżką z małym sztucznym brylancikiem i bransoletkę ze złotego łańcuszka.

Miałam jeszcze pół godziny, wypolerowałam więc paznokcie i pomalowałam je ciemnoczerwonym, uwodzicielskim lakierem. Jak zwykle w takich wypadkach, zaczęła mnie swędzieć głowa i musiałam bardzo nad sobą panować, aby się nie podrapać. Dziwne, że reklamy telewizyjne nigdy nie pokazują tych niewiarygodnych, wychudzonych modelek, jak drapią się łyżką po głowie, czekając aż wyschną im paznokcie.

Kiedy się wreszcie doczekałam, podeszłam do toaletki i zajęłam się makijażem. Początkowo nie byłam pewna, jaki wygląd wybrać, ale przypomniał mi się artykuł z pisma „Woman's Way”, który czytałam u Barbary. Musiałam jednak o czymś zapomnieć, ponieważ metoda „dymnych oczu” nieoczekiwanie zmieniła mnie w pandę zamiast w uwodzicielkę.

W końcu, za pomocą wacików i śmietanki, uporałam się z tym, co miałam na twarzy i umalowałam się po raz drugi, bardziej subtelnie, wyciągnęłam spod łóżka czarne szpilki i przyjrzałam się sobie w lustrze.

W ciągu jednej nanosekundy stwierdziłam, że przesadziłam, jednakże nie zostało mi już wiele czasu. Zdjęłam biżuterię i stonowałam makijaż. Pod żadnym pozorem nie zamierzałam zdejmować gorsetu, który z takim trudem na sobie zapięłam.

W połowie szybkiego sprzątnięcia rozległ się dzwonek. Chwiejąc się na niebotycznych szpilkach poszłam otworzyć drzwi. W progu stał mój kochany Sam w starej szarej kurtce.

Zamierzałam go oszołomić od pierwszego momentu, ale na początku był szalenie skrępowany. Wybąkał jakieś niewyraźne przeprosiny za swój strój - oprócz kurtki miał zniszczone dżinsy i koszulkę z napisem „Iron Maiden” - i wyraźnie unikał mojego wzroku.

Starałam się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, jakby nie powinien był mi przynieść bombonierki, której nie przyniósł, a która sprawiłaby mi wielką radość, jednak miałam z tym pewne trudności, bo zachowywał się jak zbity psiak. Źle ubrany zbity psiak.

- Ładnie wyglądasz - powiedział w końcu.

Ładnie! Dziękuję bardzo! Nie dałam po sobie poznać, że jestem rozczarowana, uśmiechnęłam się tylko i podziękowałam.

- Chciałabyś wyjść? - spytał. Wzruszyłam ramionami.

- To zależy od ciebie.

- Wszystko mi jedno.

- Mnie też.

Postanowiłam, że tym razem nie dam się zrobić w podejmowanie decyzji.

- Moglibyśmy pójść gdzieś na kolację, ale chyba nie jestem odpowiednio ubrany.

Do McDonalda jesteś - pomyślałam.

- Jestem trochę głodna. Możemy zamówić chińszczyznę albo pizzę.

No dobrze, złamałam się. Do wyboru miałam jeszcze śmierć głodową.

Sam kiwnął głową.

- Jasne. - Milczał przez dłuższą chwilę. - Posłuchaj, bardzo cię przepraszam za wczoraj. Gerry zjawił się niespodziewanie, a nie widziałem go od pięciu lat.

- Jaki on jest? - spytałam.

Postanowiłam dać mu szansę, żeby pozbył się wreszcie poczucia winy i wyrzutów sumienia. Jeśli to go nie odpręży - powiedziałam sobie w duchu - zacznę mówić o filmach.

Na szczęście trochę się rozluźnił. Opowiedział mi o Gerrym, o jego rodzinie i najróżniejszych skandalach. Wiedziałałam, że poczuł się lepiej, gdy w pewnym momencie wstał i sam z siebie, bez proszenia, zrobił nam herbaty.

Potem ukląkł na podłodze i zajął się oglądaniem moich płyt i komentowaniem poszczególnych zespołów. Widać było, że jeszcze nie czuje się najlepiej, ale bardzo się stara.

Poinformował mnie, że powinnam sobie sprawić specjalny, złoty marker, którym obrysowuje się brzeg płyty, żeby miała lepsze brzmienie. Już miałam mu powiedzieć, że nic takiego nie istnieje, kiedy odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

- To była pierwsza z wielkowiejskich legend, jaką usłyszałem. Wierzyłem w to przez wiele lat.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Ja też. Nawet przez jakiś czas szukałam takiego markera. Słyszałeś o wkładaniu CD do mikrofal? Podobno występuje niesłychany efekt świetlny.

- Tak, nazywa się „pożar w twoim domu”. Gerry mi mówił, że parę lat temu we wszystkich knajpach w Berlinie pozabierano ze stołów ocet, bo narkomani przychodzili i sterylizowali nim igły.

- O tym jeszcze nie słyszałam. Z jednej strony wydaje się to niewiarygodne, a z drugiej można sobie wyobrazić, że restauratorzy zlikwidują ocet na wszelki wypadek. Poza tym ocet chyba nie nadaje się do odkażania?

- Nie mam pojęcia. Garry mówił, że odkąd się o tym dowiedział, nie rusza octu w restauracji. - Sam usiadł. - Podobno

jest takie miejsce w mieście, gdzie jeśli poprosisz o „frytki z rybą”, to cię spytają, czy chcesz ocet i sól. I jak powiesz „poproszę”, to dostaniesz rybę i frytki za darmo.

- O tym też nie słyszałam. Ale nikt nie mówi: „frytki z rybą” ani: „ryba z frytkami”, tylko: „duży singel i świeży dorsz”.

- Mam cię! - powiedział Sam, wymachując palcem wskazującym. - To prawda, pod warunkiem, że nie kupuje się ryby w cieście. Widzisz, potrafię logicznie rozumować.

- Teraz już naprawdę konam z głodu. Pizza? Sam odetchnął głęboko i udawał, że się zastanawia.

- Chińszczyzna. Są tu jakieś dobre miejsca?

- Aha. W Ranelagh jest China Cottage. Czasami, jeżeli musimy dłużej zostać w biurze, zamawiamy u nich jedzenie.

- W porządku. Ja stawiam - zadeklarował, wstając. Poszedł do telefonu w korytarzu, sprawdził numer, zadzwonił do China Cottage, powiedział, że chce zamówić na wynos i szybko przyleciał do mieszkania, bo zapomniał spytać, co bym chciała.

- Rybę z frytkami. Nie, niech będzie kebab z kurczaka z gotowanym ryżem.

Przynieśli nam jedzenie po dwudziestu minutach. Sam zagrzał nawet talerze w piecyku.

- Chińskie jedzenie bardzo szybko stygnie - stwierdził przeprasząc.

Nie mieliśmy nic do picia, więc nalał nam wody z kranu.

Nastawiliśmy płytę, zgasiliśmy górne światło i usiedliśmy z jedzeniem na podłodze, opierając się o siebie. Było bardzo przytulnie.

Sięgnęłam do żakietu po papierosy.

- Nie wiedziałem, że palisz - powiedział zaszokowany Sam.

- Bardzo rzadko. Przeszkadza ci? Wzruszył ramionami.

- Niespecjalnie. Nie przepadam za paleniem, ale muszę przyznać, że lubię czasem obserwować, jak piękna kobieta pali papierosa. To szalenie seksowne.

To przesądza sprawę, pomyślałam. Staralam się palić jak najseksowniej: wydymać usta i zamykać oczy przy zaciąganiu się oraz wypinać biust. Uważałam tylko, żeby nie wypuszczać dymu nosem, co zawsze uważałam za równie podniecające, jak czyszczenie akwarium.

Niebawem leżeliśmy na podłodze, pochłonięci pieścizotami. Sam objął mnie w pasie i powiedział:

- Jesteś spięta.

- Nie jestem spięta, tylko mam za ciasny gorset. - Podparłam się na łokciu i powoli rozpięłam bluzkę. - Jak myślisz?

- Myślę, że umarłem i poszedłem do nieba - odparł. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął mojej talii.

Pochyliłam się i mocno go pocałowałam, a potem poczułam, że dotyka moich piersi.

Po paru minutach gorset stał się jeszcze ciaśniejszy. Położyłam się na podłodze i spytałam:

- Czy mógłbyś mi pomóc to zdjąć? Nie musiałam prosić dwa razy.

Rozdział 28

W poniedziałek zjawiłam się w pracy bardzo wcześnie. Mary - - Anne miała przyjechać o dziesiątej i zabrać mnie na pogrzeb pani Brarmigan, byłam więc odpowiednio ubrana.

Kevin, jak zwykle, zapytał, czy wybieram się szukać pracy, ale nie miałam nastroju do żartów i wyjaśniłam chłodno, że idę na pogrzeb znajomej.

Kevinowi brakuje wprawdzie kindersztuby, jednak czasami wie, kiedy się zamknąć i odejść. Wyniknął się do kuchni po kawę i zostawił mnie samą w gabinecie szefowej. Siedziałam za jej wielkim ważnym biurkiem i czułam się jak oszustka.

Modliłam się, aby ten dzień nie był taki, jak piątek, zwłaszcza że wychodziłam na parę godzin. Rozciągnęłam modlitwę na resztę tygodnia i dodałam kilka post scriptów: „Spraw, aby Vicky nie dowiedziała się, jak spartaczyłam sprawę z Parker Technology”, „Boże, jeśli do końca tygodnia nie zdarzy się nic złego, zacznę znów chodzić do kościoła”, „Boże, żebym tylko nie była w ciąży”.

To ostatnie przyszło znienacka, wyskoczyło z ciemnych zakamarków podświadomości, machając czerwoną flagą i krzyząc: „W ciąży! W ciąży! Było ci rano niedobrze, prawda? Może powinnaś rozejrzeć się za dobrą szkołą rodzenia?”

No, dobrze, nie brałam pigułek, ale Sam używał prezerwatyw za każdym razem, gdy podczas weekendu mieliśmy normalny stosunek. W ulotce dołączonej do kondomów było napisane, że jest to najlepsze zabezpieczenie przed nieplanowaną ciążą (zakładam, że nie brali pod uwagę celibatu). W niedzielę rano przeczytałam ulotkę kilkanaście razy, kiedy Sam jeszcze spał, praktycznie na mnie, i nie mogłam sięgnąć po książkę.

To prawda, że zbierało mi się rano na wymioty, z wielu powodów, które sobie wyliczyłam. Po pierwsze, tłumaczyłam sobie, aż do niedzieli wieczorem wychodziliśmy z łóżka jedynie do ubikacji. W niedzielę wieczorem Sam wstał, bo musiał zdążyć na autobus. Po drugie, niedługo idę na pogrzeb, a poza tym słyszałam przecież, jak pani Brannigan spadła z łóżka. I jeszcze praca i konieczność rozmowy z Bernardem Parkerem.

Nie ma mowy, postanowiłam. Nie mogę być w ciąży. To byłoby niesprawiedliwe.

Jednak wróżka zygoty raczej nie kieruje się sprawiedliwością. Wróżka od mlecznych zębów zostawia pod poduszką pieniądze za wyrwany ząb, natomiast ta druga zostawia co innego w zamian za pieniądze, których nie zobaczysz przez następne osiemnaście lat.

Siedziałam za imponującym biurkiem szefowej, czekając aż coś się zdarzy i oderwie mnie od ponurych myśli.

Coś przyszło w postaci Barbary. Beztrosko wparowała do biura - tak mi się przynajmniej wydawało - i wesoło pomachała mi przez szybę w drzwiach gabinetu.

Wstałam i wyszłam do niej.

- Staruszka, która mieszkała nade mną, umarła w czwartek w nocy. Muszę pójść na jej pogrzeb - powiedziałam, nim zdążyła skomentować mój ubiór.

- Jezus Maria! Dobrze ją znałaś?

- Nie, ale ona podobno bardzo mnie lubiła. I dlatego uważam, że powinnam wziąć udział w pogrzebie. Zastąpisz mnie, prawda?

- Jasne. Kiedy wrócisz?

- Nie wiem. Zapewne dopiero po trzeciej. Wychodzę koło dziesiątej.

- Dobrze. - Barbara przyglądała mi się przez chwilę. - Sam się znalazł?

Z ulgą przyjąłm zmianę tematu, a sama nie chciałam tego robić z szacunku dla świętej pamięci pani Brannigan. Miałam wyrzuty sumienia, nie wgłębiając się w opowieść o tym, jaka cudowna była zmarła, jednak prawdę mówiąc, prawie jej nie znałam. To też przyprawiło mnie o kolejny wyrzut sumienia - mogłam się bardziej postarać.

Gwałtownie zatrzymałam ten strumień myśli i odpowiedziałam na pytanie Barbary:

- Aha. Zadzwoił w sobotę wieczorem i przyszedł do mnie.

- Coś robiliście?

- Zostaliśmy w domu - odparłam wymijająco. Poczucie winy nie pozwoliło mi na wdawanie się w szczegóły.

Wyczuła, że niczego więcej się ode mnie nie dowie i taktownie nie naciskała.

- Opowiesz mi kiedy indziej. Co zrobisz z Parkerem?

Z jeszcze większą ulgą przyjąłm kolejną zmianę tematu. W tym wypadku odczuwałam jedynie głęboką niechęć. Wyjaśniłam, że

dokładnie przemyślałam całą sprawę i postanowiłam wymigiwać się od spotkania, a po południu zadzwonić do Vicky do Stanów.

Barbara nie zareagowała tak, jak się spodziewałam. Nie powiedziała: „Masz rację, tak będzie najlepiej”. Nic podobnego.

- Na twoim miejscu bym tego nie robiła - stwierdziła. - Sama załatw sprawę. Wyznaczyła cię na zastępczynię z całkowitymi pełnomocnictwami i skorzystaj z nich teraz. Jeśli stracimy Parkera jako klienta, to należy się tylko cieszyć.

- Może i tak - przyznałam, żałując nagle, że to nie Barbara została zastępczynią Vicky. Nie chciałam dziś widzieć Parkera, zwłaszcza że naprawdę nie miałam czasu. Postanowiłam więc zadzwonić i przenieść spotkanie na następny dzień.

Bernard Parker nie był z tego zadowolony. Nigdy nie był zadowolony, tym razem jednak nie był zadowolony znacznie bardziej. Wsiadł na wysokiego konia i galopował po pokoju. Metaforycznie.

- Myślałem, że się umówiliśmy na dzisiaj! - prawie krzyknął do słuchawki.

- Tak, ale wynikła sprawa natury osobistej i będę mogła się z panem zobaczyć dopiero jutro rano.

- To mnie nie satysfakcjonuje, proszę pani. Jestem bardzo, bardzo rozczarowany. W gruncie rzeczy jestem obrażony. Czy naprawdę wydaje się pani, że mam tyle czasu, aby przekładać spotkania, bo pani ma taki kaprys?

- Mówiłam, że bardzo mi przykro. Bardzo bym chciała się z panem dziś spotkać i wyjaśnić tę sprawę, jednak nie jest to możliwe.

- Rozumiem - wysyczał i wyobraziłam sobie, jak zaciska swoje drogie zęby. - Gdyby była pani prawdziwą kobietą interesu, nie pozwoliłaby pani, aby sprawy prywatne kolidowały ze służbowymi.

Ten człowiek potrafił wyprowadzić mnie z równowagi.

- A gdyby pan był człowiekiem interesu, to nie pozwoliłby pan sobie na wygłaszanie podobnych sądów - rzuciłam i odłożyłam słuchawkę.

Barbara weszła do gabinetu i uśmiechnęła się szeroko, wznosząc triumfalnie zaciśniętą pięść.

- Dobra robota!

- Nie mów, że podsłuchiwałaś?

- Oczywiście. Zachowałaś się prawidłowo. Co za gnojek! -
Chodziła po pokoju, dumna, jakby to ona rozmawiała z Parkerem. -
Wiesz, co teraz zrobię? Zadzwonię do sekretarki Parkera, powiem jej,
że okropnie się zdenerwowałaś i spytam, czy nie wie, o co chodzi. I
wyjaśnię jej, że musisz iść na pogrzeb znajomej, a jej szef dodatkowo
cię zestresował.

- Hej! Poczekaj! Nie jestem pewna, czy powinnaś to robić.

- Przecież to prawda. Zadzwonię do jego sekretarki i ją
opieprzę. Mam nadzieję, że sobie to na nim odbije.

- A jeśli zwróci mu uwagę i on na nią naskoczy? Barbara
zastanowiła się i wzruszyła ramionami.

- Przypuszczalnie i tak wszystko się na niej skrupi.

Przynajmniej będzie wiedziała dlaczego.

Wybawił nas telefon.

- Halo - powiedziała Barbara. - Chwileczkę. To Parker -
szepnęła - zasłaniając ręką słuchawkę. - Chcesz, żebym mu
powiedziała, żeby się wypchał i odchrzanił?

- Nie. Porozmawiam z nim.

- Tu Bernard Parker.

Tym razem mówił spokojniej. Najwyraźniej zastanowił się i
doszedł do wniosku, że nie może na mnie za bardzo napadać. W
końcu jego firma potrzebowała naszej bardziej niż my jego.

Zawahałam się, czy nie powinnam go przeprosić za odłożenie
słuchawki. I zdziwiłam się, że w ogóle coś takiego przyszło mi do
głowy.

- Słucham pana.

- Powiedzieliśmy sobie kilka rzeczy, o których należy
zapomnieć. Umówmy się na spotkanie i załatwmy tę sprawę, zgoda?

- Zgoda.

- Proponuję jutro o jedenastej, w moim biurze.

- Dobrze.

- Zatem do zobaczenia.

Rozłączył się, a ja natychmiast pożałowałam, że to nie ja
pierwsza go przeprosiłam i nie zaproponowałam rozejmu. Teraz
Parker znów był górą. Zakładając, że myślał takimi kategoriami. Co
było prawdopodobne, bo wiedziałam, że jego krzyki i upór nie były
skierowane przeciwko mnie. Grał w tę grę, aby odegrać się na mojej
szefowej.

- Słyszałaś? - spytałam Barbarę.
- Tak. Jutro powinnaś być dla niego wyjątkowo miła. Obiecać, że załatwisz wszystko jak najszybciej. Tym go zaskoczysz.
- Może. Chcę go jednak postraszyć, że Neil Forsythe rozważa podanie nas do sądu, a jeśli to zrobi, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak podać do sądu Parker Technology.
- Na twoim miejscu zostawiłabym to sobie jako ostatnią deskę ratunku. Całkiem niezłą.

Rozdział 29

Mary - Annę przyjechała tuż przed dziesiątą i zabrała mnie na pogrzeb. Myślę, że była zadowolona z mojego towarzystwa, bo nie знаła zbyt wielu przyjaciół pani Brannigan. Przedstawiła mnie siostrze pani Brannigan. Zdumiałam się, jak bardzo była podobna do swej zmarłej siostry. Czasem w serialach telewizyjnych zdarza się, że producent uśmierca bohaterkę, a potem dowiaduje się, że to była jedna z najbardziej popularnych postaci i stara się nadrobić straty, zatrudniając tę samą aktorkę jako bliską krewną zmarłej.

Kościół był pełen starych ludzi. Komunia trwała bez końca, bo wszyscy poruszali się bardzo wolno, zderzając się chodzikiemami, a poza tym każdy godzinami rozmawiał z siostrą pani Brannigan, składając jej kondolencje i opowiadając, jak bardzo brakuje im pani Brannigan i jeżeli mogliby w czymś pomóc...

Nie lubię pogrzebów. Kiedy umarła moja babka, nie chciałam iść na jej pogrzeb. Nie przeszkadzała mi sama ceremonia, lecz świadomość ostatecznego końca. Człowiek istnieje, idzie przez życie, co jakiś czas odwiedzają go dzieci i wnuki, przeżył dobre lata, stracił gorycz młodości i wszyscy go kochają. A ponadto nie musi już więcej pracować. I nagle bang! Umiera.

Może jest jakieś niebo, może go nie ma... Czasem myślę, że lepiej byłoby, gdyby wszystko kończyło się wraz ze śmiercią. Ale ludzie wierzą w życie po śmierci i stąd te wszystkie stwierdzenia: „Jest teraz z aniołami”, „Wreszcie sobie odpocznie, niech Bóg ma ją w swojej opiece”. Tak jakby odrzucano wszystkie życiowe osiągnięcia z osiemdziesięciu, czy ilu tam, lat.

Zorientowałam się, że płaczę, dopiero kiedy Mary - Anne szturchnęła mnie w bok i podała mi chusteczkę.

Po pogrzebie, po herbacie i kanapkach zorganizowanych przez znajome pani Brannigan, Mary - Anne odwiozła mnie do Ranelagh i po drodze opowiedziałam jej o wszystkim, co zdarzyło się w pracy. Znacznie później zrozumiałam, że potraktowałam ją jako zastępczą szefową - starszą osobę z autorytetem, która powie mi, co powinnam zrobić, doradzi, da wskazówki, a najlepiej powie: „Zostaw to mnie, ja się tym zajmę”.

Była sympatyczna, ale w taki suchy sposób jak daleka znajoma. W odpowiednich miejscach kiwała głową i powiedziała, że skoro szefowa mnie wyznaczyła na zastępstwo, to widocznie wierzyła we

mnie i na pewno podejmę właściwe decyzje. W najgorszym wypadku - stwierdziła - jeśli naprawdę coś zawalę, to odpowiedzialność nadal spoczywa na Vicky.

Później dużo o tym myślałam. Niezależnie od sytuacji odpowiedzialność zawsze powinna być na górze. Nawet jeżeli najniższy rangą pracownik firmy spowoduje wielomilionowe straty, to przecież jego przełożony nie powinien stwarzać mu możliwości podejmowania decyzji. I powinien za straty odpowiadać. To automatycznie sprowadza pytanie, czy taki przełożony powinien kierować podwładnym, który może narobić takich strat. I tak dalej, aż do samego szczytu drabiny.

Jednakże im dłużej o tym myślałam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że to wierutna bzdura, bo w końcu dochodzi się do stwierdzenia: „Gdyby Bóg nie stworzył świata, to wszystko by się nie zdarzyło”.

Gdzieś zatem, w którymś punkcie, należy wstać i przyznać: „To moja wina”.

Tą osobą byłam teraz ja. Zapewniłam Vicky, że potrafią ją zastąpić. No, może nie powiedziałam tego tak otwarcie, ale przez kilka lat starałam się, aby sama doszła do wniosku, iż jestem czymś najlepszym od czasu chleba w kromkach. I za to z pewnością byłam odpowiedzialna.

W biurze panował spokój. Chwile nudy przeplatane chwilami jeszcze większej nudy. Nie mam pojęcia, dlaczego siedziałam w gabinecie Vicky, ale jakoś nie mogłam się zmusić, aby wyjść i usiąść razem z innymi. Wmawiałam sobie, że potrzebuję ciszy do pracy, co było bzdurą, bo nic nie robiłam.

Przeczytałam tylko wszystko, co mieliśmy w aktach o Parker Technology. Miałam nadzieję, że znajdę tam jakąś straszną tajemnicę, dzięki której pozbędę się Parkera. Szukałam czegoś o jego podejrzanym pochodzeniu, o nieudanym porwaniu, czy informacji, że poszukiwano go za przemyt narkotyków. Przekonałam się jedynie, że czytanie akt nie jest szczególnie ciekawe.

Zaczęłam marzyć i po raz pierwszy od bardzo dawna moje marzenia przybrały formę scen filmowych...

Montaż: ja (jak zwykle gra mnie młodsza i wyższa Kathleen Turner) w bardzo ciemnej piwnicy przeszukuję zakurzoną szafkę z aktami. Schowany w krzakach rosnących przed moim wspaniałym

domem Bernard Parker (grany przez Jamesa Woodsa) widzi, że wyjmuję coś z szafki. Nie widzi, co to jest, ale ta rzecz świeci się, niby zawartość teczki Marsellusa Wallace'a w Pulp Fiction.

Głęboki głos z amerykańskim akcentem oznajmia: „To, co znalazła, zmieni jej życie... - Znacząca pauza. - Na zawsze”.

Kolejny montaż, tym razem dużo szybszy: eksplodujący samochód. Ja w koszuli nocnej patrząca z przerażeniem na czyjeś odbicie w lustrze toaletki. Ja, związana i zakneblowana, przywiązana do drewnianego krzesła. Ktoś oblewa mnie kubłem zimnej wody. James Woods jako Parker: „Gdzie to jest?”. Ja w panice: „Nie wiem, o czym pan mówi”. W ciemnościach nagły błysk ostrza wielkiego noża. Dzień, dzieci wysiadają z żółtego szkolnego autobusu. Do jednego z chłopców podchodzi dwóch facetów w czarnych garniturach: „Twoja matka nas po ciebie przysłała, Todd”.

Mój krzyk: „Oddajcie mi syna!” Parker: „Jak oddasz paczkę”. Człowiek wypadający przez okno. Wielki amerykański samochód wjeżdża w szklane, obrotowe drzwi kompleksu biurowego.

Napisy: Kathleen Turner, James Woods.

Napisy znikają. Trzymam broń wymierzoną w skroń Parkera i szepczę groźnie: „Proszę mi natychmiast oddać mojego syna”. Obraz znika.

Napisy: „Zlekceważona kobieta”. Reżyseria: Renny Harlin.

Tego rodzaju fantastyczne wizje, jedna, nie wiadomo dlaczego, oparta nawet na Dźwiękach muzyki, przeleciały mi parę razy przez głowę, dopóki na ekranie mojego myślenia pojawił się dobrze ubrany i szalenie denerwujący facet i nie powiedział: „Kiedy kupujesz lub wypożyczasz film, musisz pamiętać, żeby był odpowiedni dla wszystkich członków twojej rodziny”.

No, tego już za wiele, pomyślałam. Teraz snuję fantazje o Simonie Batesie.

Rozdział 30

Przez cały wieczór siedziałam sama i martwiłam się. Po raz pierwszy pożałowałam, że się wyprowadziłam z domu. Brakowało mi rodziców. Brakowało mi nawet brata, mimo jego humorów.

Oczywiście, ostatnio też miewałam humory. Przypisywałam to wyłącznie pracy. Jedna rzecz to dostawać pieniądze za nic nierobienie, a zupełnie inna - kierować ludźmi, którzy dostają pieniądze za nicnierobienie.

Doszłam do wniosku, że nie nadaję się na szefową. Nie chciałam takiej odpowiedzialności. Nie chciałam rządzić innymi. Nie chciałam mieć takiej pozycji, z której mogłam wylecieć, gdybym popełniła błąd.

Miałam ochotę zapalić. Ze zdumieniem zauważyłam, że w paczce zostało zaledwie pięć papierosów. Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy je wypaliłam, ale trudno było mi wrócić myślą do ostatnich paru dni bez wpadania w panikę. Nie jest łatwo, powiedziałam sobie. Masz rację, odpowiedziałam. A jutro będzie jeszcze gorzej.

Postanowiłam, że nie dam się więcej maltretować i terroryzować. Praca to praca. Jeśli Parker mnie obrazi, nie wezmę tego do siebie.

Powiedziałam sobie także, że nie wypalę kolejnego papierosa, bo znów wpadnę w nałóg. Ale i tak zapaliłam.

Następnego dnia Bernard Parker, aby mnie zmylić, był uprzedząco grzeczny. Zaczął od wylewnych przeprosin za sposób, w jaki mnie potraktował, i usiłował zwalić wszystko na swoje problemy i kłopoty.

Jego gabinet rozmiarami przypominał fermę zwierząt rozplodowych jakiegoś sprytnego polityka. Parker siedział w wielkim, obrotowym skórzanym fotelu, który miał więcej pokręteł i dźwigni niż statek kosmiczny, za biurkiem pokrytym skórą, które musiało mieć co najmniej ze sto lat. Z boku stał najnowszy model laptopa. Na ekranie pływały wspaniałe kolorowe rybki i jestem pewna, że używał go tylko do demonstrowania tego obrazka. Był właścicielem firmy komputerowej, co wcale nie znaczyło, że musiał się na tym znać. Podejrzewałam nawet, że dopiero niedawno udało mu się rozgryźć działanie fotela. Jego nadzwyczaj grzeczne zachowanie przypisywałam tylko obecności pracowników. Najpierw oprowadził mnie po tych pomieszczeniach firmy, gdzie się coś działo i z zachwytem spostrzegłam, że nie zna nazwisk większości swoich ludzi,

ani nie ma pojęcia, czym się zajmują. Potem przyprowadził mnie do gabinetu, zaprosił do zajęcia miejsca w nieco gorszym technicznie fotelu przeznaczonym dla gości i poprosił asystenta o kawę.

Celowo nie użyłam słowa „sekretarka”, ponieważ sekretarka Parkera miała własny mały gabinet, w którym, niewątpliwie, wykazywała się swymi sekretarskimi umiejętnościami. Kawę podał nam chudy młodzieniec, najwyżej dwudziestojednoletni. Zapukał, otworzył sobie łokciem drzwi i wszedł z tacą, na której stały filiżanki z kawą, drogie ciasteczka i - pokarm bogów! - czekoladki after eight.

Sięgnęłam po czekoladkę, ale zachowałam przytomność umysłu.

- Wiem, co ma pan na myśli, mówiąc o problemach - stwierdziłam, kiedy asystent wysunął się chyłkiem. - Sama mam to na co dzień. - Przeważnie przez ciebie, gnojku.

Skinął głową.

- Mogę sobie wyobrazić. Powinienem być bardziej wyrozumiały. Zakładałem, że jest pani po prostu kimś z kierownictwa Ostatecznych Rozwiązań Biurowych. Dopiero, kiedy zajrzałem do naszych akt, dowiedziałem się, że to pani przygotowała większość naszych kontraktów. Znakomicie się pani spisała.

Jego uśmiech sugerował, że większość szefów to kretyni i że małe firmy egzystowały wyłącznie dzięki takim jak my, zwykłym, zdolnym i pracowitym, ludziom.

Przynajmniej zdawało mi się, że chciał powiedzieć coś w rodzaju: „Pani i ja nie jesteśmy tacy, jak ci nadęci szefowie. Wiemy, że najważniejsze jest dobro pojedynczego pracownika”.

No, dobrze, może za dużo wyczytałam z jednego uśmiechu, ale teraz, gdy widziałam Parkera na jego terenie, gdy widziałam reakcje jego pracowników, wiedziałam dlaczego jest podstępny i brakuje mu ludzi. Wiedziałam także, że nie spodziewał się, że go rozgryzę.

Poza tym miałam nieodparte wrażenie, iż przez cały czas będzie chwalił moją pracę, a potem stwierdzi, że Parker Technology potrzebuje kogoś takiego jak ja, kto potrafi reagować w trudnych sytuacjach i dopilnować roboty. Kto dojrzy prawdę pod warstwami gówna.

I tego, mniej więcej, spróbował. Powiedział: „Ktoś, kto doszuka się prawdy pod warstwami - przepraszam za wyrażenie - gówna”, co było tak bliskie mojemu zdaniu, że przez jedną, zwariowaną

chwile, zastanawiałam się, czy nie podać go do sądu za pogwałcenie praw autorskich.

Szybko przejrzałam, jak chciał się zemścić na Vicky. W przykry dla siebie sposób przekonał się, że jestem pożyteczną osobą, postanowił więc zwerbować mnie do siebie. Zwolnienie Neila Forsythe'a to jedno, ale naprawdę mógł dopieć szefowej, podkupując mnie.

Przez kilka minut omawialiśmy problem Forsythe'a, widziałam jednak, że Parkerowi zależy, aby przejść do następnego punktu programu - zaoferowania mi pieniędzy i prestiżu w zamian za przejście do jego firmy.

- Powinniśmy podjąć decyzję w sprawie pana Forsythe'a - nalegałam. - Jeśli rzeczywiście nie może pan z nim współpracować, to trudno, kazałam już moim ludziom poszukać dla pana kogoś nowego. Nie wątpię, że znajdę pracę dla pana Forsythe'a w innej firmie... Zakładam, że nie będzie się pan publicznie wypowiadał na jego temat?

Widziałam, że nie jest zadowolony, lecz trzymałam go na muszce, zgodził się więc w obrzydliwie lizusowski sposób. Choć nie omieszkał dodać:

- Wolałbym nie dawać mu referencji.

- Nie ma problemu. Nie musi mieć opinii z miejsca, gdzie pracował tak krótko. Możemy powiedzieć, że nie chciał kontynuować pracy w dziedzinie edukacji. Znudziła go, gdy pracował jako nauczyciel.

Parker kiwnął głową.

- Bardzo dobrze. Takiego myślenia mi tu właśnie brakuje. Nadchodzą pieniądze i władza, pomyślałam.

- Co by pani powiedziała na propozycję pracy u nas? Milczałam. Wiedziałam, co chcę powiedzieć, i miałam zamiar poczekać na właściwy moment.

- Nie wiem, ile pani aktualnie zarabia - kontynuował, lekko zbity z tropu moim milczeniem - jestem jednak pewien, że możemy to co najmniej podwoić. Oczywiście, dostałaby pani również samochód. Coś, co robiłoby wrażenie na klientach. Na przykład rover. Ale to możemy załatwić później.

Nadal milczałam.

- Są naturalnie także inne korzyści. Przykładowo mamy siostrzane firmy w całych Stanach Zjednoczonych i gdyby chciała pani połączyć urlop z wyjazdem służbowym, firma za wszystko by zapłaciła.

Nadeszła pora, aby przemówić.

- Naturalnie gdybym przyjęła pracę w pańskiej firmie, musiałabym mieć odpowiednie uprawnienia. W obecnej pracy odnoszę sukcesy, ponieważ cieszę się zaufaniem, jeśli chodzi o podejmowanie właściwych decyzji. Rozumiem cele firmy i podejmuję decyzje, które przynoszą jak największe korzyści Ostatecznym Rozwiązaniom Biurowym.

Skinął głową, abym kontynuowała.

- Gdyby mnie pan zatrudnił i gdyby do moich zadań należało zatrudnianie najlepszych ludzi, jednym z pierwszych byłby Neil Forsythe.

Parker zareagował tak, jakbym go uderzyła.

- Co?!

- Proszę mnie wysłuchać. To, czy lubię, czy nie lubię pana Forsythe'a, nie ma znaczenia. W kierowaniu firmą nie mogą dochodzić do głosu osobiste odczucia. Musiałabym także mieć możliwość kwestionowania wszelkich decyzji poczynionych przez inne osoby w firmie, łącznie z właścicielem. Gdyby ktoś podjął decyzję, która, moim zdaniem, opierałaby się na osobistych animozjach i jednocześnie szkodziła firmie, musiałabym tę decyzję zmienić.

Postukał palcami o blat drogiego biurka.

- Musiałabym mieć możliwość sprawdzania decyzji podejmowanych w firmie na każdym szczeblu. Gdybym zauważyła, że jakiś pracownik został potraktowany nie fair, musiałabym zareagować i naprawić sytuację. Gdybym doszła do wniosku, że kierownictwo wydaje więcej, niż jest to konieczne, musiałabym zwrócić uwagę i ograniczyć wydatki. Kolejny przykład: meble w pana gabinecie... Prawdopodobnie kosztowały tyle, ile wynosi półroczna pensja programisty. To szkodliwa, niczym nieusprawiedliwiona ekstrawagancja. Mógłby się pan upierać, że należy robić dobre wrażenie na klientach, ale tylko pod warunkiem, że ma pan na tyle głupich klientów, którzy osądzają jakość pańskiego produktu po cenie pańskiego biurka. Pan powinien kierować się raczej chęcią stworzenia

oprogramowania jak najwyższej jakości. Ja wiem, że fluktuacja siły roboczej jest w pańskiej firmie bardzo wysoka, nawet jak na firmę komputerową, a teraz, gdy poznałam pana pracowników, wiem dlaczego. Nienawidzą tego miejsca. Nienawidzą faktu, że zbija pan majątek, a im płaci poniżej średniej krajowej. Nie podoba im się także to, że wyłącznie ze względów osobistych zwolnił pan pana Forsythe'a, który był na dobrej drodze, aby zarobić dla firmy duże pieniądze.

Nim zdążył mi przerwać i wybuchnąć, mówiłam dalej:

- Prawda jest taka, że nie chciałabym tu pracować za żadne skarby świata. Uważam pana za egoistycznego, aroganckiego, głupiego i małostkowego człowieka. To jest moja opinia zawodowa. Prywatnie sędzę, że jest pan głupkiem pierwszej klasy, bezczelnym amatorem, któremu się wydaje, że może manipulować ludźmi dla własnych korzyści.

Wstałam.

- Jak chodzi o pana Forsythe'a, złamał pan warunki umowy i moja firma nie chce mieć z panem nic wspólnego.

Z tymi słowami wyszłam z jego gabinetu, wskoczyłam do pierwszej wolnej taksówki i nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

Rozdział 31

Szkoda, że cię przy tym nie było - opowiadałam Samowi. - Byłam genialna! Wygarnęłam mu dokładnie, co o nim myślę, a on zapomniał języka w gębie i nawet nie zareagował.

Siedziałam z nogami na biurku w gabinecie szefowej, w środę rano, dwadzieścia cztery godziny po Wielkim Konflikcie, i rozmawiałam przez telefon z ukochanym. Opowiedziałam już całą historię Barbarze i Mary - Annę, więc teraz szło mi gładko.

Zrobiłam na Samie wrażenie, choć nie byłam pewna, czy bardziej tym, jak potraktowałam Parkera, czy też tym, że mogłam sobie na to pozwolić.

Rozmawialiśmy prawie przez pół godziny, kiedy zorientowałam się, że to nie jest dobry przykład dla innych. Szybko się pożegnałam i umówiłam się z Samem następnego wieczoru na kawę i przytulanki.

Poszłam poszukać Barbary. Nie było jej przy biurku, ale słyszałam jej głos gdzieś z końca biura i udałam się w tamtym kierunku, mijając salę konferencyjną i wchodząc do tej części biura, gdzie się naprawdę pracowało. Moje własne biurko stało dziwnie opuszczone. Nie siedziałam przy nim od tygodnia. Danny, gdy usłyszał moje kroki, wyrzwał zza swojej ścianki działowej, kiwnął mi głową na powitanie i wrócił do pracy. Nasz sumienny Danny nie skorzystał nawet z nieobecności szefowej, żeby zagrać w tetrisa.

Barbara i Kevin spojrzeli na mnie znad biurka Kevina.

- Idę po kawę? Ktoś jest chętny?

Kevin o mało się nie zabił, wręczając mi swój kubek.

- Dwie łyżeczki cukru, bez lodu i majonezu.

Obróciłam kubek w rękach, jakbym nigdy czegoś podobnego nie widziała.

- . Chcesz kawę... w tym? Po prostu nalewam przez ten duży otwór?

- Tak. I pamiętaj, żebyś miała otwór na górze, jak będziesz wracać, bo mam wrażenie, że ktoś - tu spojrzął oskarżycielsko na Barbarę - zostawił wczoraj wieczorem włączone przyciąganie ziemskie.

- Powinniśmy mieć czekoladki after eight - zauważyłam. - U Parkera podają je do kawy.

- Czekoladki after eight? - skrzywił się Kevin. - Fuj! Nie cierpię ich. Powinniśmy podawać pudding bożonarodzeniowy na małych okrągłych krakersach, tak jak śpiewają w tej znanej piosence.

Barbara i ja spojrzałyśmy na siebie. To był najwyraźniej kolejny zakręcony dowcip Kevina. Wymyślał je w wolnym czasie i tylko czekał na okazję, aby je wcisnąć do rozmowy.

- Poddaję się - stwierdziłam.

- Nie znasz tego? Pudding na Ritzu. Klasyka.

- Bardzo śmieszne - powiedziałam bez przekonania. - Chcesz coś, Danny?

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

- Barbara?

- Idę z tobą. Mam dość głupich dowcipów.

Poszłyśmy do kuchni. Kevin powiedział kiedyś, że nie przepada za Barbarą. Teraz mi się to przypomniało.

- O czym rozmawiałaś z Kevinem? - spytałam. - Myślałam, że go nie lubisz.

Barbara zawahała się.

- Nie wiem, czy powinnam ci mówić. To mnie nieprzyjemnie zaskoczyło.

- Dlaczego nie? Rozmawialiście o mnie? Kolejna chwila milczenia.

- Nie, ale to było coś takiego, o czym nie wspomniałabym Vicky, a ponieważ teraz ty rządysz, nie jestem pewna, czy powinnam mówić tobie.

- Gdybym nie zastępowała Vicky, powiedziałaś mi?

- Jasne. Na pewno.

- Aha - rzuciłam domyślnie. - Plotki.

- Coś takiego. Kevin mi mówił, że słyszał, jak Danny rozmawiał dziś rano przez telefon. Danny szuka nowej pracy. Poważnie.

- Cholera! - zawołałam jako zastępczyni szefowej. - Wołałabym go nie tracić. Jest bardzo dobry. Przepadlibyśmy bez niego.

- Wiem.

- Porozmawiam z nim. Może zaczeka ze swoją decyzją do powrotu Vicky.

W milczeniu skinęła głową. Nie powiedziała, że może Danny chce odejść przeze mnie. Nie byłam ostatnio zbyt miła. Nie powiedziała też, że może Danny nie odszedł wcześniej, bo liczył, że się nim zainteresuję, a teraz, gdy miałam Sama...

Kolejną rzeczą, o której nie wspomniała był pierwszy akapit Alicji w krainie czarów, niemający nic wspólnego z sytuacją poza tym, iż wykazywał, jak łatwo jest wyciągać wnioski z cudzego milczenia. Nadal traktowałam Danny'ego jak zakochanego szczeniaka, który nie miał własnego życia, a przecież mógł szukać nowej pracy z zupełnie innego powodu. Postrzegałam siebie jako ośrodek jego wszechświata, a przecież tak nie było, skoro chciał odejść. Chyba że odchodziła bo miał złamane serce.

To wszystko przyszło mi do głowy w ciągu parunastu sekund, a efekt był taki, że nie miałam pojęcia, co robić. Tak, pomyślałam. Tak jest. Nie wiem, co robić. W dodatku okazało się, że wcale nie znam Danny'ego tak dobrze, jak mi się zdawało. Jako jego szefowa powinnam się była zorientować, że ma problemy, tymczasem tak się zaangażowałam w sprawę z Parkerem, że zapomniałam o innych ludziach i ich kłopotach.

Muszę powiedzieć, że wtedy, gdy o tym myślałam, miało to wszystko trochę więcej sensu, niż teraz. Ale taki jest mój proces myślowy. Nie umiem podchodzić do tematu zdroworozsądkowo i nic na to nie poradzę.

Nie wiem, co z tego odbiło się na mojej twarzy, ale coś chyba było widać, bo Barbara stwierdziła nagle:

- Posłuchaj, nieźle dajesz sobie radę. Nie znam nikogo innego, kto by tak załatwił Parkera. Do powrotu Vicky zostało jeszcze tylko dwa i pół dnia, więc się nie przejmuj.

- Masz rację.

Zastanowiłam się jeszcze przez chwilę i tym razem doszłam do znacznie lepszego wniosku. O dziwo pomogło mi coś, co powiedziała Barbara.

Kiedy wymieniła Parkera, przypomniałam sobie część mojej przemowy do niego. O płaceniach pracownikom poniżej średniej krajowej.

Postanowiłam zwołać zebranie pracowników na wpół do trzeciej po południu i postarać się coś zdziałać.

Rozdział 32

Wykonałam parę telefonów, a potem wzięłam osobiste akta W pracowników. To było bardzo dziwne uczucie, kiedy czytałam, co szefowa myśli o moich kolegach. A jeszcze dziwniejsze było to, jak marnie zarabiali. To znaczy, mnie wystarczało na życie i kasety wideo. Co roku dostawałam podwyżkę, która równoważyła inflację. Miałam niejasne wrażenie, że gdybym się rozejrzała, znalazłabym lepszą pracę, ale mi na tym nie zależało. Wymagało za dużo zachodu. Byłam zadowolona z tego, co mam.

Jednak innym nie wiodło się tak dobrze.

Kevin zarabiał marnie. Dowiedziałam się dlaczego, gdy przeczytałam jego akta: był po prostu kiepski. Radził sobie, miewał genialne pomysły, ale bardzo rzadko udawało mu się skończyć pracę w terminie. Tak było zapisane w jego papierach i sprawdziłam to jeszcze w innych dokumentach. W dziewięciu przypadkach na dziesięć Danny lub ja kończyliśmy za niego. I za każdym razem, kiedy Vicky brała go na bok i domagała się wyjaśnień, częstował ją kolejnym osobistym problemem, z którym musiał sobie poradzić. Obiecywał, że się poprawi, jednak nigdy do tego nie doszło. Ciekawa byłam, dlaczego właściwie go trzymała, ale z papierów tego się nie dowiedziałam.

Danny zarabiał tyle samo, co ja. Dokładnie co do funta. Był sumiennym pracownikiem i zawsze kończył zadanie w terminie. Szefowa miała o nim bardzo dobre zdanie, jednakże zapisała osobistą uwagę, że jest potwornie nudny i nie ma wyobraźni. I wtedy odkryłam, dlaczego Vicky nie zwalniała Kevina - bez jego pomysłów, tych genialnych pomysłów, które stale miewał, choć nigdy ich nie kończył, Danny nie miałby szans.

To znaczy, że są dobrą drużyną, stwierdziłam, kiedy przeczytałam akta. Może nie przepadają za sobą, ale doskonale się uzupełniają.

Zauważyłam także - choć nigdzie nie znalazłam tego na piśmie, gdyż przypuszczalnie Vicky nie zwróciła na to uwagi - że żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest zależny od drugiego. Od razu jednak poprawiłam się w duchu - Vicky zauważyła, ale wiedziała, że jak im to powie, to zepsuje cały efekt.

Nie pierwszy raz w ciągu ostatnich paru tygodni szefowa zaskoczyła mnie logicznym i przewidującym sposobem myślenia.

Otworzyłam akta Barbary i zagłębiłam się w lekturze... Barbara zarabiała więcej niż którekolwiek z nas, co mnie naprawdę zaskoczyło. Jej oficjalne stanowisko nazywało się „koordynator” i zawsze zakładałam, że ma niską pensję i że robi to, co robi, bo do niczego innego się nie nadaje. Jednak w jej aktach było wyraźnie napisane: „najbardziej pożyteczny pracownik, po Susan”.

„Po Susan...” Strasznie chciałabym przeczytać moje akta, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić. Nie dlatego, że jestem taka uczciwa i opanowana, lecz dlatego, że nie było ich w szafie. Krowa musiała się domyślić, że będę zaglądać do naszych papierów i przed wyjazdem w podróż poślubną zabrała moją teczkę do domu. Przez moment rozważałam włamanie, porzuciłam jednak tę myśl, gdy zdałam sobie sprawę, że gdyby mnie złapano, mogłoby to zaważyć na ocenie mojej pracy w tym roku i na podwyżce.

To, co początkowo brałam za warkot silnika ciężarówki, okazało się burczeniem w moim brzuchu. Spojrzałam na zegarek... Pięć minut temu zaczęła się przerwa na lunch, a moi koledzy nawet nie uważali za stosowne, żeby zastukać i mi o tym powiedzieć. A może zabrakło im odwagi? Widzieli, że czytam ich akta. Kiedy robi to Vicky, omijam ją z daleka.

Wyjrzałam przez szybę w drzwiach. Barbara siedziała na swoim miejscu, jedząc kanapkę i usiłując rozwiązać krzyżówkę w jednym z tysięcy kolorowych pism, które trzyma pod biurkiem. Doszłam do wniosku, że jeśli nie chcieli się do mnie zbliżyć, oszczędzę im swojego towarzystwa w czasie lunchu, zwłaszcza że przy mnie nie mogliby zbić się w gromadkę i nerwowo wymieniać paranoicznych poglądów związanych ze zbliżającym się o wpół do trzeciej zebraniem. Zawsze tak robiliśmy, kiedy Vicky zwoływała zebranie.

Zamknęłam akta w szafie i wyszłam do Barbary.

- Idę na lunch do domu - powiedziałam. - Wrócę mniej więcej za godzinę. Przejmuje pan wachtę, Sulu.

- Tak jest, panie kapitanie.

Był ładny, słoneczny dzień i udało mi się bezpiecznie dotrzeć do domu. Musiałam się siłą odrywać od wystawy wypożyczalni wideo, poza tym jednak nic złego mi się nie stało.

Pod drzwiami czekały na mnie dwie rzeczy: mały bukiet kwiatów bez bilecika i koperta ze znajomym charakterem pisma.

Wpadłam do mieszkania, nastawiłam czajnik, rozejrzałam się za wazonem na kwiaty i wstawiłam je do dużego słoika, zapaliłam papierosa, mimo że dopiero wczoraj rzuciłam palenie, i wyciągnęłam się na łóżku, aby przeczytać list...

Droga Susan!

Podarłem kota na strzępy, gdy tylko zorientowałem się, że jest od Ciebie. W załączeniu przesyłam na dowód jedno z jego uszu.

To, że użyłaś w liście słowa „gnojek”, wyraźnie świadczy o twoim zaniedbanym wychowaniu. Przypuszczam, że masz przyjaciółkę (czy, co bardziej prawdopodobne, znajomą opiekunkę społeczną), która pisze za Ciebie listy i prawdopodobnie teraz czyta Ci ten list.

Niedawno dostałaś bukiet kwiatów. To są kwiaty ode mnie. Mam nadzieję, że już zwiędły i że trucizna na chwasty, którą je spryskałem, zaczęła Cię powoli zatruwać. Jedyne, co mnie pociesza to fakt, że nie będę uczestniczył w Twoim zbliżającym się, pogrzebie.

Życzę Ci wiecznych tortur w nowej roli pożywienia dla robaków.
J.

Ucho pluszowego kota przyklejone było do kawałka tekturki w kształcie zwierzęcej głowy, takiej, jakiej używają myśliwi. Nie miałam wyboru - musiałam kupić ramkę i powiesić to sobie na ścianie.

Rozdział 33

O wpół do trzeciej zebraliśmy się w sali konferencyjnej. Było nas tylko czworo i jak na mój gust, zrobiło się trochę za intymnie. Z wielu powodów byłoby świetnie, gdyby na sali znalazło się ze dwadzieścia osób.

Pierwszy powód to taki, że niektórzy naprawdę nie cierpią zebrzań. Jeśli jest dość osób, można zawsze schować się za plecami innych.

Drugi powód jest taki, że w gronie większym niż dziesięć osób, zawsze znajdzie się kilka takich, które sienie znają. Wtedy szefowa ma tę przewagę, że może stwarzać wrażenie, iż dokładnie wie, o czym mówi.

Trzeci powód jest taki, że zawsze jest ktoś, kto zada głupie pytanie, które chciał zadać każdy, ale się krępował. Na przykład na studiach był ze mną facet, Harvey Cośtam, który nie wstydził się okazywać swej ignorancji. Na początku pierwszego wykładu wykładowca mruknął coś mniej więcej w tym stylu: „I wszyscy wiemy, co myślał Carl Jung o idei pojedynczego bóstwa”. Pokiwaliśmy głowami, udając, że tak, owszem, koncepcje Junga są nam doskonale znane. Harvey Cośtam siedział niedaleko mnie. Z tępych wyrazem twarzy podniósł rękę i zadał pytanie, które wszyscy chcieliśmy zadać. Nie, nie spytał, co Carl Jung myśli o idei pojedynczego bóstwa, lecz: „Kim, do cholery, jest Carl Jung?”

Czwarty powód jest taki, że dużo łatwiej opieprza się całą grupę niż pojedynczego człowieka. Wyobraźmy sobie, jak wyglądałaby draga wojna światowa, gdyby toczyła się wyłącznie między Hitlerem, Churchillem, Rooseveltem i Hirohito...

Roosevelt rozejrzał się po małym, ciemnym pomieszczeniu. Naprzeciwko niego siedział Adolf Hitler. Wcale nie wyglądał groźnie. Sam Roosevelt nie był dużym mężczyzną, ale Churchill był większy, zakładając więc, że Hitler nie był silniejszy niż wyglądał, Roosevelt i Churchill wiedzieli, że w ciągu paru sekund mogą mu solidnie przyłożyć.

Roosevelt wiedział też, że Hirohito niczego się nie spodziewa, nie może więc zareagować natychmiast.

Churchill obserwował swego amerykańskiego przyjaciela kątem oka. Roosevelt lekko skinął głową.

- Teraz! - krzyknął Roosevelt i skacząc przez stół, kopnął Hitlera w szczękę. Już po chwili trzymał wodza nazistów w żelaznym uścisku.

W tym samym momencie Churchill, z szybkością zadziwiającą u człowieka jego postury, rzucił się na cesarza Japonii, ale Hirohito był sprawniejszy, niż można się było spodziewać. Odskokzył i złapał za krzesło.

Churchill zwolnił.

- Odłóż krzesło, Hiro. Wiesz, że nie dasz mi rady.

- Tak ci się wydaje? - prychnął pogardliwie Hirohito z japońskim akcentem.

Churchill twardo wpatrywał się w jego oczy.

- No, dalej. Dopiero będę miał frajdę.

Hirohito w milczeniu analizował sytuację. Sprawy przybrały kiepski obrót. Jeśli się teraz podda, może będzie miał jeszcze szansę, aby powalczyć... Odetchnął głęboko i powoli opuścił rękę z krzesłem.

- W porządku, Winnic. Nie chcę cię skrzywdzić, a poza tym bójka niczego nie załatwia.

Churchill kiwnął głową i się rozluźnił. Hirohito tylko na to czekał. Ruszył naprzód z krzesłem wzniesionym do góry. Ale Brytyjski Buldog był szybszy: uchylił się przed krzesłem i kopnął japońskiego cesarza w pierś.

- No więc o co chodzi? - spytał Kevin.

Wyrwał mnie z mojego czteroosobowego filmu pod tytułem: Druga wojna światowa w trzy minuty. Byłam zła, bo chciałam się dowiedzieć, jak to się skończyło.

Koniec z myśleniem o niebieskich migdałach - powiedziałam sobie.

- Zostało nam jeszcze parę dni do powrotu z wygnania prawowitej królowej, pomyślałam zatem, że najwyższy czas, abym się dowiedziała, co się dzieje i jakie macie problemy. Może uda mi się coś w tej sprawie zrobić.

Skończyłam i czekałam na potop.

Zapadła jednomyślna cisza. Kevin kiwał się na krześle. Barbara obracała w palcach ołówki. Danny wpatrywał się w stół.

- Jesteście zwolnieni - powiedziałam, żeby przerwać milczenie.

Nic. Cholera, jest ciężiej, niż myślałam.

- Dobrze, będziemy mówić po kolei. Barbara, ty zaczynasz.
Wzruszyła ramionami.

- Wszystko jest w porządku. Poza tym, że nienawidzę odbierać telefonów. Nie mam tego w zakresie obowiązków.

- Robisz to od dawna - przypomniałam.

- Tak i od dawna tego nie znoszę. Za każdym razem, gdy Vicky pyta, co mogłaby zrobić, aby poprawić sytuację, mówię jej, że nie chcę już odbierać telefonów. I nic się nie zmienia.

- Dobrze - powiedziałam, zapisując to sobie. - Coś jeszcze?
Zastanowiła się przez moment.

- Tak, nie lubię siedzieć przy drzwiach gabinetu szefowej. Chcę siedzieć ze wszystkimi. Nie znoszę, gdy sprawdza przez szybę, czy jestem za biurkiem. Was nie może zobaczyć bez wychodzenia z gabinetu. To niesprawiedliwe.

- Rozumiem, ale z drugiej strony ktoś, kto stale rozmawia przez telefon, nie może siedzieć ze wszystkimi.

- Jasne. Dlatego nie byłoby problemu, gdyby ktoś inny odbierał telefony.

- Dobry punkt - przyznałam. - Ale ty i tak często rozmawiasz przez telefon, kiedy musisz coś zorganizować.

- Aha! - powiedziała triumfalnie. - Ludziom przeszkadza tylko dzwonek telefonu, a nie to, że ktoś rozmawia.

- Kolejny punkt dla ciebie. - To też sobie zapisałam. -
Dobrze, wróćmy do tego później. Kevin?

Nie wahał się ani sekundy.

- Chcę więcej pieniędzy. Spodziewałam się takiej odpowiedzi.

- Porozmawiamy o tym w cztery oczy.

- Aha, jasne, tylko kiedy? Chciałbym to wiedzieć. Od czterech miesięcy Vicky co tydzień obiecuje mi podwyżkę. Kiedy to zrobimy?

- Zaraz po zebraniu. Wcześniej nie mogę. To go wytrąciło z równowagi.

- Dobrze... Świetnie.

- Danny?

- Wszystko jest w porządku.

- Żadnych problemów? Nic, co mogłabym zmienić? Sposób, w jaki na mnie spojrzał, mówił, że to właśnie ja byłam źródłem jego niewypowiedzianych problemów.

- Chyba nie - odparł.

Odczekałam parę sekund na wypadek, gdyby chciał coś dodać.

- Prawdopodobnie wszyscy wiecie, że prawie na pewno straciliśmy Parker Technology - powiedziałam po chwili.

- Dzięki Bogu - stwierdził Kevin. - Banda pieprzonych głupków.

Zignorowałam jego słowa.

- Chciałabym, żebyśmy do poniedziałku znaleźli nowych klientów. Dlatego poprosiłam Neila Forsythe'a, aby popracował dla nas na zasadzie wolnego strzelca. Jest prawie pewien, że do końca tygodnia coś znajdzie. To dość krótki termin, ale warto spróbować. Zasugerował, żebyśmy przygotowali reklamowy pakiet usług. Uważa, że możemy wysłać nasze propozycje do każdej firmy, jaką znajdziemy w książce telefonicznej. Jeśli to nie zadziała, przygotujemy przykładową reklamę tego, co robimy i zamieścimy ją w jednym z pism branżowych. Neil ma sprawdzić ceny.

- W końcu wylądujemy z taką ilością roboty, że nie będziemy mogli sobie poradzić - stwierdził Kevin. - Powinniśmy podnieść ceny i skupić się na naprawę bogatych firmach.

- Być może - powiedziała Barbara. - Szkopuł w tym, że naprawę bogate firmy nas nie potrzebują. Uważam, że należy się dowiedzieć, które firmy mają kłopoty i zgłosić się do nich.

Kiwnęłam głową.

- Dobry pomysł. Najlepiej byłoby, gdybyśmy do poniedziałku mieli tekst i projekt graficzny. Wiem, że to nie będzie łatwe i przypuszczalnie trzeba będzie dłużej zostać w pracy, a nawet przyjść w sobotę czy w niedzielę. - Nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, dodałam: - Obiecuję, że to się wam opłaci.

Nastąpiła szczerza i złośliwa dyskusja na temat tego, co się komu opłaci w wymiarze prawdziwych pieniędzy, jednak udało mi się skłonić ich do współpracy, obiecując, że jeśli wszystko wypali, będą mogli odebrać sobie wolny dzień w poniedziałek.

- Nawet jeżeli nie będziemy musieli pracować wieczorami i w weekend? - spytał Kevin.

- Oczywiście. Interesują mnie efekty, a nie przepracowany czas.

Skończyliśmy koło trzeciej i postanowiliśmy spotkać się znów o czwartej, aby wymienić się pomysłami. Kevin został w sali konferencyjnej. Pozbawiony poparcia innych, zachowywał się całkiem potulnie.

Postanowiłam załatwić sprawę jak najszybciej.

- Przypuszczalnie domyśliłeś się, że czytałam twoje akta?

Skinął głową.

- Szeffowa nigdy nie puściła pary z ust i nie miałam pojęcia, co tam znajdzie. Nie będę wchodzić w szczegóły, ale zasadniczo Vicky uważa, że nie jesteś wiele wart.

Od razu przeszedł do defensywy.

- Tak, ale...

- Daj mi skończyć. Sądzę, że nie ma racji, co jest o tyle zrozumiałe, że nigdy z tobą nie pracowała tak jak ja. Zbyt często nie kończysz tego, co masz zrobić, ale miewasz dobre pomysły. W gruncie rzeczy w przygotowaniu pakietu reklamowego liczę przede wszystkim na ciebie. Nie mogę ci wprawdzie obiecać niczego konkretnego, lecz jak tylko Vicky wróci, namówię ją, żeby dała ci podwyżkę. - Napisałam na kartce w notesie sumę mniej więcej o trzy i pół tysiąca rocznie większą od tego, co teraz zarabiał. - Jak ci się podoba?

- O Jezu!

- Jak już mówiłam, niczego nie obiecuję, jednak mam wrażenie, że uda mi się to dla ciebie załatwić. A przynajmniej prawie taką sumę. Będę jednak potrzebowała jakichś podkładek, im więcej zatem będziesz miał podczas następnych paru dni genialnych pomysłów, tym większe będą twoje szanse.

Przez chwilę wpatrywał się w cyfrę na papierze, kiwając głową.

- Dobrze, dobrze.

- Tylko nie chodź po biurze uśmiechnięty jak kretyn od ucha do ucha. Na razie to jest sprawa między nami. Nie mów nikomu. I nie wspominaj Vicky, gdybyś ją przypadkiem zobaczył wcześniej ode mnie.

- Jasne. Posłuchaj, Susan, to fantastyczne. Zaczynałem się zastanawiać, czy czeka mnie tu jeszcze jakaś przyszłość.

- Na początek wymyśl, jak zatrzymać Danny'ego.

- Cholera! Prosiłem Barbarę, żeby nikomu nie mówiła.

- Chcesz powiedzieć, że wiedziałeś o Danny'm? Że chce odejść?

- spytałam podejrzliwie. - I Barbara też wie? Powiedziałeś jej?

Choć raz go zatkało.

- No... Ja tylko mówiłem, że on, moim zdaniem, chce odejść. Ulitowałam się nad nim.

- Wszystko jedno, kto co komu powtórzył. Teraz to nie ma znaczenia. Faktem jest, że nie możemy stracić ani jego, ani ciebie.

Kevin obiecał, że wymyśli coś takiego, co zatrzyma Danny'ego w firmie. Wróciłam do mego gabinetu - muszę przyznać, że nawet nie wiem, kiedy zaczęłam myśleć o gabinecie Vicky jak o swoim - i przejrzałam całą górę podań o pracę, aż natknęłam się na miejscową osiemnastolatkę, która szukała pracy jako recepcjonistka.

Zadzwoiłam do niej do domu i zostawiłam wiadomość jej matce, żeby się do mnie jak najszybciej odezwała. Oddzwoniła po godzinie. Przedstawiłam się i zapytałam, czy znalazła jakieś zajęcie.

- Jeszcze nie.

- Jakie ma pani doświadczenia z obsługą telefonu, faksu, komputera i kopiarki?

Na chwilę zapadła cisza.

- Niewielkie - przyznała. Mogłam sobie wyobrazić, że przygryza wargę i gani się w duchu.

Byłam w dobrym humorze.

- Nie szkodzi. Jeśli ma pani czas dziś po południu, proszę przyjść do biura koło wpół do szóstej, dobrze? Chciałabym z panią porozmawiać.

- To będzie rozmowa o pracy? Uśmiechnęłam się w duchu do siebie.

- Jak pani chce... Dużo już pani odbyła takich rozmów? Tym razem wykazała się lepszym refleksem.

- Kilka.

Byłam zadowolona z jej odpowiedzi. Gdyby powiedziała, że nikt jej nie prosił na rozmowę, oznaczałoby to, że nie warto jej zatrudniać. Gdyby powiedziała, że bardzo dużo, tym bardziej.

- Proszę przyjść koło wpół do szóstej i wtedy porozmawiamy, dobrze?

- Świetnie. Dziękuję.

Pożegnałam się i odłożyłam słuchawkę. Mogłam sobie wyobrazić, jak biegnie do rodziców i krzyczy, że została zaproszona na rozmowę o pracy. Potem matka szybko pomaga jej przeprać i uprasować najlepszą bluzkę i spódnicę, oraz pyta: „A co powiesz, jak spytają o...”

W gruncie rzeczy dobrze się bawiłam. Może nie miałam racji, jak chodzi o kierowanie ludźmi? Wyglądało na to, że prędko bym się

przyzwyczała. Oczywiście, władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie, powinnam zatem uważać.

Zakręciłam się w dużym, wygodnym i drogim obrotowym fotelu szefowej i zapaliłam papierosa w biurze, w którym nikomu oprócz szefowej nie wolno było palić.

Rozdział 34

Zaczęliśmy naradę o czwartej, a już dwadzieścia po piątej byliśmy wykończeni. Kevin i Barbara mieli parę znakomitych pomysłów, które omówiliśmy, przedyskutowaliśmy plan kolejnych działań, a później powiedziałam, żeby poszli do domu i dobrze się wyspali, bo reszta tygodnia będzie mordercza. Poprosiłam też Barbarę, aby następnego dnia przyszła jak najwcześniej, ponieważ będziemy przestawiać biurka.

Moja potencjalna pracownica przyszła punktualnie o wpół do szóstej. Była młoda, dość ładna i - w moich oczach - niewiarygodnie chuda. Nacisnęłam guzik domofonu, a kiedy weszła, zaprosiłam ją do gabinetu.

Byłam ubawiona całą tą sytuacją. Pamiętałam jeszcze moje pierwsze rozmowy kwalifikacyjne, kiedy potwornie się bałam i uważałam osobę, która ze mną rozmawiała, za kogoś w rodzaju kanibala.

- Jennifer - zaczęłam. - Twoje CV jest trochę nieaktualne. Nie masz może aktualniejszej wersji?

- Nie, przepraszam - odparła, rumieniąc się.

- Nie szkodzi. W końcu nie dałam ci zbyt wiele czasu. -
Udawałam, że czytam jej życiorys i gorączkowo zastanawiałam się, o co by ją zapytać. - Widzę, że nie masz doświadczenia jako recepcjonistka. Myślisz, że dałabyś sobie radę?

- Ja się szybko uczę, proszę pani;

- Dobrze. Po pierwsze nie „pani”, tylko Susan. Po drugie, wyobraź sobie, że rozmawiasz ze mną przez telefon. - Postuka - łam ołówkiem w aparat. - Odbierz.

Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Halo.

- Jeszcze raz. Zawsze musisz zacząć od „Dzień dobry, Ostateczne Rozwiązania Biurowe”. W niektórych firmach żądają także, żeby się przedstawiać, ale uważam, że to nie jest konieczne.

Jeszcze raz przećwiczyłyśmy odbieranie telefonu.

- Dobry wieczór, Ostateczne Rozwiązania Biurowe. W czym mogę pomóc? - powiedziała Jennifer.

- Chciałabym rozmawiać z Susan Peny. Prawie jej się udało.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała i spojrzała na mnie. - Jesteś?

- Nie wiem. To zależy dla kogo.

Zacząłyśmy jeszcze raz i tym razem poszło jej dobrze. Doszłam do wniosku, że być może Jennifer jest młoda, naiwna i niedoświadczona, ale mimo wszystko przyjmę ją na okres próbny. Z nadzieją, że czegoś nie schrzani. Co, oczywiście, byłoby moją winą.

Oprowadziłam japo biurze i w skrócie powiedziałam, jak pracują najważniejsze urzędnicy. Przyłapała mnie, bo spytała, jak się przeprowadza rozmowę konferencyjną. Nie miałam pojęcia, powiedziałam więc, że tak samo, jak w większości systemów telefonicznych, ale zapisałam sobie w pamięci, żeby Barbara jej wyjaśniła.

Wróciłyśmy do gabinetu, wytłumaczyłam jej parę naszych wewnętrznych zasad, podałam godziny pracy i wolne dni oraz powiedziałam, ile będzie zarabiać. Właściwie była to dość żałosna suma, większa jednak niż zasiłek dla bezrobotnych. I zapytałam, kiedy mogłaby zacząć.

- To znaczy, że dostałam tę pracę?

- Jeśli chcesz.

- Czy w poniedziałek nie będzie za wcześnie?

- A może jutro o dziewiątej? - zaproponowałam. - Zwykle dostajemy pensję w ostatni piątek miesiąca, który akurat minął, ale jeśli przyjdiesz jutro do pracy, zapłacę ci w ten piątek za dwa dni.

- Muszę to zgłosić w urzędzie zatrudnienia.

- Nie ma problemu. Powiedz mi, kiedy musisz tam pójść.

Wróciłam do domu w dobrym humorze, bardzo z siebie zadowolona. Rozwiązałam problemy Kevina i Barbary, załatwiłam przynajmniej kilka dni pracy dla Neila Forsythe'a, zatrudniłam kogoś nowego i dostałam list z kwiatami od J. Nieźle, moja pani. Całkiem nieźle.

Rozdział 35

Czwartek był straszny, ale nie w stylu: „O Boże, to mi się na pewno nie uda i mnie wywalaj nie mam pojęcia, co robić i nikt mnie nie lubi”, do czego byłam przyzwyczajona. Po prostu ciężko pracowałam od chwili, kiedy przyszedłam do pracy, do momentu, gdy Sam zadzwonił, żeby powiedzieć, że jest w budce telefonicznej w Ranelagh i gdzie się, u diabła, podziewam.

To było naprawdę głupie pytanie - w końcu zadzwonił do mnie do pracy i odebrałam telefon, więc niby gdzie miałam być? - ale nic nie powiedziałam, bo tym razem to ja byłam winna.

- O cholera, przepraszam. Mamy dużo pracy. Posłuchaj, zaraz kończę. Może przyjdiesz po mnie?

Zgodził się i powiedziałam mu, jak trafić. Mówiłam mu to już, kiedy miał przyjść po mnie w zeszły piątek, jednak Sam pamięta tytuł każdego filmu, jaki kiedykolwiek widział, kto w nim grał i kto reżyserował, ale gdyby go spytać, co jadł na lunch, nie byłby w stanie sobie przypomnieć.

Wysłałam z gabinetu. Wysłałam Jennifer do domu o piątej, bo w końcu to był jej pierwszy dzień, a już o trzeciej była wykończona. Poza tym po piątej mało kto dzwonił. Co najwyżej zirytowani faceci, którzy bezskutecznie dzwoniли do drzwi swych kobiet.

Kevin, Danny i Barbara wciąż pracowali. W ciągu dnia przerobiliśmy wiele tematów i nasz pomysł powoli nabierał kształtów. Najważniejszą rzeczą jaka nam pozostała, było obdzwonienie wszystkich naszych klientów - przynajmniej tych zaprzyjaźnionych - i poproszenie ich o wypowiedzi na temat naszej genialnej pracy. W zamian też mieliby reklamę. Następnego dnia Neil Forsythe miał przyjść do biura i powiedzieć nam o swoich postępach.

- Jest piętnaście po siódmej - powiedziałam. - Nie ma się co zabijać. Idźcie do domu.

- Chętnie - odparł Kevin. - Umieram z głodu.

- Ja też - dodała Barbara. - Hej, a ty jesteś chyba umówiona z Samem?

- Nie zorientowałam się, że jest już tak późno. To on dzwonił przed chwilą. Przyjdzie po mnie.

Uśmiechnęła się.

- Mnie się właściwie nigdzie nie spieszy. Możemy razem pójść coś zjeść, a potem wpaść do pubu.

No i proszę, powiedziała to przy wszystkich. Chciałam jeszcze przez co najmniej parę tygodni nie pokazywać Sama znajomym i kolegom z pracy, ale skoro przez ostatnie dni odgrywałam rolę wielkodusznej szefowej, nie mogłam odmówić.

- Dobrze. Każdy płaci za siebie. Już dość wydałam firmowych pieniędzy.

Kevin nie miał nic przeciwko temu, martwił się jedynie, że opuści odcinek Przyjaciół, jeśli nie wróci do domu na dziewiątą. Danny'ego trudniej było namówić.

- Ja chyba pojedę do domu - stwierdził, nie patrząc na mnie.

Podeszłam i usiadłam na brzegu jego biurka. Nie rozmawialiśmy od wieków. W ogóle nie rozmawialiśmy nigdy na poważniejsze tematy, ale od czasu do czasu dyskutowaliśmy o tym, co się dzieje w pracy. Danny nie miał innego życia poza biurem i naprawdę było mi go żal.

- Chodź z nami - powiedziałam cicho, tak, żeby inni nie słyszeli. - Już od bardzo dawna nigdzie razem nie wychodziliśmy.

- Wiesz, że źle się czuję w towarzystwie obcych ludzi - stwierdził znacząco. - Tylko popsułbym wam humor.

- Popsujesz, jeśli z nami nie pójdziesz - powiedziałam. Rozważał to przez chwilę, a potem potrząsnął głową. Widziałam, że się waha.

- Zadzwoń do Jennifer i spytam, czy nie poszłaby z nami - zaproponowałam. - Przynajmniej będzie dwoje obcych. I nie tylko ty będziesz skrepowany.

- Dobrze, jeśli ona się zgodzi, to i ja pójde. Zadzwoiłam do Jennifer, która wydawała się jeszcze bardziej zdenerwowana niż poprzedniego dnia. Moze myślała, że chcę ją wyrzucić. Kiedy wspomniałam, że wychodzimy razem i ją też zapraszamy, wyraźnie się odprężyła i obiecała, że przyjdzie do biura za jakieś dziesięć minut.

Kiedy do niej dzwoiłam, przyszedł Sam i Barbara zabawiała go rozmową.

U Eddiego Rocketa było pełno. U Flannagana było pełno. Szef pobliskiej chińskiej knajpy stwierdził, że stolik na sześć osób znajdzie się najwcześniej za godzinę. Wyglądało na to, że pożywimy się big macami, ale Jennifer powiedziała nam o pubie, który serwował dobre jedzenie i w czwartkowe wieczory był zawsze pusty. Czasami warto jest mieć w załodze tubylca.

Usiedliśmy za okrągłym stołem w tradycyjnym układzie „facet - kobieta - facet - kobieta”: ja, Sam, Barbara, Kevin, Jennifer i Danny. Co oznaczało, że Danny siedział obok mnie i nie byłam tym szczególnie zachwycona. Poza tym z drugiej strony Sama siedziała

Barbara i to też mi się nie podobało. Barbarę niezbyt podniecało towarzystwo Kevina, choć na pewno rekompensował to Sam. Kevin miał te same odczucia wobec Barbary, ale moim zdaniem podobała mu się Jennifer, więc wszystko się wyrównywało. Jennifer pierwszy raz znalazła się w towarzystwie osób, które przeważnie dobrze się znały i były od niej starsze przynajmniej o cztery lata, była więc chyba za bardzo zdenerwowana, aby się dobrze bawić.

Jak na ironię, jedynie Danny wydawał się zadowolony z sąsiedztwa. Okrągły stół był dość mały - mniej więcej taki, jakiego ludzie używają pod telewizory - czyli wciąż czułam dotyk nogi Danny'ego. Nie jestem pewna, czy robił to celowo, jednak przez pierwsze pół godziny takie miałam wrażenie.

Początkowo rozmowa kuląła, ograniczając się do wypytywania Jennifer o jej wrażenia po pierwszym dniu pracy, na co odpowiadała, że było trudniej, niż się spodziewała. Kiedy podano nam wychudzone kurze skrzydełka i stare frytki, nastrój trochę zelżał i Kevin zaczął opowiadać dość przyzwoite dowcipy. To się spodobało i niebawem przeszedł do bardziej nieprzyzwoitych.

Poczułam się niezręcznie, częściowo dlatego, że byłam w jakimś sensie odpowiedzialna za grupę i gdyby ktoś z pozostałych gości w knajpie poczuł się urażony, byłaby to moja wina. Poza tym Jennifer miała zaledwie osiemnaście lat i zapewne w ogóle nie była przyzwyczajona do przesiadywania w pubach, w dodatku z grupą dorosłych o niewyparzonych językach.

I wtedy biedna, mała Jennifer, z miną świętoszki, zaczęła opowiadać jedne z najbardziej pieprzonych dowcipów, jakie w życiu słyszałam. W pewnym momencie przerwało jej nadejście kelnera, który zebrał nasze puste szklanki, przyjął zamówienia na następne drinki i powiedział do Jennifer coś w stylu: „Strasznie dawno cię tu nie widziałem”.

Za dwadzieścia dziewięć powstało drobne zamieszanie, gdy Kevin przypomniał sobie, że powinien pędzić do domu, żeby zdążyć na Przyjaciół, ale usiadł z powrotem, kiedy Jennifer powiedziała, że nagrywa ten odcinek i następnego dnia przyniesie mu kasetę. Chyba w

tej chwili się w niej zakochał, a ona też spoglądała na niego łaskawym okiem. Od tej pory, przez resztę wieczoru, mówili wyłącznie o serialu: „Pamiętasz, jak matka Chandlera pocałowała Rossa?”, „Pamiętasz, jak Joey się wyprowadził i Eddie został w mieszkaniu?” „A kiedy przyjaciele Rachel przyszli do Central Parku?” Po tym ostatnim oboje podnieśli ręce i wykrzyknęli:

- Mamy łokcie.

Barbara i Sam prowadzili głęboką rozmowę na mój temat. Celowo udawali, że mnie nie ma, i nieźle się wyżywali.

- Susan jest prawdopodobnie najbardziej inteligentną osobą, jaką znam - stwierdziła w pewnej chwili Barbara. - Urodziła się z genem wszytkowiedzącej.

Sam roześmiał się.

- Jest bardzo szczodra. Zawsze chce płacić, kiedy gdzieś idziemy.

Parę razy chciałam się do nich przyłączyć, ale wyraźnie im przeszkadzałam. Sam ciągle się do mnie odwracał i mrugał, jakby chciał powiedzieć: „To tylko takie żarty. Nadal cię Kocham”.

To mnie nawet nie złościło, bo umiem śmiać się sama z siebie, ale oznaczało, że byłam zdana na Danny'ego, który się prawie nie odzywał.

Pozostali byli zbyt zajęci rozmową, aby zwracać na nas uwagę, postanowiłam zatem wykorzystać sytuację i wyjaśnić sprawy z Dannym. W końcu oboje trochę wypiliśmy, on się nieco rozluźnił...

- Od para tygodni jesteś jakiś przygaszony, Danny - zaczęłam. Skinął głową.

- Wszystko w porządku? Głęboko odetchnął.

- To zależy, co przez to rozumiesz.

- Na przykład w pracy? Wczoraj mówiłeś, że nie masz problemów, ale jakoś nie bardzo w to wierzę. - Oburzony adwokat w mojej głowie krzyczał: „Protestuję, Wysoki Sądzie! Prokurator podsuwa świadkowi zeznania”.

- Co mam ci powiedzieć? - spytał lekko zirytowany. Starannie obmyślałam moją odpowiedź.

- Przyjaźnimy się od para lat - „Protestuję, Wysoki Sądzie! Prokurator łączy jak pies!” - I nigdy nic mi o sobie nie mówiłeś. Równie dobrze możesz być w wolnym czasie seryjnym mordercą.

Wzruszył ramionami.

- Co robisz w wolnym czasie?

- Niewiele. Trochę czytam. Czasem pływam albo jeżdżę na rowerze.

- Akurat. To wszyscy podają w swoich podaniach o pracę, gdy nie chcą przyznać, że ich jedyne ulubione zajęcia to picie i palenie.

- I robię rzeźby z lodu, którym obrasta zamrażalnik w lodówce. To zrobiło na mnie wrażenie.

- Naprawdę? Uśmiechnął się.

- Nie, nie naprawdę. A ty? - Kiwnął głową w stronę Sama. - Kiedy nie jesteś z nim. Pach!

- Też czytam... I oglądam filmy na wideo.

- Jaki jest twój najbardziej ulubiony film wszech czasów?

Zacząłam mu opowiadać, że nie mam jednego wybranego filmu, ale mogłabym przypuszczalnie zrobić listę dwudziestu, no, może trzydziestu, gdy nagle zorientowałam się w jego podstępnie.

- Hej, zmiana tematu to moja specjalność.

- Doprawdy? Nie zauważyłem. - Sarkazm kapał z jego słów, jak tłuszcz z konsumowanych przez nas skrzydełek.

Wróciłam do poprzedniego tematu.

- Co robisz naprawdę? Znów wzruszył ramionami.

- Będiesz się śmiać.

- Nie - odparłam, modląc się, aby nie miał racji. - Powiedz.

- Rysuję. Głównie portrety.

Znów mnie zaskoczył, ale tym razem pozytywnie.

- Dobry jesteś?

- Tak. - Bez wahania, bez fałszywej skromności. Tego się nie spodziewałam.

- Na pewno? Roześmiał się głośno.

- Jak cholera, mówiąc twoim stylem.

- To znaczy idziesz na przykład z krzeselkiem w sobotę na Grafion Street i rysujesz ludziom portrety za pieniądze?

- Nie, ale pracuję jako wolny strzelec dla policji. Wiesz, rozmawiam z ofiarami i rysuję twarze tych, którzy je napadli.

Może z powodu wypitego alkoholu skłonna byłam mu uwierzyć, choć o mało co nie powtórzyłam odruchowo „Naprawdę?” -

Rysowałeś kiedyś jakichś sławnych przestępców?

- Masz na myśli „niesławnych przestępców”? Jeszcze nie, ale wciąż mam nadzieję, że Spice Girls w końcu kogoś zaatakują. Albo

Nolan Sisters. Albo Corrs. - Zaczął klepać się po kieszeniach. - Mam tu gdzieś listę sławnych ludzi, na których czekam aż popełnią przestępstwo, nim skończy mi się papier.

- Mhm. I są to zapewne same piękne kobiety? Danny przybrał zaszokowany wyraz twarzy.

- Ależ skąd! Brat z zespołu Corrs jest facetem. Gdyby to on był przestępcą, dałbym rysunek policji pod warunkiem, że mógłbym poznać jego siostry. Albo Enyę, o ile ją zna. Raczej tak, bo na pewno chodzą na te same przyjęcia.

Milczałam przez chwilę, myśląc o Dannym, a potem wystrzeliłam:

- Masz jakichś przyjaciół?

I od razu tego pożałowałam. Danny nie jest człowiekiem, któremu zadaje się takie pytania.

Znów mnie zaskoczył, odpowiadając szczerze:

- Nie, raczej nie. Chyba ty, Kevin i Barbara jesteście moimi najbliższymi przyjaciółmi. - Zauważyłam, że twarz mu spochmurniała, gdy rzucił okiem na Barbarę. - Nie, to właściwie nie jest prawda - dodał szybko. - Raz na parę miesięcy spotykam się z ludźmi ze studiów, choć to raczej znajomi, a nie przyjaciele. Prawdę mówiąc, nikt z nich nie byłby zainteresowany spotkaniem ze mną w cztery oczy.

To była chyba najdłuższa jego wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałam. Chciałam mu powiedzieć, że miałby więcej przyjaciół, gdyby się trochę rozluźnił, ale jeszcze bardziej chciałam wrócić do tematu Barbary.

- Chcę cię spytać o coś osobistego. Oczywiście, nie musisz odpowiadać. I nie myśl, że opowiada o tobie jakieś plotki...

- Aha. - Najwyraźniej zrozumiał, do czego zmierzam, choć czekał na moje pytanie.

- Czy to prawda - kontynuowałam przyciszonym głosem - że z nią spałeś?

Znów odetchnął głęboko, rzucił okiem na Barbarę i nic nie powiedział.

Poczułam się okropnie. Nie powinnam była go o to pytać. Nie był tak rozluźniony, jak mi się zdawało.

- Przepraszam. Zapomnij o moim kretyńskim pytaniu.

- Nie mam nic przeciwko twojemu pytaniu. Nie chcę jednak odpowiadać. To nie jest coś, o czym się mówi w przelotnej rozmowie. To znaczy ja nie mówię.

Tym razem ja zamilkłam, usiłując wykoncypować, czy odpowiedź brzmiała „tak” czy „nie”. Jednocześnie starałam się zrobić wrażenie, że wstydzę się pytać go o sprawy osobiste.

- Dżentelmen nie upublicznia szczegółów swych podbojów miłosnych - powiedział Danny. - Zwłaszcza nie wobec kogoś... - zawahał się - kogoś, kto nie musi wiedzieć. Przepraszam.

Nie wierzyłam własnym uszom. Przepraszal mnie. To nie tak miało być.

Sam szturchnął mnie nagle w bok.

- Twoja kolej, złotko.

- Jeszcze czego - prychnęłam. - Przez całą wieczór podrywasz inną, a potem chcesz, żebym płaciła za twojego drinka?

- Tak. Lemoniadę imbirową poproszę. I orzeszki. I mątwę dla panienki.

Barbara uderzyła go w ramię.

- Kogo nazywasz panienką?

- Chcesz tę cholerną mątwę czy nie?

Przerwał nam Kevin, który wstał i zaczął się popisywać przed Jennifer naśladowaniem Rossa z Przyjaciół. To nie było udane naśladowanie. Jennifer udawała Phoebe i poszło jej znacznie lepiej. Barbara spojrzała na mnie, kiwnęła głową w stronę urzeczzonego Kevina i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Siedzący obok mnie Danny rysował na podstawce do piwa bardzo dobry portret Courtney Cox.

Nim wyszliśmy z pubu, Samowi uciekł ostatni autobus. Udawał, że chce mnie odprowadzić do domu, a potem wrócić do Ranelagh i wziąć taksówkę, ale nie dałam się nabrać.

Było bardzo zimno i mocno się do niego przytuliłam.

- No i co myślisz o moich kolegach?

- Są w porządku. Kevin jest fantastyczny. Z Dannym prawie nie rozmawiałem. A Barbara bez przerwy nadawała.

- I to ci tak przeszkadzało, kiedy z nią flirtowałeś, co?

- Ja? Flirtowałem? - Zadrżał z zimna i pozapinał guziki dzinsowej marynarki. - Kevin załapał się na nową dziewczynę.

- Aha, ma na imię tak, jak prawdziwa miłość jego życia: Jennifer Aniston. Ciekawe jak się będzie zachowywał jutro w pracy. Założę się, o co zechcesz, że będzie szukał okazji, żeby przejść koło jej biurka.

- Też bym tak robił - stwierdził z uśmiechem Sam. - Niezła babeczka.

- Co w niej takiego niezłego?

- Ciało. I umysł. Udawałam, że się obraziłam.

- Czyli wolisz niskie kobiety bez bujnych kształtów?

- Wcale nie. Lubię duże, tłuste kobitki. Naprawdę.

Przypuszczam, że to miało być pieszczotliwe albo czarujące, albo śmieszne. Z całą pewnością nie miało być taktowne. Potraktowałam jego zdanie tak, jakby było pieszczotliwe, czarujące i śmieszne. Ale zrobił mi przykrość. Gdyby mnie w tym momencie rzucił, gdyby cały wieczór pieprzył się z Barbarą na podłodze w pubie, gdyby powiedział cokolwiek innego, nie zrobiłby mi większej przykrości.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, rozebraliśmy się i przez następne pół godziny kochaliśmy się na podłodze. Nie było to dla mnie specjalnie przyjemne, ale przez wzgląd na jego głupie męskie ego wykonywałam właściwe ruchy i wydawałam właściwe odgłosy w odpowiednich momentach.

Później wskoczyliśmy do łóżka i leżeliśmy objęci. Znacznie później, kiedy byłam pewna, że zasnął, popłakałam się.

I bardzo uważałam, żeby nie płakać za głośno i go nie obudzić.

Rozdział 36

Oczywiście musimy to wszystko pokazać waszej szefowej, jak wróci - powiedział Neil Forsythe. - Ona ostatecznie zdecyduje. Jakie są szanse, że zechce to wyrzucić do kosza, dlatego że to nie był jej pomysł?

Był piątek, tuż po dziewiątej. Neil wpadł do biura, tryskając energią. Obejrzał wszystko, co przygotowaliśmy i stwierdził, że to „cholernie fantastyczne” i „dokładnie to, czego nam trzeba”.

Teraz rozmawiał ze mną, a ja myślałam o Samie. Nie o tym jednak, aby się do niego przytulić, lecz schować za jakimś murem i sprawdzić, o co mu chodzi.

- Nie mam pojęcia - powiedziałam w końcu. Szybko potrząsnęłam głową, jakbym mogła z niej w ten sposób wyrzucić złe myśli. - Przepraszam, jestem dziś trochę rozkojarzona. - Przerzuciłam kartki, które trzymałam w ręku. To były ulotki reklamowe, które przygotowaliśmy i na które Neil starannym pismem naniósł swoje uwagi. Takie ulotki na ogół nie były niczym więcej niż graficznymi sztuczkami bez treści. Nasze przynajmniej nie udawały, że są czymś więcej niż reklamą naszej działalności.

- Pytałem, jakie są szanse, że odrzuci cały projekt dlatego, że to nie był jej pomysł - powtórzył z naciskiem Neil.

Rzuciłam na niego okiem i zobaczyłam, że się we mnie intensywnie wpatruje.

- Tym bym się nie martwiła. Potrafi zauważyć dobrą rzecz, nawet jeżeli wymyślił ją ktoś inny.

- Ale czy to jest coś dobrego? Oto jest pytanie, nad którym powinniśmy się zastanowić.

- Na pewno to jest dobre. Nigdy przedtem się nie reklamowaliśmy, bo i tak mieliśmy dość pracy. Bez Parker Technology tracimy parę tysięcy miesięcznie.

Jeszcze raz szybko przerzuciłam naszą próbną broszurkę. W zasadzie mówiła o tym, że nie jesteśmy łowcami głów per se, lecz ofiarowujemy kompleksowe rozwiązania biurowe - stąd nazwa. Oczywiście zajmujemy się także wyszukiwaniem personelu, ale tworzymy również obraz firmy, prowadzimy kursy dla kadry kierowniczej, dostarczamy sekretarek na zastępstwo - choć, dzięki Bogu, już dawno nikt z nas nie musiał się tym zajmować - i ogólnie dobrze jest nas znać.

Barbara, Kevin i Danny dzwonili do naszych klientów z prośbą o parę słów na temat naszych genialnych usług. Wcześniej słyszałam, jak Kevin rozmawiał ze swoim kumplem, który był kierownikiem średniego szczebla u jednego z naszych klientów:

- Powtórz: Firma Kompleksowe Rozwiązania Biurowe jest niewątpliwie najbardziej strzeżonym sekretem dzisiejszego przemysłu. - Przerwa. - Naprawdę, postawię ci piwo. - Przerwa. - Przecież to nie jest żadne kłamstwo. Pod cytatem zamieścimy twoje nazwisko i nazwę firmy. - Przerwa. - Tak, moglibyśmy, ale musisz to sam powiedzieć, bo inaczej narażamy się na oskarżenie o pomówienie. - Przerwa, dłuższa od poprzednich. - Jeśli to zrobisz, zaprosimy cię na następne przyjęcie biurowe. Posłuchaj, czy możesz wyrecytować te pieprzone słowa?! - I wreszcie: - Fantastycznie. Dzięki, Pdraig. Zobaczymy się w sobotę.

- Musimy jak najszybciej przygotować kolorowe próbki - powiedział Neil. - Mamy kolorową drukarkę?

- Nie, ale mają w biurze na dole i są nam winni przysługę za korzystanie z naszej kopiarki i faksu.

- W porządku. Uda się nam. - Był wyraźnie z siebie zadowolony. - Pokażemy temu kretynowi Parkerowi.

Reszta dnia upłynęła bez poważniejszych problemów i skończyliśmy wszystko, co zaplanowaliśmy godzinę wcześniej. Pożałowałam, że obiecałam im w nagrodę wolny dzień w poniedziałek. Poprzedniego wieczoru pracowaliśmy zaledwie kilka dodatkowych godzin. Ale zaraz się wycofałam. Na ogół objaliśmy się, więc fakt, iż udało mi się zmusić ich do porządnej pracy przez ponad dwa dni zakrawał na cud.

Poza tym obietnica to obietnica. Zasłużyli sobie.

Samolot Vicky miał wylądować w Dublinie w poniedziałek

O ósmej rano. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nie przyjdzie do pracy na cały dzień - kto by przyszedł? - jednak wiedziałam także, że będzie przejeżdżać w drodze do domu niedaleko biura i na pewno wpadnie na chwilę. Choćby po to, aby się przekonać, że nie doprowadziłam firmy do bankructwa, ani nie spowodowałam pożaru całego budynku.

Kiedy zobaczy, że coś się zmieniło, nie wpadnie w zachwyty. Kevina, Barbary i Danny'ego nie będzie. Będzie za to prawdziwa

recepjonistka. Mnie zastanie za swoim biurkiem. A po biurze będzie się snuł Neil Forsythe. Czeka mnie mnóstwo wyjaśniania.

I wcale mnie to nie cieszyło.

Z drugiej strony, nie mogłam się już doczekać końca weekendu. Sam pracował aż do niedzielnego popołudnia, umówiłam się więc z Sharon na drinka. Może i na wiele drinków. Oczywiście będzie chciała, żebym jej o wszystkim opowiedziała (uważa, że moje życie jest znacznie bardziej ekscytujące niż jej), a ja nie byłam pewna, co jej powiedzieć, gdy spyta o Sama.

Że na pozór nic się nie zmieniło, ale wczoraj wieczorem powiedział coś, co mnie naprawdę bardzo głęboko zraniło? Nie ma mowy. Sam w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że sprawił mi wielką przykrość i może już więcej czegoś takiego nie powie. I może wszystko między nami będzie super. No, takie „może” nie załatwia sprawy, a poza tym zaniepokoił mnie fakt, że jemu to nie przyszło do głowy. Nie potrafił wyczuć, jakie znaczenie może mieć dla mnie takie stwierdzenie. Nawet nie zauważył, że było mi przykro, ale w końcu nie powinnam mieć do niego pretensji, bo sama się o to postarałam.

Jak na złość, po południu zadzwonił ojciec.

- Susan? Rozmawiałem z twoją matką, pamiętasz ją jeszcze? Wysoka, ładna, urodziła cię. I przyszedł nam do głowy taki dziwny pomysł, że może byś nas odwiedziła.

- Jeśli nie wybieracie się na wczasy do Blackwater, może uda nam się zaaranżować coś podczas weekendu. Jak sądzisz, tato? Czy moi ludzie mają zadzwonić do twoich ludzi?

- Tak się składa, że w tym tygodniu nie jedziemy do Wexford. Twoja matka ciągnie mnie oglądać domy.

- Czyli to już postanowione, tak? To nie był szalony plan pozbycia się mnie z domu?

Roześmiał się ponuro.

- To był plan obliczony na pozbycie się z domu twojego brata, ale jeszcze nie wypalił.

- Jak on się miewa? Zaczął się denerwować.

- Skąd, do chol... Skąd mam wiedzieć? Nie rozmawia ze mną. Twoja matka mówi, że wszystko jest w porządku.

Najwyraźniej ojciec i Fintan nie doszli do porozumienia. Możecie mnie wziąć za jasnowidzącą, ale czułam, że coś jest nie tak.

- Postaram się z nim porozmawiać, jak go zobaczę, tato.
Będziecie w domu jutro po południu?

- Bóg raczy wiedzieć. To zależy od twojej matki. Lepiej zadzwoń przed wyjściem z domu.

Fantastycznie. Teraz muszę się umawiać z własnymi rodzicami.

Oczywiście zechcą wiedzieć, co się ze mną działo przez te parę tygodni, odkąd ich ostatnio widziałam. Będą pytać o mieszkanie, a ja nie miałam ochoty mówić im, że staruszka, która mieszkała na górze, umarła tydzień temu. Matka nakrzyczy, że jej nic nie powiedziałam i że nie mogła załatwić karty żałobnej. Będą też pytać o pracę. Kiedy rozmawiałam z nimi ostatnio wspomniałam, że będę zastępować szefową, która wyjeżdża na wakacje. Szanse, że mnie o to nie spytają były mniej więcej takie same, jak to, że Sam zagra dla Crystal Palace w finałach mistrzostw pierwszej ligi.

Umówiłam się z Samem na niedzielne popołudnie. Wmawiałam sobie, że parę dni niewidzenia się dobrze nam zrobi, ale sama w to nie wierzyłam.

Daj mu jeszcze jedną szansę - powiedział głosik w mojej głowie. Prawdopodobnie już nigdy czegoś takiego nie powie.

Inny głosik miał odmienne zdanie i stwierdził, że lepiej mi będzie bez Sama.

Pierwszy głosik kazał mi zignorować drugi. Wszystko będzie świetnie.

Drugi głosik nalegał, dość głośno, że tylko tracę czas i że byłoby mi lepiej z kim innym.

Pierwszy głosik powiedział drugiemu, aby się zamknął, bo nie wie, o czym mówi.

Drugi głosik bardzo się obraził, poszedł pod dom pierwszego głosiku i podpalił mu samochód.

Rozdział 37

Umówiliśmy się z Sharon w Parnell Mooney, naszym dawnym miejscu spotkań. Odkąd byliśmy tam ostatnio, nic się nie zmieniło. Wydawało mi się, że nawet goście są ci sami. Może wszystkie puby w śródmieściu kupują stałych klientów razem z meblami?

- Jak sprawy z Samem? - spytała Sharon. Stałyśmy ściśnięte w kącie baru.

- Wspaniale - skłamałam. - A jak z Markiem?

- Super - stwierdziła z radosnym uśmiechem. - Nie wiem dlaczego do tej pory tego nie zauważyłam, ale jest cholernie seksowny.

- Naprawdę? To znaczy, że to nie jest platoniczny związek?

- Na razie jest. Oprócz paru pieszczot. Nie mam pojęcia, co powiedzieć matce. Wiecznie powtarza, że to obrzydliwe, gdy dziewczyna w moim wieku chodzi z facetem o dziesięć lat starszym.

Kiwnęłam głową, bo dokładnie wiedziałam, o co jej chodzi. Jedna z sąsiadek Sharon zaczęła, mając czternaście lat, chodzić z dwudziestopięcioletnim facetem. Dzisiaj to nie robi wrażenia, wtedy jednak wybuchł skandal.

- Zawsze możesz powiedzieć, że ma tylko dwadzieścia osiem i wygląda na trzydzieści pięć - poradziłam.

- No, coś ty, przecież matka zna go prawie od dziecka.

- Udawaj, że jesteście przyjaciółmi.

- Akurat uwierzy. Prędzej czy później zobaczy nas jakaś sąsiadka i przyleci do matki. Znasz te baby, zawsze chcą być pierwsze ze złymi wiadomościami.

- Przynajmniej nie jest twoim nauczycielem, czy kimś w tym rodzaju - pocieszyłam ją, odwołując się do klasyki Nabokova.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - stwierdziła, przypuszczalnie myśląc, że odwołuję się do klasyki zespołu Police. - Chyba najpierw powiem ojcu. Zawsze był bardziej tolerancyjny.

- Dlatego, że jest facetem, a żaden facet w średnim wieku nie widzi nic złego w spotykaniu się ze znacznie młodszą dziewczyną.

Kiedy myślałam o tym później, po wszystkim, co zaszło, trzydzieści pięć lat nie wydawało mi się wcale takim zaawansowanym wiekiem. Gdy jednak rozmawiałam z Sharon, pomyślałam, że kiedy Mark miał szesnaście lat i wolno mu było uprawiać seks, Sharon miała zaledwie sześć.

Ktoś, kto usiłował zwrócić na siebie uwagę barmana, popchnął mnie od tyłu.

- Posłuchaj, tu jest stanowczo za dużo ludzi. Wypij i pójdziemy gdzieś indziej.

W rezultacie wylądowałyśmy w Cabrze, w naszym lokalnym pubie, gdzie ludzie, których w życiu nie widziałam na oczy, witali mnie, jakbym wróciła z emigracji, a barman dał mi nawet darmowego drinka „z okazji powrotu”.

Sharon zadzwoniła po Wendy i Jackie, które nie dały na siebie długo czekać. Wydawało mi się, że od tego wieczoru, kiedy obchodziłyśmy dwudzieste drugie urodziny Laury, minęło dobrych parę miesięcy. Spytałam, co u niej słyhać, ale nikt nie odpowiedział, domyśliłam się więc, że w jakiś sposób im się naraziła i nikt się do niej nie odzywa. Specjalnie mnie to nie zmartwiło, bo nigdy za nią nie przepadałam.

Siedziałyśmy, popijałyśmy, rozmawiałyśmy, śmiałyśmy się i znów popijałyśmy.

Byłyśmy już nieźle ubzdryngolone, kiedy przypomniało mi się, że od poprzedniego piątku nie oddzwoniłam do Anthony'ego. Postanowiłam go zaprosić. Zabrało mi to dziesięć minut. Byłam na tyle pijana, że z początku nie mogłam sobie przypomnieć jego numeru telefonu. Był bardzo zadowolony, że zadzwoniłam, bo nie miał nic lepszego do roboty niż oglądanie telewizji, i obiecał, że zaraz przyjdzie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się dość późno. Tuż przed przyjściem Anthony'ego barman zrobił stary trik z mruganiem światłami, aby dać znać, że niedługo będzie zamykał. Kiedy zobaczyłam Anthony'ego w drzwiach, rzuciłam się do niego i złapałam go za rękę.

- Chodź szybko! Zdamy jeszcze coś zamówić.

Usiłowałam zaciągnąć go do baru, ale jakoś mi się to nie udawało. Przyszło mi do głowy, że albo jestem bardziej pijana, niż myślałam, albo że Anthony ostatnio okropnie utył.

Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Anthony po prostu nie ruszał się z miejsca.

- Daj spokój - powiedział. - Nie przyszedłem się napić, tylko zobaczyć z tobą.

Stwierdziłam, że to najmiłsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. I to już świadczy o tym, że byłam nieźle pijana. Rzuciłam mu się w ramiona, o mało go przy tym nie przewracając, i z całej siły uściskałam.

- Strasznie dawno cię nie widziałam! Wysłwobodził się z mojego uścisku.

- Wiem. Miałaś być w kontakcie, odzywać się czasem. I zaprosić mnie do nowego mieszkania.

- Pewnie, że możesz - odpowiedziałam, chociaż mnie o nic nie pytał. - Nie potrzebujesz zaproszenia. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nie musisz pytać. - Szturchnęłam go palcem w pierś. - Możesz zawsze do mnie przyjść, kiedy chcesz. - Odwróciłam się do baru. - Chodź, weźmiemy coś do picia.

Potrząsnął głową.

- Ja dziękuję. Zostajesz dziś na noc u rodziców? Bo jeśli nie, to mogę cię odwiedzić do domu.

- Anthony - powiedziałam rozdrażniona. - Dopiero co przyszłyśmy.

Na to wybuchnął śmiechem.

- Dobrze - powiedział. - Jak będziesz gotowa. Wróciliśmy do reszty towarzystwa. Jackie na jego widok odepchnęła Wendy.

- Tutaj jest miejsce, Anthony - powiedziała.

- Dzięki. - Wcisnął się między nie. - Co u ciebie, Jackie? Ona też już trochę wypila i teraz zachichotała jak dziewczynka.

- Wszystko dobrze. Podobają mi się twoje dzinsy. Nowe? - Zrobiła znany test przesuwania dłonią po jego kolanie. - Dużo dałeś?

Twierdził wprawdzie, że mu się nie podoba, ale jakoś nie odsunął się z odrazą.

- Niedużo. Marki dunnes. Jackie westchnęła głęboko.

- Wiem, co masz na myśli. Ludzie przywiązują zbyt wielką wagę do metek. A przecież nie chodzi o to, co się nosi, ale kto to nosi.

To mówiła Jackie, która była taką ofiarą mody, że musiała korzystać z psychoterapii.

Wytoczyliśmy się z pubu koło północy i zaproponowałam, żebyśmy poszli do klubu przy Leeson Street.

- Możecie u mnie potem wszyscy przenocować - powiedziałam. - Jest dużo miejsca. - Co nie było do końca prawdą.

Na szczęście - choć wtedy myślałam inaczej - nikt więcej nie chciał się bawić. Sharon pracowała następnego dnia, Wendy była zmęczona, a Jackie chciała pójść gdzieś tylko z Anthonym.

Anthony wziął mnie za ramię i odciągnął na bok.

- Do widzenia - zawołał. - Susan chce iść do domu.

- Wcale nie chcę.

- Chcesz. Chodź. - Szedł przed siebie i nie miałam wyboru, musiałam maszerować razem z nim.

Spojrzałam za siebie i zobaczyłam, że Jackie wygląda tak, jakby rzucała na mnie uroki.

- Przepraszam, to nie moja wina!

Po paru minutach rozzłościłam się na dobre.

- Posłuchaj, nie chcę jeszcze wracać do domu.

- Chcesz - powtórzył. - I nie padnij w samochodzie, bo nie wiem, jak mam jechać.

Nim dotarliśmy do mieszkania, trochę wytrzeźwiałam i już się nie złościłam.

Pomógł mi wejść po schodach, choć nie byłam tak pijana, żebym nie dała sobie rady, i zaczęłam szukać kluczy.

- Wiem, że to jeden z tych - powiedziałam głośno. - Nie, to jest od biura. - Podniosłam w górę klucze biurowe. - Spójrz, prawda, że rysy na tym kluczu wyglądają jak słowo „mama”?

- Tak - powiedział i delikatnie wyjął klucze z mojej ręki. Chodź nigdy przedtem u mnie nie był, od razu znalazł właściwy klucz. - Wejdz.

Oparłam się o ścianę, kiedy szukał klucza do mieszkania. Praktycznie wniósł mnie do środka i położył na łóżku.

- Jestem wykończona - powiedziałam bardzo głośno.

- Jesteś pijana.

Stał nade mną przez chwilę, zastanawiając się, co robić. Wyobrażam sobie, że w pierwszym odruchu chciał mnie rozebrać, ale był za dobrze wychowany, aby zaryzykować, poszedł więc na kompromis i zdjął mi tylko buty i żakiet.

- Zatrzasnę za sobą drzwi - powiedział. Złapałam go za rękę.

- Nie idź jeszcze. Muszę z kimś porozmawiać. Pomyślał przez moment.

- Dobrze, zostanę na chwilę. Mam zrobić kawę?

- Tak, ale nie mam mleka.

- Nie szkodzi.
- Mnie szkodzi. Idź i kup, dobrze? Uśmiechnął się i nalał wody do czajnika.

- O czym chcesz rozmawiać?

Pomyślałam, że nie powinnam zwać mu na głowę moich problemów, zwłaszcza że dawno się nie widzieliśmy. Ale i tak wszystko mu opowiedziałam. Nie po kolei i na pewno pomieszałam wiele razy imiona - na pewno mówiłam Sam zamiast Danny - i parę razy powtórzyłam to samo, ale raczej mnie zrozumiał.

Kiedy wspomniałam, co powiedział Sam poprzedniego wieczoru, Anthony naprawdę się rozzłościł. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że Sam wcale tak nie myślał, lecz Anthony stwierdził, że w ogóle nie powinien czegoś takiego mówić.

Nic z tego, co mu opowiedziałam, nie wprawiło go w specjalny zachwyty, oprócz informacji o kwiatkach i listach od J., tego, że poinformowałam Parkera, co o nim myślę i wiadomości, że udało mi się załatwić choć kilka dni pracy dla Neila Forsythe'a.

- Zapomniałam, że go znasz. Złapaliście kontakt? Kiwnął głową.

- Tak, bardzo mi się podoba. Spotkałem się z nim później parę razy, ale ostatnio go nie widziałem. Cieszę się, że mu się jakoś układa.

Siedząc po turecku na łóżku i pijąc trzecią kawę, przyglądałam się w milczeniu Anthony'emu. Przyszło mi do głowy, że chyba jednak jest gejem. Jackie wyraźnie na niego leciała, a nie skorzystał, choć to ładna dziewczyna.

Może Neil Forsythe też jest gejem - pomyślałam. Sam mówił, że niewiele mieli z żoną wspólnego jeszcze na długo przed rozwodem.

- Anthony?

- Tak?

- Mogę cię o coś spytać?

- Właśnie to zrobiłaś. Uśmiechnęłam się.

- Czy mogę ci zadać dwa pytania?

- Właśnie to zrobiłaś - odparł z uśmiechem.

- No... - Zastanowiłam się przez chwilę. - Czy mogę ci zadać cztery pytania?

- Jasne.

- Czy jesteś gejem?

- Nie. - Miałam wrażenie, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale się rozmyślił.

- Samo „nie”? Tylko tyle?

- A co mam powiedzieć? Załamać się i przyznać, że w gruncie rzeczy jestem ukrytym, zmaltrretowanym gejem? Odpowiedź brzmi: nie. Nie jestem gejem. Ani biseksem.

- Muszę powiedzieć, że mnie trochę rozczarowałeś. Rozeźmiał się.

- Jestem sam na sam, w środku nocy z piękną, na wpół rozebraną kobietą i ona mi mówi, że ją rozczarowałam, bo nie jestem gejem. Wielkie dzięki! To fantastyczny komplement.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu miałam nadzieję, że podzielisz się ze mną jakimś ukrytym głęboko sekretem.

Potrząsnął głową.

- Nic z tego. Mogę jednak coś wymyślić, jeżeli ci zależy.

Zależało. Prawie do rana wymyślaliśmy setki nieprawdopodobnych kłamstw o sobie samych, które przeważnie zaczynały się tak: „Kiedy byłam w Tierra del Fuego...”, albo „Gdy pewnego wieczoru pracowałam w laboratorium...”

Powiedziałam Anthony'emu, że jeśli jest zbyt zmęczony, by jechać do domu, może zostać, pod warunkiem, że będzie się zachowywał. Stwierdził, że mu pochlebiam, nie chcąc, żeby jego doświadczone męskie lędźwie zajęły się zaspokojeniem mojej seksualności, ale skoro jest mi wszystko jedno, to woli wrócić do domu.

Na to wyjaśniłam mu, że gdyby został jeszcze parę godzin, mógłby mnie zawieźć do rodziców.

- Dobrze, przekonałaś mnie. - Zdjął buty i wszedł do łóżka. - Obiecujesz, że mnie nie wykorzystasz?

Obiecałam, że się postaram. Po paru minutach oboje spaliśmy.

Rozdział 38

Jak się człowiek wyprowadzi z domu, czas staje tam w miejscu. Minął miesiąc, a u rodziców nic się nie zmieniło. Stos starych wyciągów bankowych, rachunków telefonicznych i reklam podrzuconych pod drzwi leżał przy telefonie w korytarzu. Kiedy weszłam, zauważyłam, że jest dokładnie taki sam, jak wtedy, kiedy byłam tu parę dni temu. No dobrze, może przybyło parę reklam od firm chcących nam wcisnąć furtki ogrodowe i żaluzje, ze sklepów wmawiających nam, że powinniśmy kupić trzy litry coli za cenę dwóch, czy z agencji nieruchomości mówiących, że teraz jest dobra pora na sprzedawanie domu. To akurat miało się niebawem zdarzyć, ale ogólnie rzecz biorąc, nikt tej sterty papierów od dawna nie ruszał.

- To ja! - zawołałam, wyciągając klucz z zamka. - Jestem. Nikt się nie odezwał. Uznałam, całkiem naturalnie, że widocznie nikogo nie ma, choć samochód stał przed domem. Gdybym była paranoiczką, pomyślałabym, że się schowali. Głupi pomysł. Mimo wszystko przeszłam się po domu i sprawdziłam.

Na kanapie leżał otwarty numer „Gazety telewizyjnej”, ale poza tym wszystko w dużym pokoju było dokładnie, tak jak przedtem. Brakowało jedynie ośmiu czy dziewięciu książek, które zazwyczaj jednocześnie czytałam. Uświadomiłam sobie, że te książki, razem z pozostałymi, nadal stały w mieszkaniu w pudłach, tam, gdzie postawiłam je pierwszego dnia.

Może to genetyczne, pomyślałam. Wszystkim nam brakuje genu porządku.

Kiedy otworzyłam drzwi do pokoju rodziców, nagle przyszło mi do głowy, że mogę ich znaleźć w miłosnym uścisku. Może dlatego ojciec sugerował, abym najpierw zadzwoniła... Na szczęście pokój był pusty. Z tym bym już sobie chyba nie poradziła, choć z drugiej strony, biorąc pod uwagę ilość posiadanych dzieci, moi rodzice musieli ze sobą spać przynajmniej dwa razy.

Poszłam do mojego starego pokoju, spodziewając się, że Fin - tan się wreszcie przeniósł i zakrył różową tapetę plakatami z Liverpoolu, ale i tutaj nic się nie zmieniło. Na podłodze stało parę pudeł z ubraniami, które nie zmieściły się do samochodu, a o których kompletnie zapomniałam. Może uda mi się namówić ojca, żeby któregoś dnia mi je podrzucił.

Wrócili pół godziny później. Matka ucieszyła się na mój widok - uściskała mnie i widziałam, że prawie miała łzy w oczach. To już była przesada, w końcu nie wracałam po latach z więzienia. I poza tym praktycznie codziennie dzwoniła do mnie do pracy. Z herbatą i kanapkami przyszły pytania:

- Jak ci idzie? Dobrze się odżywasz? Jaka jest właścicielka? Musisz mi wszystko opowiedzieć. - Stopniowo pytania stały się bardziej szczegółowe: - Dostajesz rachunek za elektryczność czy wrzucasz monety? Masz własną łazienkę? Czy sąsiedzi są bardzo hałaśliwi?

Na ostatnie pytanie nie odpowiedziałam. Co miałam powiedzieć? „Para za ścianą wrzeszczy, jak oszalała, a sąsiadka z góry ma tendencję do spadania z łóżka i umierania”?

Odwróciłam sytuację i zaczęłam wypytywać matkę o różne domy, które oglądali, ale to nie trwało długo, bo ojciec powiedział, że samo oglądanie było straszne i nie ma ochoty jeszcze o tym słuchać.

Fintan wrócił koło piątej. Zdaje się, że nie zauważył mojej nieobecności, ale taki już jest. Usiłowałam z nim przez chwilę porozmawiać, nie miał jednak do powiedzenia nic inteligentnego. Zrobił sobie kanapkę z boczkiem, zostawił po sobie bałagan na trasie szafka - lodówka - stół - szafka, szybko zboczył ze szlaku do czajnika, gdyż chciał sobie zrobić herbatę, ale nie było gorącej wody, a on nie miał zamiaru napełniać czajnika i czekać, aż się zagotuje, i poszedł do dużego pokoju.

Ojciec, gdy tylko zjawił się Fintan, wyszedł z domu tylnymi drzwiami, a matka zaczęła szykować obiad, choć najpierw zajęła się naprawianiem szkód po działalności kuchennej syna. Poszłam za moim społecznie innym bratem do pokoju.

- I jak? - spytałam, siadając w fotelu, który kiedyś był „mój”. - Co słychać?

Wzruszył jednym ramieniem - użycie dwóch wymagałoby zbyt dużego wysiłku - i wbił wzrok w telewizor. Który był wyłączony.

- Może być.

- Spotykasz się z kimś?

- Nie. - Ugryzł kawał kanapki i przeżuwał z namysłem. - Nie - powtórzył na wypadek, gdybym nagle straciła pamięć.

- Co robisz?

Znów ugryzł kawał kanapki.

- To, co zawsze. - Okruchy leciały mu na bluzę od dresu.
- Byłeś u lekarza w związku z tą wysypką? Przestał żuć i spojrzął na mnie.
- Co?
- To się nazywa rozmowa, Fintan. Normalni ludzie od czasu do czasu rozmawiają.

Wzniósł oczy do góry.

- Bierzesz coś czy jak? Przecież ci odpowiedziałem.
- Wczoraj wieczorem ukradłam samochód i przejechałam kogoś
- powiedziałam jedynie po to, żeby sprawdzić, co powie.
- Nieprawda. Wczoraj wieczorem byłeś w pubie z Sharon, Anthonym i innymi dziewczynami.

- Skąd wiesz?

Prychnął niecierpliwie, jakby odpowiedź była oczywista.

- Byłem tam, co nie?

To mnie zaskoczyło. Nie byłam przecież tak pijana, żeby nie pamiętać rozmowy z własnym bratem.

- Powiedz mi prawdę. Anthony mówił, że się wczoraj upiłam. Tak?

Znów oszczędnie wzruszył ramieniem.

- Skąd mam wiedzieć? Nie gadałem z tobą.
- Na litość boską! Widziałeś mnie i nawet nie podszedłeś, żeby zamienić parę słów? Kurczę, Fintan, ty chyba jesteś stuknięty.

- O co ci chodzi?

Przynajmniej zwrócił uwagę na to, co mówię.

- Nic ważnego - powiedziałam szybko. - Jeżeli nie rozumiesz, o co mi chodzi, to w zasadzie nie mam po co z tobą rozmawiać.

- Strasznie jesteś humorzasta. Wyprowadzasz się z domu, bo tak ci się podoba, a kiedy tu przychodzisz, uważasz, że wszyscy powinni wokół ciebie tańczyć, jak koło jakiejś Lady Golivy. Czy jak jej tam?

- Lady Godivy - poprawiłam. - Powszechnie się sądzi, że była próżna, ale to nieprawda. Przejechała konno bez ubrania przez Coventry, aby przekonać męża, żeby zniósł podatek, jaki nałożył na mieszkańców. - Właściwie nie bardzo wiedziałam, po co mu to tłumaczę. - W każdym razie ja nie jestem próżna.

- Jesteś. I dlatego nikt cię nie lubi.

- I co jeszcze? Kto, na przykład, mnie nie lubi?

- Fintan O'Shaughnessy.

- I bardzo dobrze. Nie chciałabym, aby mnie lubił. To nadęty głupek.

- I Sara. Uważa cię za zarozumiałą kretynkę.

Jasne, Sara była nudną dziewczyną Fintana O'Shaughnessy'ego.

- Jeszcze lepiej. Jej sympatia to gorsze od śmierci. Ona też nie rozumie, co się do niej mówi.

Fintan zerwał się z fotela i pomachał mi palcem przed nosem.

- Widzisz? Widzisz? Właśnie to miałem na myśli. Sara nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

Westchnęłam.

- Pewnie, że by nie powiedziała, bo ona w ogóle nie myśli. Ma iloraz inteligencji pustego ula. Bez miodu.

- Nie znosisz ludzi, którzy są głupszy od ciebie, prawda?

- Nie, nie znoszę ludzi, którzy nie spróbują zrobić czegoś ze swoim życiem. Spójrz na siebie. Gdybyś chciał, gdybyś się tylko zmusił do odrobiny wysiłku, mógłbyś coś ze sobą zrobić. Jesteś co najmniej tak inteligentny jak ja.

- Nie mogliśmy wszyscy iść na studia, prawda? Nie mogliśmy wszyscy prosić ojca o pieniądze. Niektórzy z nas musieli pójść do pracy.

Teraz naprawdę się wściekałam.

- Posłuchaj, gnojku! - Prawie krzyczałam. - Tak, poszłam na studia i ojciec za nie zapłacił. Ale codziennie rano czyściłam rzygowiny z podłogi w pubie i w każdy weekend obsługiwałam tych samych facetów, co narzygali na podłogę. Oddałam ojcu każdego pensa. Doszłam do czegoś własną ciężką pracą. A ty... - Przerwałam, aby się trochę uspokoić. - Ty tylko bierzesz i bierzesz, a kiedy skończysz brać, narzekasz. Miałeś dokładnie takie same szanse jak ja, tylko ci się nie chciało. Bo się bałeś! I wciąż się boisz!

Potrząsnął głową.

- Niczego się nie boję.

- Boisz się, że nie będziesz taki dobry, jak ja. Jeśli nigdy nie spróbujesz, nigdy nie odniesiesz porażki i dzięki temu masz pretekst, żeby cały boży dzień siedzieć na tyłku i jęczeć, że niczego nie masz.

- Odpieprz się. Ja też pracuję. Roześmiałam się.

- Jasne. Pracujesz, ale odpowiedz mi na parę pytań: gdzie się w tym domu trzyma żelazko? Albo odkurzacz? W jakiej temperaturze pierze się białe rzeczy? Ile kosztuje duży bochenek chleba?

- O czym ty mówisz?

- Ach, wiem! Jaka ja jestem głupia! To są kobiece zajęcia, prawda? Dobrze, zapytam cię o coś na temat męskich prac: kiedy zmieniasz wtyczkę, z której strony jest niebieski kabel?

- Umiem zmienić pieprzoną wtyczkę!

- Może i umiesz, ale kiedy ostatni raz to robiłeś? Milczał. Przypuszczalnie usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zmieniał wtyczkę, co nie było łatwe, bo miał tylko dwadzieścia palców u nóg i rąk.

- Fintan - zaczęłam bardzo spokojnie - kiedy byłam na studiach, codziennie rano pracowałam zarobkowo przez cztery godziny. Miałam pięć godzin zajęć. Przynajmniej dwie godziny uczyłam się dodatkowo. - Nie musiałam mówić, że głównie uczyłam się w autobusach, bo i tak nie miałam nic lepszego do roboty.

- A kiedy wracałam do domu, musiałam pomagać w praniu, prasowaniu, szykowaniu obiadu, odkurzaniu, koszeniu trawy, zakupach. .. Co ty kiedykolwiek zrobiłeś? Wstał z fotela.

- Odpieprz się ode mnie, Susan. Nie muszę tego słuchać. Ruszył do drzwi, żeby albo pójść na górę i trzasnąć drzwiami od swojego pokoju, albo wyjść z domu i trzasnąć drzwiami wyjściowymi. Trzaskaniem drzwiami można nadrobić lenistwo całego życia.

- Chwileczkę - powiedziałam, przytrzymując go za ramię i pokazałam na fotel, gdzie talerz z okruchami wciąż stał na poręczy. - Zabierz talerz do kuchni i umyj go. Od tego się nie umiera. A służby nie mamy.

- Odpieprz się - powtórzył oryginalnie i wyszedł.

Po chwili bardzo głośno trzasnęły drzwi wejściowe. Niczego innego się nie spodziewałam. Miał za sobą lata praktyki. Westchnęłam, wzięłam talerz i zaniósłam go do kuchni. Rodzice siedzieli przy kuchennym stole.

- No i co słysząc u Fintana? - spytał ojciec.

Rozdział 39

W niedzielę po południu pojechałam autobusem do Dun Laoghaire, żeby zobaczyć się z Samem. Kończył pracę o czwartej, a ja przyjechałam za dziesięć czwarta.

Obsługiwał klienta, jednak kiedy weszłam, spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

- Zaraz będę wolny.

Stałam drętwo przy drzwiach, wciąż nie bardzo wiedząc, co mu powiedzieć. Z jednej strony chciałam poinformować go, że między nami wszystko skończone i że już nigdy nie chcę go widzieć. Jednak przez weekend to postanowienie znacznie osłabło i teraz w zasadzie wolałabym zapomnieć o tym „niefortunnym incydencie” i nie myśleć o starych urazach.

Mój Boże, ależ on jest przystojny - pomyślałam. Uderzało mnie to, za każdym razem, kiedy go widziałam. Zupełnie jakby mój mózg w ogóle nie zapisywał tego w pamięci. W pewnym sensie Sam przypominał mi Eda Harrisa w Rycerzach na motorach, tylko miał więcej włosów i mniej mięśni.

Nie przepadam za umiejętnymi facetami. Arnold Schwarzenegger na mnie nie działał - dopóki nie zobaczyłam go w Bliźniakach, kiedy miał na sobie zwykłą koszulę i marynarkę - i nadal wolę Bruce'a Willisa z Fuchy, dowcipnego i uwodzicielskiego, zanim nie stał się człowiekiem akcji.

Sam, niestety, nie przypominał z wyglądu Billy'ego Zane'a, złego faceta z Titanica. Raczej już Leonarda Di Caprio, co nie jest takie złe, ale nadal wolałabym Billy'ego Zane'a. Z kolei ja nie jestem Kate Winslet, zatem jakieś proporcje zostały zachowane.

Sam podszedł i objął mnie.

- O czym myślisz?

- A jak myślisz? O filmach

Właśnie przyszedł jego szef i Sam obściskiwał mnie poza godzinami pracy.

- Głodna jesteś? Cały dzień nic nie jadłem. Poszliśmy do śródmieścia.

- Gdzie tu można zjeść coś dobrego? - spytałam.

- Jest Burger King, McDonald, Bits i Pizzas, De Selby... Albo Miami, możemy tam zjeść rybę z frytkami przy stoliku.

- Pod warunkiem, że nas pytają, czy chcemy sól i ocet.

- Sól i ocet stoją na stołach, mimo ryzyka, że narkomani będą sterylizować igły. Zakładam, że kolejność nie ma znaczenia.

Po drodze opowiadałam mu o różnych fantastycznych barach z rybą i frytkami, chociaż wcale nie o tym chciałam mówić. Mówienie o tym, co mnie gryzie, było znacznie trudniejsze.

Sam nie zauważył, że to nie jest moja typowa gadanina, lecz coś, co miało odwrócić moją uwagę od czegoś poważnego.

- Najpierw posypujesz solą, czy polewasz octem? - zapytał.

- Nie wiem. Nie jestem pewna, jak jest lepiej. To tak, jak z cukrem i mlekiem na płatkach.

- Najpierw cukier - stwierdził Sam. - Na pewno. Jeśli ktoś uważa inaczej, jest zboczeńcem. Nalewanie najpierw mleka jest gwałtem na naturze.

- Dobrze - zgodziłam się. - A ubieranie? Najpierw wkładasz dzinsy czy skarpetki?

- To łatwe. Rzucam monetę i jeśli wypadnie orzeł, wkładam lewą nogę w dzinsy, potem nakładam prawą skarpetkę, potem prawą nogę w dzinsy i lewą skarpetkę. Jeśli wypadnie reszka, robię odwrotnie. Oczywiście, jeżeli moneta stanie na sztorc, idę z powrotem do łóżka, bo wiem, że to będzie jeden z tych dni.

- A jeśli moneta w ogóle nie spadnie na dół?

- To jestem zły, ponieważ nie znoszę wyrzucania pieniędzy.

Wkrótce zasiedliśmy w małej knajpce. Zamówiłam fileta ze

świeżego dorsza i frytki. Sam zamówił hamburgera z kurczaka i frytki. Niewiele mówiliśmy, czekając na jedzenie, a potem spytałam Sama, co o mnie myśli.

- Jak to, co ja o tobie myślę?

- Naprawdę. Co o mnie myślisz? Zacznijmy od tego, czy jestem dobrym człowiekiem.

- Tak. Na pewno.

- I można mi ufać?

- Tak. O ile wiem. To znaczy nigdy nie dałaś mi powodu, aby w to wątpić.

- Zależy ci na mnie?

Odłożył widelec i wbił we mnie wzrok.

- Tak. Kocham cię.

- Aha. - Przez chwilę bawiłam się frytkami. - Wiesz, Sam, coś mnie gnębi i chciałabym o tym pomówić.

Nie podniosłam głowy, ale wyczułam, że mi się przygląda.

- Słucham?

- Nie wiem, jak to powiedzieć, jednak jeśli ma się między nami układać, byłoby lepiej, gdybyśmy byli szczerzy na temat naszych uczuć, prawda?

- Prawda. Widzę do czego zmierzasz. - Usiadł wygodniej i przez moment się zastanawiał. - Dobrze, ja też będę szczerzy. W czwartek wieczorem, kiedy nie zastałem cię w domu, byłem naprawdę wściekły. A rozzłościłem się jeszcze bardziej, gdy powiedziałaś, że zapomniałaś o naszym spotkaniu, bo pracowałaś.

Tego się nie spodziewałam.

- Muszę przyznać, że flirtowałem z Barbarą. Specjalnie, na złość tobie. Bardzo cię za to przepraszam. To było dziecinne z mojej strony, ale nic nie mogłem poradzić.

W porządku, Susan, powiedziałam sobie. Masz swoją odpowiedź. Nie tę, której oczekiwałaś, niemniej jednak jest to pewne wyjaśnienie...

- Czyli nie powinnam brać twoich słów zbyt serio, co? Potrząsnął głową.

- Nie. W każdym razie żadnych przykrych słów. Pamiętam, że kiedy wróciliśmy do mieszkania, mówiłem miłe rzeczy.

Przeprowadziłam ze sobą szybką dyskusję, czy powinnam wspomnieć o jego komentarzu, który sprawił mi taką przykrość. W końcu frakcja „za” zwyciężyła.

- Pamiętasz, jak wychodziliśmy z pubu, powiedziałaś, że Jen - nifer to niezły kawałek babeczki

- Tylko żartowałem.

- I żartowałaś też, gdy na moje pytanie, czy wolisz niskie, chude dziewczyny, odpowiedziałaś, że wolisz wielkie i tłuste?

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zbladł. Oprócz Michaela Jacksona.

- Cholera! Naprawdę tak powiedziałem? To nic nie znaczyło. Widziałam, że nie kłamie. Skinęłam głową.

- Było mi bardzo przykro. Wiem, że jestem trochę za gruba i za wysoka, ale po tobie się czegoś takiego nie spodziewałam. Zwłaszcza w tej formie.

Sam wziął mnie za rękę.

- Przysięgam, Susan, nie chciałem zrobić ci przykrości. I obiecuję, że już nigdy, przenigdy, niczego takiego nie powiem. Nie uważam, że jesteś duża czy gruba. Jesteś idealna. Kocham cię.

Chciałam powiedzieć mniej więcej coś w tym rodzaju: „Uważaj, żebyś nie powiedział nigdy, czegoś takiego, bo mam dość zmartwień bez twoich obraźliwych słów. Jeżeli to się powtórzy, możesz o mnie zapomnieć. Nie jestem jedną z tych kobiet, które latami pozwalają się obrażać. Nie będę dla nikogo sługą i podnóżkiem”.

Ale w końcu powiedziałam tylko:

- Ja też cię kocham.

Rozdział 40

Wreszcie nadszedł poniedziałek. Vicky wracała do domu. Ubrałam się elegancko, w nadziei, że mój widok zrekompensuje jej chaos z poprzedniego tygodnia.

Pokazywałam Jennifer, jak się wkłada papier do faksu, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała.

- Dzień dobry, Kompleksowe Rozwiązania Biurowe, mówi Jennifer. W czym mogę pomóc?

Cisza.

- Jennifer Thompson. Znów przerwa.

- Od czwartku. Kto mówi?

W chwilę później skuliła się i oddała mi słuchawkę.

- Jakaś Victoria O'Toole - szepnęła. - Chce z tobą rozmawiać.

Chyba jest wściekła.

Nacisnęłam guzik, który blokował głos rozmówcy.

- To szefowa. Ona zawsze jest wściekła.

Poszłam do gabinetu, który miał być moim gabinetem jeszcze przez parę godzin i wzięłam słuchawkę.

- Cześć, Victorio! To ja.

- Susan? Kto odebrał telefon?

- Zatrudniłam recepcjonistkę. Nie martw się, niewiele jej płacimy.

- Po co to zrobiłaś?

- Ciebie nie było, a tutaj tyle się działo, że Barbara nie mogła siedzieć i przez cały dzień odbierać telefonów. Wierz mi, to było najlepsze rozwiązanie. Tyle się tutaj działo - powtórzyłam, na wypadek, gdyby nie usłyszała za pierwszym razem.

- No dobrze - powiedziała, wzdychając głęboko, żeby wiedziała, że nie jest zadowolona i że będę musiała się bardzo starać, aby ją przekonać. - Co się stało?

Nabrałam powietrza.

- Krótko mówiąc, Bernard Parker zwariował i bez powodu wyrzucił Neila Forsythe'a. Była wielka awantura i w rezultacie straciliśmy Parker Technology. Ale nie z mojej winy. Usiłowałam na wszelkie sposoby namówić go, by zmienił zdanie. A potem przez Parkera prawie zapomniałam o pensjach i z trudem wszystko załatwiłam. Ponieważ straciliśmy klienta, doszłam do wniosku, że musimy poszukać nowych. Dyskutowałam z Neilem, którego

zatrudniłam czasowo w naszej firmie, i zasugerował, że powinniśmy zorganizować akcję reklamową. Przez cały czwartek i piątek przygotowaliśmy materiał. Dziś jest gotowy. Musisz go tylko zaaprobować.

Vicky bardzo długo milczała. Pomyślałam, że chyba umarła.

- Wielki Boże - powiedziała w końcu. - I co jeszcze?

- Danny chce odejść, a Barbara nie chce już dłużej odbierać telefonów, więc oddałam jej swoje biurko, Kevinowi dałam podwyżkę i wszyscy dostali dziś wolny dzień, ponieważ w zeszłym tygodniu bardzo dużo pracowali. - Usiłowałam sobie przypomnieć, co jeszcze się wydarzyło. - A, tak, facetowi z dołu zepsuł się faks i pozwoliłam mu skorzystać z naszego. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Po jeszcze dłuższej przerwie - pomyślałam, że albo wszystko zapisuje, albo płacze i nie może mówić - wreszcie się odezwała:

- Dobrze. Jesteśmy teraz na lotnisku. Wpadnę do biura w drodze do domu.

Wiedziała, że do przyjazdu Vicky mam mniej więcej godzinę, kazałam więc Jennifer pójść do domu i się przebrać. Mówiłam jej, że nie powinna przychodzić do pracy w dzinsach, ale być może, kiedy tłumaczyłam jej zasady ubioru, pomyliło jej się „obowiązkowe” z „dowolnym”. Później zaczęłam sprzątać jak szalona, przejeżdżając odkurzaczem po dywanach i układając pisma w recepcji.

Jennifer wróciła w bardziej odpowiednim stroju. Kazałam jej umyć wszystkie naczynia w naszej małej kuchni, uporządkować książki na półkach i wytrzeć kurze ze wszystkich poziomych powierzchni oprócz sufitu.

Byłam prawie pewna, że Vicky nie wzięła ze sobą kluczy od biura i będzie musiała zadzwonić z dołu, dzięki czemu nie zjawi się znieścacka. Miałam rację. Po godzinie zadzwonił dzwonek domofonu. Na szczęście Jennifer nie zrobiła niczego głupiego, na przykład nie powiedziała Vicky, że biuro jest na drugim piętrze, pierwsze drzwi po prawej.

Stałam w recepcji, ćwicząc wyraz twarzy, który mówił: „O mój Boże! Fantastycznie wyglądasz!”

Vicky weszła.

- Och, mój Boże! Fantastycznie wyglądasz, Victorio! - zawołałam, na wszelki wypadek, gdyby wyraz twarzy nie był tak łatwy do odczytania, jak się spodziewałam.

Naprawdę wyglądała wspaniale. Opalona, z rozjaśnionymi włosami, może od słońca na Florydzie, i elegancko ubrana. Uśmiechała się od ucha do ucha, co napawało mnie nadzieją, że nie obedrze mnie ze skóry.

- Gdzie jest Nick? - spytałam. Nick to jej były narzeczony, a teraz mąż.

- Pojechał do domu. Nie mógł spać w samolocie i chciał się na parę godzin położyć. Ale ty! - Zrobiła krok naprzód i przez jedną straszną chwilę myślałam, że chce mnie uściskać. Zatrzymała się tuż przede mną i obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem. - Jesteś tak ubrana, jakbyś pracowała w poważnej firmie.

Roześmiałam się.

- Chodźmy - powiedziałam, kierując ją do gabinetu. - Twoje krzesło było przez parę tygodni zajęte.

Gdy tylko weszliśmy do gabinetu, wróciły dawne czasy. Usiadła na swoim krześle, zaczekała, aż usiądę na krześle dla interesantów i pochyliła się do przodu.

- Co, do jasnej cholery, zrobiłaś z moją firmą? - Teraz, kiedy byliśmy same, nie musiała się już wysilać.

- Naprawdę jest mi strasznie przykro. Bernard Parker nagle zwariował. Straszyl nas najrozmaitszymi konsekwencjami i dosłownie mnie wykończył. Wbił sobie do głowy, że Neil Forsythe się nie nadaje, co nie było prawdą, bo mogli dzięki niemu zarobić masę forsy, i przyszedł, domagając się, żeby go zwolnić i znaleźć mu kogoś innego.

- Co mu powiedziałaś?

- Że jeśli powie, o co chodzi, może będę mogła mu pomóc.

Odmówił. - Zawahałam się. - Prawdę mówiąc, teraz wiem, że chciał mi po prostu maksymalnie utrudnić życie.

Vicky spojrzała na mnie tak, jak patrzymy na ludzi, którzy twierdzą, że przedstawiciele władz zakładają nam podsłuch w telefonach.

- Tak bez powodu?

- Nie. I wiem, z jakiego powodu. - Dalej, powiedz jej, nalegał głos w mojej głowie. Najwyżej cię zwolni. - Chciał się odegrać na tobie.

- Ach tak. - Przyglądała mi się przez chwilę, a potem otworzyła szufladę biurka. - Dziwne - mruknęła do siebie. - Wydawało mi się, że miałam tu papierosy.

- Przepraszam. Wypaliłam je.

- Było aż tak źle?

- Jeszcze gorzej. Parę razy już chciałam zrezygnować z pracy. - Pokazałam jej folder na biurku. - Tutaj jest moje sprawozdanie. Zrobię kawę - powiedziałam, wstając.

Wróciłam z kawą parę minut później. Vicky zdjęła zakiet i uważnie studiowała sprawozdanie. Wyglądało na to, że nie wpadła z przelotną wizytą.

Wyciągnęłam papierosy z torebki i poczęstowałam ją. Wzięła i dała sobie przypalić, nie zwracając na mnie większej uwagi, pomyślałam więc, że ja też zapalę.

Przeczytanie wszystkiego, co napisałam w sobotę i w niedzielę wieczorem, zabrało jej prawie pół godziny. Kiedy skończyła, kawa całkiem wystygła, zadzwoniłam więc do Jennifer i poprosiłam, by zrobiła świeżą. W duchu modliłam się, żeby Jennifer wiedziała trochę więcej o robieniu kawy niż wiedziała o faksie.

- To, że zapomniałaś o pieniądzach na pensje, było fatalne - stwierdziła Vicky. - Najgorsza rzecz, jaka mogła ci się przydarzyć, ale właściwie jedyna, jaką źle zrobiłaś. Choć w końcu z tego wybrnęłaś. Drugim poważnym błędem była podwyżka dla Kevina.

Poczułam ulgę, że nie ma pretensji o Parker Technology, podejrzewałam jednak, że to nie jest koniec tej sprawy.

- Powiedziałam mu, że najpierw muszę to z tobą omówić.

- Widzę - odparła, stukając palcami w moje sprawozdanie. - I wypisałaś tu wszystkie argumenty... Naprawdę uważasz, że jego praca się liczy?

- Wiem, że ma problemy z wykańczaniem spraw, ale nasza firma ma kreować nowe pomysły, a w tym jest dobry. Sama to mniej więcej zapisałaś w jego aktach.

- Mam nadzieję, że mu ich nie pokazałaś.

- Jasne, że nie. Powiedziałam mu tylko to, o czym sądziłam, że sama byś mu powiedziała. I powierzyłam mu pewne zadanie -

dodałam. - Wiedział, że Danny chce odejść i kazałam mu wymyślić propozycje, które zachęciłyby go do zostania.

, - A właściwie dlaczego Danny chce się zwolnić? - spytała Vicky. - Przez ciebie?

Byłam trochę zażenowana, że wie, co Danny do mnie czuje, zwłaszcza że parę tygodni temu sama nie miałam o niczym pojęcia.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie. W czwartek wieczorem poszliśmy wszyscy do pubu i miałam okazję z nim porozmawiać, ale nie udało mi się nic z niego wyciągnąć. Na początku prawie w ogóle się nie odzywał, może dlatego, że Sam był z nami.

Zmarszczyła brwi i zaczęła przerzucać kartki mojego sprawozdania.

- Sam? Kto to jest?

- Mój facet. Miał do mnie przyjść, ale siedzieliśmy dłużej w biurze i zupełnie zapomniałam. Zadzwoił tu i potem razem wyszliśmy.

- Miły wieczór?

- Raczej tak. Uśmiechnęła się powoli.

- To znaczy, że udało ci się coś, czego ja nie potrafiłam... Nie jest łatwo przyjaźnić się z ludźmi, będąc jednocześnie ich szefową.

Jennifer zastukała do drzwi i wniosła kawę i ciasteczka. Byłam z niej bardzo dumna. Wprawdzie nie spróbowałam jeszcze kawy, ale był to postęp.

Kiedy Jennifer wyszła, Vicky spytała o nią.

- Bywa bardzo naiwna, ale nie jest głupia. Wydaje mi się, że da sobie radę.

- Ile jej płacimy? Powiedziałam.

Zrobiło to na niej wrażenie.

- I to wszystko za pięciodniowy tydzień pracy?

- Tak, od dziewiątej do piątej. Chociaż jeśli się sprawdzi, powinniśmy po para miesiącach dać jej podwyżkę. Inaczej poszuka nowej pracy. Łatwiej coś znajdzie, bo będzie już miała doświadczenie.

Vicky zgodziła się. Przez parę minut rozmawiałyśmy o innych sprawach. Opowiedziała mi o ślubie i podróży poślubnej, o tym, jak wszystko świetnie wypadło. Spytałam, gdzie w tym czasie był Stefan, jej syn.

Spojrzała na mnie, jak na wariatkę.

- W domu. Gdzie miałyby być? W końcu ma już prawie osiemnaście lat. Nie potrzebuje niańki. - Uśmiechnęła się. - Miłość jest chyba zaraźliwa, ponieważ gdy dzwoniłam do niego wczoraj wieczorem, powiedział, że poznał fajną dziewczynę. Czyż to nie słodkie? Jego pierwsza dziewczyna.

Zgodziłam się z nią, że to słodkie, i nawet nie wspomniałam o tym, że Barbara uwiodła go podczas jednego z biurowych przyjęć.

Postanowiłam wrócić do Bernarda Parkera.

- Nie mam pojęcia, co ci powie - zaczęłam - lepiej więc przedstawię ci pełną wersję. - Opowiedziałam ze szczegółami o moich kolejnych spotkaniach z Parkerem i podkreśliłam, że to ja zdecydowałam, iż nie będziemy już pracować dla jego firmy.

Vicky wcale się tym nie przejęła.

- Bardzo dobrze zrobiłaś. Żałuję tylko, że mnie przy tym nie było. Znakomicie przyłożyłaś temu idiocie.

Kiedy to mówiła, uważnie się jej przyglądałam. Miała smutny wyraz twarzy.

- On cię zranił, prawda? Kiwnęła głową.

- To było dawno, ale wciąż dzwonił i chciał, abym do niego wróciła. Obiecował, że zostawi swoją żonę i będziemy razem. Kiedy się dowiedział, że wychodzę za Nicka, dostał szału. Nie wiem... Powinien się cieszyć, że nie musi już płacić alimentów.

Omiał nie spadłam z krzesła.

- Byłaś jego żoną? Spojrzała na mnie zdumiona.

- Tak. Dawno temu. Nie wiedziałaś?

- Nie. Skądże. Myślałam, że miałaś z nim romans czy coś w tym rodzaju.

Vicky uśmieła się serdecznie, choć gdy skończyła, była bliska łez.

- Nie mogę uwierzyć, że o tym nie wiedziałaś, Susan. Widziałaś mojego syna. Nie mów, że nie jest podobny. Bernard Parker jest ojcem Stefana.

Rozdział 41

Wkrótce potem Vicky wyszła. Powiedziała, że prawdopodobnie przyjdzie dopiero w środę albo w czwartek.

- Możesz dzwonić do mnie do domu, gdyby były jakieś problemy - powiedziała, idąc do windy. - Myślę jednak, że dasz sobie radę.

- Czy mogę dać sobie podwyżkę? Uniosła brwi.

- Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu. Może.

- Nadal cię zastępuję? Nadal jestem szefową?

- Możesz się nazwać kierowniczką, Wielkim Wizjonerem albo admirałem Perry. Tak, nadal tu rządzisz. Niech ci nie wchodzą na głowę.

Drzwi od windy się zamknęły i Vicky odjechała. Jennifer wyszła na korytarz.

- Czy mogę teraz iść do domu i przebrać się w dzinsy?

- Przykro mi, ale nie. Mówiłam ci o obowiązującym stroju. - Skierowałam ją z powrotem do biura. - Kiedy przychodzi klient, jesteś pierwszą osobą, z którą ma do czynienia. Musisz dobrze wyglądać.

Westchnęła.

- Nie cierpię chodzić w spódnicy.

- Wiem, już mi to mówiłaś. Lepiej się jednak przyzwyczaj. W każdej pracy będziesz musiała nosić spódnicę.

- Tylko jako recepcjonistka. A ja nie zamierzam całe życie być recepcjonistką.

- A co zamierzasz?

Odpowiedziała dokładnie tak, jak się spodziewałam.

- Nie wiem. Musiałam się uśmiechnąć.

- Na razie jesteś recepcjonistką i musisz nosić to, co ci mówię.

- Postanowiłam okazać trochę litości. - Jeżeli wytrwasz trzy miesiące bez żadnych afer, postaram się, żebyś dostała podwyżkę.

Jennifer zastanowiła się przez chwilę.

- Zgoda.

Przez resztę dnia nie miałam właściwie nic do roboty. Neil Forsythe przyszedł tuż przed przerwana lunch i jeszcze raz przejrzelśmy zestaw reklamowy. Ponownie stwierdził, że spisaliśmy się doskonale i zaprosił mnie na lunch, aby to uczcić.

Odmówiłam, uważając, że nie powinniśmy celebrować bez pozostałych pracowników, którzy przyłożyli się tak samo jak ja. Poza tym powiedziałam, że niesprawiedliwe byłoby zostawić Jennifer samą. Neil oświadczył, że rozumie i zgłosi się innym razem. Potem dodał, że może to i lepiej, ponieważ o trzeciej miał umówione spotkanie z potencjalnymi klientami i powinien się przygotować.

Jednakże widziałam, że chętnie by ze mną wyszedł i miałam wrażenie, że jest chyba mną zainteresowany. Niestety, bez wzajemności. Owszem, lubiłam go, ale miał dobrze po czterdziestce. Nie interesowali mnie starsi mężczyźni.

To samo twierdziła kiedyś Sharon, a teraz spotykała się z Markiem...

Skoro nie miałam co robić, byłam sama i w dodatku byłam szefową, postanowiłam spędzić resztę dnia na rozmowach telefonicznych ze znajomymi.

Jennifer, która też nie miała zajęcia, zaczęła mówić natychmiast po wyjściu Neila. Z ulgą powitałam chwilę spokoju, gdy wyszła coś zjeść, ale niedługo wróciła i znów zaczęła trajkotać.

- O czym to ja mówiłam? Ach, tak. W piątek wieczorem mieliśmy zamiar pójść do Blake'a - powiedziała, zdejmując żakiet. - I nie poszliśmy. Nigdy nie zgadniesz dlaczego, więc ci powiem - mówiła dalej, nie dając mi szansy. - Dave, chłopak Sandry, o której ci w piątek opowiadałam, stwierdził, że... Nie, to nie był piątek, teraz pamiętam, bo Sandra zadzwoniła tuż przed tobą, więc to musiał być czwartek, a poza tym ona nigdy nie dzwoni w piątki, ponieważ wtedy wychodzimy. Co to ja...

- Miałaś nastawić czajnik.

- Ach, tak. W każdym razie Dave powiedział, że w Wexford, niedaleko Greystones, jest fantastyczny lokal, gdzie...

- Czy to przypadkiem nie jest Wicklow? Jennifer zatrzymała się w drodze do kuchenki.

- Tak, Wicklow, tak powiedziałam. Poszliśmy tam i nie chcieli nas wpuścić, bo Sandra nie wygląda na dwadzieścia trzy lata.

- Sama mówiłaś, że nie ma jeszcze dwudziestu trzech lat.

- No tak, ale mogliby ją wpuścić. Strasznie długo się szykowała. Roześmiałam się.

- Może następnym razem powinna przynieść zaświadczenie od matki, że się bardzo długo i starannie malowała, aby wyglądać na więcej lat, niż ma.

Przekonałam się, że jeśli Jennifer miała do opowiedzenia jakąś bulwersującą, jej zdaniem, historię, nie dało się jej powstrzymać. Poszła do kuchni i stamtąd dokończyła opowieść.

- Poszliśmy do tego drugiego klubu po drugiej stronie ulicy. Oczywiście nie mogliśmy od razu wejść, bo cięć widział, że nie chcieli nas wpuścić do Wicklow, więc pojeździliśmy trochę po okolicy i wróciliśmy. Zamieniłam się z Sandrą na spódnice, żeby nas nie poznali.

- Udało się?

Wróciła z kuchni z uśmiechem na ustach.

- Aha. To był genialny pomysł. W samochodzie trudno się przebrać, ale warto było się pomęczyć.

- To był genialny pomysł Dave'a, prawda? Usiadła za biurkiem w recepcji.

- Wiem, co myślisz! Ale kazałyśmy mu patrzeć wprost przed siebie. Nic nie widział.

- Chyba że patrzył w lusterko.

- Co za świnią! - wykrzyknęła z oburzeniem Jennifer i sięgnęła po słuchawkę. - Zaraz zadzwonię do Sandry i jej powiem.

Pokręciłam głową.

- Szkoda zachodu. Nie warto się przejmować. Niech to będzie dla ciebie nauczka na przyszłość. Kiedy będziesz w moim wieku, takie sztuczki facetów nie będą już dla ciebie tajemnicą.

Czekając na wodę, nie przestawała mówić. Oczywiście nie była to rozmowa, bo rozmowa zakłada udział przynajmniej dwóch osób. Stałam w drzwiach kuchni, słuchając nieustannego potoku słów - słownej biegunki, jakby powiedział Anthony - i zastanawiałam się, czy ja kiedyś też taka byłam. Może czasem za dużo mówię, ale przynajmniej co parę minut przerywam dla nabrania tchu.

Uciekłam, jak tylko woda się zagotowała, tłumacząc się pracą. Gdy usłyszała słowo na p, natychmiast się zamknęła, jakby w obawie, że i dla niej coś znajdę. Wróciła do recepcji, a ja poszłam do gabinetu, który na razie dzieliłam z Vicky.

Jedyną rzeczą, jaką miałam do zrobienia, a właściwie jedyną na jaką miałam ochotę, była odpowiedź na ostatni list J. Przyniosłam go

ze sobą i ponownie przeczytałam. Nie mogłam uwierzyć, że dostałam go zaledwie cztery dni temu. Tyle się przez ten czas zdarzyło.

Zaczynałam parę razy i w końcu udało mi się stworzyć coś odpowiedniego.

Drogi J.!

Był to najbardziej żalony bukiet kwiatów, jaki w życiu widziałam. Też coś! Jeśli chcesz mnie otruć, powinieneś był przysłać coś bardziej odpowiedniego. Nawet nie wiedziałam, że to kwiaty od Ciebie, dopóki nie przeczytałam listu. Kwiaty wylądowały w koszu, prawie ich nie dotykałam.

Zmuszona jestem zastanawiać się, co taki facet jak Ty robił przed operacją. Czy może ściągałeś mandaty za złe parkowanie, byłeś dyrektorem szkoły, czy robiłeś coś równie obrzydliwego? Pytam, bo jesteś z pewnością jeszcze gorszy, niż wynika to z Twoich listów. Wydaje mi się, że moja niechęć do Ciebie to kwestia genów. Może Twoi przodkowie należeli do jakiejś dawno zaginionej rasy podludzi, którzy byli naturalnymi wrogami moich przodków? Może nigdy się tego nie dowiem? Nic mnie to zresztą nie obchodzi.

Nie powinnam być taka złośliwa. Obiecuję, że jeśli Cię kiedyś spotkam, ulituję się nad Tobą i pozwolę Ci za funta popilnować mój samochód.

Bez pozdrowień Susan

Rozdział 42

Byłam bardzo zadowolona z listu do J. i chciałam, żeby go jak najszybciej dostał, więc zdefraudowałam trochę biurowych pieniędzy, dzwoniąc po gońca, żeby zawiózł list do gazety. Kiedy człowiek jest szefem, może sobie pozwolić na takie rzeczy...

Oczywiście przyszło mi do głowy, że nadużywam władzy. Usprawiedliwiłam samą siebie tym, że skoro mam dużo więcej pracy, za którą nikt mi nie płaci, mogę to sobie zrekompensować dodatkowymi przywilejami.

Te dodatkowe korzyści to dziwna rzecz: jedne są zupełnie oczywiste, jak prywatne telefony na koszt firmy czy korzystanie z komputera, laserowej drukarki i fotokopiarki do celów nie całkiem związanych z pracą jak na przykład przygotowanie nowego CV. Albo stara sztuczka, która polega na zainstalowaniu w biurze swojej ładowarki do baterii. Są korzyści poważniejsze, takie jak: regularne wynoszenie do domu papieru toaletowego, zostawanie dłużej w pracy, żeby podprowadzić herbatę ekspresową, długopisy, koperty, taśmy klejące czy korektor. Nie jest to uważane za kradzież. Można też, kupując benzynę do służbowego samochodu, dopisać do rachunku dwie paczki papierosów i batonik Mars. Lub zamówić zapas żarówek do biura, przyjść tego dnia wcześniej i wymienić wszystkie swoje stare z domu na nowe.

Można wykazać nadzwyczajną chytryść i specjalnie uszkodzić krzesło do komputera, żeby trzeba było kupić nowe, a przy okazji zaoferować, że się weźmie to stare, aby zaoszczędzić kłopotu z wyrzucaniem. To dobry pomysł, a jeśli ma się smykałkę do techniki, można to samo zrobić z komputerem.

Mogę to sobie wyobrazić: mało elegancka wystawa sklepu z napisem: „Prawdziwy używany sprzęt biurowy i papier toaletowy Uczciwej Susan”.

Podbieranie rzeczy w biurze to jedna sprawa, ale co by było, gdyby robiono to także gdzie indziej? Na przykład wchodzimy do mieszkania dozorca ogrodu zoologicznego i widzimy w łazience parę pingwinów. „Nikomiu nie były potrzebne...” Albo nasz znajomy kierowca ma w domu siedzenia autobusowe zamiast krzeseł, a w garażu trzyma autobus. A kuzyn, który jest reżyserem filmowym, w szafie pod schodami ma osiemnastu stażystów...

Jedną z największych zalet mojej pracy - choć nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, a ja nie zamierzałam tego rozpowiadać - było to, że na ogół znacznie wcześniej od innych wiedzieliśmy o nowych korzystnych posadach. Dlatego, że to my wprowadzaliśmy je na rynek. Gdybym zauważyła jakąś naprawdę superpracę i chciałabym ją dostać, mogłabym bez trudu wyrzucić do kosza wszystkie podania i się zgłosić.

Albo mogłabym się dowiedzieć, kto z chętnych ma najwięcej pieniędzy, a potem zadzwonić i spytać, ile ta praca jest dla niego warta. Gdybym znalazła dwie lub trzy zainteresowane osoby, nieźle bym zarobiła.

Doszłam do wniosku, że podoba mi się rola szefowej. Oczywiście nie byłam najszcześniejsza, gdy zdarzała się jakaś trudna sytuacja, ale w czasach spokoju czułam się fantastycznie. Pozostali przez cały czas musieli udawać, że pracują, a mnie to nie dotyczyło.

Zadzwoniłam do Sharon i ucięłam sobie z nią godzinną pogawędkę. Opowiedziała mi o Marku - znowu - a ja twierdziłam, że „Sam jest cudowny”. Omówiłyśmy możliwość spotkania we czwórkę pewnego wieczoru i obu nam się ten pomysł podobał. W końcu ona nie знаła Sama, a ja koniecznie chciałam spotkać się z Markiem. Był dobrym kumplem i gdyby nie wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do wypożyczalni wideo w Dun Laoghaire, mogłabym już więcej nie spotkać się z Samem.

Z Samem byłam szczęśliwa, choć wciąż nie do końca pewna, czy znowu nie powie mi czegoś przykrego. Ale taka już jestem: staram się być kobietą silną i światową, kiedy jednak chodzi o sprawy sercowe, staję się tak samo bezradna, jak wszyscy.

Piętnaście po trzeciej Sharon przypomniała sobie nagle, że wciąż jeszcze jest w pracy i w zasadzie nie wolno jej cały czas wisieć na telefonie.

Kiedy skończyłyśmy rozmawiać, spojrzałam na notes i zobaczyłam, że wykonałam całkiem poważne gryzmoły. Przeważnie rysowałam oczy i po kilkadziesiąt razy wypisywałam swoje imię, jednak tym razem było gorzej niż zwykle... Słyszałam, że uporczywe pisanie swojego imienia oznacza niepewność - a nie mówiłam, że brak mi pewności siebie? - tak samo, jak przekonanie o własnej nieomyślności. Analizowanie każdego swojego słowa, uczynku i myśli też nie jest pozytywną oznaką.

Przypomniało mi się, jak parę tygodni temu miałam wrażenie, że Sam zbyt chętnie i pospiesznie wyznaje mi miłość. Teraz widzę, że znowu zachowałam się jak paranoiczka. Bez wątpienia Sam jest we mnie zakochany. A ja w nim. Jesteśmy parą. Wszystko robimy razem, no, może nie wszystko, bo aż tak często się nie widzujemy, i podobająam się mniej więcej takie same filmy i płyty. Przywiązaliśmy się do siebie.

Tym niemniej Mała Paranoiczka znów się pojawiła. Wskoczyła nie wiadomo skąd i zapytała:

- Jeśli Sam jest tak bardzo do ciebie przywiązany, to dlaczego prawie nigdy nie dzwoni?

Wprawdzie wykpiłam te żalosalne próby niszczenia naszego związku przez Małą Paranoiczkę, ale trochę się zdenerwowałam.

Po paru minutach doszłam jednak do wniosku, że nie ma się czym przejmować. Mała Paranoiczka, jak zwykle, chciała mi dokuczyć.

O piątej Jennifer znikła tak szybko, że aż miałam ochotę zajrzeć pod jej biurko i sprawdzić, czy przypadkiem nie zmieniła się w dynię.

No dobrze, Sam nie zadzwonił. Po co miałby dzwonić? - spytałam samą siebie. Wczoraj się widzieliśmy. Pomyślałam, że ja mogłabym do niego zadzwonić, ale zrezygnowałam. Pewnie jest zajęty.

W głębi duszy doskonale wiedziałam, co mnie gnębi - w domu nie miałam nic do roboty.

Siedzenie i nicnierobienie w biurze to było co innego. Przynajmniej mi za to płacili. Ale siedzenie w domu i przysłowiowe drapanie siew głowę nie sprawiało mi zbytnej przyjemności. Może mogłabym zostać w pracy, a potem zażądać nadgodzin?

Pomyślałam, że życie byłoby fajniejsze, gdybym zamieszkała z Samem. To była tylko taka przelotna myśl, nie robiłam żadnych planów ani nic takiego, ale naprawdę wydawało mi się, to niezłe. Nigdy jeszcze z nikim nie mieszkałam - dopiero co wyprowadziłam się od rodziców - jednak nie miałabym nic przeciwko temu, by spróbować.

Wiedziałam, że Sam pracował wieczorem, a ponieważ i tak nie miałam nic do roboty, postanowiłam wskoczyć do autobusu i złożyć mu wizytę.

Bardzo ucieszył się na mój widok - to, co widziałam u niego w spodniach to nie był pistolet ani rulon z monetami - i w końcu

wylądowaliśmy u niego, co oznaczało, że następnego dnia musiałam wstać o szóstej, wziąć taksówkę i pojechać do domu, przebrać się i zdążyć przed wszystkimi do pracy. Nie tylko po to, żeby podwędzić żarówki. Szybko przekonałam się, że należy przychodzić do biura przed szefową i wychodzić po niej. W ten sposób sprawia się wrażenie, że zawsze jest się w pracy i szefowa prędzej uwierzy, gdy się zadzwoni i powie, że jest się chorym. Teraz, gdy byłam wiceszefową, musiałam robić dobre wrażenie także na moich kolegach.

W każdym razie tej nocy Sam i ja nie spaliśmy ze sobą i na tym polegał cały problem. W ogóle nie spaliśmy. Wiadomo, co chcę przez to powiedzieć.

Przez resztę tygodnia byłam kompletnie wykończona.

Rozdział 43

W piątek wieczorem Sam zjawił się u mnie z małym plecaczkiem, w którym miał zmianę bielizny, czystą koszulę i szczoteczkę do zębów.

- Przypuszczam, że zamierzasz zostać na weekend - powiedziałam, prowadząc go do środka.

- Bardzo panią proszę, jeśli to nie jest wielki kłopot.

- Będziesz musiał spać w zlewie. Nie mam łazienki.

- Aha. Znasz stary dowcip o facecie, który czytał w wannie opowieść o duchach? Nagle poczuł na plecach zimny dotyk...

- Nie znam. I co dalej?

Sam uśmiechnął się i przytulił mnie.

- O której spotykamy się z resztą ludzi?

- Mniej więcej o wpół do siódmej. Spojrzał na zegarek.

- To znaczy za godzinę i sześćdziesiąt minut. A gdzie się odbywa spotkanie?

- Niedaleko, w Ranelagh. Sharon będzie samochodem. Sam skrzywił się.

- Fantastycznie! To znaczy, że nie będzie piła i popsuje nam wszystkim humor. Nie cierpię jej. Dlaczego zawsze musimy umawiać się z nimi w piątki?

- Żeby być z nimi w dobrych kontaktach na wypadek, gdyby wygrali w lotto.

- Jakie mają szanse? Najwyżej jeden do dziesięciu.

- Nie, jest dopiero wpół do szóstej.

Przez jakiś czas prowadziliśmy tę wariacką rozmowę, a potem przeszliśmy na tematy związane z pracą i faktem, że oboje byliśmy bardzo zajęci. W pewnym momencie o mało nie wspomniałam, że pogodę mieliśmy ładną, ale w porę się powstrzymałam.

Gdyby ktoś nas obserwował, widziałby, że jesteśmy oboje szalenie zdenerwowani. Po raz pierwszy mieliśmy spędzić razem cały weekend. Samowi udało się namówić jednego z kolegów, aby go zastąpił w wypożyczalni, żeby nie musiał się spieszyć na autobus. Czekало nas ponad sześćdziesiąt wspólnych godzin. Oboje wiedzieliśmy, że będzie to próba.

Gdyby ktoś nas obserwował godzinę później, ze zdumieniem zobaczyłby nagą parę przewracającą się po podłodze i stwarzającą udane wrażenie uprawiania ostrego seksu.

Istnieje niepisane prawo, które mówi, że kiedy dwie pary wybierają się razem do pubu, dzielą się na dwie mniejsze grupki według płci, to znaczy Sam i Mark nie zwracali żadnej uwagi na swoje partnerki, a ja przegadałam cały wieczór z Sharon, mimo że znałyśmy się tak długo, że tak naprawdę nie powinniśmy mieć sobie nic do powiedzenia.

Sam i Mark spotkali się po raz pierwszy, jednak zamiast z ociąganiem rozmawiać o swojej pracy albo o kobietach i samochodach, jak robi większość facetów, gdy poznaje najlepszą przyjaciółkę swojej dziewczyny i jej faceta, ci dwaj przez cały wieczór opowiadali sobie ulubione sceny z ulubionych filmów.

Od czasu do czasu przestawałyśmy z Sharon rozmawiać o szkole, żeby posłuchać naszych towarzyszy. Zrobili sobie coś w rodzaju rankingu najlepszych fragmentów, omawiając Ojca chrzestnego, wszystkie filmy z Jamesem Bondem i Gwiezdne Wojny, Pół żartem, pół serio i wybrane filmy z serii Szklana pułapka.

Zakończyli wieczór duetem - bardzo udaną interpretacją pierwszej sceny z Pulp Fiction. Sam grał Vincenta Vegę (w filmie był nim John Travolta) a Mark - Julesa (w filmie Samuel L. Jackson). Odegrali tę scenę niemal co do słowa, nawet z odpowiednim akcentem, i zakończyli klasycznymi słowami Vincenta: „Wczujmy się w rolę”, co było naprawdę bardzo śmieszne.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że większość ludzi w pubie przestała pić i zaczęła słuchać. Kiedy Sam i Mark skończyli, goście nagrodzili ich oklaskami i zaczął się koncert życzeń.

- Zagrajcie Blues Brothers.
- Muppety!
- Casablance.
- Wallace'a i Gromitta.
- Braci Marx!

Sharon i ja prawie weszłyśmy pod stół ze wstydu, ale Sam i Mark cieszyli się z okazywanego podziwu, choć odmówili wszelkim życzeniom i wkrótce wszystko wróciło do normy. Nagle stanął nad nami barman.

- Chłopcy - powiedział, chociaż był dużo młodszy od Marka. - W moim pubie nie używa się takiego słownictwa. Proszę wyjść.

Teraz wiem, o co mu chodziło. Vincent i Jules znani byli z niewyparzonego języka i używali wielu słów, których bym tu nie powtórzyła.

Wtedy jednak byłam potwornie wkurzona.

- Daj pan spokój - powiedziałam. - Zażartowali sobie. To nie jest ich wina, że wszyscy zaczęli słuchać.

Barman wzruszył ramionami.

- Pani też jest nieproszonym gościem.

Mark wstał i wyprostował się. Spojrzał z góry na barmana i bardzo cicho zaproponował:

- Może pan to jeszcze rozważy.

Sharon i ja spojrzałyśmy na siebie. Obie pomyślałyśmy to samo, ale wiedziałyśmy, że lepiej nie mówić tego na głos.

- Nie sądzę - odparł barman, który był widocznie odważniej - szy niż wyglądał. Stał na rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi ramionami, w klasycznej pozie Supermana, co mogłoby robić wrażenie, gdyby nie miał czerwonej muszki.

Mark udawał, że się namyśla.

- Dobrze - stwierdził przyjacielskim tonem. - Dla nas to żadna strata. W okolicy pełno jest pubów. Czy możemy najpierw dopić nasze drinki?

Barman musiał się zastanowić. Gdyby się nie zgodził, sytuacja mogłaby się zrobić niebezpieczna. Gdyby się zgodził, mógłby zyskać opinię mięczaka... Wszyscy klienci znów zaczęli się przysłuchiwać, na wypadek gdyby przyszło im kryć się przed latającymi szklankami i krzesłami.

- Jasne - powiedział w końcu barman. - Zapłaciliście za nie.

- Dziękuję - powiedział Mark, siadając. - Zapamiętam sobie pańską uwagę. Nie będę już używał takich słów, niezależnie od tego, w jakim znajdę się pubie.

Pozostali goście, widząc, że nic się nie szykuje, stracili zainteresowanie i wrócili do swoich drinków i piw. Barman się rozluźnił.

- Niech będzie - ustąpił. - Jeśli obiecacie, że będziecie się zachowywać, możecie zostać.

Mark uśmiechnął się do niego.

- Fantastycznie - stwierdził bardzo głośno. - Nie powinienem być używać takiego języka w lokalu, gdzie jest bardzo wielu niepełnoletnich klientów.

Znaczenie jego słów dotarło do barmana po paru sekundach.

- Wynocha mi stąd natychmiast, cholerna hołoto! Spieprzajcie z mojego pubu! - wybuchnął.

Mark wstał i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Ojoj! Co za język! Dzieci słuchają.

Gdy tylko wyszliśmy, Sam mało nie przewrócił się ze śmiechu.

- To było genialne! Wszyscy pękają ze śmiechu, kiedy im opowiem.

Sharon była niesłychanie dumna z Marka, który też był z siebie bardzo zadowolony.

Postanowiliśmy pójść coś zjeść, a potem poszukać innego pubu. Sharon dała do zrozumienia, że najlepiej byłoby, gdybyśmy kupili alkohol i pojechali do mnie, ale nie miałam specjalnej ochoty, bo moje mieszkanie było raczej ciasne. Poza tym chciałam, abyśmy z Samem mogli skończyć to, co zaczęliśmy wcześniej.

W Ranelagh jest mnóstwo miejsc, gdzie można szybko i dobrze zjeść, jedynym problemem bywa zwykle wybór. W końcu wylądowaliśmy w Abrakebabra w Triangle. Faceci uparli się, że zapłacą, usiadliśmy więc z Sharon przy stole, a oni stanęli w kolejce. Po chwili Sam był z powrotem.

- Idziemy na moment na drinka, zaraz wracamy, dobrze?

- No... - zaczęłam, kiedy poszedł.

- No co?

- Zakolegowali się, nie? A bałam się, że będą siedzieli ponuro i czekali, aż zaczniemy ich zabawiać.

Skinęła głową.

- Wydaje mi się, że Mark polubił Sama. W gruncie rzeczy nie ma wielu przyjaciół.

- Wiem, co masz na myśli. Praca wieczorem i w weekendy, i tak dalej. Brak czasu na kontakty towarzyskie.

Wyjęłam z torebki papierosy. To był dziś mój pierwszy, nie licząc dwóch w biurze, trzech przy lunchu, jednego po seksie i dwóch czy trzech w pubie.

- Sam zostaje na weekend? - spytała Sharon.

- Tak. Kiedy przyszedł, powstała niezręczna sytuacja, ale mam wrażenie, że wszystko będzie dobrze.

- Jestem pewna. Seks przez cały weekend. Niezły pomysł.

- A ty i Mark?

Usiłowałam znaleźć jakiś subtelny sposób, aby o to zapytać, ale po kilku drinkach cała moja subtelność ulatnia się przez okno, zjeżdża po rynnie i pospiesznie znika na horyzoncie.

Sharon wygadała na zażenowaną.

- Prawie.

- Na ile prawie? - spytałam z zainteresowaniem, pochylając się do przodu. - Co się stało?

- Od dawna z nikim nie był i trochę za bardzo się podniecił.

Była naprawdę zażenowana.

- Ach, tak - stwierdziłam, ze zrozumieniem kiwając głową. - Przedwczesny wytrysk. - Celowo zachowywałam się frywolnie, żeby przerwać napięcie.

Wykrzywiła się.

- Tak. I co z tego? Przeszkadza ci?

- Kogo nazywasz wredną? Mnie? - Wykrzywiłam się w odpowiedzi. - Wylałaś moje piwo? Gapisz się na mojego faceta?

W tym momencie Sam z Markiem wrócili i musiałyśmy przerwać nasze amatorskie przedstawienie.

Minęły całe wieki, zanim Sharon i Mark zrozumieli aluzję i stwierdzili, że pora iść do domu. Sam i ja kupiliśmy coś na śniadanie w całodobowym sklepie i wróciliśmy do mieszkania na kawę i seks.

Rozdział 44

W niedzielę po południu namówiłam Sama, żeby pojechał ze mną do moich rodziców.

To był dla mnie duży krok, ponieważ nigdy nie przyprowadzałam facetów do domu, oprócz pierwszego, Adama, który nie wzbudził szczególnego zachwytu.

Chciałam jednak, żeby Sam się im spodobał i vice versa. Było mi wszystko jedno, co sobie pomyśli o Fintanie, ale chciałam, żeby spodobali mu się moi rodzice. Kiedy leżeliśmy rano w łóżku, zaczęłam opowiadać o nich Samowi. Mniej więcej coś w tym stylu: „Matka na pewno by cię polubiła” i „Świetnie byś się dogadywał z ojcem”. W końcu miałam wrażenie, że go zmiękczyłam.

Z góry przygotowałam sobie wszystkie argumenty typu: „I tak do nich jadę, możesz więc równie dobrze wybrać się ze mną, zamiast siedzieć tu sam przez następne sześć godzin”, jednakże Sam zgodził się nadszpedziewanie szybko. Może ma fioła na punkcie jazdy autobusem.

Przyjechaliśmy koło drugiej, tuż po obiedzie. Niedzielny obiad był jednym z rytuałów, o których zupełnie zapomniałam, kiedy się wyprowadziłam i teraz byłam zła, bo gdybym wcześniej zachęciła Sama do akcji, zjedlibyśmy darmowy posiłek.

Matka szczególnie się nie wysiliła, zresztą nie miała powodu, skoro byli z ojcem tylko we dwojkę.

Zdziwili się na mój widok, no i zaskoczyło ich to, że przyprowadziłam ze sobą mężczyznę.

Może widziałam za dużo filmów, ale oczekiwałam, że ojciec powie coś w rodzaju: „Widzę, że moja córeczka jest już dorosła”, albo: „A więc pan jest tym młodym człowiekiem, który utrzymuje kontakty seksualne z moją córką”; albo że weźmie Sama do ogrodu i powie mu: „Susan jest naszym skarbem i byłbym bardzo zły, gdyby ją ktoś skrzywdził. Bardzo zły, jeśli wie pan, o co mi chodzi”. Na szczęście ojciec nie zrobił niczego takiego. Kiwnął głową na powitanie i wrócił do gazety. Chyba był trochę speszony.

Matka, oczywiście, była w siódmym niebie. Skakała koło Sama, jakby był jej własnym, zaginionym bez wieści synem, który okazał się potomkiem książęcego rodu. Zaproponowała, że ugotuje nam drugi obiad, a kiedy podziękowaliśmy, nalegała przynajmniej na kanapki.

Nawet pokroiła je na trójkąty i położyła na talerzykach, układając z boku chipsy. Dzięki Bogu, nie mieliśmy w domu rzeżuchy.

Samowi szalenie pochlebiało takie traktowanie i w zamian czarował matkę, chwając jej dom i ogród. Na wszystkie pytania odpowiadał: „Tak, proszę pani”, „Nie, proszę pani” i „Dziękuję bardzo, proszę pani”, dopóki nie klepnęła go żartobliwie w ramię i nie powiedziała, żeby skończył z tymi formalnościami i mówił do niej „Joan”.

- Joan? - powtórzyłam. - Zawsze myślałam, że masz na imię „Mama”.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Popisujesz się, Susan.

Potem zwróciła się do Sama i zaczęła najedzonemu więźniowi zadawać brutalne pytania:

- Jak masz na nazwisko? A drugie imię? Gdzie mieszkasz? Co robisz? Gdzie chodziłeś do szkoły? Co robią twoi rodzice? Gdzie mieszkają? Skąd pochodzą? Naprawdę? To niedaleko od mojego rodzinnego domu. Jakie jest panińskie nazwisko twojej matki? Może, na przykład, znam ją ze szkoły. Masz rodzeństwo? Młodsze czy starsze? Co robią? Jaki nosisz rozmiar buta, Sam? Jaki jest skład twojego DNA? Podpisz tu i tu. Musisz mocniej naciskać, żeby się odbiło na wszystkich pięciu egzemplarzach. Podwiń rękaw. Weź Biblię w prawą dłoń i powtarzaj za mną...

I tak dalej. Jakby zbierała fakty do jego biografii. Życie Sama O'Neilla. Także w wersji filmowej. Z Johnem Travoltą w roli Sama i Samuelem L. Jacksonem jako Markiem. Z młodszą i wyższą wersją Kathleen Turner w roli Susan.

Znałam większość informacji, które wydusiła z Sama, oprócz panińskiego nazwiska matki... Z jakiegoś powodu nigdy nie zadałam mu tak ważnego pytania. Postanowiłam nie zapomnieć o tym następnym razem. W każdym razie matka bardzo długo deliberowała, nim w końcu przyznała, że nie zna matki Sama.

W ten sposób moja matka sprawdzała, czy jej jedyna córka nie wpadła przypadkiem w złe towarzystwo. Choć gdy teraz o tym myślę, to przychodzi mi do głowy, że może matki pytają o to wszystko, żeby wykluczyć jakieś pokrewieństwo.

Ojciec miał znacznie prostsze podejście:

- Jak oceniasz szanse United w środę, Sam?

- Myślę, że im się uda.

Ojciec kiwnął głową. Nie uśmiechnął się, ani nie zmarszczył brwi, tylko wrócił do gazety, ale widziałam, że jest usatysfakcjonowany.

Po drodze na przystanek autobusowy wpadliśmy do wypożyczalni Marka. Miał wielu klientów, ale ucieszył się na nasz widok.

W pewnej chwili do lady podszedł klient i spytał, kiedy wychodzi jakiś film. Sam i Mark odpowiedzieli równocześnie:

- W pierwszy piątek następnego miesiąca.

Klient spojrzał na nich dziwnie, najwyraźniej zdumiony, że istnieje dwóch facetów, którzy posiadają tę samą, głęboką wiedzę.

Kiedy rozmawialiśmy z Markiem, przyszedł mój kochany braciszek. Widziałam go po raz pierwszy od czasu naszej kłótni i nie wiedziałam, czy przypadkiem nie udawać, że go nie znam.

Tymczasem sam przejął inicjatywę.

- Hej, Susan - powiedział. - Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam.

Miałam na końcu języka coś ciętego, na przykład: „Dlaczego nie, to jest wolny kraj”, ale zamiast tego wyjaśniłam, że odwiedzaliśmy rodziców.

Gdy tylko powiedziałam „my”, Fintan pojął, że facet, który stoi koło mnie i obejmuje mnie w pasie, nie jest klientem wypożyczalni, który trochę za dużo sobie pozwala.

- Fintan, to jest Sam. Sam, mój brat Fintan.

Skinęli bez słowa głowami, jak faceci, którzy nie chcą po sobie okazać zainteresowania, ale widziałam, że taksują się wzrokiem. Na wszelki wypadek, gdyby mieli kiedyś ze sobą walczyć. Dwóch facetów nigdy nie spotyka się i nie woła: „Och, mój Boże! Jaką masz cudowną fryzurę!” albo „Gdzie dostałeś ten fantastyczny dres? Szukam takiego od wieków!” Mężczyźni nie mówią takich rzeczy, żeby ich przypadkiem nie wzięto za homoseksualistów. Dwie kobiety natomiast mogą powiedzieć o trzeciej, że jest bardzo atrakcyjna i nikt nie pomyśli, że są lesbijkami.

To mi jeszcze coś przypomina... Ponieważ jestem wyższa niż większość kobiet, często podchodzą do mnie ludzie, których prawie nie znam i mówią: „Jest pani bardzo wysoka. Jakie to uczucie? Czy ma pani problemy z kupowaniem ubrań?” A niskich ludzi nikt nie nęka takimi pytaniami. I nikt nie zaczepia naprawdę grubych osób i

nie mówi: „Jest pani bardzo gruba. Jakie to uczucie? Czy ma pani problemy z kupowaniem ubrań?” Ale będą o to pytać chudzielców. Jakby można było podkreślać chudość albo wzrost u kogoś chudego czy wysokiego, ale niech Bóg broni wspomnieć słowo „gruby” lub „niski” w obecności kogoś grubego czy niskiego.

Mój przypadek jest dla ludzi wyjątkowo niezręczny, bo z jednej strony jestem wysoka, o czym można mówić publicznie, ale z drugiej strony jestem też trochę za gruba, a o tym się nie wspomina. Niektórzy nie są nawet w stanie wspomnieć w moim towarzystwie o odłuszczonej mleku, żeby mnie przypadkiem nie urazić.

Może dlatego lubię pisać do J. W jednym ze swoich pierwszych listów napisał, że podejrzewa, iż jestem gruba i brzydka. Jego szczerość była czymś sympatycznym. W każdym razie nie musiałam się obawiać, że się rozczaruje, gdybyśmy się zobaczyli.

Wracam do wypożyczalni Marka.

- Czym mogę ci służyć, Fintan? - spytał Mark. Mój brat zakręcił się nerwowo.

- Tylko oglądam.

Widziałam, że Sam aż się pali, żeby powiedzieć: „Pornografia jest z tamtej strony”, ale ugryzł się w język.

Jednocześnie widziałam, że Fintan bardzo chciałby wiedzieć, kim jest Sam i dlaczego się ze mną spotyka. Widziałam też, że Fintan jest zazdrosny, bo ja kogoś mam, a on nie, chociaż bez trudu mógłby sobie znaleźć dziewczynę. Jest dość przystojny i potrafi być czasami dowcipny i czarujący. Pamiętałam kilka okazji, gdy nie zachowywał się jak typowy głupi gnojek, jednak już od wieków nie widziałam go z dziewczyną. Oczywiście żadna szanująca się dziewczyna nawet by się do niego nie zbliżyła, ale chodziło mi o to, że nie chciał się postarać. Być może traktował sprawy sercowe, tak jak wszystko inne - nie spróbuje w obawie przed porażką.

Zrobiłam coś, co wówczas wydawało mi się jak najbardziej na miejscu, a czego później pożałowałam. Zaprosiłam Fintana do siebie. I nim zdrowy rozsądek zdążył zareagować (chyba gdzieś się chwilowo ulotnił), dodałam:

- Może w tygodniu? Zadzwoń i się umówimy, dobrze?

- Jasne.

W tym momencie mój zdrowy rozsądek wyleciał z za rogu, krzycząc: „Co się stało? Co się stało?”

Sam i ja pożegnaliśmy się z Fintanem i z Markiem i ruszyliśmy do domu. Oczywiście musieliśmy godzinę czekać na autobus. Na szczęście nie zmarnowaliśmy tego czasu.

Sąsiedzi z pewnością mieli o czym mówić.

Rozdział 45

Ghoć raz dostałam pocztę przed wyjściem do pracy. Nie dlatego, że listonosz przyszedł wcześniej, lecz dlatego, że zapomniałam nastawić budzik i obudziliśmy się, kiedy wrzucał listy do skrzynki.

Jeszcze nigdy nie byłam tak szybko gotowa do wyjścia. Stwierdziłam, że byłoby najlepiej, gdyby ręczniki stały się obowiązującą modą biurową, wtedy nie musiałabym się wycierać po wyjściu spod prysznica. Na szczęście znalazłam czystą bluzkę i względnie czystą spódnicę. Sama, który nie zamierzał iść pod prysznic, leżał przez ten czas w łóżku, z uśmiechem obserwując, jak się miotam. Potem wstał, ubrał się i był gotów przede mną.

Zaczynał pracę dopiero w południe, zaproponował więc, że odprowadzi mnie do pracy. Wychodząc, zajrzałam do skrzynki i znalazłam list od J. Sama natychmiast okazał zazdrość, choć udawał, że jest tylko „zainteresowany” i zażądał, abym od razu otworzyła list, ale postanowiłam nie spełniać jego życzenia. Chciałam rozkoszować się listem w samotności.

Zmusiłam Sama, żeby zostawił mnie w pewnej odległości od biura, bo nie życzyłam sobie spotkać kolegów, którzy na nasz widok nabraliby słuszných podejrzeń. Pocałowaliśmy się na do widzenia i obiecaliśmy do siebie dzwonić. Za parę dni i tak mieliśmy się znów zobaczyć.

Idąc do pracy, obmyślałam prawdopodobne usprawiedliwienia. „Dziś nie cofa się zegarków? To znaczy, że mnie oszukali”. „Chorowałam przez cały weekend, ale przed chwilą byłam u lekarza i powiedział, że mogę już iść do pracy”. Mój ulubiony wykręt, chociaż jeszcze nigdy nie odważyłam się go wykorzystać, brzmi: „Szybko włączcie radio! Może powiedzą o mnie w wiadomościach. Naprawdę! Byłam świadkiem napadu na bank. Musiałam złożyć zeznanie na policji” -

Dochodząc do biura, zdecydowałam się już na: „Wieszałam kilka rzeczy i niechcący zrzuciłam pranie właścicielki w błoto. Musiałam jeszcze raz wszystko uprać”, kiedy okazało się, że nie mam powodów do niepokoju. Jennifer poinformowała mnie, że Vicky jeszcze nie przyszła.

- Nie cierpię poniedziałków, te spotkania z klientami ciągną się godzinami - rzuciłam i weszłam do gabinetu, z którego wyszłam po

chwili, starając się stworzyć wrażenie, jakbym siedziała tam przez cały ranek.

Kevin i Danny robili w kuchni kawę. Kevin nalał mi kawy i spytał, jak minął weekend. Trudno się było zorientować, czy naprawdę chciał wiedzieć, czy też podlizywał mi się, bo znalazłam się na wyższym od niego szczeblu drabiny.

Z kawą wróciłam do gabinetu i otworzyłam list.

Droga Susan!

Piszę krótko, aby Cię poinformować, że wcale mi na Tobie nie zależy.

Jednakże postanowiłem dać Ci parę lekcji angielskiego, żeby wzbogacić Twoje słownictwo i przez to poprawić jakość Twoich listów. Sprawdź w słowniku właściwe znaczenie słów, które Ci podam.

Słowo na dzisiaj: wypchaj się.

J.

Musiałam być zmęczona, bo dopiero po paru minutach zrozumiałam zakończenie.

Czas mijał. Jak zwykle.

Vicky coraz rzadziej zjawiała się w biurze, wierząc, że ze wszystkim sobie poradzę, co nie było takie łatwe, ponieważ mieliśmy coraz więcej klientów. Reklamowy plan Neila Forsythe'a zadziałał. Aż za dobrze.

Biedna Jennifer zasuwiała od rana do nocy. Odbierała telefony, organizowała przesyłki kurierskie, sortowała pocztę, której przychodziło coraz więcej, i niemal nie miała chwili oddechu. Przeważnie nie miała nawet czasu na przerwę na lunch. Ktoś z nas zastępował ją na chwilę przy telefonie, a Jennifer w tym czasie biegła po kanapkę, którą zjadała przy biurku.

Gdy pracy było rzeczywiście bardzo dużo, napomykała, że przydałaby jej się asystentka. Jednakże zdarzały się dni, że nie miała nic do roboty i jakoś nie przychodziło jej do głowy, aby wykorzystać ten czas na zrobienie rzeczy mniej ważnych i długoterminowych, które jednak stawały się w końcu bardzo ważne i krótkoterminowe. Miałam wielką ochotę poradzić jej, żeby pracowała mądrzej, a nie więcej, ale wiedziałam, że nie przyjęłaby mojej uwagi z taką samą wdzięcznością, jak ja bym to zrobiła na jej miejscu.

Po trzech miesiącach dostała podwyżkę i chyba się przyzwyczaiła do chodzenia w spódnicy, bo z czasem przestała jęczeć o swoim upodobaniu do dżinsów.

Ja zajmowałam się organizowaniem spotkań, rozmowami z klientami i rozwiązywaniem problemów. Miałam swoje stałe miejsce w gabinecie Vicky i korzystałam z jej dużego biurka. Do gabinetu wstawiłyśmy mniejsze biurko, przy którym siedziała Vic - ky, kiedy przychodziła do biura.

Zwykle siedziałam w pracy od ósmej do siódmej, a jeśli Sam pracował podczas weekendu, też wpadałam do biura na parę godzin. To niesamowite, ile można zrobić, gdy nie przeszkadza ci ciągły dzwonek telefonu. Trzeba przyznać, że również dostałam podwyżkę - choć nie tyle, na ile liczyłam - a Vicky załatwiła mi służbowy samochód, bo często jeździłam do klientów, do hoteli i miejsc, gdzie organizowałam konferencje. Oczywiście najpierw musiałam się nauczyć porządnie prowadzić, ale firma zapłaciła za lekcje. '

Kevin i Barbara, mimo że nadal się nie lubili, tworzyli zgrany zespół. Celowo czy niechcący, ale nauczyła go, jak koncentrować się na pracy, a nie siedzieć i czekać na koniec dnia. Ona z kolei nauczyła się myśleć wielokierunkowo, co było w naszej pracy absolutną koniecznością. Na przykład, gdy Barbara przechodziła przez recepcję, Jennifer szukała odpowiedniego słowa.

- Mówi się: „nieskomplikowany” czy „mało skomplikowany”?

- Mówi się „prosty” - odpowiedziała ze śmiechem Barbara.

Kevin, na moje oko, śmiertelnie zakochał się w Jennifer, ale ona była ładnych parę lat od niego młodsza i mimo że pochlebiały jej te zaloty, nie zgodziła się jeszcze na żadną z jego sugestii. Ich związek polegał na tym, że Kevin popisывał się przed Jennifer przy każdej okazji i śmiał się jak oszalały z każdego jej dowcipu.

Mieliśmy tyle pracy, że musieliśmy zatrudnić paru wolnych strzelców. Neil wszystko zorganizował i nawet przeprowadził niezbędne rozmowy z kandydatami, co zaoszczędziło mi masę czasu.

Przez pierwsze kilka tygodni pracował dla nas niemal na pełnym etacie, sprzedając nasze usługi, organizując seminaria i wszędzie nas reklamując. Mieliśmy ochotę go zabić. Kiedy jednak sprawy nabrały rozpędu, znalazł sobie pracę, która mu bardziej odpowiadała, i wpadał do nas najwyżej raz w tygodniu.

Mimo zbiorowych wysiłków Danny odszedł.

Rozdział 46

Sam zostawał u mnie na każdy weekend, nawet gdy pracował, i niebawem zachowywaliśmy się jak stare małżeństwo. Ludzie zaczęli nas traktować jako jedność. Jeżeli w ogóle wybrałam się gdzieś sama, mówili: „Jakoś inaczej dziś wyglądasz... Nowa bluzka? Nie, masz inną fryzurę... Nie, zaczekaj, już wiem, zamiast Sama jest przy tobie wielka dziura w kształcie wszechświata”.

Moja rodzina, wraz z Fintanem, szybko zaakceptowała Sama. Spodziewali się, że będzie ze mną za każdym razem, gdy ich odwiedzałam, a kiedy nie przychodził, matka brała mnie na bok „na małą rozmówkę”, i pytała, czy wszystko jest między nami w porządku.

Fintan odwiedził mnie parę razy, choć nigdy za wiele nie mówił, oprócz takich rzeczy, jak: „Nie masz lepszych ciastek?” Dogadywał się z Samem, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na temat piłki nożnej, co zdarzało się z zadziwiającą regularnością.

W urodziny ojca poszliśmy z wizytą do rodziców. Wypiłam stanowczo za dużo, żeby wracać do domu samochodem, i matka zapytała, czy chcemy zostać. To było naprawdę bardzo dziwne.

- Możecie spać w dawnym pokoju Susan - powiedziała do nas.
- Zaraz pościelę łóżko.

Co też zrobiła i z wielkim trudem udało nam się zachowywać w miarę cicho, ponieważ chichotałam jak idiotka.

Nie wiadomo dlaczego Barbara, za każdym razem, gdy gdzieś z nami wychodziła, zaczynała śpiewać: Susan i Sam, Susan i Sam, na melodię Rosie i Jim. Doprowadzało mnie to do szału i zagroziłam, że uduszę ją jej własnym jelitem cienkim, jeśli to jeszcze raz usłyszę. Naturalnie zdwoiła wysiłki i wkrótce wymyślała piosenki o mnie i o Samie do melodii z każdego programu dla dzieci, jaki kiedykolwiek pokazywano w telewizji. Moja niesłychanie wulgarna wersja Barbie Girl wcale jej nie obeszła, więc zaproponowałam, aby napisała słowa na melodię Blue Peter. To okazało się za trudne i w końcu dała spokój. Przyszło jej jednak do głowy coś innego:

- Gdybym wymyśliła nowe słowo, które rymuje się z miłością, zrobiłabym majątek.

Czy jest określenie na „półrocznicę”? Jeśli jest, to ja go nie znam. Jestem pewna, że nie używa się określenia „sześciomie - sięcznica”, jak powiedział Sam. Wieczorem, pół roku po naszym poznaniu się,

poszliśmy na kolację i już to było czymś nadzwyczajnym, bo ostatnio na ogół siedzieliśmy w domu.

Zawiozłam nas do bardzo spokojnej restauracji w zachodniej części miasta. Wcześniej zamówiliśmy stół i nawet ubraliśmy się specjalnie na tę okazję. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie, poszliśmy więc do baru, aby poczekać.

Zajęłam miejsce, a Sam poszedł po drinki, gdy w tej samej chwili ktoś bardzo znajomy przeszedł obok stolika.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

- Danny? Danny Maloney?

Danny podskoczył z wrażenia i o mało nie wylał swoich drinków.

- Nie wierzę - powiedział, potrząsając głową.

Nie widziałam go, odkąd przed trzema miesiącami odszedł z pracy. Zerwałam się i zamierzałam go uściskać, gdy przerażony wyraz jego twarzy przypomniał mi, że Danny nigdy nie należał do osób, które lubiły być publicznie obściskiwane. Poza tym miał zajęte ręce.

- Mój Boże! Co ty tu robisz?

Kiedy otrząsnął się z szoku, wydawał się nawet zadowolony.

- Susan, jak leci? - Szeroki uśmiech zastąpił zaszokowany wyraz twarzy.

- Ja pierwsza spytałam.

- U mnie wszystko w porządku. A u ciebie? Co tam w firmie?

- Szaleństwo. Mamy tyle pracy, że byś nie uwierzył. A ty? Co robisz?

- Niewiele. Mam nadzieję, że przed następnym semestrem znajdę pracę w szkole.

Danny odszedł z Kompleksowych Rozwiązań Biurowych, nie znalazłszy sobie przedtem innej pracy. Doszedł do wniosku, że nie jest szczęśliwy, a jak raz podjął decyzję, nie było odwołania.

Wprawdzie obowiązywał go miesiąc wypowiedzenia, ale Vicky zdawała sobie sprawę, że jest mu ciężko i pozwoliła, aby odszedł z dnia na dzień. I tak zrobił. Wrócił po rozmowie z nią oznajmił, że odchodzi, wziął z biurka swoje rzeczy i poszedł sobie. Bez pożegnalnego przyjęcia, bez ciastek, bez zbiórki pieniędzy na pożegnalny prezent. .. Dopiero po ładnych paru tygodniach przyzwyczailiśmy się, że już u nas nie pracuje, ale życie toczyło się dalej. Smutna prawda życia biurowego polega na tym, że nie ma ludzi niezastąpionych.

Teraz na jego widok byłam jednak tak przejęta, że o mało się nie rozplakałam. Chciałam go wypytać o wszystko, co robił, odkąd odszedł, chciałam mu opowiedzieć, co słychać w firmie, chciałam po prostu - nagle zdałam sobie sprawę - wrócić do czasów, kiedy razem pracowaliśmy i nie miałam pojęcia, że jest mną zainteresowany. Mimo wszystkiego, co od tamtej pory osiągnęłam, chciałam, aby było tak, jak kiedyś.

Zauważyłam, że trzyma w rękach dwa drinki.

- Jesteś tu z kimś? - spytałam.

Skinął głową i gestem wskazał na siedzącą w kącie dziewczynę, która uważnie nam się przyglądała.

- Ariana. Chcesz się do nas przysiąść? Mowa, pomyślałam.

- Zaczekaj chwilę, powiem Samowi.

Złapałam nasze płaszcze, podbiegłam do Sama, powiedziałam mu, co się dzieje i poszłam za Dannym do jego stolika.

Ariana miała jakieś dwadzieścia trzy lata, była dość wysoka, szczupła i bardzo ładna. Zupełnie jak dziewczyna z reklamy kosmetyków L'Oreal. Poczułam irracjonalną choć na szczęście przelotną zazdrość.

Była Niemką i prawie nie mówiła po angielsku. Danny musiał dużo tłumaczyć. Początkowo mnie to złościło, bo przepracowałam z nim tyle lat i nie miałam pojęcia, że zna niemiecki.

Kiedy Sam przyniósł nasze drinki, omal się nie przewrócił na widok Ariany. Przez cały czas, gdy z nimi rozmawialiśmy, wyglądał jak zając w światłach reflektorów samochodowych. Wiedziałam, że nie może wyjść z zachwytu i podziwu. Mało brakowało, a zaczęłby się oblizywać.

Danny i Ariana byli wyraźnie w sobie zakochani. Rozmawiali z ożywieniem po niemiecku i nie spuszczaali z siebie wzroku. Danny z trudem odrywał od niej oczy, nawet gdy rozmawiał z nami.

- Spotkaliśmy się kilka tygodni temu, gdy szukałem pracy - powiedział. - Planowałem wyjazd do Niemiec, aby tam uczyć angielskiego, i w jednej z agencji poznałem Arianą. Szukała nauczyciela angielskiego. Kogoś bardzo cierpliwego. - Wzruszył ramionami. - I tak to się zaczęło.

Po chwili Sam oznajmił, że musi pójść w pewne miejsce dla chłopców, a ja powiedziałam, żeby przyniósł nam jeszcze coś do picia

i sprawdził, co się dzieje z naszym stolikiem. Kiedy tylko odszedł, Danny zwrócił się do mnie:

- Chciałem ci coś powiedzieć, nim odszedłem z firmy, ale, no, przestraszyłem się. W każdym razie przez cały czas, gdy pracowaliśmy razem...

- Wiem. Choć przez bardzo długi czas nie wiedziałam. Zakręcił resztką drinka w szklance.

- Gdybym odważył się przyznać ci, co czuję, zrobiłoby to jakąś różnicę?

Spojrzałam na niego, a potem na Arianę, która wciąż się w niego wpatrywała.

- Tak, chyba tak.

Co miałam powiedzieć? Nie chciałam kłamać i mówić, że nigdy mi się nie podobał. Teraz, kiedy się skończyło i żadne słowa nie mogły niczego zmienić, nie warto było ranić jego uczuć tylko dlatego, że zawsze był dla mnie jedynie kolegą z pracy. Zwłaszcza że teraz kogoś miał.

Wzruszyłam ramionami.

- To już przeszłość. Szkoda, że nie wiedziałam. Szkoda na wtedy, nie na teraz, rozumiesz?

- Zawsze cię rozumiem, Susan. I zgadzam się. Myślę, że miałem szczęście. - Rzucił okiem na swoją dziewczynę. - Gdybym nie odszedł z firmy, nigdy nie spotkałbym Ariany. Jeśli my... Chcę powiedzieć, że chyba nie dokonałem złego wyboru. W końcu.

Odwzajemniłam uśmiech.

- Wiem. Uważam, że było nam pisane, żebyśmy zostali przyjaciółmi. A cokolwiek innego tylko popsułoby nasze dobre stosunki.

Danny wziął Arianę za rękę. Powiedział do niej coś po niemiecku, a ona uśmiechnęła się do mnie.

- Die Schrift im Spiegel - powiedziała.

- Co to znaczy?

- Opowiedziałem Arianie o tobie, gdy tylko się poznaliśmy i opisałem cię jako osobę, która często siebie analizuje. W dobrym sensie.

- Wiem.

- Powiedziała, że też miała przyjaciółkę, która stała tak blisko lustra, że nie widziała wskazówek na życie napisanych na szkle. Die Schrift im Spiegel znaczy „Napis na lustrze”.

To dobre porównanie - pomyślałam. Nie powstrzyma mnie od analizowania własnego zachowania, ale przynajmniej pozwoli czasem spojrzeć na siebie pod innym kątem. Tego potrzebowałam.

W Arianie było coś niepokojącego i w końcu się zorientowałam. Podniosłam szklankę do ust i powiedziałam:

- Ona jest głucha, prawda?
- Tak - odparł szybko Danny.

Więcej o tym nie mówiliśmy i Sam wkrótce wrócił z tacą drinków i informacją, że nasz stół jest już wolny. Pożegnaliśmy się z Dannym i z Arianą, a gdy odchodziliśmy, ścisnęłam go za ramię. Po raz pierwszy celowo go dotknęłam.

- Zadzwoń do mnie. Proszę. I powiedz mi, jeśli nie znajdziesz pracy. Zawsze możesz do nas wrócić.

Odchodząc nie obejrzałam się za siebie, ale przez cały czas myślałam: - Ten mi uciekł. Z mojej winy. Choć w końcu dokonałam właściwego wyboru.

Rozdział 47

Często pisywałam do J., a jego listy stawały się coraz bardziej nieprzyjemne. Przestałam pisać, ale wciąż przebijało z nich to specyficzne poczucie humoru. Każdy list był niemiły i śmieszny, nawet bardzo śmieszny, a ja starałam się odpowiedzieć tym samym.

Kilka tygodni po spotkaniu z Dannym i z Arianą w restauracji, otrzymałam kolejny list od J. Miałam wolny dzień i był u mnie Sam. Gdy tylko usłyszałam stukot w skrzynce, wybiegłam na korytarz.

- Tak! - wykrzyknęłam, wbiegając do mieszkania. - To od J.!

Rozzerwałam kopertę i przeczytałam list na głos.

Droga Susan!

Choć z drugiej strony „droga” to nieodpowiednie słowo. „Tania” byłoby bardziej odpowiednie.

Mam nadzieję, że jesteś chora. Bardzo dziękuję za torebkę przeterminowanych chipsów, które przysłałaś z ostatnimi wypocinami. Jestem za dobry na takie prezenty i dlatego włożyłem je do starej skarpetki i zakopałem w ogrodzie, aby zamieszać w głowach przyszłym archeologom.

Ostatniej nocy miałem koszmarne sen - przyśniło mi się, że Cię poznałem i obudziłem się tak spanikowany, że na poważnie rozważyłem powrót do żony. Wolałbym, żebyś więcej nie pisała, bo mój kardiolog uważa, iż kolejny szok może się okazać śmiertelny.

Bez pozdrowień J.

- Nie mam pojęcia, dlaczego korespondujesz z tym popieprzonym psycholem - powiedział Sam, rozzłoszczony. - On cię tylko obraża.

- O to właśnie chodzi. Dlatego to robimy. To fajna zabawa. Nieszkodliwa. Nigdy z nikim nie wymieniałaś listów?

Sam nie odpowiedział. Usiadł na skraju łóżka i dąsał się przez chwilę.

- Ty naprawdę lubisz tego gościa, co? - spytał w końcu.

- Podoba mi się w nim to, że nie boi się zrobić mi przykrości.

Tyle mogę stwierdzić.

- Czyżby? A do mnie miałaś pretensję, gdy powiedziałem coś, co ci się nie podobało. Co jest w nim takiego specjalnego?

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. No co? Dobra, Sam, możesz mnie obrażać, ile zechcesz? Naprawdę, wcale się nie obrażę.

- I co?

- Z czym?

- Dlaczego jemu wolno? Dlaczego może pisać do ciebie, co mu ślina na język przyniesie, ale gdy tylko ktoś inny powie coś nie tak, zaraz się rzucasz?

Chciałam go zapytać, kogo ma na myśli, mówiąc „ktoś inny” i co ma znaczyć, że „zaraz się rzucam”, jednak przez dwadzieścia pięć lat mieszkałam pod jednym dachem z moim bratem i bardzo dobrze wiedziałam, jak łatwo jest doprowadzić do awantury.

- Posłuchaj, Sam - powiedziałam z westchnieniem. - Nie będę się z tobą kłócić. Dajmy spokój, dobrze? Znam J. znacznie dłużej od ciebie.

Co nie było prawdą, lecz Sam nie musiał o tym wiedzieć.

Wielka awantura wybuchła mniej więcej miesiąc później.

Rozdział 48

Był piątkowy poranek. Jechałam do pracy samochodem, bo miałam później odwiedzić klienta. Nie mogłam znaleźć miejsca do zaparkowania, wylądowałam więc strasznie daleko od biura. I padał deszcz. A ja nie wzięłam parasola. Bo niby po co, prawda? Przecież jechałam samochodem.

Kiedy weszłam do biura, byłam kompletnie przemoczona. Barbara przyszła tuż po mnie. Kiedy otwierałam drzwi, strząsała krople deszczu z parasola.

- Jesteś cała mokra - powiedziała.

- Dziękuję za informację. Nie zauważyłam - odparłam ironicznie.

Barbara nie pozwoliła popsuć sobie dobrego humoru.

- Zgadnij, co się stało wczoraj wieczorem - zaproponowała, gdy wchodziłyśmy po schodach na górę.

- Nie.

- Proszę.

- No... Nie.

- To ja ci powiem. Spotkałam w mieście twojego przyjaciela Anthony'ego.

- Naprawdę? - spytałam, udając nagle, że wcale nie jestem wściekła. - Gdzie?

- W La Pizzy na O'Connell Street. Strasznie długo nie mógł sobie mnie przypomnieć.

- Tylko nie mów, że kazałaś mu zgadywać. Otworzyłam kluczem drzwi do biura i rzuciłam się, by wyłączyć alarm.

- Nie, ale przez jakiś czas trzymałam go w niepewności. A potem przypomniał sobie mnie z imprezy promocyjnej Parker Technology, kiedy go tam przyprowadziłaś.

- Ach tak, zupełnie o tym zapomniałam. Nie widziałam go od wieków.

- To samo powiedział. Pytał, jak się powodzi u nas Neilowi i musiałam mu powiedzieć, że już u nas nie pracuje. Prosił, aby ci przekazać...

Przyglądałam jej się cierpliwie. Milczała.

- Jeśli każesz mi zgadywać, to cię zabiję.

- Ty naprawdę musisz się napić kawy - zawyrokowała Barbara.

- To ci powiedział Anthony? Niezły jest. Roześmiała się.
- Chodź.

Poszła do kuchni i zajęła się kawą. Pomaszerowałam za nią, powiesiłam płaszcz na grzejniku i spróbowałam wytrzeć trochę głowę jedną z mniej brudnych ścierek.

- Co powiedział Anthony?
- Twój brat i on znów są kumplami. Pogodzili się.
- To fantastycznie! - ucieszyłam się. - Kiedy Fintan ostatnio mnie odwiedził, mówił, że spotkał Anthony'ego i że się wstępnie umówili na piwo.

- To prawda. - Spojrzała na mnie wyczekująco. - Co jeszcze Fintan ci powiedział?

Otworzyłam lodówkę i badałam otwarty karton z mlekiem. Nie wyglądało najgorzej. Nalałam parę ki opel do zlewu i uważnie się im przyjrzałam.

- Czy dla ciebie wygląda na zepsute?
- Nie, jest dobre. I co? Wzruszyłam ramionami.
- Co? Masz na myśli Fintana? Nie powiedział nic szczególnego. W ogóle mało mówi. Przychodzi, daję mu herbatę i ciastka, a potem odwdzięcza się, wysłuchując wszystkich kłamstw, jakie mu o tobie opowiadam.

- Akurat. - Zawahała się i uśmiechnęła. - W każdym razie na pewno jesteś zadowolona, że się pogodzili, nie?

- Tak. Przyjaźnili się, zanim nauczyli się chodzić. Może Fintan wreszcie dorasta.

Mój brat nadal mieszkał w domu. Plan wyprowadzki rodziców jeszcze się nie zmaterializował, głównie dlatego, że mieli odmienne zdania na temat oglądanych domów. Postanowiłam zatem zadzwonić później do matki i spytać, czy Fintan jest w lepszych stosunkach z ojcem.

Parę minut potem zadzwonił domofon.

- Jeśli Jennifer znów zapomniała kluczy, chyba ją zabiję - powiedziała Barbara i poszła otworzyć.

Popijałam kawę, zastanawiając się, czy odważę się zapalić w kuchni. Prawie wróciłam do nałogu, choć wiedziałam, że dopóki nie wymykam się do ubikacji na jednego sztacha, czy nie nastawiam budzika, żeby mnie obudził w środku nocy, wciąż mogę przestać.

Jedyną zaletą tego, że znowu zaczęłam palić, było to, że trochę schudłam. Rozważałam rzucenie papierosów, ale nadal pamiętałam tortury, jakie przechodziłam ostatnim razem. Powinnam całkiem zerwać z nałogiem, tymczasem doszłam do wniosku, że będę się ograniczać. Zaplanowałam, że będę codziennie wypalać o jednego mniej niż poprzedniego dnia. Niebawem siedziałam na fotelu, wbijając palce w poręczę i czekając, aż zegar wybije północ i zacznie się nowy dzień. W końcu mi się udało, bo pojechałam na wakacje z rodziną, a przy nich nie mogłam palić.

- Hej, Susan! - zawołała Barbara. - To coś dla ciebie. Wyszłam do recepcji i zobaczyłam największy i najładniejszy bukiet kwiatów, jaki w życiu widziałam.

- Kwiaty? - zdziwił się Sam.

- Nie udawaj - powiedziałam do telefonu. - Wiem, że to od ciebie.

- Nie było żadnej kartki?

- Czyli, że to tyje przysłałeś. Dziękuję.

Sam milczał. Zakładałam, że będzie mnie zwodził, aż w końcu przyzna, że kwiaty są rzeczywiście od niego. W tej samej chwili pomyślałam, że może to jednak nie on je przysłał i teraz deliberuje, czy nie skłamać i nie potwierdzić moich przypuszczeń.

Kiedy jego milczenie się przedłużało, zrozumiałam, że moje początkowe założenie nie było słuszne.

- Jeśli to nie ty, to nie mam pojęcia kto.

Sam roześmiał się krótko i niezbyt przyjemnie.

Szczerze pożałowałam, że do niego zadzwoniłam. W moim życiu nie było nikogo innego. Danny mógł być kiedyś zainteresowany, ale to już minęło. Jeżeli miałam tajemniczego adoratora, nie było w tym mojej winy.

- Przysięgam, Sam, nie mam najmniejszego pojęcia...

- Czyżby? Ja mam.

- Nie bądź głupi. J. nie wie, gdzie pracuję. A nawet gdyby wiedział, nie przysłałby mi takich kwiatów. Owszem, kaktus albo muchołówkę, ale nie to.

Nie powinnam była nazwać go głupim.

- Posłuchaj - powiedział nagle. - Nie mam teraz czasu. Muszę kończyć.

- Zaczekaj. Wiesz, kwiaty na pewno przysłał jakiś klient zadowolony z mojej pracy, czy coś w tym rodzaju. W okolicach świąt często przysyłają nam czekoladki, alkohole...

- Trochę za wcześnie na prezenty bożonarodzeniowe - stwierdził Sam. - Cholera jasna! Naprawdę uważasz mnie za kretyna? Sądzisz, że uwierzę we wszystko, co mi będziesz wciskać? „Naprawdę, Sam, w moim życiu nie ma nikogo innego. A teraz bądź grzeczny i rób, co ci powiem”. Wiesz co, Susan, jeśli tak myślisz, to daj mi święty spokój.

- Wcale tak nie myślę. Czy gdyby był ktoś inny i przysłał mi kwiaty, to bym do ciebie dzwoniła?

Milczał przez chwilę.

- Tak, jeśli miałabyś jakiś powód. Taka właśnie jesteś, zawsze mówisz i robisz to, co myślisz, że przyniesie ci korzyści w kontaktach z ludźmi. Manipulujesz nimi.

- Bzdura! A nawet gdyby to była prawda, jaki mogłabym mieć powód, aby ci mówić, że ktoś inny przysłał mi kwiaty?

- O, wiele powodów. Mogłabyś chcieć mnie do czegoś zmusić, dając do zrozumienia, że mam konkurenta. To ci się jednak nie uda. Nie jestem taki tępy.

Potwornie rozbolała mnie głowa.

- Dobrze, posłuchaj, w ten sposób niczego nie osiągniemy. Porozmawiamy wieczorem.

- Dziś zostaję u siebie.

To mi dopiekło do żywego. Byłby to pierwszy od wieków piątkowy wieczór, którego nie spędzilibyśmy razem.

- Jak chcesz. Może spotkamy się po pracy w pubie w Dun Laoghaire?

- Nie rozumiesz? - powiedział. - Nie chcę cię dziś widzieć.

- Dobrze. Kiedy?

- Nie wiem. Do widzenia.

I odłożył słuchawkę. Wyciągnęłam rękę, żeby nacisnąć na guzik powtórnego wybierania ostatniego numeru, kiedy Barbara nagle złapała mnie za łokieć. Nawet nie zauważyłam, że stała przy mnie.

- Zastanów się, zanim znów do niego zadzwonisz - powiedziała, patrząc na mnie wściekłym wzrokiem.

Przygryzłam wargę.

- Nie chcę, żeby wszystko się rozleciało tylko dlatego, że coś mi się pomyliło.

Barbara znów wzięła mnie za ramię. Jest niższa ode mnie, ale silniejsza. Pociągnęła mnie na nogi.

- Chodźmy. Zapraszam cię na rozmowę w moim prywatnym gabinecie.

Rozdział 49

Poszłyśmy do damskiej ubikacji. Na szczęście nikogo w niej nie było. Z ponurą miną usiadłam na parapecie.

- Zachowujmy się logicznie, a nie emocjonalnie - stwierdziła Barbara. - Zrywałam w życiu z wieloma facetami, w przeciwieństwie do ciebie, i wiem, co mówię.

- Aleja wcale nie zrywam z Samem - zaprotestowałam.

- Zamknij się i posłuchaj mnie przez chwilę. Wyobraź sobie, że jesteś w związku, który ci nie odpowiada, lecz nie masz odwagi go zakończyć. I teraz, gdyby zdarzyło się coś takiego, szybko skorzystałabyś z okazji, żeby „wszystko przemyśleć” i nie chcieć się na razie spotykać. To, co mówię, to oczywiście, przypuszczenia. Nie twierdzę, że Sam tak myśli.

- Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

- To, że jesteś osobą która potrafi spojrzeć na każdy problem z wielu stron. Przyjrzyj się tej sytuacji z punktu widzenia Sama. - Oddarła kilka kawałków papieru toaletowego i podała mi.

- Mogę sobie wyobrazić, jak się czuje. Rozżalony. Zdradzony. Myśli, że nie jest jedynym mężczyzną w moim życiu. I boi się, że mnie straci. - Wytarłam nos. Barbara pokiwała głową.

- Tak to wygląda z jego punktu widzenia. A z twojego?

- Co?

- Weź się w garść, Susan. Potrafisz doskonale analizować każdą sytuację, jeśli chodzi o cudze problemy. A twoje? Czy nie uważasz, że Sam przesadził?

- Raczej nie, on...

- Bzdura. Większość facetów byłaby trochę urażona, trochę zazdrosna, i tyle. W końcu powiedziałaś mu, że ktoś przysłał ci kwiaty. Gdybyś miała romans z kim innym, w ogóle byś o tym nie wspomniała. A gdybyś nawet coś powiedziała, to nie udawałabyś, że jego o to podejrzewasz. Wie, że nie jesteś głupia. - Odetchnęła głęboko i potrząsnęła głową. - Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby nie miał jeszcze jakiegoś powodu, aby tak zareagować.

Milczałam przez parę minut, od czasu do czasu rozmazując tusz i cień do oczu po całej twarzy.

- Brzytwa Ockhama - powiedziałam nagle. - Zasada ekonomii. .. Nie ma potrzeby wysuwania wielu założeń na jakiś temat. Najprostsze wyjaśnienie jest na ogół poprawne.

- Tak, ale najtrudniej jest się zdecydować, które wyjaśnienie jest najprostsze. Że Sam tak zareagował, bo mu to, z jakiegoś powodu, odpowiadało?

- Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że jest po prostu zazdrosny.

- Wydaje mi się, że chodzi o coś więcej.

- Być może masz rację, ale dlaczego chciałby tak właśnie, przesadnie, zareagować?

Barbara wzruszyła ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Znasz go lepiej niż ja. Od dawna jesteście razem. Powinnaś to wiedzieć. Musisz się też zastanowić, czy przypadkiem nie będzie ci lepiej bez niego.

- Nie - odparłam bez namysłu. - Na pewno nie. Kocham go.

- Dobrze. Porozmawiamy o tym. Zaraz wracam. - Wyszła i wróciła z moimi papierosami. - Pomyślałam, że ci się przydadzą.

Uśmiechnęłam się z wysiłkiem.

- Dzięki.

Barbara otworzyła drzwi do jednej z ubikacji, opuściła deskę sedesową i usiadła.

- Dlaczego kochasz Sama?

Zapałam papierosa i wydmuchałam chmurę dymu.

- Nie wiem. Kocham go i już.

- Rozumiem - stwierdziła sarkastycznie. - Ale może jednak powiesz mi coś więcej?

- Sama wiesz, że takich rzeczy nie da się wyrazić słowami.

- Co ci się w nim najpierw spodobało?

- To, że jest zabawny. Ma ogromne poczucie humoru. Jest inteligentny. I przystojny. Mamy wiele wspólnych zainteresowań.

- Jest szczodry?

- Gdyby miał pieniądze, na pewno by był.

- To tylko niczym nieuzasadnione przypuszczenie. Kupił ci coś kiedyś?

- Jasne. Mnóstwo rzeczy.

- Co na przykład? Wzruszyłam ramionami.

- Nic drogiego. Już ci mówiłam, że nie ma forsy. W wypożyczalni wideo niewiele się zarabia. Ale kiedy gdzieś wychodzimy, przeważnie płaci.

- Jak często to się zdarza? Niedawno powiedziałaś, że prawie nigdzie nie chodzicie. Założę się o co tylko chcesz, że Sam jada porządny posiłek jedynie wtedy, jak mu go ugotujesz.

Zaczęło mnie to złościć.

- Sam nie jest skąpy. Płaci za siebie.

- Dobrze, dobrze. Nie denerwuj się. Chcę ci wykazać, że twoje założenie na temat jego szczodrości wcale nie musi być prawdziwe. A jeśli w innych sprawach też się mylisz? Jeśli on cię wcale nie kocha?

- Kocha. Wiem. Nie mówi tego co chwilę, ale kto mówi? Nie słyszałam, żeby moi rodzice wyznawali sobie miłość, a są małżeństwem od dwudziestu siedmiu lat. Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła to któraś z moich ciotek albo wuj, a jeszcze nikt z nich się nie rozwiódł.

- Odpowiedz mi na kilka pytań. Czy Sam mówi, że cię kocha, kiedy nie chce cię akurat zaciągnąć do łóżka? Czy jest dla ciebie czuły i uprzejmy, kiedy w tym samym pomieszczeniu jest jakaś naprawdę atrakcyjna kobieta? Czy dzwoni czasem do ciebie z nienacka i mówi, że po prostu pomyślał o tobie? Czy stara się, byś była szczęśliwa? Czy proponuje, że zrobi zakupy po drodze do twojego mieszkania? Czy uprał coś kiedyś? Czy robi rano kawę, a wieczorem kolację? Czy ścieli czasem łóżko? Odkurza? Mówi kumplom, że nie może się z nimi spotkać, bo już się z tobą umówił, czy bierze cię ze sobą?

- Boże, Barbaro, żaden facet nie robi takich rzeczy.

- Dobrze. Spytam o coś, co powinno mieć dla ciebie znaczenie: Czy Sam obejrzałby naprawdę łzawy film, dlatego, że ty go chciałaś zobaczyć, czy zawsze oglądacie to, co on chce?

Wybuchnęłam płaczem.

- Jesteś wstrętnym, zawistnym babskiem.

Barbara wstała, podeszła do drzwi i odwróciła się w moją stronę.

- Wiem, ale nie robię tego dla przyjemności. Czasem muszę się tak zachowywać. Przekonasz się - dodała, wychodząc. - Jeszcze się przekonasz.

Rozdział 50

Prawie do nikogo już się tego dnia nie odzywałam i punkt piąta wyszłam z biura.

Co okazało się dość głupie, bo bez Sama w mieszkaniu było zimno i pusto.

To był najdłuższy wieczór w moim życiu.

Wciąż wychodziłam na korytarz z zamiarem dzwonienia, a potem rezygnowałam. Sam raczej nie ucieszyłby się z mojego telefonu. Chciał być sam. Wyraził się dostatecznie jasno.

Ja nie chciałam być sama. Chciałam być z nim.

A może zrobiło mu się przykro i tylko głupio mu było zadzwonić...

Nie - mówiłam sobie. Nie daj mu szansy, żeby tak łatwo z tego wybrnął. Jeśli chce zadzwonić, te niech zadzwoni. Zna numer. Powiedział, że nie ma ochoty się ze mną widzieć, to sam musi dojść do odmiennego wniosku. Nie będę mu się narzucać i przepraszać, bo nic złego nie zrobiłam.

Nalewałam sobie herbaty i pozwalałam jej wystygnąć. Włączałam telewizję i znów ją wyłączałam, bo czułam się jeszcze bardziej samotna.

Długo myślałam o tym, co powiedziała Barbara. Nadal nie rozumiałam jej zachowania - jakby chciała zrazić mnie do Sama.

W pewnej chwili przyszło mi nawet do głowy, że to ona przysłała mi kwiaty, żeby nas z Samem skłócić i żeby mogła go poderwać dla siebie.

Takie myślenie nie miało sensu.

Barbara знаła się na ludziach. I była zawsze bardzo lojalna wobec przyjaciół. Zachowała się w ten sposób, bo uważała, że tak należało.

Czas mijał, a ja powoli dochodziłam do wniosku, że miała rację. Częściowo. Może Sam czerpał więcej korzyści z naszego związku niż ja? Ja właściwie miałam tylko kogoś, kto czasem mówił, że mnie kocha. Rozejrzałam się po mieszkaniu, żeby odnotować wszystko, co od niego dostałam. Parę płyt CD, dużo kaset wideo, kilka książek... Mniej więcej tyle. Ale nie liczy się materialna wartość prezentu, lecz intencja. I co z tego, że pracował w miejscu, gdzie dostawał zniżkę na kasety wideo? To nie umniejszało wagi prezentu. I co z tego, że naprzeciwko wypożyczalni była księgarnia, gdzie też dostawał zniżkę? Kupował mi prezenty, bo chciał mi sprawić przyjemność.

A potem wstrętny głosik w mojej głowie zaczął mówić, że o większość rzeczy, które dostałam od Sama, sama go poprosiłam. I że płyty CD też kupuje taniej od kumpla, który ma hurtownię.

Sama się przestraszyłam swoich myśli.

Otworzyłam lodówkę, a potem szafki w kuchni. Pełno było w nich rzeczy, które lubił Sam. Kupionych za moje pieniądze.

Otworzyłam szafę z ubraniami. Z przodu leżały ciuchy, w których mnie lubił. Moje stare, wygodne dzinsy i swetry były upchnięte z tyłu.

Przejrzałam szuflady komody. W górnej Sam trzymał swoje rzeczy. Znalazłam w niej trzy pary skarpetek z postaciami z dowcipów rysunkowych, które mu kupiłam i których nigdy nie włożył. Krawat z napisem „USS Enterprise”, nawet niewyjęty z celofanu. Koszulę od Bena Shermana, która kosztowała majątek, wciąż w firmowym opakowaniu.

Druga szuflada należała do mnie: pudełko z biżuterią, nieotwie - rane od wieków, bo Sam nie lubił, gdy nosiłam biżuterię, którą dostałam od kogoś innego, nawet jeśli byli to rodzice. Mój ulubiony kapelusz z dużym rondem. Sam go nie cierpiał. Od dawna go nie nosiłam.

- O Boże - powiedziałam na głos. - Barbara miała rację.

Przez parę ostatnich miesięcy pławiłam się w blasku uczucia, który już dawno przygasł, a ja - bardzo z siebie zadowolona - w ogóle tego nie zauważyłam.

Byłam taka, jak chciał Sam. Mówił: „żaba”, a ja pomijałam etap natychmiastowego podskakiwania i pytałam: „Na jaką wysokość?”

Byłam kukłą.

Rozdział 51

Drogi J.!

Z żalem muszę Cię zawiadomić, że nie jesteś jedyną osobą w moim życiu, której nienawidzę. Mój facet, Sam, rzucił mnie w zeszłym tygodniu i nienawidzę go o wiele bardziej od Ciebie.

Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i zabrał swoje rzeczy oraz wszystko, co mi kiedyś dał. Zostawił krawat. Mam nadzieję, że się na nim powieszysz.

Susan

Droga Susan!

Przekazywanie Twoich głupich listów ze skrzynki pocztowej gazety trwa za długo, a więc - jak widzisz w nagłówku - podaję mój adres.

Twój facet, Sam, jest z pewnością człowiekiem bardzo mądrym, choć może powinien rzucić cię już dawno. Ja bym to zrobił na jego miejscu. W załączeniu przesyłam opakowanie proszków nasennych. Proponuję, abyś wzięła wszystkie naraz i popiła je butelką whisky.

Jeśli więcej się do mnie nie odezwiesz, przyjmę, że posłuchałaś mojej rady i zanieczyszczasz ziemię jakiegoś niewinnego cmentarza. Będę szukał Twojego nazwiska w nekrologach, żeby móc się naprawdę cieszyć.

James Talbot

Drogi Jamesie!

Dziękuję, że napisałeś mi w końcu, jak się nazywasz, będzie mi łatwiej podać Cię do sądu. Jeśli zaś chodzi o adres... W Woodland Crescent mieszkają porządni ludzie i dziwię się, że pozwolili Ci postawić tam Twój karton.

Opakowanie proszków nasennych spaliłam razem z Twoimi listami w kominku i potem musiałam długo czyścić brudy. To mnie jeszcze bardziej do Ciebie zniechęciło.

Rozstaliśmy się z Samem trzy tygodnie temu i z każdym Twoim listem coraz bardziej go doceniam. Być może czasami zachowywał się jak wstrętny gnojek, ale przynajmniej zdarzało mu się myć ręce.

Jeśli musisz mi odpisywać, postaraj się napisać coś po pijanemu.

Susan

Droga Susan!

Korzystając z bardzo wyszukanego algorytmu transkrypcji, udało mi się wreszcie odcyfrować zakodowaną w Twoich listach

wiadomość, która częściowo brzmi tak: „Wybawienie dzisiaj podniesienie romeo susan jest głupią krową zapierająca dech utopia japońska”. Jak na razie nie mam pojęcia, co to znaczy.

Niemniej jednak wycofałem się z płacenia składek na Towarzystwo Przyjaciół Ziemi na wypadek, gdyby chcieli walczyć o zachowanie Twojego rodzaju.

Zamiast tego kupiłem sobie strzelbę na wieloryby. Trzymam harpuny w ogrodzie w nadziei, że zardzewieją.

Jeśli zaś chodzi o moje listy do Ciebie... Masz rację, muszę wypić kilka drinków, nim odważę się napisać choćby Twoje imię.

Bez pozdrowień James

Przez długi czas nawet nie przyszło mi do głowy, że powinnam się czegoś domyślać, ale kiedy przeczytałam o zakodowanej informacji, wreszcie to do mnie dotarło.

Kiedy podał mi adres, zasięgnęłam języka, wykonałam wiele telefonów, kłamiąc jak najęta i niebawem wszystko stało się jasne. Początkowo nie byłam pewna, ale miałam swoje podejrzenia i okazało się, że były słuszne. Dowiedziałam, kim jest James Talbot.

Jednak nie byłam pewna, dlaczego to zrobił i czy przypadkiem nie miał to być jedynie żart, dlatego nadal do niego pisałam, a on mi odpisywał.

„James Talbot” był w swoich listach nieprzyjemnym, złośliwym, okrutnym i sarkastycznym człowiekiem. Jednocześnie odbierałam go jako dziwnie czarującego i fascynującego mężczyznę. Zupełnie innego niż prawdziwy autor listów.

Co mogło doprowadzić faceta do tak wyszukanych starań o kobietę? Czemu stworzył taką dziwną osobowość, kiedy szanse na powodzenie były bliskie zeru?

A zwłaszcza ciekawił mnie fakt, że ktoś mógł znać mnie tak dobrze, aby zawsze wiedzieć, czego nie powinien pisać, a co zawsze okazywało się dokładnie tym, co pragnęłam przeczytać?

Rozdział 52

W następną sobotę, po tym, jak Sam zabrał swoje rzeczy z mojego mieszkania, pojechałam do rodziców. Zanim matka spytała mnie o niego, szybko powiedziałam, co się stało.

Lubili Sama, wszyscy go lubili, i musiałam ich przez jakiś czas przekonywać, że nigdy, przenigdy do niego nie wrócę. Ojciec usiłował mi wmówić, że po jakimś czasie zobaczę wszystko w innym świetle, ale wytłumaczyłam mu, że u boku Sama nie widziałam niczego.

Poili mnie herbatą i pocieszali, aż w końcu poczułam się lepiej. W gruncie rzeczy zaczęłam mieć wyrzuty sumienia, że obciążam ich moimi problemami sercowymi, czyli ewidentnie mi się poprawiło.

Fintan, kiedy wrócił do domu, też wyraził mi swoje współczucie. Widać było, że już wiedział. Wcześniej wyzaliłam się przez telefon Anthony'emu, i to na pewno on powiedział Fintanowi.

Mojemu bratu niezręcznie było okazać uczucie, zwłaszcza przed rodzicami, ale usiadł koło mnie i objął mnie ramieniem.

- Chcesz pójść na spacer? - spytał.

Skinęłam głową. Obiecaliśmy rodzicom, że niedługo wrócimy. Gdy wychodziliśmy, zauważyłam, że ojciec przygląda się Fintanowi z takim wyrazem twarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. Trudno byłoby mi powiedzieć, czy miała to być litość, smutek czy gniew, ale gdy to spostrzegłam, zrozumiałam, że Fintan chciał wyjść na spacer nie tylko ze względu na mnie.

Poszliśmy w stronę drugiej części Cabry.

- Od dawna razem nie wychodziliśmy - stwierdziłam, zastanawiając się, o co mu chodzi. - Chyba z dziesięć lat.

- Być może.

- Anthony powiedział ci o Samie?

- Tak. Przedwczoraj poszedłem z nim i z Lomą do pubu.

- Kto to jest Lorna?

- Nie mówił ci? Kurczę, to całkiem w jego stylu. Poznał ją w jakimś pubie kilka tygodni temu. Świetnie się ze sobą czują. Chyba ci nie powiedział, bo wiedział, że nie jesteś w nastroju. I uważał, że to byłoby nietaktowne.

- Wiesz, co mi najbardziej przeszkadza? - spytałam nagle ze złością. - Nie to, że Sam mnie wykorzystał i rzucił, gdy tylko trafiła

mu się okazja, lecz fakt, że się tego zupełnie nie spodziewałam. Zawsze myślałam, że wiem, co jest grane.

- Nikt z nas się tego nie spodziewał, Sue. - Fintan kiedyś tak do mnie mówił.

- Nie proponujesz, że mu porządnie przyłożysz? Roześmiał się.

- Jak chcesz, mogę mu przyłożyć. Zastanowiłam się przez moment.

- Nie, wolę o nim zapomnieć.

- Anthony gotów był go zabić. On cię bardzo lubi.

- Słusznie, jestem wspaniała.

- Jasne.

- Ale to dziwne, przez wiele lat myślałam, że mu się podobam, choć nigdy nic w tym kierunku nie zrobił.

- Ty też nie.

- Mnie on się nie podobał. Faceci tym się różnią od kobiet, że nie potrafią się z nimi przyjaźnić, nie myśląc o łóżku.

Fintan wzruszył ramionami.

- To zależy od faceta, choć generalnie masz rację.

- A potem pomyślałam, że może Anthony jest gejem. Nawet go o to zapytałam parę miesięcy temu.

- Twoja próżność mnie zdumiewa. Nie ciągnie cię do łóżka, to znaczy, że jest gejem. Co za pokrętne myślenie.

- Pokrętne myślenie to moja specjalność. Poza tym powiedział, że nie jest, a skoro chodzi z dziewczyną, to raczej na pewno nie jest.

- Nie jest - odparł Fintan. - Ale ja jestem.

Rozdział 53

Ojciec nieprędko pogodził się z Fintanem. Był zaskoczony, zaszokowany i zdumiony, kiedy dowiedział się, że jego syn jest gejem, ale przede wszystkim miał pretensję, że Fintan uważał, że nie może z nim o tym porozmawiać.

Z drugiej strony, niby jak Fintan miał mu to powiedzieć? „Długo to trwało, tato, nim się ostatecznie przekonałem, ale prawda jest taka, że wolę mężczyzn. Jeśli nie będziecie mieli jeszcze jednego syna, albo jeśli Susan nie wyjdzie za faceta nazwiskiem Perry, na tym skończy się historia naszego nazwiska”.

Rodzice przeszli przez całą gamę emocji od „gdzie popełniliśmy błąd?” do „jak mógł nam to zrobić?”, aż wreszcie doszli do wniosku, że Jeśli jest szczęśliwy, jeśli nie dzieje mu się krzywda i jeśli nikogo nie krzywdzi, to jest najważniejsze”.

Ojciec powiedział mi, że podejrzewał, iż Fintan jest gejem, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali i nie miał okazji podjąć tematu. Ojciec nie jest człowiekiem, który by się uprzedzał... Nigdy nie opowiadał rasistowskich ani seksistowskich dowcipów i na ogół uważał, że wszyscy ludzie są równi, ale kiedy się okazało, co jest z Fintanem, przekonał się, że jego świat jest dużo niniejszy niż to sobie wcześniej wyobrażał i że w rzeczywistym świecie ludzie mają inne podejście do życia niż jego własne.

Anthony wiedział od lat. Choć między nimi nigdy nic nie było. Fintan nie był nieszczęśliwie zakochany w Anthonym, ani nic takiego, jednakże popsulo to na długi czas ich wzajemne, przyjacielskie stosunki. W gruncie rzeczy wydaje mi się, że Anthony domyślił się wszystkiego wcześniej, niż dotarło to do Fin - tana.

Fintan powiedział irti, że był w krótkim związku z mężczyzną i miał z tego powodu takie poczucie winy - jego kumple byli przeważnie „prawdziwymi” facetami, którzy upijali się i opowiadali dowcipy o „pedałach” - że usiłował się zmuszać, by być „normalnym”. Umawiał się z dziewczynami i starał się nimi zainteresować, choć zupełnie mu to nie wychodziło.

Sharon też wiedziała. Moja najlepsza przyjaciółka wiedziała i nic mi nie powiedziała. Przypuszczam, że z tej przyczyny panowała między nimi taka wrogość... Sharon widziała Fintana z jego byłym kochankiem - Fintan nadal nie chce się zdradzić, kto to był, a Sharon go nie znała, ale to w gruncie rzeczy nieważne - i spytała Fintana.

Okropnie się pokłócili, bo jeszcze wtedy nie czuł się na siłach, aby się ujawnić.

- Co miałam powiedzieć? - spytała Sahron, kiedy zarzuciłam jej milczenie. - Co miałam zrobić? Czy mogłam ci powiedzieć, że widziałam twojego brata, jak się całował z innym facetem? I tak byś mi nie uwierzyła.

- Uwierzyłam - stwierdziłam bez większego przekonania.

- Nie. Próbowалаm kilka razy porozmawiać z Fintanem, ale nie chciał nic mówić, tylko powtarzał, że to nie jest moja sprawa. Wiesz, jak on wpada w złość. Im bardziej chciałam do niego dotrzeć, tym bardziej się wściekał.

Zapytałam Fintana, dlaczego nic mi nie powiedział.

- Bałem się.

- Ty się nigdy w życiu niczego nie bałeś.

- Tym razem się bałem. Sama wiesz, że bycie gejem nie jest powszechnie akceptowane. Znasz moich kumpli. Kiedy się dowiedzą, nie będą chcieli mnie znać.

- Fintan Dunbar jest w porządku. Na pewno nie będzie mu to przeszkadzać. Ale Fintan O'Shaughnessy... Tak, z nim możesz mieć problemy.

- Zaraz zaczniesz sobie przypominać wyjazd na obóz, kiedy mieliśmy po dwanaście lat i każde wspólne wyjście na basen.

Chciałam mu powiedzieć, że nie powinno mu specjalnie zależeć na Fintanie O'Shaughnessym, wiedziałam jednak, że mój brat nie tego ode mnie oczekiwał.

- A Sharon? - spytałam. - Mówi, że wiele razy usiłowała z tobą porozmawiać. Zapewne zraziłeś ją do siebie dawno temu.

- Gdybym coś jej powiedział, zaraz by wszystko wypaplała Laurze i innym twoim koleżankom. Wtedy ty też byś się dowiedziała. I jakbym wyglądał?

- Dokładnie tak, jak teraz. Tylko młodziej. Co masz zamiar zrobić?

- Pytasz, czy zamierzam się ujawnić? - Potrząsnął głową. - Nie, jeszcze za wcześnie. Chcę się stąd wyprowadzić, znaleźć jakieś mieszkanie. Zacząć od nowa.

Oczywiście Fintan nie zmienił się w ciągu jednego dnia z markotnego, niezadowolonego i humorzastego gnojka w łagodnego, dobrego, kochającego brata. Właściwie nigdy się tak do końca nie

zmienił, ale nasze stosunki polepszyły się, kiedy zrozumiał, że go akceptuję. A ja, mimo wieloletnich walk, lubiłam mojego brata i to, że poznałam przyczyny jego humorów, sprawiło, że było nam łatwiej znaleźć wspólny język. Poza tym świadomość, że nigdy nie będę miała bratanic ani bratanków, była dość intrygująca.

Był piątkowy wieczór, cztery tygodnie po zerwaniu z Samem. Niewątpliwie przestało mi na nim zależeć. Znajomość z nim utwierdziła mnie w przekonaniu, żeby się nigdy nie umawiać z facetami poznanymi w nocnych klubach, ponieważ za bardzo lubili spędzać czas w nocnych klubach. Ta zasada nie całkiem pasowała do Sama, ale zostawiłam ją sobie do czasu wymyślenia czegoś lepszego.

Sharon wyszła wcześniej z pracy i wpadła do mnie. W ciągu ostatniego miesiąca widywałyśmy się częściej niż w ciągu ostatniego pół roku. Kiedy przyszła, jak zwykle zaproponowałam jej kawę, modląc się w duchu, żeby odmówiła, bo musiałabym umyć filiżankę.

Sharon dobrze mnie знаła.

- Poproszę - powiedziała. - A masz mleko?

- Może jest w lodówce - odparłam, nie ruszając się z krzesła. -

Nie jestem pewna.

- Przydałaby ci się lodówka ze szklanymi drzwiami.

- Przydałby mi się ktoś do robienia kawy.

- Posłuchaj, jestem twoim gościem. Zrób kawę. Wstałam z westchnieniem.

- Jeśli muszę.

- Co robimy dziś wieczorem? - spytała Sharon, zajmując jedyne wygodne krzesło. - Dokąd chcesz pójść?

Spróbowałam nalać trochę wody do czajnika, żeby móc później pozmywać w ciepłej wodzie, ale się nie dało, bo zlew był cały zastawiony.

- Napijmy się kawy w stylu kontynentalnym - zaproponowałam. - W szklankach.

Nie musiałam gotować wody na kawę, bo się szarpnęłam i kupiłam prawdziwy ekspres. Była to jedna z wielu rzeczy, jakimi usiłowałam się ostatnio pocieszać.

- Fintan powiedział, że wpadnie - stwierdziłam, uważnie obserwując jej reakcję.

Skrzywiła się nieprzyjemnie.

- Tego mi nie mówiłaś, kiedy zaproponowałaś, żebyśmy st\$ gdzieś razem wybrały.

- Zapomniałam - skłamałam. - Najwyższy czas, żebyś zaczęła z nim rozmawiać. Nie ma nic przeciwko tobie, a naprawdę przydałaby mu się jakaś życzliwa dusza.

- Powiedziałaś o nim Markowi. Nie byłam pewna, czy słusznie robię, ale powiedziałam. Stwierdził, że już wiedział. Fintan wypożyczał kasety wideo o gejach. Groził Markowi wszelkimi konsekwencjami, gdyby Mark komuś powtórzył. Mark się nie przejął. Powiedział, że to niewiarygodne, jakie te kasety mają powodzenie.

- Kto by pomyślał.

- Po co Fintan tu przychodzi? Wzruszyłam ramionami.

- Bez powodu. Dla towarzystwa. Większość kumpli nie chce mieć z nim nic wspólnego. Zwłaszcza ten padalec, Fintan O'Shaughnessy. Przynajmniej Fintan Dunbar nadal się z nim przyjaźni.

- On chyba nie jest gejem?

- Nie wiem. Czy to ważne?

- Nie. Ale zaczynasz się zastanawiać, nie?

- A ty cały czas wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś, głupia krowo. Podobno jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

- Jesteś, ale to nie ja powinnam ci o tym mówić. O wielu rzeczach ci nie mówię. O wielu pysznych sekretach. I nie powiem. Nie masz szans. Możesz mnie błagać, ale mam zapieczętowane usta.

Wtedy nie miałam pojęcia, że Sharon wiedziała, kim jest James Talbot. Myślałam, że tylko się przechwala.

Czasem miałam ochotę zamordować!

Sama się mniej więcej domyśliłam, kim jest James. Nadal jednak nie wiedziałam, jak to zrobił, ale gdybym wiedziała, że Sharon wie, wiedziałabym jak. Trochę to skomplikowane.

Fintan przyszedł parę minut później i nie był szczególnie zachwycony widokiem Sharon, ale nic nie powiedział. Wziął szklanekę z kawą i usiadł na gorszym krześle.

- Czy ktoś ma ochotę na ciastko jaffa? - spytałam.

Oboje zgodzili się, że ciastko jaffa odpowiadałoby ich wyszukany podniebieniem.

- Dobra - zawołałam, łapiąc żakiet, który wisiał za drzwiami. - Pójdę do sklepu i przyniosę. Pamiętajcie, jak mnie nie będzie, macie siedzieć ze wzrokiem wbitym w podłogę i się do siebie nie odzywać.

Kiedy wróciłam, rozmawiali ze sobą. Domyśliłam się, że Fintan opowiedział wszystko Sharon, bo przysunął się do niej z krzesłem, jakby nie chciał za głośno mówić, na wypadek gdyby sąsiedzi siedzieli ze szklanką przytkniętą do ściany, sufitu czy podłogi.

Byli w dobrym humorze, ale miałam nieodparte wrażenie, że wróciłam za wcześnie. Postanowiłam wziąć prysznic.

Kiedy wyszłam z łazienki, owinięta w ręcznik, czyściutka i z mokrą głową, Sharon i Fintan nadal pogrążeni byli w rozmowie.

- Nie mogę się w nieskończoność kąpać i latać do sklepu - zaprotestowałam. - O czym rozmawiacie?

Sharon podniosła głowę.

- Ubierz się. Wychodzimy.

- Dokąd?

- Fintan chce nas zaprosić do pubu.

- Zaczekaj! - zawołał Fintan. - Nie miałem na myśli teraz zaraz.

Nikt nie słuchał jego protestów.

Pub dla gejów był dla mnie całkowitą rewelacją. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jak każdy inny pub - ściany nie były w różowych falbankach, ani nic takiego, choć i tak się tego nie spodziewałam - jednak po paru minutach widać było, że pary są przeważnie tej samej płci.

Usiedliśmy koło grupki dość rozmownych facetów. Czułam się niezręcznie. Z powodu mojego wzrostu i rozmiarów myśleli początkowo, że jestem transwestytą albo transseksualistą. Nie wiedziałam, czy nie powinnam się obrazić, ale Fintan wytłumaczył mi później, że nie mieli nic złego na myśli. Kiedy wyjaśniłam im, że się mylą, wzięli mnie i Sharon za parę, i znów musiałyśmy się tłumaczyć.

Fintan nie poznał nikogo tamtego wieczoru, ale czuł się szczęśliwy, że go zaakceptowano.

- To dziwne, ale kiedy lesbijka idzie do lesbijskiego pubu, teoretycznie może poderwać każdego. A heteroseksualna osoba w pubie dla singli ma tylko połowę szans - zauważyła Sharon w drodze do domu.

- Wróciłabyś tam jeszcze? - zapytał Fintan.

- A ty?

- Tak. A ty, Sue?

- Nie wiem. Ale gdybym poszła, to musiałabym się gorzej ubrać. Nie chcę oglądać rozczarowanych twarzy facetów, kiedy widzą, że mój dekolt jest prawdziwy i rozczarowanych twarzy kobiet, kiedy nie jestem zainteresowana tym, jak wyglądają nago.

- Nigdy nie wiesz, dopóki nie spróbujesz - powiedziała Sharon.

- Wiem, wiem, nie bój się. Poza tym zamierzam zrobić sobie przerwę w spotykaniu się z facetami. Muszę najpierw dojść do siebie, nim znów zadam się z kolejnym Samem.

Z całą pewnością nie chciałam poznać kolejnego Sama. Chciałam kogoś zupełnie innego...

Zastanawiałam się nad tym bardzo długo i w końcu doszłam do wniosku, że tak czy inaczej należy doprowadzić do jakiegoś przełomu w moich stosunkach z J.

Drogi Jamesie!

Nie odczuwam już nienawiści do Sama i przesunąłeś się na pierwszą pozycję na liście.

Będę w domu w następny czwartek, a na wypadek, gdyby chciało Ci się przyjść, rozłóżę na dywanie gazety, żeby zminimalizować rachunek za czyszczenie.

Teraz muszę kończyć, bo idę do sklepu po truciznę na szczury na Twój poczęstunek.

Bez żadnych cieplejszych uczuć, teraz ani nigdy.

Susan

Rozdział 54

James Talbot był, tak jak pisał w swoich listach, mężczyzną w średnim wieku, średniego wzrostu (trochę niższy ode mnie), z przerzedzonymi włosami i okrągłą figurą. Miał na sobie kapelusz i prochowiec. Wyglądał jak detektyw z serialu telewizyjnego.

Stojąc w drzwiach, obrzuciłam go taksującym spojrzeniem, a potem pociągnęłam nosem i zakaszlałam teatralnie.

- Z pewnością jesteś Jamesem Talbotem. Zdjął kapelusz, ukłonił się i powiedział:

- A ty z pewnością jesteś brzydszym bratem Susan Perry.

- Wejdz - zaprosiłam go, powstrzymując śmiech. - 1 wytrzymaj najpierw buty.

Talbot uniósł brwi.

- To zrobię, wychodząc.

James rozejrzał się po mieszkaniu, a potem przyjrzał się uważnie jedynej, nudnej reprodukcji, która wisiała już na ścianie gdy się wprowadziłam.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytałam.

Wzruszył ramionami.

- Tylko oglądam. Masz jakiegoś Picassa?

- Nie jestem pewna. Mam kawę rozpuszczalną nescafe.

- Hmm... A Leonardo Da Vinci?

Potrząsnęłam głową.

- Nie, on ma tylko maxwell house.

- Monet?

- Nie, dziękuję, monet nie potrzebuję.

- A Van Gogh?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Czy masz na myśli Seamusa Van Gogha, znanego miejscowego ogrodnika?

- Raczej mam na myśli jego jeszcze bardziej znanego brata, Vincenta.

Nalałam wody do czajnika i wyjęłam dwie filiżanki. Zapomniałam wynieść trochę kawy z biura i postanowiłam, że napijemy się rozpuszczalnej.

- Nie wiem dokładnie, co tu mamy. Ja tylko pilnuję mieszkania dla mamusi.

- A kiedy mamusia wraca? - spytał z uśmiechem.

- To zależy kto jest w ciąży, kto z kim śpi i kto, podobno, sprzedaje dom.

- Rozumiem. Módlmy się, żeby nikt w okolicy nie kupił nowych firanek. Zostalibyśmy tu do końca życia.

- Wtedy nie wystarczyłoby nam kawy. Musielibyśmy o nią walczyć.

Rozmawialiśmy przez wiele godzin i ani razu nie wspomniałam, że już się znamy. Doszłam do wniosku, że jego prawdziwe nazwisko nie jest ważne. Ten człowiek był Jamesem Talbotem, autorem niesamowitych listów. On też grał w tę grę i ani razu się nie pomylił.

- Czy mogę dostać jeszcze tej obrzydliwej kawy, aby spłukać smak gotowanej ścierki, którą omyłkowo nazwałaś ciastem?

- Oczywiście. Możesz pić, ile chcesz. Im więcej pijesz kawy, tym mniej możesz mówić.

- Nie mam problemów zamówieniem, lecz ze słuchaniem.

- To widać, że w tym ostatnim nie masz wielkiej wprawy.

- Niestety, to nie jest mój normalny głos. Jestem trochę przeziębiony. - Aby mi to unaocznić Talbot wyjął z kieszeni krawat Sama i wytarł w niego nos.

Mało nie udusiłam się ze śmiechu. Kiedy się trochę uspokoiliłam, choć łzy nadal płynęły mi po twarzy, Talbot powiedział:

- Byłbym uderzył cię w plecy, aby pomóc w krztuszeniu się, ale nie mogę tego zrobić z braku porządnego młotka.

- Powstrzymałam się od śmierci jedynie po to, aby ci nie sprawić przyjemności - odparłam przez śmiech i łzy.

James Talbot wbił się w płaszcz.

- Z wielką ulgą żegnam się z tobą. To był bardzo nieprzyjemny wieczór.

- Jeśli musisz przebywać w ogrodzie, to proszę nie stać w miejscu, tylko chodzić, żeby trawa była równomiernie podeptana. Ponadto proszę mi wyświadczyć tę przysługę i zastukać po prośbie do paru sąsiadów, żeby nie pomyśleli, iż utrzymujemy stosunki towarzyskie.

Spojrzał na zegarek.

- Może zjemy jutro razem kolację? W Ranelagh jest rozkoszna szkocka restauracyjka. Nazywa się...

- McDonald's - przerwałam mu.

- Obawiam się, że jesteś dla mnie za mądra. Idę do sklepu z dowcipami po zwrot pieniędzy. - Odsunął się od drzwi, nie spuszczaając ze mnie wzroku. - Jutro wieczorem, tak? Zakładając, że mamusia wróci do tego czasu.

Wyrzłaam za jego plecami na ulicę.

- Nie widzę nigdzie twoich dzikich koni. Wyobrażam sobie, że przybędziesz na nich jutro, bo nic innego nie zmusiłoby mnie do odwiedzenia tej szczególnej kaldeońskiej jadłodajni. Wolałabym napić się czegoś w miejscowym barze, w innym towarzystwie.

- No, proszę. Gdybyś jutro, koło ósmej, zjawiała się w Four Provinces, mnie tam na pewno nie zastaniesz.

- Jutro wieczorem myję głowę.

- A, przyszła wreszcie pora i na to, co? Mam przyjaciela w straży pożarnej. Przyślę go tu jutro rano z całą ekipą, aby pomogli ci szlauchami. - Talbot jeszcze raz zdjął kapelusz i skierował się do furtki. - Jutro wieczorem?

- Nic nie sprawi mi mniejszej przyjemności - powiedziałam, zamykając drzwi.

Rozdział 55

Spotkałaś się z nim? - spytała następnego dnia Barbara. Ledwo zdążyła wejść do biura, a ja „przypadkowo” byłam w recepcji, wcale na nianie czekając.

- Tak.

- I co? Miałaś rację?

- O tak. Niewątpliwie. Roześmiała się.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić. I jak było?

- Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Wydaje mi się, że podoba mu się odgrywanie tej roli. Muszę przyznać, że ja też dobrze się bawiłam. Nie zdradził się najmniejszym gestem, ani słowem. Gdybym nie wiedziała, przysięgłabym, że to dwaj różni ludzie, podobni fizycznie. Nie powiedział niczego, co wskazywałoby, że nie jest Jamesem Talbotem. I powiem ci, że jest inny niż wszyscy. To znaczy jest jednocześnie wstrętny i bardzo śmieszny.

- O kim mówimy? - spytał Kevin, wchodząc do biura.

Spojrzałyśmy na siebie z Barbarą.

- Nie znasz - powiedziałyśmy równocześnie.

Kevin wzruszył ramionami, lekko wściekły, że go olałyśmy, i wsunął się za biurko.

- Spotkasz się z nim jeszcze? Jako z Jamesem?

- Jasne. Dziś wieczorem o ósmej, w Four Provinces.

Do tej pory byłam niezdecydowana, ale w tym momencie podjęłam decyzję. Tak - pomyślałam - chciałabym się znów z nim zobaczyć.

Interesy szły tak dobrze, że nasza firma otworzyła filię w północnej części miasta. Nie zostałam tam oficjalnie oddelegowana do pracy, ale bywałam przynajmniej raz dziennie, żeby pomóc w rozwiązywaniu problemów.

W Phibsboro zainstalowaliśmy Jennifer i parę nowych osób, które pracowały pod kierownictwem Danny'ego Matoneya. Danny wrócił, błagając o pracę. Nie, to nieprawda. To my go błagaliśmy, ofiarowując wyższą pensję i wyższe stanowisko.

Vicky spędzała tam większość czasu, a ja nadal kierowałam biurem w Rathmines, i wszystko szło całkiem nieźle. Owszem, utrzymanie dwóch biur nie było łatwe, ale wyglądało na to, że na koniec roku finansowego wyjdziemy na zero, co przy nowej inwestycji nie było takie oczywiste.

Pojechałam do biura w Phibsboro tuż przed lunchem. Jak zwykle nie mogłam znaleźć miejsca, aby zaparkować samochód i w końcu wylądowałam bliżej domu rodziców w Cabrze niż biura.

Po drodze, w knajpce Eddiego Rocketa, zauważyłam Dan - ny'ego i Arianę, którzy jedli lunch, i weszłam, aby się z nimi przywitać.

- Susan! I co, przyszedł? - zapytała Ariana. Jej angielski zdecydowanie się poprawił.

- I to punktualnie.

- A nie mówiłem? - powiedział Danny. - Jesteś mi winna funta.

- Jasne. - Z kieszeni zakietu wyciągnęłam garść monet. - Tutaj jest koło funta. Wyjęłam je rano ze słoika z drobnymi.

Danny spojrzał na Arianę.

- Mamy rozwiązany problem napiwku.

- Przyjdiesz na nasze przyjęcie? - spytała Ariana. - W przyszły piątek.

- Może - odparłam po namyśle. - Czy mogę przyjść z kimś?

- Z tym samym kimś, z którym spotkałaś się wczoraj?

- I z którym spotykam się także dzisiaj. Sama nie wiem, czy nie robię głupio. W końcu James Talbot nie istnieje. Tyle się między nami zdarzyło, nim się dowiedziałam, że to z nim koresponduję, że trudno sobie z tym poradzić.

- Wszystko będzie dobrze, mówię ci - stwierdził Danny.

- Postawił mnie tak wysoko na piedestale, że nie będzie mógł mnie dosięgnąć. I to mnie martwi, o ile wiecie, o co mi chodzi.

- Danny uśmiechnął się.

- Ja zawsze wiem, o co ci chodzi, Susan.

Parę minut później wyszliśmy od Eddiego Rocketa i poszliśmy do biura. Danny pocałował Arianę na pożegnanie i obiecał, że zobaczą się wieczorem.

- Oszalałaś na jej punkcie, prawda? - powiedziałam.

- Tak. Zdecydowanie. Pasujemy do siebie.

- Na pewno. Wreszcie wyszedłeś ze skorupy. Najwyższy czas. Widzisz? Potrzebowałaś jedynie miłości dobrej kobiety.

- Albo przyjaźni dobrej kobiety.

W recepcji, jak zwykle, Jennifer miała dla mnie stos papierów, które musiałam albo podpisać, albo wrzucić do kosza. Decyzja należała do mnie.

- Vicky zapowiedziała zebranie na wpół do czwartej - poinformowała mnie Jennifer. - Barbara dzwoniła, żebyś się pospieszyła z umową dla Bosemana. Mówi, że wciąż czekają na sprawozdania.

- Tak, dobrze. Jestem strasznie zajęta. Zadzwoń do Barbary i powiedz jej, żeby sama się tym zajęła.

- Aha! Powiedziała, że na pewno to właśnie powiesz i żebyś wetknęła sobie gdzieś umowę Bosemana... - przerwała, zaczerwieniła się i spuściła wzrok. - Przepraszam.

Odwróciłam się. Za mną stał Neil Forsythe. Uśmiechnął się do Jennifer i skinął mi głową.

- Dzień dobry pani.

- Dzień dobry panu. W czym możemy panu pomóc?

- Przyszedłem się rozejrzeć.

- Widzę, że nie ma pan dzisiaj kapelusza.

- Ja w ogóle nie mam kapelusza.

- Oczywiście. Najwyraźniej pomyliłam pana z kimś innym.

Rozdział S6

Szefowa powiedziała, że mogę wyjść wcześniej, bo widziała, że przez całe popołudnie się denerwowałam i nie byłam w stanie pracować.

Ponieważ to ja byłam teraz szefową, łatwo przyszło mi ją na to namówić. >

Wychodziłam właśnie z biura, kiedy zatrzymał mnie Kevin.

- Chciałbym wiedzieć, co mam z tym zrobić... - Trzymał w ręku raport ze wstępnego spotkania z jednym z klientów, dwoma palcami za rozek, jakby się obawiał, że może się czymś zarazić.

Miałam ochotę powiedzieć mu: „Zrób to co zawsze robisz, w trakcie wielogodzinnych rozmów telefonicznych ze znajomymi.

Zamaż ten papier esami - floresami i nie zapomnij o swoim znaku szczególnym: śladach po kubku od kawy”.

Jednakże szefowa nie powinna mówić takich rzeczy. Szefowa musi zachować wobec pracowników pewien dystans. Nie może zachowywać się zbyt swobodnie lub przyjacielsko, bo weszliby jej na głowę.

- Jak myślisz, Kevin? Wzruszył ramionami.

- Dać Barbarze?

- Nie... Zgaduj dalej.

- Mam przygotować plan spotkań i kilka sugestii?

- Ciepłej.

- Ale to nie należy do moich obowiązków. To jest rodzaj wstępnego rozpoznania. Nie mam pojęcia o takich sytuacjach. Pracuję z klientem, kiedy wszystkie tego typu problemy są już rozwiązane.

- Musisz się nauczyć. Poza tym Barbara jest zajęta. Zajmij się tym, a jeśli nie dasz rady, zwróć się do niej. Albo raczej sprawdź, co robiliśmy w takich przypadkach z innymi klientami. Użyj wyobraźni. Za to ci płacimy.

- Dobrze - powiedział niechętnie. - Niech będzie.

Postał jeszcze chwilę, spoglądając niepewnie na sprawozdanie, przypuszczalnie czekając, aż wezmę je od niego i powiem, że sama się wszystkim zajmę.

- To powinno już dawno być zrobione - powiedziałam. - Nie wiem, dlaczego tak długo z tym czekałeś?

- Byłem zavalony pracą.

- Trzeba było wcześniej mi o tym powiedzieć i wtedy mogłabym przekazać część pracy komuś innemu. Musisz to skończyć najpóźniej w poniedziałek rano.

Począł do swojego biurka. Spoglądałam za nim, zastanawiając się, jak długo jeszcze będę go trzymać. Owszem, miał mnóstwo genialnych pomysłów, ale większość z nich sprowadzała się do tego, jak unikać pracy. Jego obecność była wciąż marginalnie bardziej korzystna niż jego nieobecność, czyli na razie nie musiał bać się zwolnienia, jednakże wkrótce będzie musiał zrozumieć jedno: to, że raz uratowałam go od zwolnienia, nie oznacza, że będę robić to zawsze. Każdy człowiek ma swoją szansę, nie można jej jednak powielać w nieskończoność.

Dobrze - powiedziałam sobie. Zapomnij o Kevinie. Jest piątek, wpół do piątej po południu. Koniec pracy. Są ważniejsze sprawy.

Wzięłam prysznic, umyłam głowę i wciąż miałam jeszcze dwie godziny do spotkania z Jamesem.

Pomyślałam, że mogłabym trochę posprzątać, ale właściwie niewiele było do zrobienia. Ostatnio nauczyłam się utrzymywać porządek, zmywać po jedzeniu, a nie wtedy, kiedy nie było już ani jednej czystej filiżanki czy talerza, odkładać na miejsce książki i ubrania.

Oczywiście nie wprowadziłam pruskiego drylu, moje książki i kasy wideo nie stały na półkach w porządku alfabetycznym i czasami kosz na brudną bieliznę był tak pełny, że się nie domykał. Nie stałam się tak porządnicka, by regularnie prać firanki, czy rozmrażać lodówkę. Nadal byłam bałaganiarą, tylko lepiej zorganizowaną.

Postanowiłam zabić czas czymś, czego nie robiłam od bardzo dawna: uaktualnić swój pamiętnik.

Nie był to chyba najlepszy pomysł, bo kiedy przeczytałam to, co napisałam o Samie, wpadłam w złość. Tylko Sam, Sam, Sam. Moje uczucie do niego wydało mi się czymś naprawdę dziwnym.

W miarę upływu czasu i gojenia się ran doszłam do wniosku, że Sam nie był taki najgorszy. Po prostu był egoistą. Może, gdyby J. nie posłał mi kwiatów do biura i nie pokłóciłibyśmy się o to z Samem, wciąż bylibyśmy razem. Nigdy nie był na tyle zły, aby nie mógł się zmienić.

Nie wiedziałam, czy zerwanie z Samem było błędem i nigdy już się tego nie dowiem. Ale może to nie jest takie ważne. Nie wiadomo,

jak wyglądałaby nasza przyszłość. Być może, mimo wiecznych kłótni, bylibyśmy dobrym małżeństwem, a może byłabym zakochaną w mężu kobietą w średnim wieku, którą on traktuje jak podnózek.

Przerzuciłam kartki i zaczęłam pisać w odpowiednim miejscu.

Niedługo spotkam się z Jamesem Talbotem, dopiero po raz drugi. Choć znam go dużo dłużej jako Neila Forsythe'a.

Czy są tą samą osobą? Nie wiem. W moich myślach są dwoma różnymi ludźmi. Kiedy przyszedł tu wczoraj wieczorem, musiałamcały czas przypominać sobie, że to człowiek, który był kiedyś zamieszany w aferę z Parker Technology.

Dziś rano rozmawiałam z Anthonyem i wszystko mi opowiedział. Poznał Neila, kiedy zaprosiłam go na promocję nowego oprogramowania Parkera. Doskonale się dogadali i zaprzyjaźnili, choć żaden nie puścił pary z ust. Gdy Anthony zorientował się, że Neilowi na mnie zależy, postanowił mu pomóc. Domyślili się - słusznie, jak się okazało - że nie bardzo mnie interesują starsi mężczyźni. Neil dał ogłoszenie do gazety, a Anthony „znalazł” je i mi przeczytał. I zadziało.

Nie mogę powiedzieć, że jestem w nim zakochana, ale na pewno jestem nim bardzo zainteresowana. Nie mam pojęcia, co będzie dalej, ale wcale się tym nie przejmuję. Przestałam szukać partnera na resztę życia i szukam kogoś, z kim będę szczęśliwa.

Wiem, że w odpowiednich warunkach byłabym z Samem bardzo szczęśliwa. Wiem jednak także, że jeśli chodzi o miłość, nigdy nie pójdę na kompromis. Szczęście nie jest wiele warte, jeżeli w każdej chwili może zniknąć.

Może nieważne jest to, dokąd zaprowadzi mnie życie, lecz sama droga...

Rozdział 57

Kupiłam sobie drinka i usiadłam przy pierwszym wolnym stoliku, plecami do drzwi. Przyszłam za wcześnie, ale nie chciałam, by James, gdyby przybył punktualnie, myślał, że wystawiłam go do wiatru.

Słyszałam, że za mną otwierają się drzwi. Gdy cień padł na stół, podniosłam wzrok. To był Sam.

- Twoja nowa recepcjonistka powiedziała mi, że będziesz tu dziś wieczorem —powiedział. - Odwiedziłbym cię w domu, ale nie zdążyłbym przed twoim wyjściem. - Muszę powiedzieć, że dobrze wyglądał w nowej fryzurze i w nowym ubraniu. - Co słyszeć?

- Wszystko dobrze. A u ciebie?

- Brak mi cię, Susan. Przepraszam. Chciałbym, żebyś do mnie wróciła.

- Co? - Aż mnie zatkało.

- Chciałbym, żebyś do mnie wróciła - powtórzył cicho.

Głośno odstawiłam szklankę na stół.

- Rzuciłeś mnie. Doszedłeś do wniosku, że wolisz być sam.

Mną się specjalnie nie przejmowałeś. Moje uczucia się nie liczyły. A teraz, jak gdyby nigdy nic, chcesz wrócić do tego, co było. Spadaj.

Sam wyjął z kieszeni gazetę, trzymając ją w ręku jak broń.

- To on, prawda?

- Kto?

- Ten facet, do którego piszesz listy. Z ogłoszenia. - Rzucił gazetę na stół. Z wyrazu jego twarzy domyśliłam się, że wie o Jamesie, zorientował się, że nie czekam, aż łaskawie do mnie wróci, i postanowił spróbować jeszcze raz, choć źle się do tego zabrał.

Wzięłam gazetę. Była otwarta na stronie z ogłoszeniami. Sam zakreślił jedno z nich.

Przeczytałam półgłosem, bardziej dla siebie, niż dla Sama:

- Mężczyzna w średnim wieku, zmęczony zwyczajnym życiem, znalazł młodą kobietę, której może nienawidzić. Bez numeru ogłoszenia. - Uśmiechnęłam się i spojrzałam na Sama. - Powiedziałam, żebyś sobie poszedł. Między nami wszystko skończone.

Jeszcze raz rzuciłam wzrokiem na ogłoszenie. Sam odwrócił się i odszedł.

Słyszałam, że drzwi pubu znów się otwierają ktoś się przepycha i głos Sama:

- Uważaj, jak leziesz, stary pierniku. A potem znajomy głos powiedział:

- Miło, że pan wychodzi i podnosi w ten sposób średnią inteligencji. Mam nadzieję, że pewnego dnia skręci pan kark.

Na stolik padł inny cień. Naprzeciwko mnie usiadł łysiejący duży mężczyzna w średnim wieku, w prochowcu i kapeluszu.

- Och - powiedział James Talbot rozczarowany. - To ty. Przyglądałam mu się przez chwilę, a potem się uśmiechnęłam. Byłam szczęśliwa...